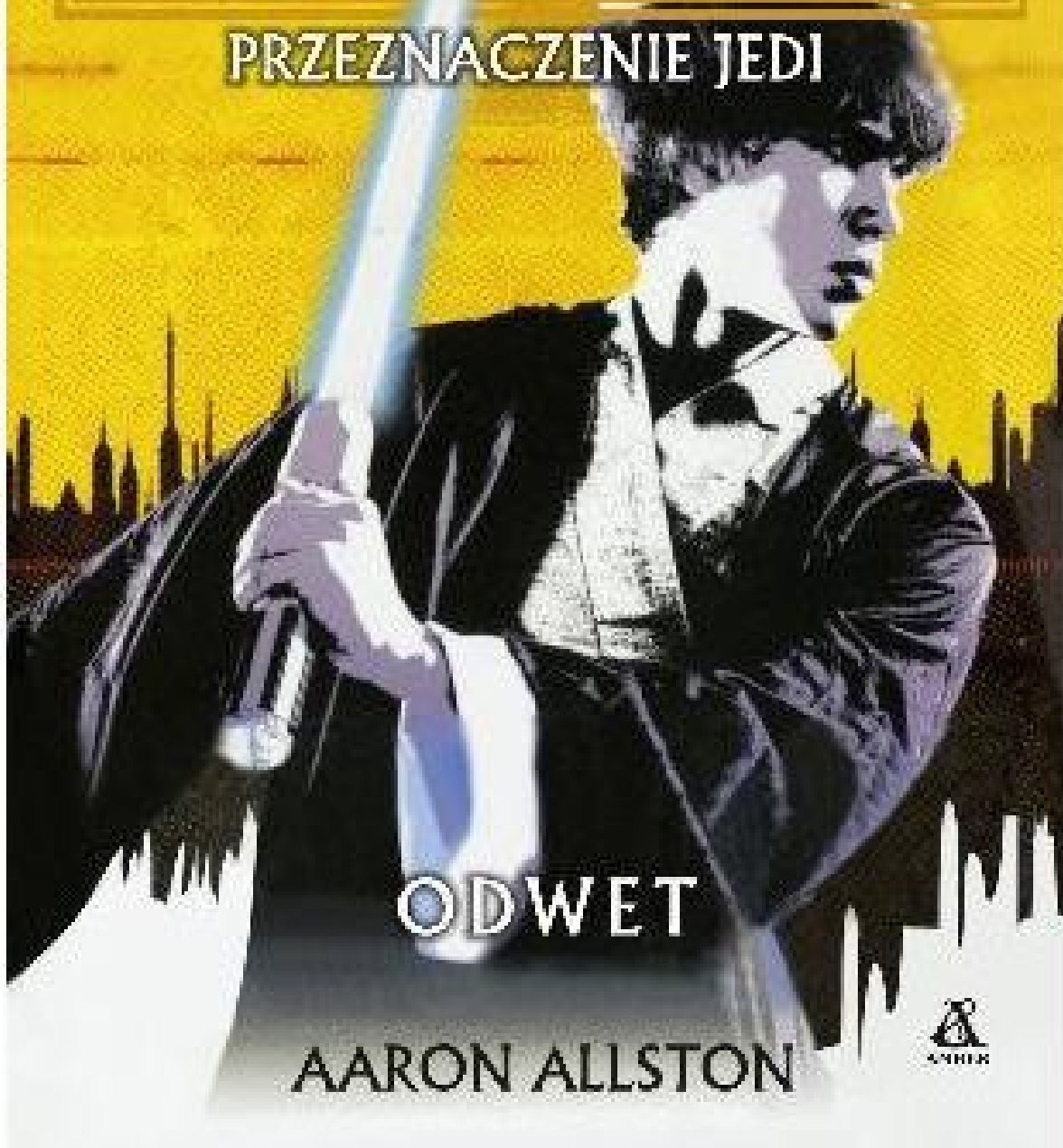


# STAR WARS

PRZEZNACZENIE JEDI



ODWET

AARON ALLSTON



Przekład  
Aleksandra Jagiełowicz  
Grzegorz Ciecieląg

Redakcja stylistyczna  
Magdalena Stachowie

Korekta  
Renata Kuk  
Halina Lisińska

Ilustracja na okładce  
Ian Keltie

Druk  
Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału  
Star Wars: Fate of the Jedi: Backlash

Copyright © 2010 by Lucasfilm Ltd. & ® or ™ where indicated.  
All Rights Reserved.  
Used Under Authorization.

For the Polish translation

Copyright © 2011 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.  
ISBN 978-83-241-4115-9  
Warszawa 2011. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63  
tel. 22620 40 13, 22620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

*Wszystkim, którzy w 2009 pomogli mi przetrwać bardzo ciężkie chwile*

BOHATEROWIE POWIEŚCI

Allana Solo - dziecko rasy ludzkiej

Ben Skywalker - Rycerz Jedi (mężczyzna)

C-3PO - robot protokolarny

Drikl Lecersen - moff (mężczyzna)

Dyon Stadd - dawny kandydat na Jedi (mężczyzna)

Han Solo - kapitan „Sokoła Millenium” (mężczyzna)

Haydnat Treen - senator (kobieta rasy Kuati)

Jagged Fel - przywódca Imperium Galaktycznego (mężczyzna)

Jaina Solo - Rycerz Jedi (kobieta)

Kaminne Sihl - przywódczyni Klanu Deszczowych Liści (kobieta z Dathomiry)

Leia Organa Solo - Rycerz Jedi (kobieta)

Luke Skywalker - Wielki Mistrz Jedi (mężczyzna)

Natasi Daala - przywódczyni Sojuszu Galaktycznego (kobieta)

R2-D2 - robot mechaniczny

Vestara Khai - uczennica Sith (kobieta)

### Pusta przestrzeń w pobliżu Kessel

Była to ciemność otoczona gwiazdami - jedna z nich, ponure słońce Kessel, znajdowała się bliżej od pozostałych, ale na tyle blisko, aby wydawać się kulą świetlną zamiast kropki. Nagle w tej ciemności pojawił się jacht kosmiczny o płynnych, wdzięcznych kształtach i łuszczącej się powłoce farby. Tak by to właśnie wyglądało: statek wyskakujący z nadprzestrzeni, widziany oczami gości ze strefy przylotów, gdyby jacyś tu byli. Pustka, a potem nagle statek i wszystko to w mgnieniu oka.

Na mostku siedział jedyny pasażer tego starego jachtu - nastoletnia dziewczyna, ubrana w sfatygowany bojowy kombinezon próżniowy. Wodziła wzrokiem od czujnika do czujnika, powoli i niepewnie, bo nie знаła tego typu pojazdu. Wyglądała na oszołomioną.

Przekonana wreszcie, że żaden inny statek nie wyskoczył z nadprzestrzeni w pobliżu i że na razie to nie nastąpi, rozparła się wygodnie w fotelu pilota, próbując uporządkować myśli.

Nazywała się Vestara Khai i była Sithem z Zapomnianego Plemienia. Dumnym Sithem, takim, który nie ukrywa się pod fałszywą tożsamością i obszernymi szatami, dopóki jego megalomański plan nie dojdzie do skutku. A teraz miała jeszcze jeden powód do dumy. Zaledwie kilka godzin wcześniej ona i jej Mistrzynie, Lady Rhea, stały czoło Wielkiemu Mistrzowi Jedi Luke'owi Skywalkerowi. Lady Rhea i Vestara stoczyły walkę z najbardziej doświadczonym, najstydniejszym Jedi i doprowadziły do klinczu. Vestarze nawet udało się go zranić. Z draśnięcia przez podbródek i policzek trysnęła na nią krew. Skosztowała tej krwi; chciałaby zachować jej odrobinę na pamiątkę.

Potem jednak Skywalker udowodnił jej, skąd się bierze jego sława. Wystarczyła chwila odwrócenia uwagi i nagle Lady Rhea, w czterech kawałkach, odpływała w czterech różnych kierunkach, a Vestara wobec beznadziejnej przewagi wroga po prostu uciekła.

A teraz, porywając jacht kosmiczny, który bez wątpienia był już wiekowy, kiedy jej prapraprapradziadowie przyszli na świat, ale który, ku jej wdzięczności, zachował w swoim wciąż działającym komputerze tajniki nawigacji przez masę czarnych dziur zwaną Otchłanią, była wolna. I powoli zaczynało do niej docierać nieznośne i realne brzemie odpowiedzialności.

Lady Rhea nie żyła. Vestara została sama, a jej duma z dokonania Lady Rhei i z tego, jak dobrze sama się spisała w pojedynku z Jedi, nie wystarczyły, aby oddalić poczucie straty.

Pozostawało jeszcze pytanie, co robić dalej, dokąd się udać. Musiała znaleźć możliwość porozumienia się ze swoim ludem, przekazania informacji o wypadkach w Otchłani. Ten trzeszczący, z wolna rozpadający się jacht kosmiczny SoroSuub StarTracker nie miał jednak na pokładzie hiperkomunikatora. Aby nawiązać kontakt, będzie musiała dotrzeć na jakąś cywilizowaną planetę. Powinna albo przybyć tam niepostrzeżenie, albo zniknąć tak szybko, by Jedi nie zdążyli jej odkryć i schwytać. Oznaczało to, że musi zdobyć wystarczającą sumę kredytów, by opłacić tajną, niemożliwą do wyśledzenia wiadomość przez hiperkom. Realizacja wszystkich tych planów wymagała czasu.

W głębi serca i w ostrzegawczych strumieniach Mocy Vestara czuła, że Luke Skywalker zamierza śledzić ją aż do jej rodzinnego świata Kesh. Nie wiedziała, jak zamierza to osiągnąć, ale paranoja, którą wszczepiła jej Lady Rhea, zadomowiła się w jej wnętrzu na dobre. Zamierzała znaleźć jakiś sposób, aby przechytryć użytkownika Mocy, o wiele od niej starszego i znanego ze swoich umiejętności.

Trzeba będzie udać się tam, gdzie władający Mocą są często spotykani. W przeciwnym razie każde użycie przez nią Mocy zapłonie w umyśle doświadczonego Jedi niczym boja sygnalizacyjna. Niewiele było takich miejsc; Coruscant wydawało się najbardziej logicznym wyborem. Jeśli jednak jej tropy poprowadzą w stronę siedziby rządu Sojuszu Galaktycznego, Skywalker może ostrzec tamtejszych Jedi i Vestara trafi na prawie niemożliwą do sforsowania sieć władających Mocą, która odetnie ją od jej przeznaczenia.

Nikt nie wiedział, gdzie się teraz mieści szkoła Jedi. Na Hapes rządziła eks-Jedi i chodziły słuchy, że mieszka tam wiele istot wrażliwych na Moc, lecz ta cywilizacja tak dbała o własne

bezpieczeństwo, że trudno było się spodziewać, aby Vestara była w stanie zakończyć tam w tajemnicy swoją misję.

Nagle odpowiedź nasunęła jej się sama, tak oczywista i doskonała, że dziewczyna roześmiała się głośno.

Miejsce, o którym myślała, raczej nie znalazłoby się na galaktycznych mapach nawet tak starego jachtu jak ten, którym dowodziła. Będzie musiała gdzieś wstąpić, żeby zaktualizować mapy. Skinęła dumnie głową. Jej poczucie straty i chaos myśli gdzieś zniknęły, kiedy skoncentrowała się na nowym zadaniu.

## Przejęciowe mgły

Rycerz Jedi Leia Organa Solo siedziała przy konsoli komunikacyjnej „Sokoła Millenium”, czytając po raz kolejny wiadomość tekstową, którą „Sokół” otrzymał właśnie przez hiperkom. Zmarszczyła w zadumie brwi, jakby rozwiązywała skomplikowane zadanie matematyczne.

Milczała tak długo, aż zwróciło to uwagę jej męża, Hana Solo. Chłopięca niefrasobliwość Hana była przeważnie pozą; na ogół doskonale potrafił wyczuć nastroje żony. Milczenie i całkowita koncentracja zwykle oznaczały kłopoty. Pomachał ręką przed jej oczami.

- Hej, kobieto!

Niechętnie zareagowała.

- A, jesteś.

- Nowe wiadomości?

- Tak. Od Bena.

- Normalna gadanina nastolatków, tak? Dziewczyny, ścigacze, prośba o wsparcie...

Leia zignorowała jego żart.

- Tym razem Sithowie - odparła.

- Sithowie, racja. - Han usiadł w fotelu obok niej, wyprostowany i wyraźnie przejęty tą nowiną. - Znaleźli nowego Lorda Sithów?

- Myślę, że to coś gorszego. - Głos Leii wreszcie się trochę ożywił. - Znaleźli w okolicach Otchłani jakąś starożytną instalację i zostali zaatakowani przez bandę Sithów. Całkiem sporą bandę. A możliwe, że jest ich jeszcze więcej.

- A myślałem, że Sithowie chodzą parami. Wystarczy zabić obu i zagrożenie zniknie na zawsze, a przynajmniej na kilka lat, póki nie znajdzie się kolejna para. - Han starał się mówić spokojnie. Ostatnim Sithem, który wprowadził zamęt w galaktyce, był Jacen Solo, najstarszy syn jego i Leii. Wprawdzie Jacen nie żył już od prawie trzech lat, ale echo zła, które uczynił, wciąż szkodziło całej zamieszkałej galaktyce. Jego czyny i jego śmierć zadały sercu Hana ranę, która zapewne pozostanie tam na zawsze.

- Okazuje się, że już nie. Ben twierdzi w dodatku... tylko nie powtarzaj tego mojemu bratu... że Luke jest zmęczony. Naprawdę wykończony, jakby ktoś wycisnął z niego życie. Ben chciałby, żebyśmy podlecieli do nich i trochę go wsparli.

- Jasne - skrzywił się Han. - Z powrotem do Otchłani, jedyne miejsca, przy którym Kessel wydaje się rajskim ogrodem.

Leia pokręciła głową.

- Śledzą teraz uciekającą uczennicę Sith, więc raczej nie będzie to Otchłani.

- Właściwie czemu nie? - Han zatarł ręce, jakby spodziewając się bójki. - Odkąd zwialiśmy z tymi Jedi, których Daala chciała zamrozić, pewnie i tak na Coruscant czeka na nas nakaz aresztowania.

Leia uśmiechnęła się wreszcie i spojrzała na niego.

- Solo i Skywalkerowie mają jedną dobrą cechę. Nigdy nie brakuje nam roboty.

## Świątynia Jedi, Coruscant

Mistrzynie Cilghal, Kalamarianka i najlepszy lekarz w tym pokoleniu Jedi, zawahała się, zanim wcisnęła przycisk na konsoli kasujący wiadomość, której rozszyfrowaniu poświęciła sporo czasu. Była to transmisja wideo od Bena Skywalkerów, starannie przekazana przez kilka węzłów hiperkomu oraz równie starannie sformułowana, aby nie zdradzić, że jest przeznaczona tylko dla Cilghal, a nie dla całej populacji Coruscant.

Jej treść była adresowana głównie do Jedi i Cilghal powtarzała teraz podsumowujące ją słowo, które brzmiało jak przekleństwo:

- Sithowie.

Komunikat należało przekazać całemu Zakonowi Jedi. Cilghal po namyśle stwierdziła, że nie ma w nim nic niebezpiecznego; zawsze mogła twierdzić, że został jej przekazany przez przyjaciela Skywalkerów. Luke Skywalker nie powinien się kontaktować ze Świątynią Jedi, ale ten tekst był pozornie pozbawiony jakichkolwiek przesłanek, że wygnany Wielki Mistrz w jakikolwiek sposób próbuje wpływać na Zakon. Mogła go spokojnie rozpowszechnić.

A więc zaraz to zrobi.

### **Głęboka przestrzeń w pobliżu Kessel**

„Cień Jade”, dawny statek Mary Jade Skywalker, a teraz środek transportu i ruchomy dom jej męża i syna, wyskoczył z nadprzestrzeni w pustą, ciemną studnię poza systemem Kessel. Zawisł tam na kilka minut, które wystarczyły, aby jeden z jego pasażerów mógł pograżyć się w Mocy i wyczuć własną, żywą krew, której śladem podążali. Potem ustawił się na kurs w kierunku Kessel i znikł w nadprzestrzeni.

### **„Cień Jade”, na orbicie ponad Kessel**

Ben Skywalker przecisnął się przez wąski właz, prowadzący do kabiny ojca. Rudowłose chłopiec był wzrostu nieco niższego niż średni, ale dobrze rozwiniętych mięśni nie mogła ukryć nawet luźna tunika i spodnie.

Luke Skywalker leżał na łóżku w kabinie, przykryty brązowym kocem. Był zbudowany podobnie jak syn, ale widać było po nim lata trudnego życia, choćby w starych bliznach na twarzy i odsłoniętej części ramion. Jego prawa ręka była protezą, co nie rzucało się w oczy.

Luke miał zamknięte oczy, ale nie spał.

- Czego się dowiedziałeś? - mruknął.

- Dotarłem do Niena Nunba. - Nunb, sullustański współwłaściciel i dyrektor jednej z największych kopalń na Kessel, od kilkadziesiąt lat był przyjacielem Skywalkerów i Solo. - Jacht już wylądował. Pilotka przedstawiła się jako kapitan Khai. W jakiś sposób przekonała pracownika portu, że zapłaciła za cały bak paliwa, chociaż tego nie zrobiła...

Luke się uśmiechnął.

- Moc ma różne możliwości.

- Jasne, ładna dziewczyna też. W każdym razie ciekawsze jest to, że dostała aktualizację map galaktycznych. Nunb odnotował czas transmisji i stwierdził, że pobrała spory pakiet. Innymi słowy, chyba nie koncentruje się na konkretnej przestrzeni ani trasie. Tą drogą nic nie uzyskamy.

- To jednak sugeruje, że potrzebowała aktualnych informacji, map nowych szlaków nadprzestrzennych lub wykazów planet.

- Zgadza się.

- I co, wyjechała? - zapytał Luke.

- Natychmiast po pobraniu paliwa. A przy okazji, ten jacht nazywa się „Rzykantka”.

- Całkiem pasuje. - Luke wreszcie otworzył oczy i Ben znów doznał wstrząsu, widząc, jak bardzo zmęczony wydaje się jego ojciec, i to zarówno fizycznie, jak i psychicznie. - Na razie

jeszcze wyczuwam, dokąd zdąży. Za minutę wstanę i wyznaczę kurs.

- Dobrze. Nie przemęczaj się. - Ben wycofał się z kabiny, a drzwi zasunęły się za nim.

### **Kilka dni później, „Cień Jade” na wysokiej orbicie Dathomiry**

Luke patrzył na różnobarwny, plamisty świat Dathomiry przez przedni iluminator. Pokiwał głową, speszony. Oczywiście, że chodziło o Dathomirę.

Ben, siedzący po lewej stronie Luke'a w fotelu pilota, zerknął na niego.

- Co się dzieje, tato?

- Czuję się trochę głupio. Przecież wiadomo, że nie ma lepszego świata dla nowego zakonu Sithów niż Dathomira. Powinienem być zorientować się dawno temu.

- Jak to?

- Wśród ludności planety jest wielu wrażliwych na Moc. Większość z nich szkolona jest w tak zwanych Czarach Dathomiry. Rząd nie ingeruje zanadto w ich życie. Znakomite miejsce na kryjówkę dla użytkownika Mocy. W końcu, kiedy ona się zorientuje, że wyczuwam ślad własnej krwi i podążam za nią, może się jej pozbyć i zupełnie zniknąć nam z oczu. - Luke zamyślił się na chwilę. - W dawnych zapiskach są wzmianki o akademii Sithów, która była tutaj dawno, dawno temu. Zastanawiam się, czy to nie jej przypadkiem szuka.

Ben skinął głową.

- Cóż, przygotuję Headhuntera mamy i polecę na planetę. Będę twoimi oczami i uszami na lądzie.

Luke spojrzał na syna, wyraźnie zmartwiony.

- Dlaczego nie mam polecieć z tobą? Czuję się znacznie lepiej. Naprawdę odpocząłem.

- To dobrze, ale tam na dole jest szkoła Jedi. Warunki twojego wygnania zabraniają ci...

Luke zaśmiał się i uniósł dłoń, przerywając synowi.

- Chyba masz trochę nieaktualne dane, Ben. Może ty także potrzebujesz aktualizacji map galaktycznych. Pamiętasz, jak Jedi zwrócili się przeciwko Jacenowi na Kuat?

- Tak, wtedy przez jakiś czas mieliśmy bazę na Endorze. i co z tego?

- Zabraliśmy wtedy wszystkich z Dathomiry, bo rząd Jacena zamknął szkołę. Jedi jeszcze nie zdążyli jej otworzyć na nowo.

Na twarzy Bena pojawiło się zrozumienie.

- A więc, skoro nie ma tam szkoły, możesz legalnie odwiedzić planetę.

- Właśnie.

- To się nazywa wykorzystywanie technicznych szczegółów.

- Całe prawo składa się z technicznych szczegółów, Ben. Poproś o zezwolenie na lądowanie.

### **Dathomira**

Pół godziny później Luke musiał przyznać, że się mylił. Nie całe prawo składało się ze szczegółów technicznych. Były jeszcze przypadki szczególne i jego sprawa najwyraźniej do nich należała.

Stał na polu parkingowym portu kosmicznego Dathomiry, chociaż słowa „port kosmiczny” były określeniem na wyrost. Stanowiło go rozległe, słoneczne pole, w niektórych miejscach porośnięte trawą, w innych błotniste, tu i tam poznaczone śladami ognia silników manewrowych. Gdzieś tam tkwiły smutne, szare kopuły z permabetonu, w większości najwyraźniej prefabrykowane. Największa z nich była czymś w rodzaju budynku administracyjnego, reszta pełniła funkcję hangarów dla pojazdów wielkości wahadłowca lub myśliwca. Kompleks otaczało wysokie ogrodzenie z durastalowej siatki, przerywane na całej długości wysokimi wieżyczkami obserwacyjnymi. Luke zauważył kable prowadzące do jednej z permabetonowych kopuł, co oznaczało, że płot jest pod napięciem.

Obiekty portu kosmicznego nie dawały osłony przed słońcem, więc Skywalkerowie trzymali się w cieniu rzucanym przez „Cień Jade”, ale nawet tutaj wilgotne, nieruchome powietrze przytłaczało ich jak koc.

Luke wlewał w Moc myśli o życzliwości i rozsądku, ale bezskutecznie. Człowiek stojący przed nim, ponaddwumetrowy, chudy służbista o rudych włosach, nie zamierzał ustąpić ani na jotę.

Mężczyzna, który przedstawił im się jako Tarth Vames, potrząsnął notatnikiem przed nosem Luke’a.

- To przecież proste. - Machnął ręką, wskazując na „Cień Jade”. - Żaden pojazd z dającą się zamknąć przestrzenią wewnętrzną nie może się znaleźć na ziemi ani pod kontrolą twoją, ani twojego dzieciaka.

Spojrzał na Bena, który stał z rękami skrzyżowanymi na piersi u boku ojca. Chłopiec zmierzył go wzrokiem, ale nie odpowiedział.

Luke westchnął.

- Czy inni odwiedzający Dathomirę podlegają tym ograniczeniom?

- Eee... chyba nie.

- Więc dlaczego my?

Vames postukał w klawiaturę notatnika, aby przewinąć komunikat.

- O, tutaj to jest. Zamknięty pojazd, zgodnie z precedensami... bardzo tu dużo precedensów prawnych... może być uznany za ruchomą szkołę, zwłaszcza jeśli pan nim kieruje. Można by to uznać za kontynuację szkoły, która znajdowała się tu niegdyś.

- To jest nękanie - przemówił Ben cicho, ale wystarczająco głośno, aby Vames to usłyszał.

Spojrzał na Bena surowo.

- Żadne tam nękanie. Rozkaz przyszedł oficjalnie z biura prezydent Daali. Urzędnicy publiczni na tym szczeblu nikogo nie nękają.

Ben wznosił oczy do góry.

- Niech ci będzie.

- Ben - wtrącił się Luke z tonem nagany w głosie. - Nie ma sensu się spierać. Vames, czy zabroniono wam również udzielać odpowiedzi na pytania?

- Zawsze chętnie pomogę, jeśli będzie to w granicach przewidzianych przepisami.

- Czy w ciągu kilku ostatnich dni widzieliście chociaż ślad zdezelowanego jachtu o nazwie „Rzykantka”? - Luke wiedział, że jacht musi tu być. Podążał tropem swojej krwi aż do lądu Dathomiry, a dziewczyna nie opuściła tej planety. Cokolwiek będzie mógł dodać ten człowiek do jego marnych zasobów wiedzy, może okazać się pomocne.

Vames wprowadził nazwę statku do notatnika i pokręcił głową.

- Żaden pojazd pod tą nazwą nie wylądował legalnie na planecie.

- Naprawdę?

- Zdezelowany, mówił pan? Jacht?

- Właśnie.

Vames wstukał jeszcze kilka informacji.

- Wczoraj wieczorem, wkrótce po zmierzchu pojazd o charakterystyce eksploatacyjnej jachtu SoroSuub nagle wyskoczył z orbity, przeleciał nad portem kosmicznym i ruszył na północ. Rozmawiano krótko przez komunikatory; pilotka twierdziła, że straciła kontrolę nad silnikami, nie może ich wyłączyć ani przełączyć się na repulsory do lądowania.

Ben zmarszczył brwi.

- Wczoraj wieczorem? Nie wysłaliście ekip ratowniczych?

- Oczywiście, że wysłaliśmy, zgodnie z regulaminem, ale nie znaleźliśmy miejsca wypadku. Nie było też dalszych wiadomości ze statku. Wciąż trwają poszukiwania, jednak bez rezultatu.

- Cóż, to bardzo pomocna informacja. - Luke spojrzał na syna. - Ben, pamiętaj... żadnych zamkniętych pojazdów.

- A co zamiast tego?

- Znajdź nam dwa ścigacze, dobrze? Wyżebraj, pożycz... - Luke spojrzał na urzędnika portowego i uznał, że ten człowiek mógłby nie poznać się na żarcie, gdyby usłyszał „ukradnij”. -



Albo wynajmij.

- Tak jest, sir. - Ben wyszczerzył zęby.

Piętnaście minut później byli już w drodze, wyposażeni w dwa wynajęte ścigacze i jedną użyteczną informację, której nie mieli wcześniej, zdobytą dzięki właściwie zadanyim pytaniom i drobnym monetom upuszczonym przez Luke'a.

Model jachtu SoroSuub, który uczennica Sith zabrała ze Stacji Sinkhole, nie był fabrycznie wyposażony w system hiperkomu. Od czasu, kiedy opuścił Gromadę Otchłani, aż do przybycia na Dathomirę nie zatrzymał się w żadnym systemie gwiazdowym na tyle długo, aby pilotka mogła nawiązać jakikolwiek kontakt z tubylcami. A tutaj, na Dathomirze jedyny system hiperkomowy planety, mieszczący się w porcie kosmicznym, nie został wykorzystany do przesłania pakietu informacji dość dużego, aby zawierał skomplikowane dane nawigacyjne, na przykład instrukcję, jak dostać się do Otchłani i odnaleźć Stację Sinkhole.

Oznaczałoby to, że dziewczyna Sith raczej nie była w stanie przekazać Mistrzom Sithów instrukcji, jak dotrzeć do stacji i do potężnej tajemnicy Ciemnej Strony Mocy, jaką skrywała. Luke nie musiał się więc obawiać, że Sithowie odnajdą te wskazówki - no chyba że przechwycą pilotkę. Jeśli im się to uda.

Choć raz, choć na chwilę, czas był po stronie Luke'a.

## ROZDZIAŁ 2

### Las deszczowy, Dathomira

Las deszczowy był tak gęsty i wilgotny, że nawet szybki lot ścigaczem nie przynosił Luke'owi żadnej ulgi. Tyle tylko, że powietrze owiewało go szybciej, ale było niczym tłusta ścierka w rękach zbyt gorliwego robota-pokojówki i oblepiało wszystkie odsłonięte powierzchnie jego ciała.

Nie przeszkadzało mu to. Nie widział swojej zdobyczy, ale czuł ją niedaleko: osobę, w poszukiwaniu której przemierzył tyle lat świetlnych.

Czuł zresztą więcej. Las tętnił życiem, które wlewało swoją energię w Moc. Tak dużo miał do zarejestrowania, kiedy śmigał przed siebie. Czuł wiekowe drzewa i nowe pnącza, skradające się drapieżniki i czujne ofiary. Wyczuwał swojego syna, Bena, który zrównał się z nim na swoim ścigaczu i po chwili znalazł się o kilka metrów przed nim, skręcając w lewo, aby uniknąć zderzenia z rozwidlonym drzewem. Beztraska młodości dała mu chwilową przewagę pomimo większych umiejętności Luke'a.

A potem przed nimi pojawiło się czyjeś życie, bardzo blisko... i pełne złych zamiarów...

Z gęstwiny okrytych fioletowymi kwiatami zarośli, przewyższających dwukrotnie wzrost dorosłego mężczyzny, na drodze Luke'a, wysunęło się ramię, by uderzyć z wielką szybkością i precyzją. Było człekokształtne, sękatę, masywne i dość długie, by spośród kwiatów sięgnąć do ścigacza Luke'a i w przelocie trącić jego dziób.

Aby wydarzyła się katastrofa, wystarczy jedynie sekunda. W jednej chwili Luke pędził przed siebie, skupiony na odległej ofierze, i ciesząc się nadzieją rywalizacji, a już w następnej kierował się wprost na drzewo, którego pień o średnicy czterech metrów mógł położyć kres jego podróżom - i życiu.

Wyskoczył ze ścigacza, który przekoziółkował po ciosie potężnej istoty. Wciąż jednak leciał w stronę pnia. Luke odbił się wspomaganym adrenaliną i Mocą pchnięciem i odskoczył kilka metrów w bok, dzięki czemu przeleciał obok pnia, zamiast w niego uderzyć. Otarł się ramieniem o korę; mało brakowało, żeby się zranił.

Skulił się i pozwolił, aby poprowadziły go zmysły inne niż wzrok. Pchnięcie Mocą w prawo

uchroniło go przed uderzeniem w kolejne, cieńsze drzewo, dość jednak mocne, aby roztrzaskać mu kręgosłup i parę innych kości. Nie potrzebował już Mocy, aby śmignąć przez rozwidlenie kolejnego drzewa. Kontakt z zasłoną winorośli trochę go spowolnił. Pnącza rozdarły się pod nim, ale znacznie, choć bezboleśnie spowolniły jego pęd. Z hukiem wylądował na kłębowisku łądyg, zakończonych żółtymi kwiatami o wielkich płatkach. Kilka z nich kłapnęło odruchowo, próbując złapać go w locie.

Przetoczył się po ściółce, grubym kobiercu z gnijących liści i innych resztek, nad którymi wolał się nie zastanawiać.

Wreszcie udało mu się zatrzymać. Legł na wznak, nieco oszołomiony, ale cały, i spojrzał w górę przez gałęzie. Zobaczył pojedynczy promień słońca przebijający się przez korony drzew. Trochę dalej światło wydobywało wir pyłków z kępy żółtych kwiatów, przez które właśnie przeleciał. Z daleka słyszał ryk ścigacza Bena, przechodzący w wycie; widocznie chłopak wprowadził go w ostry skręt, usiłując zawrócić w stronę Luke'a.

Bliżej rozległy się kroki. Ciężkie, powolne kroki.

Po chwili właściciel potężnego ramienia pochylił się nad Lukiem. Okazało się, że to rankor, stojący na dwóch łapach i lekko pochylony.

Rankory na tym świecie wyewoluowały i stały się inteligentniejsze od innych przedstawicieli tego gatunku. Ten tutaj najwidoczniej został wyszkolony na strażnika i nosił nawet strój ochronny. Na głowie miał hełm, przerdzewiały metalowy kubek, dość duży, aby mógł robić za jeziorko w lesie, umocowany skórzanym pasem pod brodą. Do lewego przedramienia przypasał okrągłą durastalową tarczę, która wydawała się dziwnie mała w porównaniu z potężną postacią stworzenia, ale była zapewne dość gruba, aby wytrzymać jedną lub dwie salwy z wojskowej baterii laserowej.

Stworzenie spojrzało na Luke'a, rozdziawiło paszczę i wydało wyzywający ryk.

Mistrz Jedi zgromił je wzrokiem.

- Naprawdę chcesz się do mnie dobrać? Nie radzę - mruknął.

Stwór wyciągnął obie ręce.

Silne mięśnie rankora dawały mu szybkość na ogół niespotykaną u tak wielkich istot. Luke uderzył piętami, wybijając się saltem w tył, i stanął na nogach w chwili, kiedy dłonie rankora zagłębiły się w miękkiej, wilgotnej ściółce, gdzie Jedi leżał jeszcze przed chwilą. Wysłał w Mocy nutę gniewu i groźby i przemówił:

- Idź sobie, zanim stanie ci się krzywda. Wielka krzywda.

Rankor jednak tylko ryknął, najwidoczniej dotknięcie umysłu Luke'a nie podziałało. Teraz dla odmiany zamachnął się potężną tarczą, stanowiącą groźną i trudną do uniknięcia broń.

No, może dla normalnego człowieka. Luke przeskoczył nad nią bez trudu i wylądował bezpośrednio przed rankorem.

Wyczuł opór bestii, jakim zareagowała na jego dotknięcie w Mocy i zdziwiło go to. Najwyraźniej coś innego oddziaływało Mocą na myśli rankora. I z pewnością jest to bardzo niebezpieczna istota. Luke jednak nie mógł jej na razie szukać, zajęty walką z rankorem.

W oddali słyszał, jak ścigacz Bena bierze ciasny zakręt i wychodzi na prostą, zawracając ku niemu. Luke przesłał synowi ostrzeżenie przed innymi zagrożeniami. Jednocześnie odpiął i uruchomił miecz świetlny, rzucając się na wyciągnięte ramię rankora, trzymające tarczę.

Świetliste ostrze zahaczyło o nadgarstek bestii i zagłębiło się w nim, odcinając paski tarczy, skórzane i tak grube jak liny używane na starodawnych morskich okrętach. Ciosy miecza świetlnego zwykle kauteryzują zadane rany, ale ramię rankora było zbyt grube, a rana głęboka. Ciemna krew trysnęła strugą, a tarcza odpadła.

Rankor zawył, wyprostował się i spojrzał na ranę. Luke wiedział, że nie jest to rana groźna dla życia takiego stworzenia; ten cios mógłby najwyżej odciąć nogę tauntaunowi lub ramię wampie. Teraz rankor przeniósł gniewny wzrok na Luke'a, zrobił krok w tył, rozejrzał się, aż dostrzegł to, czego szukał - zwalony pień drzewa długości jakichś ośmiu metrów. Bokiem przysunął się do pnia,

złapał go obiema rękami, nie zważając na zranione ramię, i podniósł za jeden koniec, najwyraźniej chcąc go użyć jako pałki.

Luke kątem oka dostrzegł ruch ścigacza Bena.

Niemal w tej samej chwili poczuł też impuls Mocy z przeciwnej strony. Obrócił się na pięcie i zastygł w gotowości.

Kilka metrów od niego, zwrócona tyłem do cierniokrzewu, stała kobieta. Luke zauważył grzywę ciemnych włosów i wplecione w nie paciorki wykonane z zębów zwierzęcych. Kobieta nosiła krótki, wygodny strój i rysz tunek wykonany z prymitywnie wyprawionej skóry.

Nagle Luke'a, rankora i wszystko w zasięgu wzroku spowilo coś jak piorun kulisty. Łuki elektryczne długości kilku metrów strzelały i syczały pomiędzy niebem a ziemią, zapalając pnącza i spopielając liście. Rankor zawył, jakby był świadkiem końca galaktyki. Odkąd rozpoczął się deszcz piorunów, Luke pozwolił, aby Moc przepływała przez niego i kierowała jego instynktami.

Uskakiwał tam, gdzie mu kazała, w pozornie przypadkowym rytmie, dzięki czemu trafiło go tylko kilka zbłąkanych iskier. Kobieta znikła mu z oczu, nie postrzegając jej też innymi zmysłami.

Wyładowania, które uderzyły Luke'a, nie były zbyt niebezpieczne, czuł jednak, jak włosy na całym ciele stają mu dęba. Jego miecz świetlny zgasł.

Silnik ścigacza Bena zawył, zakrztusił się i ucichł.

Burza piorunów ustała. Luke zobaczył, jak ścigacz nurkuje dziobem w skalistym występie. Ben wyskoczył, mijając czarne, zębate głązy o centymetry, i saltem wystrzelił w kierunku potrójnego pnia drzewa.

Luke podniósł dłoń, przejmując kontrolę poprzez Moc, i skierował syna w bok, jednocześnie zmniejszając jego prędkość. Zanim Ben dotarł do ziemi, leciał już jak wykonujący salto gimnastyk. Przetoczył się po warstwie porostów i zerwał się na nogi, utyłany zieloną mazią, ale czujny i gotów do walki.

Ich duży przeciwnik najwyraźniej jednak stracił zainteresowanie. Rozejrzał się z niemal ludzkim wyrazem strachu w oczach i popatrzył na zranione przedramię. Potem odwrócił się plecami do obydwu Jedi i ruszył w las, szybko się od nich oddalając.

Ben zmarszczył brwi i sprężył się, żeby go ścigać, ale Luke powstrzymał go gestem.

- Nie o niego nam chodzi. Szukaj tego, kto używa Mocy.

- Czy to ta kobieta? Kim ona jest?

Luke wzruszył ramionami.

- To Wiedźma Dathomiri, jak sądzę.

Poszukali w Mocy, ale kobieta znikła. Czuli tylko tętniący życiem las tropikalny, czuli potężnego rankora, który uciekał przed nimi coraz szybciej, a Luke wciąż jeszcze wyczuwał własną krew, którą niosła uczennica Sith, ale nie trafili na żaden impuls sugerujący, że ktoś używa Mocy.

Ben westchnął.

- O co tu chodziło? - zapytał.

- Ktoś nie chciał, abyśmy poszli dalej. - Luke włączył miecz świetlny. Ostrze zapłonęło, ale syk zapłonu był mniej intensywny niż zwykle i miecz pozostał zapalony tylko przez kilka sekund. - Spróbuj twojego.

Ben posłuchał. Ostrze w ogóle się nie zapaliło.

- Niech to licho. - Skrzywił się, sprawdzając po kolei komunikator i notatnik i stwierdzając, że się usmażyły.

- Moje też są do niczego.

- Jakim cudem twoja ręka nadal działa?

Luke spojrzął na swoją prawą rękę, a właściwie protezę. Stracił ją, kiedy był zaledwie o kilka lat starszy od Bena.

- Sztuczna skóra stanowi niezłą izolację - wyjaśnił. Ścisnął dłoń w pięść, ale nie poczuł żadnych oznak uszkodzenia. - Chodź, wynosimy się z tej okolicy na wypadek, gdyby nasi wrogowie wrócili. A potem zobaczymy, czy uda nam się naprawić elektronikę. Jedi bez miecza świetlnego...

- ...jest znacznie mniej atrakcyjny dla dziewczyn - dokończył chłopiec.

- Nie to chciałem powiedzieć, ale pewnie masz rację.

## Świątynia Jedi, Coruscant

Mistrzynie Cilghal, która jak wszyscy Kalamarianie miała krępe, potężne ciało i bulwiastą głowę o wypukłych oczach, poruszających się w oczodołach niezależnie od siebie, szybkim krokiem opuściła kwaterę Mistrza Hamnera, a szaty Jedi, unoszone niezwykłym jak na nią pędem, powiewały wokół niej.

Zauważyła ją Jaina Solo, Rycerz Jedi, córka Hana i Leii. Pospieszyła, żeby dogonić Mistrzynie Jedi i zrównała się z nią bardzo szybko. Jaina była sławna z powodu rodziców, ale także własnych dokonań. Ze swoją delikatną urodą i drobną sylwetką mogła uchodzić za znakomitą sportsmenkę, która zrezygnowała z kariery na rzecz lukratywnych kontraktów reklamowych. W istocie nie przejmowała się swoją urodą, a zwłaszcza pieniędzmi, czego dowodem była nieustanna służba dla Zakonu Jedi. Zamachała, aby zwrócić uwagę Cilghal.

- Widzę, że coś się dzieje - zagadnęła.

Cilghal skinęła głową.

- Owszem, i to całkiem sporo. Właśnie dostałam wiadomość od twojego kuzyna - powiedziała swoim chropowatym głosem, typowym dla Kalamarian. Zwykle mówiła cicho, jak wypada uzdrowicielce, ale tym razem jej głos brzmiał równie twardo, jak u wszystkich przedstawicieli jej gatunku.

- Od Bena? Z Lukiem wszystko w porządku?

- Jest obolały i zmęczony, ale wydobrzeje.

- No i co dalej? - Jaina nie była dyplomatką, jak jej matka, i nie próbowała ukryć tonu zniecierpliwienia.

- Jedi Skywalker poinformował nas... to znaczy zrobił to Ben, więc nie stanowi to naruszenia warunków wygnania Wielkiego Mistrza...

- Dzielisz włos na czworo.

- Nie mam co dzielić. Ben informuje nas, że w Gromadzie Otchłani znajduje się potężne skupisko Ciemnej Strony Mocy i że Sithowie znów panoszą się w galaktyce.

- Co takiego?

- Dobrze usłyszałaś. Sithowie. Twój wuj i kuzyn walczyli z nimi. Zdaje się, że nie przestrzegają już zasady dwóch Sithów i teraz jest ich bardzo dużo. Wielki Mistrz ściga jedną z ich uczennic, która próbuje znaleźć planetę swego pochodzenia.

Jaina milczała, dopóki nie dotarły do końca mozaikowego korytarza i do turbowindy. Winda się otworzyła i obie weszły do kabiny.

- A co powiedział Mistrz Hamner? - odezwała się wreszcie. - Mamy uznać, że Ben się myli i zignorować problem?

- Mistrz nie jest durniem. Centrum medyczne, proszę. - Drzwi turbowindy zamknęły się i kabina ruszyła w dół. Nie zwracając uwagi na zapierającą dech prędkość, Cilghal ciągnęła: - Wie, że żaden Rycerz Jedi nie skłamałby w tej sprawie... nie złożyłby raportu, nie mając całkowitej pewności. Mistrz Hamner wezwie teraz Mistrzów na spotkanie, aby obmyślić strategię. - Winda zatrzymała się gwałtownie i drzwi się rozsunęły, otwierając przed Jedi piętro, gdzie mieściła się większość gabinetów medycznych. - Zapewniam cię, że cokolwiek zdecydujemy, stanie się to bez wiedzy i zgody rządu Sojuszu Galaktycznego.

Jaina skinęła głową. To było oczywiste. Prezydent SG, Natasi Daala, nie była fanką Jedi i sprzeciwiłaby się każdemu działaniu militarnemu zainicjowanemu jednostronnie przez Zakon. Zresztą Sithowie stanowili zagrożenie głównie dla Jedi; dla większości populacji byli po prostu potworami z bajki albo jeszcze jednym zakonem filozoficznym, niewiele różniącym się od samych Jedi. Brat Jamy, Jacen, w różnych momentach życia był zarówno Jedi, jak i Sithem, co w opinii publicznej zatarło różnicę pomiędzy nimi.

- Dopilnuj, żeby mnie zaprosili na spotkanie - poprosiła Jaina. - Jeśli przedmiotem dyskusji

będą Sithowie, Miecz Jedi musi się tam znaleźć.

Niechętnie powoływała się na tytuł, którym ją obdarzono w czasie wojny z Yuuzhan Vongami, ale w takich chwilach jak ta bardzo się przydawał.

- Na pewno to zrobię - obiecała Cilghal. - Miecz Jedi musi płonąć i ciąć wroga.

### **„Sokół Millenium”, nad portem kosmicznym Dathomiry**

Han spojrział przez iluminator na nieciekawy widok trawiastego pola i prefabrykowanych kopców, które stanowiły reprezentacyjny port kosmiczny Dathomiry. Westchnął i pokręcił głową. Będzie musiał wezwać jakąś pomoc, bo jeśli Luke i Ben są gdzieś tam na dole i polują na Sithów, ostatnią rzeczą, na jaką by się zgodził, byłoby puszczenie Leii samej na poszukiwania. Dathomira zresztą nie była miejscem, gdzie można by zostawić samą małą dziewczynkę - zwłaszcza wrażliwą na Moc, która w dodatku była Chume'da Konsorcjum Hapańskiego, a także uznaną za zmarłą córką Jacena Solo i Rycerza Jedi, królowej Tenel Ka.

To ostatnie, oczywiście, było dobrze chronioną tajemnicą, konieczną, aby strzec życia młodej Allany. Dla wszystkich - oprócz najbliższej rodziny - dziewczynka, siedząca teraz na kolanach Leii w fotelu drugiego pilota, była Amelią, dzieckiem, które Han i Leia zaadoptowali, aby ukończyć rozpacz po stracie dwóch synów. Allanę niemal od niemowlęctwa nauczono zachowywać pozory w miejscach publicznych, nawet jeśli nie rozumiała, dlaczego musi to robić.

Teraz pokręciła się na kolanach babki i spojrzała na Hana.

- Co się dzieje, dziadziu? Nie dasz rady wylądować?

- Nie, słoneczko, mógłbym wylądować „Sokołem” nawet podczas trzęsienia ziemi tak, że nie wyleje ci się mleko z kubka. To po prostu złe miejsce.

- Możesz mu wierzyć - prychnęła Leia. - Kiedyś był właścicielem tej planety. Co prawda przez kilka tygodni i nie całkiem legalnie. Miał tu trochę przygód z wiedźmami i potworami oraz pewnym imperialnym admirałem, który po prostu nie chciał odejść. A potem z pięknym, bogatym księciem, który chciał się ze mną ożenić.

- Zmyślasz, babciu!

Leia pokręciła głową.

- Tym księciem był twój dragi dziadek, Isolder.

Allana wytrzeszczyła oczy.

- Isolder chciał się z tobą ożenić?

Leia skinęła głową.

- Chciał, ale ja byłam zakochana w Hanie, pomimo jego...

Han odchrząknął, wyraźnie zakłopotany.

- Dajmy temu spokój, dobrze?

Allana zamrugnęła, zamyślona.

- Więc tak czy owak byłabyś moją babcią - doszła wreszcie do wniosku.

Leię zatkało. Han zauważył, że słowa dziewczynki zaskoczyły ją i zmusiły do myślenia; Allanie zdarzało się to częściej niż większości dorosłych znanych Leii.

Wreszcie uśmiechnęła się i spojrzała na dziewczynkę.

- Wiesz, Jedi powiadają, że przyszłość jest ruchoma. To znaczy, że kiedy myślimy, że coś musi się zdarzyć, czasem się nie zdarza. Ale sądzę, że masz rację. Moim przeznaczeniem zawsze było zostać twoją babcią.

- To dobrze.

Han pozwolił im na tę chwilę bliskości, po czym zaproponował:

- Allano, sprawdź, jak tam z Anji. Wiesz, jaka jest nerwowa, kiedy podchodzimy do lądowania.

- Wiem. - Allana spojrzała na babkę. - Szkoda, że nie widziałaś, jak wszystkie nexu wymiotowały, kiedy lądowaliśmy na Shedu Maad!

- Jak to nie widziałam? To ja sprzątałam podrózną klatkę Anji, pamiętasz? - przypomniała

jej Leia.

- Racja. - Allana zeskoczyła z kolan Leii. - Dopilnuję, żebyś już nigdy nie musiała tego robić.

- Dzięki - uśmiechnęła się Leia.

Odczekała, aż Allana zniknie w korytarzu, i zwróciła się do Hana.

- No to teraz mów, o co ci chodziło. Wiesz, że Anji będzie chorować niezależnie od tego, czy Allana jest z nią, czy nie.

- Jasne. Musisz skontaktować się z Zekkiem i z Taryn.

Zekk był partnerem ich córki podczas misji - i rywalem Jaggeda Fela o jej uczucia - dopóki kilka lat temu nie zaginął w akcji w czasie bitwy o Stację Ururu. Po tygodniowych poszukiwaniach Solo i cały Zakon Jedi poddali się i uznali go za zmarłego... tymczasem sześć miesięcy później objawił się na nowo, zupełnie zdrowy i zakochany w agentce dworu hapańskiego, Taryn Zel. Ani Zekk, ani Taryn nie chcieli opowiadać o tym, co działo się w ciągu tamtych sześciu miesięcy - Taryn nie poinformowała nawet Jedi o tym, że Zekk żyje - ale Leia uważała, że po prostu wypełniali misję dla matki Allany, królowej Tenel Ka.

Taryn miała polecenie, aby pomagać Solo zawsze, kiedy o to poproszą, Leia więc rozumiała, czemu Han chce wezwać tę dwójkę. Nie wiedziała tylko, dlaczego nie powinni tego robić w obecności Allany.

- Powiedz mi tylko, dlaczego nie chcesz, aby Allana wiedziała, że wzywamy ochroniarzy?

- Po pierwsze, wolałbym, żeby się o nas nie martwiła, kiedy wyruszymy. A po drugie, musi się nauczyć niezależności.

- Niezależności, Han? - zdumiała się Leia. - W wieku ośmiu lat?

- Hej, ona już i tak jest zapóźniona - odparł. - W tym wieku ukradłem pierwszy pojazd kosmiczny.

Leia z rozpaczą pokręciła głową i schyliła się, żeby uaktywnić transeiver HoloNetu.

- Czemu jakoś w to nie wątpię?

Han uśmiechnął się triumfalnie i skierował statek ku Dathomirze. Oczywiście, istniała pewna możliwość, że znajdą Luke'a i Bena w portowej kantynie i nie będą wcale musieli zostawiać Allany - ale nie założyłyby się o to. W końcu ojciec z synem przylecieli ścigać kobietę Sith na lesistej planecie, pełnej wiedz m posługujących się Mocą.

- Nie jestem głupi. - Mężczyzna, chociaż zadziorny, rzeczywiście nie zdradzał oznak głupoty.

Han, stojący naprzeciw niego pomiędzy „Cieniem Jade” a „Sokołem”, skrzyżował ramiona na piersi i uśmiechnął się szeroko.

- Skoro tak twierdzisz, Darth.

- Nazywam się Tarth, Tarh Vames. I nie obchodzi mnie, że według waszego transpondera nazywacie się „Kaczątka Naboo”. To jest „Sokół Millenium” a wy jesteście Solo. A tu jest nakaz zgłoszenia lokalizacji waszego statku, wydany na Coruscant.

Han zesnurował usta i obejrzał się na żonę, co miało oznaczać: Ty się tym zajmij.

Leia zmarszczyła brwi.

- A więc wiesz, kim jesteśmy.

Tarth kiwnął głową tak mocno, że jego rude włosy aż zatańczyły.

- Nie wysilaliście się za bardzo, żeby to ukryć.

- Oczywiście, że nie. Wiedzieliśmy, że nie dałbyś się nabrać. Z tego wynika, że coś niecoś o nas wiesz.

Trochę udobruchany Tarth ponownie skinął głową.

- A kto nie wie?

- A więc pamiętasz, jak się skończyło, kiedy rząd nie zgodził się z nami w drobnej sprawie?

- No cóż, chyba wszyscy, co się z wami nie zgadzali, skończyli martwi albo bez pracy. A wy wciąż jesteście. Właśnie tutaj.

Han pochwycił wzrok Tartha.

- To dlatego, że politykom zależy, żeby ratować swoje stołki, a nam chodzi o dobro zwykłego szaraczka.

- Albo wielu szaraczków - dodała Leia.

- Albo członka naszej rodziny - uzupełnił Han.

Tarth skrzywił się, wyraźnie niezadowolony z obrotu, jaki zaczęła przybierać rozmowa.

- Jestem tu zastępcą dyrektora operacyjnego. A to, że mieliście... hm, pewne sukcesy w konfrontacjach z rządem, nie oznacza, że mogę tak po prostu zaniedbać obowiązki. I nie obchodzi mnie, że pani mąż ma miotacz przy pasie. O, z pewnością nie mam zamiaru się na niego rzucić, ale...

- Nie prosimy, abyś zaniedbywał obowiązki - pokręciła głową Leia. - Chcemy, żebyś je wypełnił. Tylko w nieco inny sposób.

- Eee... to znaczy jak?

Han wyszczerzył zęby. TARTH był zgubiony. Złapał się na przynętę Leii i haczyk wkrótce utkwii gdzie trzeba, a facet nawet się nie zorientuje, że go połknął.

- Pomóż nam - Leia obdarzyła go swoim najładniejszym uśmiechem. - Brat i bratanek nie odpowiadają na nasze wezwanie, więc musimy ich poszukać. Potrzebni nam będą lokalni przewodnicy i koordynator, czyli ty. Będziesz pilnował, aby przestrzegać lokalnych przepisów.

Han stłumił chichot.

- A potem będziesz mógł to poświadczyć, kiedy przyjdzie czas na rozmowy z władzami.

- No i będziesz miał do opowiadania... a może do sprzedania... całkiem niezłą historyjkę -

Han udał, że pisze na wymyślonej klawiaturze. - Jak uratowałem Luke'a Skywalkera, autor: Darth Vames.

- TARTH VAMES - poprawił go urzędnik. - No, nie wiem...

Leia wskazała w górę, na sterownię „Sokoła”. W kabinie siedziała Allana ze swoim nexu i przyglądała się dziadkom.

- Widzisz tę dziewczynkę? To moja adoptowana córka. Jest zrozpaczona, bo się boi, że coś mogło przydarzyć się jej wujkowi Luke'owi.

Han stanął za plecami Tartha, spojrzął na Allaną, zrobił smutną minę i udał, że płacze.

Allana posłusznie wygięła usta w podkówkę i potarła oczy piąstkami.

TARTH przybrał zrezygnowaną minę.

- O rany... no dobra, niech będzie.

- Będziemy potrzebować kilku ścigaczy - ożywiła się Leia - konserwowanej żywności i przewodników doświadczonych w kontakcie z tutejszym terenem i plemionami. Zapłacimy obowiązujące stawki, ale jeśli zdołasz wynegocjować z nimi niższe kwoty, dostaniesz połowę tej różnicy oprócz własnego wynagrodzenia.

- Porządny facet z ciebie - Han skinął głową z aprobatą. - Doskonale, TARTH.

Kiedy TARTH znikł, Han spojrzął na żonę i pokiwał głową.

- W życiu bym nie uwierzył, że właśnie ty posłużysz się argumentem typu „mała, smutna dziewczynka”.

- Wiem, wiem. Masz na mnie zły wpływ.

Allana wytrzeszczyła oczy.

- Sama? - jęknęła, spoglądając na nich z fotela kapitana. - Czy wam odbiło? Mam dopiero osiem lat!

- No i co z tego? - Han wzruszył ramionami. - Kiedy byłem w twoim wieku...

- Han! - Leia pokręciła głową. - Nie musisz jej podpowiadać żadnych pomysłów.

Skrzywił się.

- Daj spokój, przecież ona by nigdy...

- Dobrze, dobrze - przerwała mu Leia. - Opowiesz jej, kiedy wrócimy.

Han westchnął i spojrzął znów na Allaną.

- Tylko że nie wiemy, kiedy wrócimy. To może trochę potrwać.

Oczy Allany wyrażały absolutne niedowierzenie.

- Godzinę?

- Dłużej - odparła Leia.

- Dzień?

- Dłużej - powtórzył Han.

Allana otworzyła buzię z wrażenia.

- Tydzień? - wykrztusiła.

- Taak - mruknął Han. - Coś koło tygodnia.

- Może nawet troszkę dłużej - dodała Leia. - Trudno powiedzieć. Nie martw się, jeśli po tygodniu nie wrócimy, dobrze?

Allana popatrzyła najpierw na babkę, potem na dziadka i nagle zachichotała.

- Niezłe! Ale mnie nabraliście!

Leia przykucnęła i wzięła ją za rękę.

- Kochanie, twój dziadek i jak musimy znaleźć Luke'a i Bena. Oni potrzebują naszej pomocy, bo mogą być w niebezpieczeństwie. Liczymy na ciebie, że zostaniesz na pokładzie „Sokoła” i będziesz pilnować siebie i statku. Musisz to zrobić.

Allana spoważniała.

- Wy nie żartujecie, prawda?

Han pokręcił głową.

- Ani trochę, mała. Myślisz, że dasz sobie radę?

Wykrzywiła się do niego.

- Jasne, że dam. A co, myślicie, że jestem dzieckiem?

- Owszem, ale przy tym wyjątkowym twardzielem - odparł Han. Spojrzał przez iluminator na mały igłowiec Batag, spoczywający na rozporkach jakieś pięćdziesiąt metrów od nich. Obok niego, udając, że mocuje się z zaciętym lukiem bagażowym, stał wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w kosztownym kombinezonie z elektrotexu. Rycerz Jedi, zwany po prostu Zekkiem. - Będziecie tu same z Anji, więc nie opuszczaj pokładu „Sokoła”, pozamykaj wszystko dokładnie i nie wpuszczaj obcych. Jasne?

Allana zasalutowała dziarsko.

- Tak jest, kapitanie.

- No to w porządku. - Han dalej wyglądał przez iluminator, tym razem na parę ścigaczy, które zbliżały się do „Sokoła”. - Zdaje się, że TARTH wszystko już przygotował. Czas ruszać.

Pochylił się, żeby ucałować dziewczynkę siedzącą w fotelu kapitana, po czym zaczekał, aż Leia zrobi to samo.

- Słuchaj Threepio - pouczyła ją Leia. - A gdybyś miała problemy, daj nam znać przez komunikator.

- Babciu, dam sobie radę - zapewniła mała, wyganiając ich ruchem ręki na tylną część pokładu. - Idźcie ratować wujka Luke'a i Bena!

Han wziął Leię za rękę i pociągnął w dół korytarza.

- Chodź, babciu. Jeszcze nie umiesz poznać, kiedy jesteś zbędna?

Na zewnątrz czekał na nich TARTH z dwoma ścigaczami - jeden był potężnym żółtym holownikiem, z szeroką, płaską platformą bagażową, drugi zaś wyprodukowano zapewne jako czerwony model sportowy, ale było to chyba w czasach, kiedy Han się urodził. - TARTH załatwił też czworo pomocników.

Ignorując Zekka i jego igłowiec, Han i Leia wyszli na spotkanie przewodników, aby ich powitać. Jedna twarz wydała się Hanowi znajoma. Podszedł bliżej. Mężczyzna był młody, gładko ogolony, o ciemnych włosach, ubrany w ciemne spodnie i kamizelkę z mocnej, zielonej tkaniny. Kamizelka, z mnóstwem kieszeni i zaczepów, obwieszona była narzędziami i sprzętem elektronicznym. Wysokie do kolan buty były z twardej brązowej skóry, z której wykonano także



pas i karwasze.

Han przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

- Znam cię, prawda?

Mężczyzna wyciągnął dłoń.

- Masz dobrą pamięć do twarzy. Byłem wtedy dzieciakiem - powiedział z akcentem z Coruscant. - Dyon Stadd. Spotkaliśmy się w czasie wojny z Yuuzhan Vongami. Byłem kandydatem Jedi.

Han przyjrzał się uzbrojeniu mężczyzny, ale nie zauważył miecza świetlnego.

- Kandydatem?

Dyon zaśmiał się z lekkim rozgoryczeniem.

- Nie miałem wszystkiego, co jest potrzebne do bycia Jedi. Jestem dość wrażliwy na Moc, ale właściwie jej nie używam. Ale byłem dobry z ksenologii i lingwistyki na Coruscant. Tu pomagam w negocjacjach handlowych pomiędzy kupcami a klanami Dathomiri.

Leia uściśnęła mu dłoń.

- No i umiesz się ubrać stosownie do klimatu.

Dyon zgął nagie ramię, ukazując doskonale ukształtowany biceps.

- Owszem, a panie z Dathomiry lubią skórzane detale. To pomaga przy negocjacjach.

- Może nas przedstawisz - zaproponował Han.

Najmniejsza członkini grupy, niższa nawet od Leii, była kobietą Dathomiri imieniem Sha'natrac Tsu; nazywano ją Sha Bez Plemienia. Ciemna, poważna, szczupłej, ale mocnej budowy, była ubrana w powycinane tu i ówdzie spodnie i tunikę z importowanej tkaniny rdzawego koloru. Oprócz autentycznego noża Dathomiri z rękojeścią wykonaną z rzeźbionego kła, nosiła przy boku miotacz. Stopy miała bose.

Drugi mężczyzna, przedstawiony jako Carrack, był olbrzymi, miał chyba ponad dwa metry wzrostu. Jego mięśnie świadczyły o częstych treningach. Był jasnoskóry i jasnowłosy, ale Han i Leia mogli podziwiać tylko jego twarz - nosił pełną zbroję, która sprawiała wrażenie przerobionego pancerza szturmowca Imperium, pomalowaną na czarno-zielony wzór kamuflujący, tak samo jak ogromna rusznica laserowa i miotacze zawieszane na pendencie przez pierś. Zbroja wydawała cichy, ale wyraźny szmer pochodzący z wbudowanego systemu chłodzenia.

- Rozumiem, że jesteś sługą wiedźm - odezwał się Han.

Carrack wyszczerzył zęby. Kiedy się odezwał, okazało się, że głos ma bardzo łagodny.

- Wiedźmy szanują siłę. - Wzruszył ramionami. - Zwykle wysadzam dla nich różne rzeczy.

Czwartym pomocnikiem Tartha również była kobieta. Jej delikatna uroda świadczyła o hapańskim pochodzeniu. Ubrana była w strój, który jedynie Hapanka mogłaby uznać za odpowiedni na Dathomirze: czerwoną krótką sukienkę, złociste sandały i ozdoby pasujące kolorem do odcienia włosów. Jej miotacz był pokryty metalem tak lśniąącym, że aż oślepiał. Akcent jednak miała typowo dolnokorelikański.

- Yliri Consta - przedstawiła się. - Jestem waszym głównym kierownicą.

- Sam dla siebie jestem głównym kierownicą - parsknął Han i zmarszczył brwi. - Jesteś bardzo podobna do... - przez moment szukał w pamięci imienia, aż sobie przypomniał - do Sarity Consta, gwiazdy holodramów.

- To moja starsza siostra. Służyłam jej za dublerkę. Kiedy przerzuciła się na komedie, praca dla niej stała się zwyczajnie nudna.

Leia pokiwała głową ze współczuciem.

- Czuję się tak samo, kiedy Han przerzucił się na komedie.

Han zmarszczył brwi.

- Hej, uważaj!

Tarth odchrząknął.

- Reszta zapasów dotrze tu za kilka minut. Macie zezwolenia dla obu ścigaczy na opuszczenie portu kosmicznego.

- Mamy teraz czas, żeby przebrać się w stroje kamuflujące - powiedziała Leia i zawróciła w stronę „Sokoła”.

Tarth ciągnął:

- Gdzie chcecie rozpocząć swoje poszukiwania? To wielki las... a Skywalkerowie nie skontaktowali się z nami przez komunikator.
- Zaczniemy od północy. Są gdzieś tam - wskazała palcem Leia.
- Aha. Cóż, niezbyt to precyzyjne, ale przynajmniej jakaś odpowiedź.

## ROZDZIAŁ 3

### **Kompleks ambasady Imperium Galaktycznego, Coruscant**

Drzwi zamknęły się cicho za plecami Jaggeda Fela, oddzielając przywódcę Imperium Galaktycznego od świata w siedzibie jego ambasady. Odetchnął głęboko i z ulgą.

Wreszcie sam, po całym dniu negocjacji z przedstawicielami Sojuszu Galaktycznego, wystąpień na imprezach publicznych, starannie reżyserowanych wywiadów do prasy, rozmów przez hiperkom z ministrami i funkcjonariuszami organizacji, którą większość populacji określała mianem Szczątków Imperium, trochę samotności bardzo mu się przyda. Samotność bywa równie relaksująca i energetyzująca jak spotkania z Jainą. Niestety, nie mogli spędzać ze sobą całego czasu.

Szarpnął mundur, rozpinając tunikę z prawej strony od ramienia po sam dół i poczuł z ulgą ulatniające się spod niej ciepło. Dobrze było nie starać się idealnie wyglądać dla holokamer. Ładnie umięśniony mężczyzna, wzrostu nieco mniej niż średniego - Jag wiedział, że jest przystojny. Prasa i tu, i tam, w domu, często to podkreślała. Ciemne włosy, starannie przycięte wąsy i broda powodowały, że wyglądał dość ponuro, choć rzadko bywał posępny. We włosach miał jeden kosmyk całkiem biały - w miejscu, gdzie wiele lat temu został zraniony - i ten kosmyk dodawał mu wytworności. Sam wybierał ubrania - ciemne, militarne w stylu i formalne, które dopełniały wizerunek energicznego przywódcy z cennym wojskowym doświadczeniem.

Ale wszystko to było na pokaz. Najchętniej chodziłby w kombinezonie pilota i strzelał do wrogów, których widział. Niestety, wiódł teraz inne życie. Stał przez chwilę nieruchomo, z przymkniętymi oczami, oddychając powoli, aby się uspokoić i skoncentrować. Zawsze pamiętał o słowie, które zdominowało jego życie: obowiązek.

Poczucie obowiązku, wpojone mu przez ojca i przez obyczaje społeczeństwa Chissów, w którym dorastał, nie opuszczało go ani na chwilę, ale czasem zdawało się tak niemożliwe do spełnienia, pozbawione jakiegokolwiek sensu i satysfakcji, że czuł się całkiem pusty.

Był najpotężniejszą istotą Imperium Galaktycznego, a jednak najczęściej spędzał czas na negocjacjach, namawiając różne grupy obywateli, aby choć trochę przechylili swoją indywidualną szalę potrzeb na potrzeby Imperium. Przypominało to czasem zaganianie sfory robomyszy, z których każda była zaprogramowana przez inne, nieprzystosowane dziecko. A pod koniec takiego typowego dnia zwykle czuł się tak spełniony, jakby spędził kilkanaście godzin na zabawianiu się z tymiż robomyszami.

Westchnął ciężko i ruszył w głąb kwatery - przez salon, wyposażony w wygodne meble, do holu, z którego można było przejść do większości pomieszczeń apartamentu. Minął drzwi do sypialni i skierował się do wąskich drzwi, które mógł otworzyć tylko głosem. Zwrócił się do ukrytego czujnika głosu pod górną framugą drzwi:

- *Nek i nek.*

Drzwi odsunęły się, ukazując niewielką komnatę, niemal w całości zajętą przez czarne, okrągłe urządzenie wysokości przeciętnego mężczyzny - symulator myśliwca. Do boku widocznego od strony drzwi przymocowano drabinę, prowadzącą do otwartego luku na szczycie. Jag z nową energią wspiał się na drabinę, pobrzękując obcasami na durastalowych stopniach, i wskoczył przez właz na siedzenie pilota.

Ten symulator mógł spełniać rolę każdego typu myśliwca TIE albo podobnych pojazdów,

wyprodukowanych od tamtego czasu, ale został ustawiony na parametry jednego z ulubionych pojazdów Jaga, chissańskiego szponowca. Kiedy usiadł w fotelu, ekrany zapłonęły, ukazując dokładną symulację przednich iluminatorów statku.

- Rozpoczynamy atakiem mieszanych eskadr. Potrzebuję sześćdziesiąt procent Y-wingów, dwadzieścia procent X-wingów, dwadzieścia procent A... - Jag zapiął kask i sięgnął po maskę. - Zakres umiejętności pilotów od zielonych do elity, dystrybucja jednolita. - Przycisnął maskę do twarzy.

Pachniała dziwnie słodko.

Instynktownie odrzucił ją od siebie; upadła pod nogi.

- Przerywam, przerywam!

Właz, zamykający się nad jego głową, nie zatrzymał się jednak ani nie zmienił kierunku.

Jag wyrwał z kabury przy nodze mały, potężny miotacz, rodzaj broni opisywanej jako podręczna lub kieszonkowa, ale o wiele kosztowniejszy i bardziej niezawodny. Strzelił w każdy z zawiasów. Strumienie energii z miotacza odbiły się od maszyny, część rykoszetowała, reszta stopiła część metalu, a pozostały nagrzała do białości. Powietrze w zamkniętej przestrzeni symulatora stało się gorące. Właz zatrzymał się w pozycji półotwartej.

Z maski znów wydobył się syk. Jag zerwał się na równe nogi i rzucił przez zwążone wyjście, starając się nie dotykać rozgrzanych części włazu. Znalazł się na szczycie symulatora i zeskoczył na podłogę po przeciwnej stronie niż drabinka. W tej samej chwili drzwi do pomieszczenia się podniosły. Jag wyrwał zza symulatora i zobaczył biało ubranego szturmowca, który właśnie wchodził do pokoju. Mężczyzna, nieświadomy obecności Jaga, uniósł miotacz w górę, kierując go w stronę włazu.

Jag wysunął się odrobinę, żeby móc wycelować, i otworzył ogień. Jego pierwszy strzał trafił żołnierza w środek napierśnika. Szurmowiec cofnął się chwiejnie. Drugi strzał trafił w to samo miejsce, trzeci w kask. Żołnierz upadł ze szczękiem zbroi.

- Otwórz - powiedział Jag, a mechanizm drzwi posłusznie odpowiedział cichym trzaskiem.

Musiał pomyśleć, a nie miał na to czasu, w każdym razie bardzo niewiele.

W symulatorze był gaz, prawdopodobnie usypiający. Wróg zatem zamierzał schwytać go żywcem, nie wiadomo, czy jedynie dla okupu, czy po to, żeby potem zabić. Oznaczało to także, że miotacz szurmowca ustawiony był na ogłuszanie. Niewielka pociecha.

To robota kogoś miejscowego, pomyślał. Żadne z zewnętrznych drzwi, jak również wejście do kabiny symulatora, nie zostały naruszone, nie włączył się też alarm. Należało raczej przypuszczać, że cały układ alarmów i czujników w jego apartamencie został odłączony, co oznaczało, że mógłby krzyczeć do woli i nikt by go nie usłyszał. Pomoc nigdy by się nie zjawiała, w przeciwieństwie do porywaczy. Potrzebowaliby więcej niż jednego konspiratora, żeby wynieść go z kwatery. A więc...

Spojrzał w sufit. Nie wiedział, co znajduje się bezpośrednio nad tym pomieszczeniem, ale wkrótce się przekona. Wycelował w sufit i pociągnął za spust.

Po wielu strzałach jedno miejsce na suficie poczerniało, wygięło się i wreszcie ustąpiło. Jag obserwował, jak miernik energii na kolbie miotacza opada w dół z każdym kolejnym strzałem, ale zanim broń rozładowała się całkowicie, z góry dobiegły stłumione wrzaski i przekleństwa. Rozległo się wycie alarmów.

W drzwiach pojawił się kolejny szurmowiec, celując w Jaga. Jag cofnął się za korpus symulatora i ogłuszający snop błękitnej energii uderzył w bok maszyny. Jag poczuł mrowienie, przejmując część energii od powłok symulatora.

Symulator, podobnie jak kabina myśliwca TIE, był okrągły, a Jag miał to, czego nie miał żaden szurmowiec w zbroi - swobodę ruchów. Rozpląszczył się na permabetonowej podłodze i wyrwał spod krzywizny pancerza, skąd wyraźnie widział nogi szurmowca aż po kolana.

Wystrzelił po razie w każdą rzepkę. Żołnierz zawył, obrócił się w kółko i upadł na twarz. Jag nie mógł usłyszeć, skąd nadchodzą kolejni przeciwnicy - ogłuszony przez strzały z miotacza i alarm, nie usłyszałby nawet, gdyby maszerował na niego cały regiment szurmowców. Musiał zatem zaryzykować. Wczołgał się jeszcze głębiej pod symulator, kierując się ku powalonemu

żołnierzowi. Odłożył swój prawie rozładowany miotacz, chwycił broń tamtego i zatoczył nią łuk, mierząc w stronę drzwi. Widział tylko część swojego przedpokoju i pierwszego powalonego żołnierza, który nadal się nie ruszał. Jag przełączył broń z ogłuszania na zabijanie.

W polu jego widzenia pojawiło się dwóch kolejnych szturmowców, kierując się w stronę Jaga jednocześnie z obu stron. Jag domyślał się, że stanowili część większej formacji.

Strzelił do tego po lewej, który miał większą możliwość uskoczenia. Strzał Jaga trafił go jednak w nieopancerzoną wewnętrzną część uda, obrócił nim i rzucił o dywan. Wrzask zamarł na ustach żołnierza jeszcze przed upadkiem. Drugi rzucił się na podłogę, utrudniając celowanie, i otworzył ogień. Jag przetoczył się kawałek i ukrył za ciałem najbliższego nieboszczyka. Kolejny, jedyny celny strzał wroga został zatrzymany przez zwłoki. Jag strzelił raz, drugi, trzeci - aż żołnierz w sąsiednim pokoju upadł i znieruchomiał. Jego hełm stał się zwęgloną, dymiącą masą.

Jag przemówił spokojnym tonem, na tyle głośno, aby jego słowa dotarły do hełmów żołnierzy, ale wystarczająco, by je wychwyciły najbliższe mikrofony sterujące apartamentu.

- Drzwi, odblokować się. Drzwi, zwolnić wszystkie regulatory zabezpieczające. Drzwi... - zamilkł przed wydaniem kolejnego rozkazu i wycofał się ostrożnie, wlokąc za sobą ciało, którego wciąż używał jako tarczy.

W progu pojawiło się dwóch żołnierzy, jeden obok drugiego. Widocznie przedtem stali poza polem widzenia Jaga.

- ...zamknąć się - dokończył rozkaz Jag.

Drzwi opadły, obalając obu żołnierzy na podłogę. Żaluzja, nieprzewidziana jako broń, złożyła się w harmonijkę wokół obu ofiar.

Jag strzelił w kark najpierw jednemu, potem drugiemu, i rzucił:

- Drzwi, otworzyć się.

Połamane szczątki uniosły się i zablokowały w połowie drogi.

Nagle padły kolejne strzały z miotacza, dużo strzałów. Jag zobaczył, jak hol rozświetla się niczym na pokazie fajerwerków, ale tylko kilka strzałów przedostało się do kabiny symulatora: jeden przepalił jego powłokę, a drugi odbił się od ściany i wrócił do przedpokoju.

Strzały ustały, alarm umilkł, pozostawiając w uszach Jaga martwą ciszę. Wreszcie rozległo się wołanie:

- Sir? Sir, jest pan tam?

Głos, zwykle cichy i łagodny, teraz brzmiał lękiem i gniewem. Należał do Ashika, oficjalnie zwanego Kthira'shi'ktarloo. Ashik, Chiss z pochodzenia, był oddanym asystentem, adiutantem i szefem ochrony osobistej Jaga. W tej chwili był niewątpliwie bardziej poruszony niedopełnieniem tego ostatniego obowiązku niż sam Jag.

- Nic mi nie jest, Ashik. - Jag wstał, krzywiąc się od smrodu spalonego ciała i pancerzy, i wygładził tunikę. - Zatrzymaj ogień.

Pochylił się i przeszedł przez drzwi z rusznicą w rękę.

Hol był jedną ruiną - ośmiu czy dziewięciu powalonych szturmowców, poczerńiałe, zniszczone meble i dym. Wśród tego bałaganu stał Ashik i grupa ochroniarzy - zarówno kobiet, jak i mężczyzn - z oddziału imperialnego. Błękitna twarz Ashika pociemniała z gniewu, przenikliwe oczy spoglądały twardo, a pełne usta zacisnęły się w wąską linię.

Jag skinął głową asystentowi.

- Ashik, chciałbym poznać parę odpowiedzi. I to natychmiast.

O odpowiedzi jednak nie było wcale łatwo.

Szturmowiec, którego najpierw zastrzelił Jag, pierwszy z sześciu, których zabił, w ogóle nie był szturmowcem, lecz porucznikiem Olnem Pressigiem, odpowiednikiem Ashika na dziennej zmianie. Pozostali uzbrojeni intruzi także w pewnym sensie okazali się oszustami; wszyscy byli w czynnej służbie Imperium Galaktycznego, niektórzy nawet jeszcze przed wojną z Yuuzhan Vongami, jednak albo zostali niechłubnie zwolnieni, albo po zakończeniu służby oddawali się wątpliwym etycznie zajęciom. W ciągu kilku ostatnich tygodni dotarli do Coruscant, korzystając z

funduszy, przekazanych na ich konta przez firmę przykrywkę na Borleias, która pozostawała w rękach imperialnych od czasów II Galaktycznej Wojny Domowej.

Strażnicy przed kwaterą Jaga żyli, ale powaliły ich strzały ogłuszające. Kiedy odzyskali przytomność, opowiedzieli Ashikowi, jak było. Podobno podszedł do nich szturmowiec, posiadający wszystkie właściwe akredytacje, i zaatakował z nienacka.

Teoretycznie bezpieczniejszy pokój ambasadorski Jaga został już sprzątnięty i naprawiony, ale Fel i tak przeniósł się do apartamentu hotelowego, który często wynajmował, aby spędzić czas z Jainą. Teraz Jaina siedziała, a Jag krążył wokół.

- Wszystko to jest od początku do końca zgodne ze wzorem - powiedział.

Jaina siedziała na sofie, irytująco spokojna w porównaniu z nerwową energią Jaga.

Wydawała się nieco zbita z tropu.

- Jakim znów wzorem?

- Cóż, na pewno istnieje gdzieś książka albo plik pod tytułem *Konspiracja, metodologia* autorstwa Imperatora Palpatine'a, z komentarzami Ysanne Isard i przedmową lorda Zsinja. To może być największy bestseller spiskowców ostatnich trzech dekad. Nie sądzisz?

Jaina się uśmiechnęła.

- Pewnie masz rację.

- Na przykład rozdział szósty opisuje dokładnie, jak zacierać ślady, jeśli próba zabójstwa zostanie udaremniona. Komórki operacyjne mają być izolowane. Należy się upewnić, że każdy, kto służy za kontakt dla dwóch lub więcej komórek, może zostać po cichu usunięty lub porwany, kiedy sprawy się skomplikują. - Jag przystanął przy iluminatorze o lustrzanej powłoce zewnętrznej i oparł dłoń o chłodny, przezroczysty metal.

- Mógłbyś bardziej o siebie zadbać - odezwała się Jaina. - Ten apartament nie jest tak bezpieczny, jak powinien. Twoja ambasada też nie.

- I co, mam wrócić na „Gilada Pellaeona”? Ukrywać się na moim niszczycielu? Powiniennem chyba emanować pewnością siebie i odwagą.

- W takim razie musisz teraz uderzyć. Ale w kogo?

- W moffów. To na pewno ich robota.

- Wszystkich?

- Nie. Brało w tym udział dwóch, najwyżej trzech, a może tylko jeden. Sondują słabe punkty.

- Lecersen najbardziej by skorzystał, gdybyś... został zabity.

Jag skinął głową.

- Wątpię, aby to był on. Według jego standardów takie prymitywne zagranie mija się z celem. Ten zamach raczej oznacza, że Lecersen zrezygnował.

- Zrezygnował?

- Zrezygnował z pozbycia się mnie w bardziej elegancki sposób. - Jag odwrócił się do JAINY.

- Spójrzmy prawdzie w oczy: on naprawdę uważa, że związek z tobą jest moją słabością, która potencjalnie może zaszkodzić Imperium. Nie wyczerpał jeszcze wszystkich możliwości, aby mi napsuć krwi. - Widząc, że Jaina krzywi usta, podszedł bliżej, unosząc dłoń w przepraszającym geście. - Nie chciałem, żeby to tak wyszło. Wiem, że to nie żadna słabość.

- Jesteś pewien? - W głosie JAINY brzmiał ledwie ślad urazy. Jag wiedział, że była na ogół kobietą bardzo pewną siebie, więc takie pytanie pozwalało przypuszczać, że sama tak czasem sądziła.

- Jestem pewien - odpowiedział. - Próbuję po prostu zmienić sposób, w jaki Imperium myśli o sobie i o Palpatinie. O tym, jak moffowie prowadzą swoje działania od pokoleń. O Jedi. A ci, którzy starają się wprowadzać zmiany mają szczęście, jeśli nie zostaną... - Jag zawahał się. Chciał powiedzieć „wyeliminowani”, ale w porę zrozumiał, że Jaina wciąż jeszcze jest zdenerwowana niedawnym atakiem. - No i mają szczęście, jeśli w ogóle osiągną cokolwiek i zasłużą na pamięć potomnych.

Jaina znów się odprężyła.

- Cóż, tobie się dzisiaj naprawdę udało.

- Tak. Wciąż żyję.

- Nie tylko o to chodzi. Wiesz, jakie paskudne plotki krążą o tobie: że tylko moja Moc Jedi utrzymuje cię przy życiu, że jestem twoim tajnym oddziałem ochroniarzy. A dzisiaj nie było mnie w pobliżu. Udało ci się zastrzelić sześciu uzbrojonych weteranów, którzy na ciebie napadli. To bardzo, bardzo... hm, imperialne.

Jag prychnął, rozbawiony.

- Moja wiceminister od handlu towarami nietrwałymi znajdowała się akurat w apartamencie nad moim. Przestrzeliłem jej stopę, kiedy zabawiała gościa. Więc nie było to aż tak imperialne.

- Wierz mi, nie o tym wszyscy teraz mówią.

- To dobrze. - Jag, wreszcie nieco spokojniejszy, podszedł i usiadł obok niej. - Nie wiem tylko, czy dam sobie radę. Czy utrzymam wszystko w garści, zanim Imperium i Sojusz znów się połączą, i potem także. Czy uda mi się dokonać zmian?

Jaina wzruszyła ramionami.

- Pomyśl, co już osiągnąłeś, ile istnień uratowałeś. Podtrzymałeś honor nazwiska Felów w twoim pokoleniu. No i przestrzeliłeś stopę pani wiceminister.

Zaśmiał się mimo woli.

- Nie mogłaś sobie tego odmówić, co?

- Mógłbyś stworzyć całkiem nowy imperialny zwyczaj. Pif-paf, pif-paf! O rety, mój palec!

- Przestań, dobrze?

### **Port kosmiczny na Dathomirze**

Karawana składająca się z dwóch tylko pojazdów ruszyła w drogę natychmiast, kiedy Han i Leia przebrali się w stroje kamuflujące.

Han zajął miejsce pilota w szybszym, zwinniejszym, choć zniszczonym ścigaczu sportowym, Leia i Dyon dołączyli do niego. Pozostali, z Yliri na miejscu pilota, zajęli ścigacz towarowy. Leia pokierowała ich na północ, podążając za niejasnym wrażeniem w Mocy, wskazującym, gdzie może znajdować się Luke.

Obecność Luke'a była odległa, ale stabilna, Leia nie miała też wrażenia, że znajduje się on w bezpośrednim niebezpieczeństwie. Jej wycucie nie było jednak tak dokładne i precyzyjne jak nadajnik naprowadzający, więc Leia mogła podążać za nim jedynie instynktownie, kierując się raz bardziej na północny zachód, drugi raz na północny wschód.

Dwa pojazdy brnęły przez dżunglę Dathomiry w tempie, które Leii wydawało się irytująco powolne. Unosili się mniej więcej trzy czy cztery metry ponad poszyciem lasu. Sportowy pojazd leciał z przodu, a dwójka pilotów czujnie unikała kontaktu z konarami drzew, które mogłyby strącić pasażerów. Ścigacz towarowy często musiał się zatrzymywać, cofać i krążyć, aby odnaleźć drogę, podczas gdy maszyna Hana bez problemu nawigowała skrótami. Yliri okazała się jednak pilotką bardziej niż kompetentną.

Od czasu do czasu Leia wychwytywała obce obecności w Mocy. Ścigacze miały leśnych drapieżców Dathomiry, czających się w ukryciu. Nikt jednak ich nie atakował. Leia doszła do wniosku, że dzika zwierzyna na tej planecie woli trzymać się z dala od istot ludzkich i innych humanoidów, z których większość nosiła śmiertelnośc broń albo używała potęgi Mocy. Żaden z tych krótkich przeblasków Mocy nie wydawał się znajomy; żaden nie nosił nieomylnego piętna Luke'a lub Bena.

Po kilku godzinach zmysł kierunku Leii zaczął ją zawodzić. Wciąż wyczuwała brata poprzez Moc, ale postrzeganie jego osoby nagle uległo rozszczepieniu. Wydawał się odległy, a jednocześnie jego emocje były dziwnie bliskie, jakby przebywał w okolicy.

- Straciłam go - oznajmiła wreszcie Hanowi.

Postukał kciukiem w pulpity łączności zdezcelowanego ścigacza.

- Musimy oznaczyć to miejsce jako punkt zborny - poinstruował drugi pojazd - i rozpocząć poszukiwania po spirali. Zgłaszajcie wszystko, co wydaje się wam niezwykle.

Yliri potwierdziła i jej ścigacz skręcił w prawo, zaczynając spiralę. Han poleciał w lewo. Ich pola poszukiwań częściowo będą się nakładać, zapewniając podwójne przeszukanie obszaru, na którym Leii zależało najbardziej.

Chwilę po tym, jak ścigacze znalazły się w odległości wzroku po raz trzeci, Leia ujrzała, że ścigacz towarowy się zatrzymuje. Wśród czwórki pasażerów rozgorzała dyskusja, po czym Sha Bez Plemienia przeskoczyła przez burtę i zręcznie wylądowała na podłożu cztery metry poniżej. Rozejrzała się wokół i pobiegła w prawo drogą, która prowadziła poza trasę czerwonego ścigacza. Po jakichś czterdziestu krokach ścigacz towarowy ruszył za nią powolutku.

Leia uruchomiła komunikator.

- Co się dzieje? Odbiór.

Odpowiedział jej głos Yliri.

- Sha zauważyła krew na krzaku. Teraz znalazła odciski stóp rankora. Próbuje dotrzeć do miejsca, gdzie stwór został ranny. Odbiór.

- Dzięki. Bez odbioru.

Już po kilku minutach Sha odnalazła miejsce, gdzie ślady spalenizny wyglądały jak niezbyt intensywny pożar o dość szerokim zasięgu. W odległości jakichś stu metrów natrafiła na dwa rozbite ścigacze. TARTH odczytał numery rejestracyjne wygrawerowane na gondolach, spojrzał na Hana i skinął głową.

- Luke i Ben tracą depozyty - westchnął Han.

Leia dźgnęła go łokciem w żebra.

- Mało śmieszne. Gdzie oni mogą być?

- Trudno znaleźć ślad - powiedziała Sha, która do tej pory prawie się nie odzywała.

Wskazała na północny zachód, w kierunku wyraźnie odchyłonym od ich poprzedniego kursu. - Tam trafiłam na jeszcze jeden ślad. To kobieta Dathomiri, jak sądzę. - Jej ręka zakreśliła łuk i znów wskazała w tym samym kierunku. - Poszła w inną stronę, ale potem skręciła i podążyła za nimi.

- Kto tu kogo śledził? - Leia zmarszczyła brwi. Nie podobała jej się myśl, że ktoś chodzi za Lukiem i Benem, ale wiedziała, że jej brat prawdopodobnie na to pozwala.

Sha wzruszyła ramionami.

- Nie da się stwierdzić. To było zbyt dawno.

- Możesz ich znaleźć?

Sha kiwnęła głową.

- Tak, ale lećcie za mną powoli. Tempo piechura.

- No to do roboty.

- Cała elektronika popsuta - ogłosił TARTH, który grzebał w mechanicznych wnętrznościach jednego ze ścigaczy.

Han zmarszczył brwi.

- Jak to możliwe?

- Wszystko się usmażyło. W obu pojazdach. Przy jednym znalazłem komunikator.

Całkowicie przepalony.

- Czy są ślady spalenizny tam, gdzie stali?

TARTH pokręcił głową.

- Nic nie wskazuje na to, że stali na ziemi, kiedy to się stało.

Sha nic nie powiedziała, spojrzała tylko pytająco na Hana.

- Zaatakowano ich elektrycznością - wyjaśnił Han. - Ale taki atak jest najbardziej szkodliwy, kiedy jego obiekt jest w kontakcie z ziemią. Oba ścigacze mogły zostać zestrzelone energią elektryczną, kiedy były w ruchu... energia musiała być dość silna.

Sha potwierdziła ruchem głowy.

- To była Burza Piorunów. Czar rzucany przez Wiedźmy... niektóre Wiedźmy. Na przykład przez Siostry Nocy.

Leia zrobiła krok w jej kierunku, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

- Siostry Nocy? Myślałam... miałam nadzieję, że już nie istnieją.

Sha pokręciła głową.

- Istnieją. Ukrywają się, ale wracają. Jeśli jest ich mało, przychodzą zabrać twoje dzieci. - Na krótką chwilę maska spokoju opadła z jej twarzy i pojawił się na niej smutek. Zaraz jednak znikł, zastąpiony przez obojętność, której mógłby pozazdrościć każdy gracz w sabaka, i Sha się odwróciła.

Han chwycił Leię za ramię i uściśnął krzepiąco.

- Siostry Nocy to jak ich Sithowie - przypomniał ponurym szeptem.

## ROZDZIAŁ 4

### **Biuro prezydenta, budynek Senatu, Coruscant**

Admirał Natasi Daala, dawny oficer imperialny, a teraz szefowa rządu Sojuszu, odchyliła się w tył w fotelu i zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno chce rozmawiać z Wynnem Dorvanem. Denerwowało ją to; chwilami pragnęła, żeby wszystko wokół było jasne i dokładnie zdefiniowane. A Dorvan zawsze dawał jej do myślenia, co wszystko komplikowało. Był jednak tak sprawnym asystentem, że musiała przymknąć na to oko. W końcu tak właśnie załatwiano się sprawy w cywilizowany sposób.

Powinna pozostać z nim w dobrych stosunkach. Pewnego dnia będzie z niego doskonały szef biura... kiedy już pogodzi się z tym, że uzyska większą władzę i odpowiedzialność.

Licząc na to, że automat wbudowany w system łączności usunie odcień znużenia z jej głosu, odezwała się:

- Wynn? Mogę cię prosić na chwilę?

- Naturalnie, psze pani. Zaraz będę.

Jeszcze raz powiodła spojrzeniem po gabinecie i jego uspokajającym wystroju: białe meble pasowały do jej munduru. Założyła za uszy pasma długich rudych włosów w daremnej próbie uporządkowania fryzury.

Drzwi otwały się i stanął w nich Dorvan. Często przynosił jej wieści skomplikowane i chaotyczne, sam jednak był typem pedanta. Jak zwykle czujny i dokładny, ciemne włosy miał starannie ułożone, co przypominało Daali ojej własnych, chwilowo rozczochranych. Z lewej kieszeni na piersi szytej na miarę marynarki wystawał pokryty brązowym futerkiem w pomarańczowe pasy jego ulubiony chitlik, imieniem Kieszonka.

Wskazała mu gestem krzesło, a on opadł na nie, krzyżując nogi i spoglądając na nią wyczekująco.

Daala przeszła od razu do rzeczy.

- Wynn, nawet teraz, po dwóch latach, proces kierowania cywilną ludnością wydaje się nieco ogłupiający. W normalnym wojskowym życiu wydałabym rozkaz, a potem spytałabym koleżkę, co o nim sądzi po namyśle. Teraz często muszę pytać o opinię, zanim cokolwiek zdecyduję. O wiele opinii. Od różnych ludzi.

- To raczej normalne wśród cywilnych przywódców, którzy mają trochę rozsądku. - Dorvan rozsiadł się w fotelu, pozwalając sobie na chwilę odprężenia. Był zaciekawiony, ale czujny. - Proszę pytać.

- Ta cała szarpanina z Jedi... Czy myślisz, że ja... że moja taktyka ma sens?

Dorvan chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. Zawsze zastanawiał się nad wszystkim.

- Pani admirał, przed holokamerami jestem w stu procentach za panią.

- Wiem, wiem. Ale tutaj nie ma holokamer.

Westchnął.

- Wierzę, że Jedi stawiają potrzeby wszystkich istot na pierwszym miejscu. Chciałbym znaleźć właściwą odpowiedź i chyba muszę powiedzieć, że naciska pani zbyt mocno. Jedi mogą zostać pani sprzymierzeńcami albo podwładnymi, ale nie jednym i drugim. Pani zdaje się zdecydowała, że właściwsza dla nich jest rola podwładnych.



Skinęła głową.

- Rzeczywiście. Tylko że nie moich podwładnych, ale rządu. Ciągłe muszę ich przywoływać do porządku.

- Wybrałbym inne podejście... ale to pani rządzi. Będę panią popierał.

- Ale jesteś pewien, czy dam sobie radę.

- Palpatine dał. Na chwilę. I zapłacił wielką cenę.

Dała gwizdnęła z uznaniem.

- Niezłe trafienie, żołnierzu. Gdzie ukrywasz to wibroostrze, kiedy go nie używasz?

- Kieszonka trzyma je w swojej torbie, to bardzo przyteczne zwierzątko.

- Uważasz zatem, że staję się Palpatine'em?

- Nie, pszepani, wcale nie. Nie pracowałbym dla pani, gdyby tak było. Mówię tylko, że stosuje pani podobną taktykę, co mogli też zauważyć obywatele... i kilku pani wrogów.

Uśmiechnęła się do niego bez wesołości.

- Cóż, doceniam twoją szczerość.

- To moja praca, pszepani.

- To wszystko.

Wstał i wyszedł. Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Daala nadal siedziała bez ruchu, już nie myśląc o niesfornych włosach, i rozważała, jakie działania powinna przedsięwziąć.

### **Las deszczowy Dathomiry**

Sha Bez Plemienia wynurzyła się zza zasłony krzewów jak duch - nawet szelest nie zwiastował jej przybycia, więc Han, usadowiony na masce ścigacza, aż podskoczył z zaskoczenia. Kaf chlupnął mu z kubka na nadgarstek. Oparzony, podskoczył po raz drugi, tym razem gwałtowniej, i cała zawartość kubka znalazła się na okrytych zbroją nogach Carracka.

Wielkolud obrzucił Hana karcącym spojrzeniem i na wszelki wypadek przesunął się na drugą burtę zaparkowanego ścigacza, jakby ukrywając się za nim.

Han wzruszył ramionami.

- Przepraszam - mruknął, rozcierając oparzoną skórę. - To jej wina.

Leia podeszła i mrugnęła do męża z rozbawieniem, po czym zwróciła się do Shy.

- I co znalazłaś?

- Wiele śladów. - Sha wskazała na północny zachód. - Kobieta, która śledzi twojego brata, wyprzedziła go. Raz po raz przecina mu drogę, przeważnie dość ostentacyjnie. Zawsze kieruje się na północny wschód. On czasem podąża za nią, a czasem nie, ale zawsze wraca na własny kurs.

Yliri, rozciągnięta na kocu na szerokiej masce ścigacza towarowego, zaśmiała się.

- Próbuje go odciągnąć, a on nie daje się nabrać.

- Jesteś tropicielką? - zapytała Sha.

- Nie taką dobrą jak ty. Ale trochę polowałam. - Yliri przekreśliła się na bok i spojrzała na pozostałych. - Wiesz, do czego ona próbuje ich doprowadzić?

Sha pokręciła głową.

- Raczej od czego odwieść. Znalazłam kolejne ślady. Co najmniej całego klanu i wielu rankorów. Kierują się w stronę przełęczy Redgill.

- Chwileczkę - mruknął Dyon, który sumiennie pracował przy niewielkim ognisku, rozpalonym na nagim, gąbczastym gruncie pomiędzy ścigaczami, podgrzewając kaf i opakowaną żywność. - Poczekajcie.

Z kieszeni kamizelki wyjął notatnik i przez kilka chwil wstukiwał w niego polecenia. Wreszcie odwrócił ekran tak, aby wszyscy mogli go widzieć. Wyświetlona na nim była zwykła, dwuwymiarowa, kolorowa mapa. Większość mapy była zielona, z nieregularnymi czarnymi kropkami oznaczającymi góry oraz błękitnymi liniami i plamami przedstawiającymi cieki wodne.

Wskazał jezioro umieszczone pomiędzy dwiema górami.

- To jezioro Redgill i przełęcz Redgill, wąskie gardło przejścia na północ. Dolina za nim

kończy się kolejną przełęczą dalej na północ, co sprawia, że klanom łatwo się tam bronić.

Tarth spoważniał.

- Więc możemy trafić na bitwę. Jeden klan fortyfikuje się przeciwko drugiemu.

Dyon przytaknął.

- Tymczasem ta kobieta - prychnął Han - jedna ze zwiadowców klanu, który rusza na wojnę, zawraca sobie głowę dwoma groźnymi, obdarzonymi Mocą prześladowcami, próbując ich odciągnąć od pola walki. I pewne należy do Klanu Grzecznych? Nie, chodzi o coś innego.

Leia podniosła wzrok i spojrzała w niebo poprzez gałęzie drzew, mniej gęsto splecione nad polanką. Promienie słońca padały pod ostrym kątem, sugerując późną porę.

- Jeśli dobrze rozumiem, nie zdołamy dogonić ich dzisiaj.

Podeszła do ogniska i usiadła obok niego ze skrzyżowanymi nogami. Dyon podał jej kubek i nalał kawy z dzbanka spoczywającego na składanym metalowym ruszcie, ustawionym nad chłodniejszą częścią ogniska.

- No to się prześpijmy. - Han, którego nadgarstek wreszcie przestał piec, podszedł, żeby ponownie napełnić kubek. - Ruszamy o świcie, zobaczymy, ile czasu nam zajmie dogonienie ich. Zmiany warty co dwie godziny: ja, potem Leia, Dyon, Sha i Tarth. Carrack i Yliri, wy weźmiecie razem ostatnią wartę. Na ostatniej zmianie przed świtem chcę mieć dwa razy więcej otwartych oczu i broń Carracka w pogotowiu.

Carrack skinął głową na znak zgody, ale Yliri roześmiała się.

- Wiedziałam, że jesteś sławny, ale nie miałam pojęcia, że tak się lubisz rządzić.

- Korelianie to urodzeni przywódcy, siostrze. Powinnaś o tym wiedzieć.

Leia uniosła oczy ku niebu, ale uśmiech złagodził wymowę tego gestu.

### **Na pokładzie „Sokoła Millenium”, w porcie kosmicznym Dathomiry**

C-3PO, jak to miał w zwyczaju, sterczał przy wejściu do sterowni, kiedy Allana prowadziła zaszyfrowaną rozmowę przez komunikator. W końcu w każdej chwili mogła nabrać ochoty, aby pokrzepić się szklanką mleka.

Złocisty robot słyszał to, co mówiła dziewczynka, ale głos Królowej Matki Tenel Ka docierał do niego jako monotony szum. Głos z głośników komunikatora powinien być wyraźny, łatwy do zrozumienia przez osoby siedzące w fotelach pilotów, ale aparatura znów się rozstroiła. Zdarzało jej się to od czasu do czasu. C-3PO powstrzymał pociągnięcie nosem, a raczej syntetyczny dźwięk, który mógł za to uchodzić. Jego głośniki nigdy się nie rozstrajały, a jeśli nawet, to naprawiał je niezwłocznie. Nic dziwnego, że „Sokół” ciągle się psuł. Przy tak niedbałej konserwacji...

Allana już kończyła rozmowę.

- Oczywiście... na pewno nie będę... Nie bój się, mam Anji... nie, nie nudzę się. - Nawet robot mógł wyczuć nieszczerłość w głosie dziewczynki. - Ja też cię kocham. „Sokół” się wyłącza.

Allana wstała z fotela pilota i obróciła się twarzą do C-3PO. Włosy miała rude jak matka, a wyraz twarzy równie poważny, jak jej babka Leia. Spojrzała na robota nieprzyjaźnie.

- Nie musisz mnie ciągle podsłuchiwać.

- Muszę, jeśli chcę skutecznie wypełniać moje zadanie, panienko. Zawsze byłem bardzo dobry w tym, co robię.

- Przynajmniej przez większość czasu.

Westchnęła, wyraźnie czymś zirytowana i podeszła do Anji, która leżała zwinięta w kłębek na fotelu drugiego pilota. Westchnęła jeszcze raz i zaczęła głaszką futerko nexu. Anji zareagowała radosnym mrużeniem, ale Allana zdawała się tego nie zauważać. Wyglądała przez iluminator, kręcąc głową nad jakimiś dziewczęcymi kłopotami, których C-3PO mógł się jedynie domyślać.

- Daj spokój, nie musisz się martwić o swoje wygody - odezwał się robot. - Artoo i ja doskonale potrafimy utrzymać cię w czystości i nakarmić.

Allana odwróciła się gwałtownie.

- Nie jestem dzieckiem, Threepio! - parsknęła. - Sama potrafię się utrzymać w czystości, a syntezator żywności umiem obsługiwać równie dobrze, jak ty.

Anji podniosła głowę i zerknęła ostrzegawczo na C-3PO, widocznie oceniając, czy powinna na nim sprawdzić skuteczność kagańca. C-3PO zignorował niewdzięczne zwierzątko i skoncentrował się na Allanie.

- No cóż, chyba musisz po prostu mi powiedzieć, co cię gnębi - rzekł. - Nic ci nie poradzę, jeśli każesz mi zgadywać.

- W ogóle nic mi nie poradzisz - poskarżyła się Allana. - Zapomnieli o mnie.

- O, daj spokój. Kapitan Solo zapomina pewnie czasami to i owo, ale nie księżniczka Leia - odrzekł. - Cokolwiek to jest, z pewnością zostawiła mi instrukcję, żeby załatwić to w jej imieniu.

Oczy Allany zabłysły.

- Naprawdę?

- Oczywiście - odparł C-3PO. - O czym teraz myślałaś?

O tym, że obiecała nauczyć cię grać w dejarika?

Allana podeszła bliżej.

- Chodzi o rankora - wyznała. - Babcia obiecała mi, że następnym razem, kiedy będziemy na Dathomirze, pozwoli mi pojeździć na rankorze!

Przez procesor C-3PO przemknęła chmura zakłóceń.

- Ojej, może rzeczywiście zapomnieli - pociągnął nosem. - Obawiam się, że nikt mi nic nie mówił na ten temat.

Allana się skrzywiła.

- A myślałam, że roboty nie umieją kłamać.

- Nie kłamałem - zachnął się Threepio, powstrzymując się od kolejnego elektronicznego siąknięcia. - Po prostu... pomyliłem się.

- W czym się pomyliłeś? Że babcia nigdy nie zapomina? - dopytywała się. - Czy w tym, że nie zostawiła instrukcji, żeby mnie zabrać na przejażdżkę na rankorze?

Tym razem C-3PO nie powstrzymał się i pociągnął nosem.

- Najwyraźniej potrzebujesz trochę czasu dla siebie. Idę zająć się innymi obowiązkami. Jeśli będę ci potrzebny, panienko, po prostu zawołaj.

Threepio ruszył na rufę z szumem mikroserwomotorów. Podejrzewał, że pytanie dziewczynki nie wynikało ze złości, ale raczej z dziecięcej ciekawości, biorąc jednak pod uwagę inne cechy Solo odziedziczone przez nią, wcale nie był tego pewien.

Kierując się lukowatym korytarzem na pokład główny „Sokoła”, robot dotarł do przejścia prowadzącego do luku załadunkowego na prawej burcie i stwierdził, że rampa została spuszczone. R2-D2, jego robot mechaniczny towarzysz od wielu lat - nie pamiętał nawet ich pierwszego spotkania, musiało to zatem być przed skasowaniem jego pamięci - toczył się właśnie w górę rampy, a po chwili rampa się podniosła, odcinając ich od nocnego portu kosmicznego.

- A ty co kombinowałeś? - oburzył się Threepio.

R2-D2 zaczął do niego melodyjnym kodem robotów mechanicznych.

- Badałeś? A co tu jest do badania? Kałuża błota zabudowana permabetonowymi domami.

Widziałem bardziej interesujące miejsca na podeszwie buta.

Robot mechaniczny zaświergotał znowu.

C-3PO zatrzymał się jak wryty i spojrzał na towarzysza.

- No tak... W porcie kosmicznym, czyli w miejscu, gdzie statki przez cały czas startują i lądują, zobaczyłeś... statek. Co za zmysł obserwacji.

Ćwierknięcie.

- No i co z tego, że mechanik się spieszył, żeby zamknąć drzwi hangaru, kiedy zobaczył, że mu się przyglądasz? Ludzie potrafią być dziwacznymi, sam wiesz. Dzięki Projektantowi, że nas nie obdarzył takimi wadami.

Długi świergot.

C-3PO wydał z siebie syntetyzowane westchnienie.

- Miał ogon jachtu Sorosuub, tak? Chciałem zauważyć, że jest tu tyle jachtów Sorosuub, ile

piraniożuków na Yavinie Cztery.

Szczebiotanie robota przybrało ton irytacji.

- Nie, nie będę tego z tobą sprawdzał. Nie możemy zostawić panienki samej. - C-3PO pokręcił głową z troską. - Naprawdę, Artoo, nie wiem, o czym myśleli nasi państwo, zostawiając to biedne dziecko samo, tylko pod naszą ochroną. Jesteśmy na Dathomirze... czy oni nie wiedzą, co na tej planecie robią z dziewczynkami wrażliwymi na Moc?

R2-D2 odpowiedział długim, przeciągłym buczeniem.

- Z pewnością mam się czym martwić - przytaknął C-3PO. - Czasem mam wrażenie, że masz wrażliwość kosa na śmieci na kółkach i właściwie niczym się od niego nie różnisz. Nalegam, żebyś został tu ze mną. Mogę cię potrzebować, aby bronić statku.

Ćwierknięcie i pomruk.

- Nieprawda, najlepszą obroną nie jest atak. Najlepszą obroną jest silna obrona. A to oznacza, że mamy siedzieć na miejscu i chronić panienkę Allanę, nie pozwalając jej wpakować się w kłopoty, do których ma genetyczną skłonność. Ty też byś tak miał, gdybyś miał geny. - Threepio smutno pokręcił głową i ruszył dalej w kierunku rufy, zadowolony, że choć raz udało mu się ustawić R2-D2.

### **Zasięg strzału służb bezpieczeństwa, budynek senatu, Coruscant**

Pięćdziesiąt metrów od wejścia, w wąskim korytarzu o czarnych ścianach, lśniący srebrny robot w jednej chwili z całkowitego bezruchu przeszedł do sportowego biegu, pędząc w stronę prezydent Daali.

Daala, ubrana w niebieski, luźny i wygodny strój do ćwiczeń, wyrwała pistolet z kabury pod ramieniem i wycelowała jednym wyćwiczonym gestem. Dostrzegła robota, dopiero kiedy ten przebiegł już połowę dzielącej ich odległości. Pozwoliła sobie na dodatkową chwilę, aby lepiej wycelować. Dopuszczała robota na dziesięć metrów, odległość, z której widać było wyraźnie wyszczerzone zęby na jego podobnej do czaszki twarzy, po czym płynnie nacisnęła spust.

Strzał trafił robota w górną prawą część korpusu, czyli w pierś, gdyby był człowiekiem. Srebrna skóra w tym miejscu poczerniała. Robot przerwał piękny bieg atlety, okręcił się, zgubił rytm i Daala strzeliła po raz drugi. Tym razem trafiła go w lewy bok i powłoka w tym miejscu także poczerniała.

Robot osunął się na lśniącą, czarną podłogę, prześliznął się kawałek i zatrzymał o jakieś trzy metry od niej. Daala wycelowała po raz ostatni i strzeliła mu w skroń.

Ekran wskaźników, wbudowany w ścianę korytarza obok Daali, wyświetlił słowo „Zabić”.

Poniżej pojawiły się napisy:

„Powtórzyć zadanie”

„Analiza wyników”

„Reset”

„Zmiana parametrów”

„Wyjdź z symulacji”

Zamiast wydać jedną z tych komend, Daala odsunęła się i skinęła głową na swojego towarzysza, aby przyjął pozycję do strzału.

Generał Merratt Jaxton, głównodowodzący Dywizjonu Myśliwców, ubrany do treningu podobnie jak Daala, podszedł i poprawił pomarańczowe gogle. Był mężczyzną średniego wzrostu, o siwych włosach i ciemnych oczach. Rysy jego twarzy i budowa ciała miały tę szczególną kanciastość, której ludzie oczekiwali i którą cenili u swoich dowódców. Podobnie jak większość obecnej kadry wysokich rangą oficerów, znalazł się na swoim stanowisku w wyniku potężnych zawirowań po zakończeniu II Galaktycznej Wojny Domowej. Zmiany w rządzie SG zostawiły wiele karier w stanie podobnym jak leżący przed nimi robot - poczerniałe, bez życia i perspektyw. Wtedy ludzie tacy jak Jaxton, wybitnie sprawny jastrząb wojenny z czystą jak lza kartoteką, wystąpili i przejęli władzę w swoje ręce.

Generał spojrział na powalonego robota. Głos miał szorstki, mocno trącający akcentem dawno nieistniejącego Alderaanu.

- Dopuściłaś go za blisko - zauważył.

Wzruszyła ramionami.

- Najpierw trzeba strzelić w środek ciężkości - powiedziała. - Powalasz go, a potem rozwalasz. Jeśli chcesz od razu oddać zabójczy strzał, już po tobie.

- Nonsens. - Jaxton zwrócił się do panelu sterowania. - Zmiana parametrów. Oszołomiony Czerwoną Furią, wzmocniony do dziesięciu, reset.

Robot skoczył na nogi i podreptał z powrotem do miejsca odległego o pięćdziesiąt metrów. Zanim tam dotarł, dysze wystające ze ścian wyprodukowały chmurę mgły, owiewając nią robota. Mgła rozwiała się niemal od razu, a wraz z nią znikły czarne ślady na powłoce.

Robot odwrócił się w stronę Daali i Jaxtona i znieruchomiał.

Jaxton wyszczerzył zęby.

- Atak - rozkazał.

Robot ruszył w ich kierunku.

Jaxton wyciągnął miotacz z kabury na lewym biodrze. Gdy tylko lufa znalazła się na linii strzału, wypalił.

Strumień energii trafił robota w środek czoła. Jego głowa odskoczyła w tył, a on sam zrobił jeszcze dwa kroki, zwałił się na podłogę, przejechał po niej kolejne dwa metry i znieruchomiał.

- Imponujące. - Daala w istocie wcale nie była pod wrażeniem. Znała zbyt wielu byłych pilotów myśliwców, którzy bez umiaru pysznili się swoimi umiejętnościami strzeleckimi. W terenie pokazowe numery, takie jak popis Jaxtona, zwykle kończyły się śmiercią Strzelca. Mimo to zdołała ukryć zdumienie w głosie. - Musisz ćwiczyć bez przerwy, dzień i noc.

Jaxton zawahał się, zastanawiając się zapewne, czy te słowa nie były aluzją do jego świeżego statusu rozwodnika.

- No, może nie aż tyle - mruknął i odszedł na bok.

Robot wstał, zawrócił i znów ogarnęła go mgła, z której wyszedł lśniący i gotowy.

Daala nie uruchomiła go od razu.

- Słyszałam różne historie... powiedzmy, o niepokojach.

- Czy to oficjalna rozmowa?

- Nie.

- Natasi, jestem twoim skrzydłowym. Od zawsze. Wiesz o tym.

- Pewnie, że wiem. - Właściwie nigdy nie była blisko z Jaxtonem; dopóki nie został dowódcą, ledwie go znała. Ale raczej mówił prawdę.

- Więc owszem, krążą plotki. O tobie.

- Atakują mnie?...

Słyszac słowo „atak”, robot rzucił się na Daalę.

Skwitowała skrzywieniem ust zarówno swój błąd, jak i niepotrzebną przerwę w rozmowie, podniosła pistolet i strzeliła. Z czterdziestu metrów trafiła robota w krocze. Automat, padając, zwinął się w kłębek i znieruchomiał.

Daala zamrugła ze zdziwienia. To naprawdę miał być jej normalny strzał w środek ciężkości, ale unosząc broń, przycisnęła spust odrobinę za wcześnie i wynik okazał się o wiele lepszy niż to, co zwykle osiągała.

- Nieźle - ocenił Jaxton.

- Dzięki. Reset - zarządziła. - Więc skąd te plotki? - zapytała i odsunęła się na bok.

Jaxton nie od razu zajął jej miejsce.

- Moim zdaniem, ludzie w korpusie oficerskim uważają, że nie chronisz ich interesów i nie promujesz ich ideałów. W każdym razie nie w taki sposób, jak się tego spodziewali.

Daala zmarszczyła brwi.

- Przez ostatnich kilka lat odtworzyłam siłę i odpowiedzialność wojska w stopniu wykraczającym poza oczekiwania analityków.

- Zgoda.

- Podjęłam też działania, aby ujarzmić Jedi. Zakon został pozbawiony głowy... Luke Skywalker ściga ducha zmarłego siostrzeńca po całej galaktyce, a jego zastępca zna nasz punkt widzenia i traktuje go ze zrozumieniem.

- Ale Jedi będą ci robić na złość.

- Chwilowo.

- A jedna z nich, morderczyni Gilada Pellaeona, wciąż jest na wolności.

- To procedura cywilna i wymaga czasu. Tahiri Veila zostanie osądzona i skazana. Wyrok zostanie wykonany. Gwarantuję ci to.

- Na razie może przyda im się kolejna lekcja. Myślę o przestępczyni, która podlega prawu wojskowemu, a nie cywilnemu.

- Kto to taki?

- Cha Niathal.

Daala uniosła brwi, szczerze zdumiona. Admirał Niathal, Kalamarianka, od zawsze we flocie, zajmowała kiedyś to samo stanowisko co Daala, dzieląc obowiązki prezydenta z pułkownikiem Jacenem Solo, czy też, jak wolał być nazywany, z Darthem Caedusem. Kiedy Caedus stopniowo coraz bardziej szalał, Niathal starała się ograniczać jego ekscesy, aż w końcu zwróciła się przeciwko niemu. Obecnie emerytowana, mieszkała na Kałamarze.

- Merratt, nie znasz tak dokładnie jej działań jak ja. Trudno ją oskarżyć o cokolwiek, poza błędem, że niepotrzebnie zaufała Jacenowi Solo.

- Dokładnie ten sam błąd popełnił Luke Skywalker i został za niego skazany.

- Ale Cha Niathal jest jedną z nas.

- Zgoda i nie chciałbym, aby stała jej się krzywda. Nie zamierzam nawet zakłócać jej dobrze zasłużonej emerytury.

Jaxton wreszcie wyszedł na linię strzału.

- Atak - poleciał.

Robot ruszył w jego stronę. Jaxton pozwolił mu przebiec trzy kroki, podniósł miotacz i strzelił mu w głowę. Opuścił broń.

- Problem jednak w tym, że kontrolując jej działania i umarzając postępowanie przeciwko niej, wystawiłaś się na zarzut manipulacji. Oskarżają cię, że odpuszczając komuś na takim samym stanowisku, zamierzasz ustanowić precedens, na wypadek gdybyś to ty narozrabiała. Stąd te plotki.

Daala z irytacją pokręciła głową.

- To co, mam wytoczyć na nowo sprawę Niathal tylko po to, żeby uciszyć oszczerców?

- Zdziwiłabyś się, jak potężni są ci „oszczercy” i jak wielu ich jest. A chodzi o osądzenie, nie o prześladowanie. Znajdź trzech bezstronnych sędziów wojskowych, którzy nie poddają się naciskowi opinii publicznej i są dobrze znani w siłach zbrojnych. Niech stworzą sąd wojskowy. Uniewinnią ją, Niathal pojedzie do domu, a masy przestaną gadać.

- Nie podoba mi się to. - Daala miała ochotę zastrzelić robota jeszcze kilka razy, żeby uwolnić się od irytacji, ale zmieniła zdanie. - Reset. Wyjść z symulacji.

- Oczywiście, że ci się nie podoba. Ale chcesz czy nie, wydałaś wojnę Jedi. Dopóki ona się nie rozstrzygnie, wszelkie działania, jakie podejmiesz, będą uważane za stawanie po jednej stronie w wojnie dwóch przeciwników. Nie jest to dobre, zwłaszcza kiedy drugą stroną są twoi obywatele.

## ROZDZIAŁ 5

### Las deszczowy na Dathomirze

Ekspedycja Solo ruszyła tuż po świcie. Sha prowadziła, wyszukując i interpretując skąpe ślady pozostawione przez Luke'a, Bena i tajemniczą kobietę, która ich śledziła. Ścigacze Hana i Yliri podążały dostojnie jakieś sto metrów za nią, wykorzystując w nawigacji sygnały komunikatora Shy.

Wędrowali zaledwie od kilku minut, kiedy Leia poderwała się w fotelu pilota.

- Czuję Luke'a.

- Tak nagle?

- On... on jest... - Zmarszczyła brwi, koncentrując się. - Zanurza się w Mocy. Szuka czegoś.

Myślę, że przedtem unikał Mocy. Ben też. - Zamknęła oczy i przechyliła głowę. - Teraz on mnie też czuje. Wie, że tu jestem. Jest spokojny. W tej chwili nie ma zagrożenia.

- No, to już coś.

Leia spojrzała w prawo.

- Zawołajmy Shę i szybko ruszajmy w stronę Luke'a. Jeśli uda mi się utrzymać z nim kontakt, zaoszczędzimy mnóstwo czasu.

- Jak sobie życzysz.

### Port kosmiczny na Dathomirze

Poranne słońce wlewało się przez iluminatory „Sokoła Millenium”, ale w przedziale technicznym jedynym dostępnym źródłem światła były pręty żarowe w suficie.

Tu właśnie Allana znalazła C-3PO, siedzącego przed wypukłą osłoną modułu nadprzestrzennego. Wyskoczyła z cienia niczym potwór z dziecięcej bajki i stanęła nad złocistym robotem, podpierając się pod boki.

- Gdzie Artoo?

- Naprawdę nie wiem, panienko. - Skoro już został odkryty, Threepio niezgrabnie dźwignął się na nogi. - Gdzieś tu się kręci, jak sądzę.

- To znaczy gdzie?

- No, gdzieś blisko.

Spojrzeła na niego gniewnie.

- Znowu kłamiesz, Threepio. Anji i ja przeszukałyśmy całego „Sokoła”. Nie ma go tu.

Gdyby był, Anji by go znalazła. A ty się ukrywasz przede mną.

- Nigdy bym sobie na coś takiego nie pozwolił, panienko Allano.

- No więc co tu robiłeś?

- Dwa lata, cztery miesiące i trzy dni temu pan Han upuścił monetę do przedziału silnika.

Nigdy jej nie odnalazł. Od tego czasu moneta daje o sobie znać w czasie manewrów wymagających dużych obciążeń, turla się i brzęczy. To bardzo irytujące, doprawdy. I gdybym teraz mógł ją znaleźć...

- Dalej kłamiesz. - Głos Allany był raczej rozczarowany niż oskarżycielski. - Gdyby Artoo robił coś pożytecznego, powiedziałbyś mi. A więc robi coś, czego robić nie powinien... i może mu się stać krzywda.

- Robota nie można skrzywdzić, panienko. Najwyżej uszkodzić.

- Ale można też go porwać, torturować i rozebrać na części. To nie jest krzywda?

- No... technicznie nie.

- Powiesz mi, gdzie on jest, czy mam cię zanudzać przez cały dzień?

C-3PO wydał z siebie elektroniczne westchnienie.

- Wyszedł zeszłej nocy, kiedy położyliśmy cię spać, i nie wrócił. Ale uważam, że nie ma powodu do zmartwienia.

- Dokąd poszedł?

- Nie jestem pewien. Nagle zaczął coś bredzić o statku, który dostrzegł w jednej z kopuł gdzieś obok. Pewnie poszedł to sprawdzić.

- No to poszukajmy go.

- Nie, panienko. Albo nie ma w ogóle problemu, a wtedy sam do nas wróci, albo istnieje zagrożenie, a wówczas obowiązują ściśle rozkazy, żeby cię nie narażać. Przecież gdyby stała ci się krzywda, pan Han i pani Leia znaleźliby gdzieś nowego Wookiego, tylko po to, żeby mi powyrywał ręce i nogi.

- To dlaczego ty nic nie robisz?

- Monitoruję właśnie ulubione częstotliwości komunikacyjne Artoo. Tylko tyle mogę zrobić, pozostając tutaj.

Allana tupnęła gniewnie nogą, odwróciła się i pobiegła na szczyt rampy załadowniczej „Sokoła”. Była podniesiona i zablokowana. Allana wspięła się na palce i nacisnęła przycisk w ścianie, żeby ją opuścić.

Panel brzęknął, potwierdzając, że został uaktywniony, ale rampa nie opadła.

- Threepio! - wrzasnęła.

- Przykro mi, panienko. Rozkazy, sama rozumiesz.

## Las deszczowy na Dathomirze

Luke wiedział, że ich przeciwnik ma większą wiedzę na temat dzikich lasów Dathomiry, lepsze umiejętności tropiciela i władza Mocą, prawdopodobnie nie większą niż on sam, ale z pewnością lepiej przystosowaną do środowiska.

Luke musiał zatem zmienić zasady.

Kobieta, która ich śledziła, cały czas próbując spowolnić ich marsz lub zmylić drogę, opracowała sobie standardową procedurę. Manewrowała tak, aby w danym momencie znaleźć się z boku ich trasy, a potem zwabić ich w pułapkę lub wyprowadzić na manowce, pozostawiając fałszywy trop. Wielokrotnie tylko Moc pozwoliła im uniknąć chłoszczących gałęzi, gniazd jadowitych węży czy zjazdu po nieoczekiwanie stromym zboczem do rzeki.

Zastawianie pułapek i miotanie się po lesie jak pijany bantha wymagało czasu i większej interakcji ze środowiskiem niż zwyczajne śledzenie ofiar. W tej sytuacji Luke powinien bez trudu odnaleźć kobietę w Mocy.

Pozostawiając Bena na straży, usiadł na płaskim kamieniu i pograżył się w transie medytacyjnym Jedi. Po raz pierwszy od chwili, kiedy wyruszył na tę wyprawę, w pełni otworzył się na Moc. Szukał wokoło siebie, próbując stopić się w jedno z lasem. Jeśli mu się to uda, będzie mógł wyczuć nawet drobne zmiany, niewielkie obszary działań, które odpowiedzą mu coś na temat planów i położenia przeciwniczki.

Tymczasem nieoczekiwanie wyczuł Leię.

Ten nagły kontaktomal nie wyrwał go z transu, ale szybko opanował niepokój i wysłał siostrze lekkie dotknięcie krzepiącej myśli, odpowiednik uśmiechu w Mocy. A potem wrócił do swojego zadania.

Gdzieś w oddali, na sporym obszarze wyczuwał zwierzęta, nagle zaniepokojone i czujne, bo dotarł do nich głęboki pomruk z głębi ziemi. Było to jednak tylko łagodne drganie, drobne wydarzenie, które nie powodowało szkód. Pokręcił głową i zwrócił uwagę w inną stronę.

Blizny w gęstwinie puszczy... nowe rodzinne siedlisko na południowo-południowy zachód, w pobliżu portu kosmicznego, kawałek ziemi obnażony przez pożar, chata z prefabrykowanego permabetonu, którą właśnie wznoszono. Wyczuwał też inne blizny: mniejsze, spowodowane stopami rankorów przedzierających się przez poszycie, ale także większe, spowodowane migracją setek zwierząt lub ludzi.

A otóż i ona. Jej obute stopy miażdżyły trawę i mech porastający skalne występy, kiedy napinała sznur, który miał zmienić stos źle wyważonych głazów w śmiertcioną lawinę.

Nie była z tego zadowolona. Luke to wyczuwał. Nie cieszyło jej, że ta pułapka jest o wiele bardziej niebezpieczna od poprzednich. Nie chciała ich skrzywdzić. Chciała tylko, wręcz desperacko, żeby sobie poszli.

Luke zauważył, że nagle stała się czujna, wycofał się więc z kontaktu. Teraz już mniej wyraźnie wyczuwał, jak kobieta rozgląda się wokoło w przyływie paniki, ale po chwili się uspokaja.

Wyczuła go, ale nie rozpoznała. Widocznie jej władza nad Mocą w niektórych obszarach była ograniczona.



Luke wycofał się z transu i otworzył oczy. Wiedział już, gdzie znajduje się pułapka z lawiną kamieni i gdzie ich przeciwniczka zamierza czekać.

Spojrzał na syna. Ben wpatrywał się w niego z zatroskaną miną.

- Co się dzieje? - zapytał syna.

- Jesteś blady, tato.

- Naprawdę? - Luke spróbował wyczuć stan swojego organizmu.

Był zmęczony, bardziej zmęczony, niż powinien być po takim banalnym wysiłku w Mocy. Widocznie jeszcze nie wydobrał po wyczynach w Otchłani. Potrzebował wielu dni nieprzerwanego odpoczynku, ale nie mógł na to liczyć.

No cóż, niech i tak będzie. W tym stanie może działać jeszcze przez długi czas.

Wstał, na użytek Bena okazując więcej energii, niż czuł.

- Idziemy.

- Znalazłeś miejsce katastrofy?

- Co?

- Przyszło mi to do głowy, kiedy już wszedłeś w trans. Dziewczyna Sith gdzieś tu rozbiła swój statek. Przypuszczam, że zostawiłaby właśnie takie uszkodzenia lasu, jakich szukasz.

- Masz rację. - Luke zmarszczył brwi. - Ale nie znalazłem śladów katastrofy.

- Może wpadła do jeziora? Wtedy nie byłoby zniszczeń na powierzchni.

- No i byłoby to dobre wyjaśnienie, dlaczego wyprawa poszukiwawcza nie znalazła statku. - Luke skierował się na północny zachód. - Chodź, znajdziemy ją i zapytamy.

W ciągu godziny znaleźli się w miejscu, skąd mogli widzieć pułapkę zastawioną przez kobietę z Dathomiry. Teren wznosił się tu od stóp góry i wschodnie zbocze wąskiego kanionu, wymytego w zamierzchłych czasach przez dawno wyschnięty strumień, pełne było nieregularnych, białych kamieni.

Działań kobiety na stoku nie było widać. Cokolwiek zrobiła z linami, wszystko było dobrze ukryte.

Luke i Ben leżeli na sterczącej kamiennej płycie kilkaset metrów od przesmyku. Zakradli się tak cicho i ostrożnie, że Luke miał nadzieję, iż zaczajona na nich kobieta nie zauważyła ich przybycia. Mimo to nic nie skorzystali na kilkuminutowej obserwacji otoczenia. Będą musieli zająć się pułapką w sposób dosłowny.

- Wymyśliłem taktykę - głos Bena był nieoczekiwanie głęboki i dojrzały.

- Mianowicie?

- Kiedy kamienie spadną, zaczniemy przed nimi uciekać.

- Dzięki, że się tym zająłeś. Chodźmy. - Luke wstał i ruszył w kierunku osuwiska.

Nie wyczuwał kobiety w Mocy. Musiała się ukrywać. Jeśli nawet była blisko, to pewnie wolała nie patrzeć na kamienie. Narastające zniecierpliwienie, w miarę jak ofiary zbliżały się do pułapki, musiałyby ostrzec użytkowników Mocy... a z pewnością wiedziała, z kim ma do czynienia. Pewnie przebywa gdzieś blisko, ale nie zwróci na nich uwagi, dopóki nie usłyszy spadających kamieni.

Luke i Ben przebyli odległość od kryjóWKi do kanionu z pułapką w kilka chwil.

- Tu już nie jest tak parno - zauważył Ben dziwnie wesołym głosem.

- O co ci chodzi? - zapytał ojciec.

- Rozmawiamy - Ben zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. - Będzie wyglądało bardziej naturalnie.

- Masz rację. - Luke zrobił krok i postawił stopę na kamieniu, który przesunął się pod jego ciężarem.

Gdyby jego zmysły w Mocy nie były przygotowane na wykrywanie ruchu i każdego, nawet odległego przeczucia zagrożenia, nie wyczułby uruchomienia pułapki. Wysoko ponad nimi kamienie spiętrzone na nawisie zaczęły się toczyć wprost na ich głowy. Luke poczuł też mniejsze osuwiska na ścianie skalnej po prawej stronie, ale na razie prawdziwym zagrożeniem była sterta

kamieni, nabierająca właśnie prędkości na zboczu.

Luke odskoczył w górę, trochę w lewo. Wylądował stopami na kamienistym zboczu, w którym nie wyczuł wcześniej ingerencji kobiety. Poczł raczej, niż zauważył, jak Ben skacze i ląduje tuż obok niego.

Zbocze było prawie pionowe, ale odpychając się Mocą, Luke bez trudu podskoczył i wspiał się jakieś sześć metrów. Opadł na półkę plecami do zbocza, Ben zaraz za nim.

Obserwowali, jak kilka ton skał spada obok nich, zasypując całą przełęcz po obu stronach miejsca, w którym stali. Kolejne kamienie na przeciwległym zboczu odrywały się i leciały w dół, zderzając się z innymi.

- Spory kąt spadku - zauważył Ben, nie zmieniając konwersacyjnego tonu.

- Bardzo zmyślne. A teraz jej poszukamy.

Otwarli się na Moc, by trafić na ślad kobiety.

- O, nie - jęknął w pewnej chwili Luke.

- Przeliczyłeś się, co?

U wlotu rozpadliny, którą właśnie pokonali, pojawił się rankor. W garści trzymał sękatą drewnianą pałę, która musiała ważyć ze dwieście kilo. Na grzbiecie miał umocowane siodło, w którym siedziała krzepka, jasnowłosa kobieta w średnim wieku. Była ubrana w strój z błyszczącej skóry i miała wściekłą minę. Skoro rankor tak szybko znalazł się w tym miejscu, przypuszczalnie w reakcji na uruchomienie pułapki, musiał się ukrywać bardzo blisko. Możliwe nawet, że pod osłoną Mocy.

Kilkadziesiąt metrów dalej pojawił się drugi rankor. Nie miał pałki, za to był uzbrojony w metalową tarczę, taką samą jak ten, którego wcześniej spotkali. Obok niego biegła kobieta, którą Luke widział poprzedniego dnia, ta od Burzy Piorunów, a siodło na grzbiecie rankora zajmowała kolejna kobieta, tak podobna do niej, że wyglądały jak siostry. Amazonka miała na sobie płowy strój, a jej włosy lśniły białymi pasmami. Kobieta na ziemi wydawała się przerażona, ta w siodle zaś uśmiechała się triumfalnie.

Kolejne trzy kobiety, ubrane podobnie do pozostałych, pojawiły się po obu stronach przejścia. Biegły ku nim, pewnie stawiając kroki. Luke poczuł dotknięcie Mocy i spojrzł w górę. Trzeci rankor właśnie docierał na szczyt wzgórza, gdzie przedtem siedzieli Jedi. Ten był bez jeźdźca i nieuzbrojony, ale większy od pozostałych.

Luke spojrzł na syna.

- Kiedy widziałem tę kobietę, nie miała towarzystwa - powiedział.

- Kłopotliwe, nie?

- Trochę.

- Co powiedziałby w takiej chwili któryś z twoich starych mistrzów?

- Teraz to nieważne. - Luke zwrócił się w stronę kobiety, którą śledzili. - Miło wreszcie cię poznać! - zawołał do niej.

Spojrzała na niego poważnie i już chciała odpowiedzieć, ale kobieta w siodle machnęła ręką i przez przełęcz przebiegł nagły podmuch wiatru, spychając Bena z jego grędy i zrzucając w dół zbocza.

Luke z westchnieniem porzucił technikę Mocy utrzymującą go w miejscu i ruszył za synem.

- Pospiesz się - przynaglała niecierpliwie Leia.

Han miał zaciętą minę. Nie był w stanie wycisnąć ze ścigacza ani trochę więcej, widocznie pojazd osiągnął maksimum swoich możliwości. Mógł jedynie oszczędzać mikrosekundy ryzykownymi manewrami. Skręcając to w lewo, to w prawo, aby uniknąć coraz rzadszych drzew, o centymetry minął pień, który omal nie stał mu farby z burty.

Z fotela z tyłu dobiegł zdławiony okrzyk Dyona, słyszalny nawet poprzez wycie silnika. Han nie zwracał na to uwagi. Młodemu na pewno przyda się trochę urozmaicenia w życiu. Cóż, miał okazję.

Wystrzelili poza ostatnie drzewa na wznoszący się, kamienisty teren i pokonali łagodne

zbocze. Wzrok Hana od razu spoczął na ogromnym rankorze, stojącym na szczycie pobliskiego wzgórza. Stwór patrzył w dół i ryczał.

- A niech to - zaklął Han.

Leia pokręciła głową.

- Rankory to nie problem.

- Skąd ta liczba mnoga?

- Gorzej, że są tam Wiedźmy.

Zbocze doprowadziło ich do kamienistej rozpadliny i Han nagle zrozumiał, o czym mówiła Leia. W głębi kanionu zobaczył Luke'a i Bena - jednego w bieli, drugiego w czerni - jak klucząc, uciekali przed wirującymi wokół głazami wielkości głowy. Kamienie mogły bez trudu zmiażdżyć im czaszki. Po obu stronach niebezpiecznej strefy stały rankory z jeźdźcami na grzbietach, w towarzystwie trzech czy czterech Wiedźm z Dathomiry. Kobiety gestykulowały, utrzymując w ruchu potencjalnie śmiertelne kamienie za pomocą zaklęć Mocy.

Han skręcił prosto na wejście do kanionu. Wiedźmy jeszcze ich nie spostrzegły. Może hałas i zamieszanie zmniejszyła ich czujność na kilka sekund.

- Za dużo ich tu - mruknął Han.

- Dlaczego Ben i Luke nie używają mieczy świetlnych? - zdziwiła się Leia. Trzymała swój miecz z kciukiem na przycisku, ale jeszcze go nie zapalała.

Wiedźmy i rankory nie zdawały sobie na razie sprawy z obecności Hana i jego ścigacza, nawet kiedy zagłębił się w kanion. Wyłączył napęd, skręcił w lewo i uruchomił repulsory na pełną moc, kierując ścigacz w stronę najbliższej grupy wrogów.

Każdy mniej sprawny pilot uderzyłby dziobem ścigacza w ścianę, zabijając wszystkich na pokładzie. Han nic nie widział, ale czuł, jak repulsory trafiają na przeszkody. Rozległ się wrzask Wiedźm, pryskających z ich drogi. Hamowanie pod niewłaściwym kątem wcisnęło Hana w siedzenie.

Nagle zatrzymali się, czując miazdzące przeciążenie. Silniki zgasły. Zanim zadziałała grawitacja, Han pomyślał, że niewielu pilotów odważyłoby się na taki manewr. Oprócz niego może Jaina, Luke, Wedge, Tycho. I tyle.

Leia i Dyon wyskoczyli na prawą burzę, skierowaną prosto w niebo. Każde z nich wylądowało z jednej strony rankora. Ścigacz ruszył w lewo, muskając nogi zwierzęcia. Rankor rzucił się na niego i spadł z dwóch lub trzech metrów, uderzając w kamieniste podłoże kanionu.

Łądowanie wybiło Hanowi powietrze z płuc. Zwyciężył jednak instynkt pilota, znajdującego się w rozbitym pojeździe - trzeba wydostać się i uciekać. Oszołomiony, wytoczył się ze ścigacza i odturlał jak najdalej. Kiedy podniósł się na nogi, chwiejnie stanął twarzą w twarz z jedną z Wiedźm. Rudowłosa kobieta wyglądała na wściekłą. Han jeszcze nigdy nie widział nikogo tak wkurzonego, z wyjątkiem Leii.

Ktoś właśnie strzelił do jego żony; promień ogłuszający trafił ją w twarz i upadła. Zorientował się po chwili, że to on strzelał. Wskaźnik ładowania jego miotacza opadł o jeden. Jak to dobrze, że posłuchał Leii i przełączył na promienie ogłuszające. Rzadko to robił.

Parę metrów od niego Luke i Ben wspólnie odpychali Mocą coraz rzadszą falę lecących z góry kamieni. Ben skoczył w górę, machnął nogą i trafił ciemnowłosą Wiedźmę w splot słoneczny. Kobieta upadła. Leia z mieczem świetlnym w dłoni i nieuzbrojony Dyon miotali się we wszystkie strony, celując w kolejne Wiedźmy.

Najbliższy rankor odwrócił się, ryknął na Hana i podniósł pałkę.

Han przykucnął, zastanawiając się, w którą stronę lepiej uskoczyć, kiedy strzał z miotacza - niosący większą energię niż jakikolwiek z jego pistoletów - trafił rankora w środek piersi. Skóra zwierzęcia zasyczała i poczerniała. Rankor, zraniony, ale nie obezwładniony, zatoczył się w tył i zawył gdzieś za plecami Hana.

Han odważył się spojrzeć przez ramię. W oddali, pod szczytem najbliższego wzniesienia, pojawił się ścigacz towarowy Yliri. Obok niej, na przednim siedzeniu, klęczał Carrack, opierając rusznicę o owiewkę. Sha i Tarth trzymali się kurczowo tylnych siedzeń.

Obejrzał się w samą porę, żeby dostrzec rankora, który pędził w jego stronę, chcąc

zaatakować nadlatujący ścigacz. Han odskoczył w bok. Podczas ciężkiego galopu zwierzęcia Wiedźma trzęsa się w siodle, przez co trudno jej było zastosować jakieś zakłęcia. Kiedy zwierzę przebiegało obok, Han wystrzelił, trafiając Wiedźmę w plecy.

Ścigacz Yliri ruszył na nadbiegającego rankora, ale nagle skręcił w lewo i nabrał wysokości. Rankor zamachnął się pałką, ale chybił spód ścigacza o kilka metrów. Pojazd skierował się na zbocze wzgórza po lewej, gdzie stało największe zwierzę.

Drugi strzał z miotacza Carracka trafił rankora w czoło. Stwór zatoczył się, a w tym momencie ścigacz Yliri znalazł się na szczycie i skręcił w manewrze wstecznym, redukując prędkość niemal do zera. Jego lewy tylny panel wyrzucił rankora w tył głowy, i nie był to wypadek.

Rankor wyrzucił ramiona w powietrze, a na jego pysku pojawił się prawie komiczny wyraz przerażenia. Zwałił się na zbocze i stoczył po nim aż do kanionu, ciągnąc za sobą lawinę kamieni i wyrwanych krzaków.

Luke, stojący kilka metrów stamtąd, uniósł rękę i wykonał gest odepchnięcia. Następny rankor odskoczył w tył i padł, przygniatając jeźdźca.

Ben pomachał do Leii, mówiąc coś, czego Han nie mógł dosłyszeć. Leia, która właśnie załatwiła kopniakiem w brzuch następną Wiedźmę, wyłączyła miecz świetlny i rzuciła go Benowi. Miecz trafił prosto w jego wyciągniętą dłoń.

Ben zapalił go i przyłożył płonące ostrze do gardła kobiety, którą przed chwilą kopnął. I walka dobiegła końca.

## ROZDZIAŁ 6

### **Kompleks ambasady Imperium Galaktycznego, Coruscant**

Biuro, wyłożone tradycyjnymi, drewnianymi panelami i umeblowane w sposób równie tradycyjny miało w sobie coś bezosobowego, co moffowi Lecersenowi bardzo się podobało. Nie należało na stałe do żadnego przedstawiciela Imperium i przydzielano je w miarę potrzeb różnym oficerom wysokiej rangi, a urządzić je można było w kilka sekund. Adiutant admirała, generała lub moffa, który miał go używać, wchodził, wsuwał kartę z danymi w szczelinę biurka i rozpoczynała się transformacja. Holoekrany na ścianach ożywały ulubionymi obrazami VIP-a; na to spotkanie Lecersen wybrał widok na doki kosmiczne i platformy konstrukcyjne statków orbitalnych. Karta danych podawała informacje o pożądanej temperaturze wnętrza, zapachach, dostępnych rozrywkach, zestawie napojów, jaki powinien znaleźć się w małym barku i o innych szczegółach. W wyjątkowo ekskluzywnych przypadkach wymieniano także odcień i teksturę zmiennobarwnych dywanów i ścian.

Wszystkie te informacje wymagały jedynie chwili na przekazanie. Potem adiutant, jeśli wiedział, co dla niego dobre, kolejną godzinę spędzał na poszukiwaniu urządzeń podsłuchowych i rejestracyjnych. Szkoda, że także tej czynności nie można było powierzyć karcie danych.

W powietrzu, schłodzonym do ulubionej temperatury, wśród ścian pyszniących się pokazem militarnej siły w produkcji, Lecersen uśmiechał się niczym pantera piaskowa do swojej przyszłej ofiary. Po drugiej stronie jego biurka siedziała Haydnat Treen, pani senator z Kuat. Szczupła, imponująca kobieta w wieku około osiemdziesięciu standardowych lat ubrana była w złotobrazowe szaty, uszyte według najświeższej mody z Kuat. Srebrzystobiałe włosy wyzierały spod złotego szala. W dłoni z arystokratycznym wdziękiem trzymała filiżankę bardzo mocnego i bardzo gęstego kawy, a uśmiech, jakim obdarzała Lecersena, był odbiciem jego uśmiechu.

- Możesz sobie wyobrazić moje zaskoczenie - mówił moff - kiedy przeprowadziwszy prywatne śledztwo w sprawie niedawnej próby porwania naszego przywódcy, nie znalazłem dowodów wskazujących na żadnego z murowanych podejrzanych.

- Mówisz o moffach?

- Nie byłoby mądrze z mojej strony, gdybym zaprzeczył. Tak, oczywiście. O moffach.

- A sprawdziłeś we własnym biurku? - zapytała Treen. - Może to był jeden z twoich planów, wymyślony, kiedy chodziłeś we śnie.

- Tak, to by wyjaśniało, czemu ten plan był tak kompletnie nieudany.

Nie chwyciła przynęty, sączyła dalej swój kaf.

- Nakazano przeprowadzenie dokładniejszego śledztwa - ciągnął Lecersen. - Na szczęście jeden z banków na Borleias, wykorzystanych do transakcji, posiadał kopie swoich ksiąg. Takie kopie, których z reguły nie pokazuje się władzom, bo nie są całkiem czyste. Strumień kredytów prowadził prosto do importera pojazdów na Coruscant, który doprowadził nas do firmy budowlanej na Kuat, a stamtąd... do ciebie.

- Twoje oskarżenie po prostu mnie załamało. Chyba zemdleję.

- Ależ proszę bardzo. Wiem, że zrobisz to z wdziękiem i że odstawisz kaf na stolik, zanim upadniesz. Już się cieszę na ten spektakl.

Treen nie zemdląca, a uśmiech nie schodził z jej twarzy.

- A zatem - ciągnął Lecersen - pozwól, że zapytam: po co senator z Kuat miałaby porwać imperialnego przywódcę?

- Ach, to taki przystojny mężczyzna... - Treen spojrzała na niego karcąco. - A tak naprawdę, oczywiście chciałam, abyś to ty został imperatorem.

- Rozumiem - zamrugnął Lecersen. Nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwał. Właściwie nie spodziewał się z jej strony żadnego wyznania. A teraz, kiedy je usłyszał, musiał się zastanowić, co z nim zrobić. Nie miał władzy ani na Kuat, ani tutaj, więc być może musiałby przekazać dowody władzom SG.

Ale może jemu też się coś dostanie.

- Chociaż... właściwie nie rozumiem - powiedział po chwili.

- Z przyjemnością cię oświecę. Czy możesz mi towarzyszyć do ambasady Kuat?

- I co, odurzyście mnie i założycie mi worek na głowę?

- Ależ skąd. Wolę, żeby nowy imperator patrzył na mnie z szacunkiem i wdzięcznością, a nie z irytacją. Ale możesz wziąć ze sobą ochronę, proszę bardzo. Upewnij się tylko - zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu - że możesz im absolutnie zaufać.

Pół godziny później, w towarzystwie dwóch ochroniarzy, zadłużonych wobec niego tak mocno, że miał ich w rękę, Lecersen ruszył wraz z senator Treen wykładanymi marmurem korytarzami ambasady Kuat. Sklepione łuki oddzielały boczne przejścia i funkcjonalne pomieszczenia, gdzie przeważnie panowały mrok i cisza. Gdyby tak wynieść stąd i sprzedać ten kremowy, błękitno żyłkowy marmur, który pokrywał wszystkie widoczne powierzchnie, wystarczyłoby na fabrycznie nowy niszczyiciel gwiazdny, pomyślał Lecersen.

- Byłam senatorem przez rok w czasach, kiedy Palpatine doszedł do władzy - opowiadała mu Treen. - Wiesz, jaki był jego największy błąd?

- Że cię rozzłościł?

Uśmiechnęła się znowu.

- W pewnym sensie. O, pierwsze lata Imperium były wspaniałe. Podatki niestety wzrosły, ale gospodarka planetarna rozkwitała, kiedy zdjęto te wszystkie śmiesznie przepisy republikańskie. Nie, błędem Palpatine'a było tłumienie głosów przywódców planetarnych. To tak, jakby generał nagle oświadczył, że nie będzie gadać z nikim niższej rangi. Kiedy Palpatine zawiesił Senat, zrozumiałam, że ogarnęło go szaleństwo.

- Bardzo ciekawe - skłamał moff.

Poprowadziła go wraz z ochroniarzami do bocznej komnaty. Pręty żarowe wzdłuż sufitu zapłonęły, kiedy weszli. Ściany pokryte były holopanelami, z których każdy w pięciosekundowych odsłonach pokazywał nieruchome obrazy z Kuat z pierwszych dni imperium Palpatine'a, flotylle zbudowanych na Kuat statków, publiczne wystąpienia ubranego na czarno Imperatora i Dartha Vadera.

Senator westchnęła głęboko.

- Tęsknię za Imperium... w jego oryginalnej, sympatycznej formie. Myślę, że ty mógłbyś je nam przywrócić.

- Jestem wzruszony twoją wiarą. Ale porwanie Jaggeda Fela nie uczyni mnie imperatorem.

- Nie, ale mógłby to być pierwszy krok. A kolejne już są zaplanowane. Mistrzowsko zaplanowane, zaznaczam.

- Mów.

- Po pierwsze, ten chłoptaş Fel musi zostać wyeliminowany, ponieważ nie może być przywódcą, kiedy Imperium Galaktyczne doświadcza połączenia z Sojuszem Galaktycznym.

- Myślałbym raczej, że jesteś przeciwna ponownemu złączeniu.

- O nie, od tego zależy przebudzenie potężnego, zdrowego Imperium.

- Wszystko, co mówisz, jest zaskoczeniem...

- Jeśli ponowne zjednoczenie dokona się pod rządami Fela, wówczas to on zbierze całą chwałę. Jeśli zaś Fel zniknie lub umrze, chwała przypadnie jego następcy. A kto jest najbardziej prawdopodobnym kandydatem na następcę, jeśli nie ty?

- Właściwie to racja. A więc jestem przywódcą, następuje ponowne zjednoczenie i teraz jestem drugą co do potęgi osobą w galaktyce. Drugą, ale bardzo daleko za prezydentem Sojuszu. Skinęła uprzejmie głową, wyraźnie zadowolona z tego, że Lecersen ją rozumie.

- A teraz słuchaj uważnie. Kilka lat temu do władzy doszła Natasi Daala. To paskudna baba. Wciąż cierpimy przez jej fatalny wpływ na Imperium.

Lecersen prychnął.

- To przez nią połowa moffów to teraz kobiety. Naprawdę trudno mi uwierzyć, że senator z Kuat się temu sprzeciwi.

- Nie sprzeciwiam się, ale to by i tak się stało. Ostatecznie i nieuchronnie. Mówię o tej idiotycznej tendencji, aby promować nie ludzi niezgodnie z poziomem ich kompetencji. Widać, że Daala nie ma rozumu. To jeszcze jeden powód, że Fel musi odejść, oczywiście. Pomimo swojego pochodzenia w głębi duszy wciąż pozostaje Chissem, a nie człowiekiem.

- Rozumiem. - Lecersen powstrzymał się od komentarza. Ta kobieta, choć wypowiadała przekonania milionów tradycyjnych zwolenników Imperium, brzmiała coraz bardziej jak użytkownik psychotropów.

- W każdym razie Daala zrobiła dla nas jedną użyteczną rzecz. W wyniku II Galaktycznej Wojny Domowej zaproponowała Senatowi nową ustawę o nadzwyczajnych kompetencjach, a Senat ją przyjął.

- Tak, ta ustawa daje pani prezydent ogromną moc do wykorzystania... ale Senat zawsze może zamrozić wydatki rządu i załatwić ją na dobre.

- Nie do końca. - Uśmiech Treen stał się konfidencjonalny. - Po pierwsze, dopilnowałam, aby w ostatecznym kształcie ustawy znalazła się klauzula, mówiąca, że prezydent nie może zawiesić Senatu. Po drugiej, to nie sam Senat może związać jej ręce poprzez zamrożenie budżetu, tylko Komisja do spraw Zawłaszczeń i Wydatków. Kiedy ustawa zostanie wprowadzona, kontrola istniejącego budżetu przechodzi na Komisję i to ona w dalszym ciągu kontroluje wydatki i transakcje finansowe.

Lecersen zmarszczył brwi. Wreszcie zaczął widzieć sens w zarysie planu Treen.

- Zaraz, zaraz. Będziesz potrzebować...

- Będziemy potrzebować większości senatorów z Komisji Zawłaszczeń i Wydatków. A także dowódców sił zbrojnych, którzy również otrzymają specjalne kompetencje, jeśli ustawa zostanie zastosowana. Już oni dopilnują, aby cały budżet Sojuszu Galaktycznego poszedł tam, gdzie trzeba... i aby zapanował porządek. A więc potrzebujemy przywódcy, któremu będzie można zaufać, że zrobi to, co trzeba.

- A teraz wyobraź sobie taką sytuację - ciągnęła Treen. - Imperialny przywódca znika, zostaje zabity lub obalony. Może nawet wystarczy, że zostanie przyłapany w odpowiednich okolicznościach z tą swoją kochanką Jedi. Może kupił jej jakiś księżyc, albo coś podobnego. Moff Lecersen zostaje nowym przywódcą, niechby tylko tymczasowo.

Lecersen skinął głową.

- Mów dalej.

- Wybuchła kryzys, wszystko jedno gdzie. Pracuję nad kilkoma potencjalnie użytecznymi projektami, a ty mógłbyś mi pomóc. Doradcy znajdujący się blisko prezydent Daali zalecają zastosowanie Ustawy o kompetencjach nadzwyczajnych. Odpowiedni nacisk, trochę szumu i ona to zrobi. Ale sytuacja wciąż się pogarsza, poparcie dla Daali spada na łeb, na szyję... nad tym też pracuję, a ona pomaga mi jak może tą historią z Jedi... i musi wreszcie zrezygnować. Trzeba wybrać nowego prezydenta, choćby tymczasowo. A niektóre z największych ośrodków władzy w Sojuszu Galaktycznym, na przykład Kuat, jej sprzymierzeńcy i nowe Imperium, mają już swojego kandydata. A raczej kandydatkę.

- Haydnat Treen, oczywiście.

- Prezydent Treen, jeśli łaska.

- Ale w twoim planie jest jedna wielka luka. Komisja Zawłaszczeń i Wydatków oraz dowódcy sił zbrojnych.

- Myślisz, że to luka?... - odchrząknęła tak donośnie, jakby znajdowała się na scenie.

Jeden z holowyswietlaczy ściennych, wysoki od podłogi do sufitu, odsunął się na bok, odsłaniając ukryty za nim pokój. Wyszedł z niego człowiek.

Był wysoki i okropnie stary. Włosy miał cienkie i białe, skórę niczym flimsi rozciągnięta za mocno na szkielecie. Ubrany był w dobrze skrojony strój, który kiepsko maskował trupią chudość jego ciała. Ruszył przed siebie powolnym, rozważnym krokiem człowieka, którego nie obchodzi, że inni muszą na niego czekać i który zdaje sobie sprawę, że każde potknięcie może spowodować upadek, w którym połamie kości.

Podszedł do Treen i Lecersena, podając delikatną dłoń temu ostatniemu.

- Moff Lecersen, witam - głos miał cienki i cichy.

- Senator Bramsin! - Lecersen ostrożnie ujął dłoń starszego mężczyzny i uściśnął ją.

Fost Bramsin był senatorem z Coruscant i zajmował to stanowisko z przerwami od dziesięcioleci. Ostatnią przerwę w piastowaniu stanowiska miał w okresie, kiedy Coruscant została poddana vongizacji w czasie wojny z Yuuzhan Vongami. Od czasu, kiedy Nowa Republika doszła do władzy, wrócił na swoje stanowisko senatorskie, sumiennie nadzorując przydziały funduszy z podatków do budżetu.

- Jestem zaskoczony, że pana tu widzę - ciągnął Lecersen.

- Nastąpił nagły zwrot - rzekł starzec.

- Właśnie - dodał Lecersen.

- Ostatnia wojna była katastrofą. - Bramsin zawahał się, ważąc słowa. - Katastrofą, która nigdy by się nie zdarzyła w uporządkowanym społeczeństwie. Nowy rząd to też katastrofa. Narzuca coraz surowszą kontrolę, zupełnie jak Palpatine u schyłku swojej władzy. Uchwala nieprzemyślane, reakcyjne prawa. To się musi skończyć.

- Zgadzam się.

- Chcę przed śmiercią zobaczyć, jak ktoś przywraca porządek, rozsądny porządek. Czy jesteś odpowiednią do tego osobą?

- Tak sędzę.

- Lepiej, żebyś był. - Bramsin odwrócił się i rozpoczął mozolny powrót do miejsca, z którego przyszedł.

- Dzięki niemu mamy większość senatorów w Komisji. - Treen mówiła szeptem, żeby jej głos nie doszedł do uszu starca.

- A dowódcy wojskowi?

- Mamy Dywizjon Myśliwców i armię. Pracujemy nad flotą.

- Chciałbym mieć jasność i uniknąć niedopowiedzeń: Czego ode mnie chcesz? Poza przywróceniem porządku.

- Wielkiego Moffa sektora Coruscant. I czterech kolacji z tobą.

Lecersen stłumił śmiech.

- Czterech? Dlaczego nie czternastu?

- Bo jeśli w ciągu czterech kolacji nie zdołam cię przekonać, żebyś mi się oświadczył i

zrozumiał, że to ja powinnam być pierwszą Imperatorową odnowionego Imperium, będę musiała przyznać się do klęski... i zadowolić się statusem i bogactwem najpotężniejszego Wielkiego Moffa galaktyki. - Klepnęła go w policzek. - Ty i twoi ludzie traficie sami do wyjścia, jak sądzę.

Odwróciła się i odeszła.

Lecersen stał przez chwilę nieruchomo.

To może się udać, pomyślał.

### **Biuro prezydenta, budynek Senatu, Coruscant**

Jaxton miał rację, choć ta sprawa pozostawiła po sobie gorycz. Pomruki niezadowolenia w siłach zbrojnych były coraz mocniejsze. Sytuacja wymagała ofiary. Daala wciąż jednak czuła się niepewnie, kiedy czekała w sali łączności na techników, którzy mieli nawiązać połączenie. Tej niepewności nie mogła się pozbyć niezależnie od tego, jak bardzo starała się zmusić do posłuszeństwa swój zorganizowany wojskowy umysł.

Dyżurny oficer łącznościowy, Bothanin o ciemnym futrze, podniósł głowę i spojrzał na nią.

- Dotarłem do jej asystentki - powiedział. Głos miał neutralny i opanowany, jak u każdego Bothanina o aspiracjach politycznych. - Właśnie nas łączy. Gotowi do wejścia na wizję za pięć, cztery, trzy... - Odliczając, podnosił odpowiednią liczbę palców i zamilkł po trzech, dalej odliczając już tylko palcami.

Zapłonęła strefa odbioru sali, okrągła, otwarta przestrzeń z antenami projektorów holokomu skierowanymi z sufitu. Najpierw ukazał się wir kolorów, który wykrystalizował się w jaskrawy, trójwymiarowy obraz. Większość strefy wydawała się wypełniona czystą wodą: jaskrawożółte ryby z czarnymi pionowymi paskami przemykały stadkami to tu, to tam.

Pośrodku tego obrazu unosiła się Kalamarianka, ubrana w prostą białą szatę, strój odpowiedniejszy na lądzie niż pod wodą. Naturalnej wielkości hologram odwrócił się lekko, aby skierować wprost na Daalę spokojne, niewzruszone spojrzenie. W jej wzroku nie było wrogości, z jaką Daala zwykle się spotykała, kiedy miała do czynienia z Kalamarianami lub Quarrenami; wrogości, którą zapoczątkowały jej działania militarne skierowane przeciwko ich planecie wiele lat temu.

- Admirał Daala - głos Niathal miał dziwny, głuchy ton, właściwy mówiącym pod wodą. - Jestem zaszczycona.

Daala skinęła głową z szacunkiem.

- Admirał Niathal. Dziękuję za odebranie rozmowy. Czy to twój dom?

- Spokojne miejsce w pobliżu mojego biura. Kiedy asystent odebrał twoje wezwanie, przygotował dla mnie przenośny system holokamer.

- Bardzo wygodne. - Daala wiedziała, że ona sama nie wygląda ani w części na tak wypoczętą i spokojną jak Niathal. Ubrana w oficjalny, biały mundur admiralski, wyprostowana na baczność, jaskrawo oświetlona przez światła otaczających ją holokamer wiedziała, że stanowi sztywny, posępny zwiastun zagrożenia.

I nie mogła od tego uciec.

- Doceniam również, że zdecydowałaś się zobaczyć z moim emisariuszem - powiedziała.

- Właśnie... mamy wyznaczone spotkanie na jutro. Dlatego jestem tak zaskoczona, że kontaktujesz się ze mną dzisiaj.

- Pani admirał, na jutrzejszym spotkaniu mój wysłannik przekaże ci dwa dokumenty: wezwanie do sądu i nakaz niezwłocznego powrotu na Coruscant.

- Przypuszczam, że na proces.

Daala skinęła głową.

- Główne zarzuty dotyczą zaniedbania obowiązków...

- Podobno nie dostrzegłam stopniowego upadku pułkownika Jacena Solo, który ostatecznie doprowadził go do zbrodni przeciwko wszystkim gatunkom rozumnym.

- Tak. - Daala poczuła współczucie dla pani oficer w niełasce. Pozwoliła, aby uwidoczniło



się to na jej twarzy. - Skontaktowałam się z tobą jak jeden prezydent z drugim. Chciałam ci okazać szacunek i uznałam, że zaskakiwanie cię byłoby... niestosowne. Mam nadzieję, że potrafisz oba odeprzeć, a co najmniej zmniejszyć zarzuty. Opinię publiczną można przekonać, aby nie żądała krwi. Będą tylko chcieli przyznania się do błędu.

Niathal westchnęła.

- No cóż, to mamy problem. Ja mam problem, ale wy także. Moje czyny, które uznajecie za najbardziej skandaliczne, to znaczy wsparcie dla Solo, w żadnym wypadku nie mogą być uważane za błąd.

Daala poczuła zaskoczenie.

- Tak uważasz? Nawet z dystansu wielu lat?

- Co to jest błąd, pani admirał? - w chropowatym głosie Niathal zabrzmiało coś w rodzaju rozbawienia. - To decyzja, w której przynajmniej jeden czynnik jest niebezpieczny, toksyczny albo kompromitujący, ale liczymy na to, że doprowadzi nas do celu. Jeśli jednak nie wiemy z góry o takich czynnikach, czy można mówić o błędzie? Jeśli wyjdiesz na pole i grunt nagle zapadnie ci się pod nogami, czego nie mogłaś żadnym sposobem przewidzieć, czy twoją decyzję można nazwać błędem? Chyba nie. - Niathal obróciła się z boku na bok, naśladując ludzkie kręcenie głową. - Nie było sposobu, aby przewidzieć, że Jacen Solo stanie się tym, czym się stał. Więc nie ma mowy o moim błędzie. I jeśli zwieszę głowę i przyznam się do nieistniejącego błędu, opinia publiczna mi tego nie wybaczy. Będzie żądać mojej krwi. Ten proces stanie się klęską, wstydem i kompromitacją floty, bitwą, w której wszystkie strony przegrywają.

- Przykro mi. - Daala mówiła szczerze, ale nie zmieniła twardego, profesjonalnego tonu. - Ale nie mam wyboru.

- Ale ja mam.

Daala zmrużyła oczy, uważnie przyglądając się swojej poprzedniczce.

- I co wybierzesz?

- Zrobię dokładnie to, o co prosisz. Jeśli chcesz, abym przybyła na Coruscant, uczynię to.

Daala skinęła głową.

- Dziękuję, pani admirał.

- To ja dziękuję, pani admirał. Za ostrzeżenie w porę.

Daala spojrzała na swojego oficera łącznościowego. Obraz Niathal znikł, podobnie jak sprzed oczu Niathal znikł obraz Daali w całej jej mundurowej świetności.

Daala odwróciła się od strefy nadawania i skierowała z powrotem do biura, nie zwracając uwagi na swoją świtę ochroniarzy i urzędników. Słowa Niathal naprawdę nią wstrząsnęły, ponieważ były prawdziwe. W polityce, tak jak na wojnie, można było zrobić wszystko jak należy, nie popełnić pozornie żadnego błędu, a i tak ponieść porażkę. A Niathal, skoro nie zamierza odegrać roli skruszonego winowajcy...

...skoro nie zamierza kłamać...

Zostanie zniszczona.

## ROZDZIAŁ 7

### Wzgórza w pobliżu przełęczy Redgill

W dziesięć minut po zakończeniu walki wszystko okazało się całkiem proste.

Dziewięć Wiedźm z Dathomiry z rękami skrępowanymi z tyłu siedziało lub leżało na kamienistym gruncie - wszystkie, z wyjątkiem kobiety dosiadającej drugiego rankora, tej w płowym stroju i z pasmami we włosach, która złamała prawe przedramię, kiedy wierzchowiec ją przygniótł. Yliri opatrzyła jej złamaną rękę, ale pacjentka odmówiła leczenia przez Dyona. Nie została związana, a jedynie rozbrojona. Wiedźmy miały różne miny - od wściekłości do profesjonalnej neutralności.

Trzy rankory upchnięto w głębi kanionu, gdzie lizały swoje rany. Największy z nich odniósł najpoważniejsze obrażenia; miał poparzoną głowę i niezliczone skaleczenia i zadrapania, które odniósł, spadając w dół kamienistego zbocza.

Sha Bez Plemienia stała razem z Hanem, Leią, Lukeiem i Dyonem.

- To Klan Deszczowych Liści - wyjaśniła. - Bardzo tradycyjny, rządzony przez kobiety. Jakies dziesięć lat temu przeżyły katastrofę, ale nikt z klanu nie chce o tym mówić z obcymi. Zdaje się jednak, że wtedy zginęły wszystkie starsze Wiedźmy. Znajdujemy się daleko na północ od ich terytoriów, nie mam pojęcia, dlaczego się tu znalazły.

Luke uśmiechnął się szeroko.

- No to ich spytajmy.

- Nie powiedzą ci. Taką mają tradycję.

Luke odwrócił się i podszedł do uwięzionych Wiedźm. Pozostali podążyli za nim. Stał przed czarnowłosą kobietą, która przez cały czas śledziła jego i Bena, ale to ta ze złamaną ręką przemówiła pierwsza:

- Jeśli nas zabijecie, nasze rankory was pożrą. Tylko nasza wola trzyma je z daleka.

Luke spojrział na nią z łagodnym wyrzutem.

- Chyba wiesz, że te zwierzaki nie będą przeszkodą dla trójki Jedi, a nawet dla ludzi, którzy z tymi Jedi podróżują. Zresztą nie mamy zamiaru was zabijać. W końcu ta dama - wskazał na czarnowłosą Wiedźmę - zachowywała się wobec nas bardzo przyzwoicie. Aż do tej ostatniej pułapki próbowała perswazji, nie czyniąc nam krzywdy.

Kobieta ze złamaną ręką pogardliwie spojrziała na swoją rodaczkę. Tak samo krytycznie patrzyła jasnowłosa Wiedźma, której zielono-czerwono-żółty skórzany strój sugerował, iż surowca na niego dostarczył wbrew woli jakiś jadowity wąż.

- Dlaczego zmieniłaś taktykę? - zagadnął Luke.

- Nie można was było skłonić do powrotu - powiedziała niechętnie czarnowłosa kobieta. Głos miała gardłowy i niski, jak u śpiewaczki kabaretowej w podrzędnej dzielnicy. - Nie wolno wam było iść dalej.

- Dlaczego?

Nie odpowiedziała.

Luke westchnął i usiadł przed nią.

- Jeśli nie zaczniemy rozmawiać, nie znajdziemy rozsądnych rozwiązań. Zacznijmy od przedstawienia się. Jestem Luke Skywalker.

Tym razem Wiedźmy zareagowały i popatrzyły po sobie. Luke skorzystał z chwilowej przewagi i ciągnął:

- Są tu także Leia i Han Solo, moja siostra i szwagier, oraz mój syn, Ben. Przypuszczam, że cała reszta to eskorta Leii i Hana.

- Jestem Kaminne Sihm, przywódczyni Klanu Deszczowych Liści. - Czarnowłosa skinieniem wskazała teraz na kobietę z pasemkami. - To moja siostra, Olianne, nasza pierwsza wojowniczką. - Przyszła kolej na Wiedźmę w wężowym stroju i na atletkę. - Te dwie to Halliava Vurse, instruktorka zwiadowców, oraz Firen Nuln, treserka rankorów.

Olianne, nagle zniecierpliwiona, pochyliła się ku siostrze. Luke ledwie słyszał jej słowa.

- Nie ekscytuj się tak. To nieważne, kim oni są.

- Właśnie, że ważne. - Kaminne zadumała się na chwilę. - W gruncie rzeczy to wszystko by się nie wydarzyło bez Luke'a Skywalkera. On i jego przyjaciele mogliby zostać naszymi doradcami.

- Nie rób tego.

Luke zachował milczenie. Wydawało się, że szala sporu przechyliła się na jego korzyść. Postanowił nie wywierać żadnego wpływu przez Moc. Te kobiety mogły być wystarczająco wrażliwe, aby wykryć manipulację z jego strony.

Kaminne skinęła głową, zdecydowana.

- Chcę, żebyście nam pomagali. - Spojrzała na Luke'a uważnie. - Możesz nas teraz rozwiązać.

- Dobrze robisz. Mów dalej. - Luke nie zamierzał wstawać.

- Jesteście teraz częścią zgromadzenia klanów. Jako doradcy, ponosicie część odpowiedzialności za ich powodzenie lub klęskę. Nie powinniście więc przetrzymywać przywódczyni Deszczowych Liści w niewoli.

Luke rozważył jej słowa. Nie wyczuwał w nich podstęp. Próbowała wyraźnie zapanować nad sytuacją. To prawda, jeśli będzie ją nadal więził, może narobić więcej szkody niż pożytku.

Spojrzał na swoją towarzyszkę.

- Sha, zrób to.

Sha przeszła do grupy uwięzionych i porozcinała ich pęta. Tymczasem Luke wstał i odciągnął swoich towarzyszy o kilka kroków.

- Wiecie, co najbardziej lubię w podróżach do światów tak zacofanych, że nikt tam nie ogląda holowiadomości?

Han pokręcił głową.

- Nie wiem.

- To, że nikt mi nigdy nie mówi: W necie wyglądasz na wyższego. Słuchaj, Han, nie przywiozłeś przypadkiem jakichś narzędzi? Obwodów zapasowych, sprzętu do lutowania? Nasze miecze świetlne są tutaj nie do użytku.

Han skinął głową.

- W tym, co zostało z mojego ścigacza, powinien być jakiś komplet i myślę, że Carrack, Przyjazny Olbrzym też coś ma.

- Kiedy dotrzemy do miejsca, w którym można będzie rozbić obóz, zabierzemy się z Benem do pracy.

Kaminne, z obojętną miną rozcierając nadgarstki, podeszła do nich.

- Opatrzmy obrażenia naszym rankorom i możemy ruszać.

Luke uśmiechnął się do niej.

- Brzmi nieźle.

- Wiesz, po tych wszystkich historiach, jakie o tobie opowiadali, myślałam, że jesteś wyższy.

Ścigacz Hana był w beznadziejnym stanie, podeptany przez rankora, z którym się zderzył. Nie było nadziei na naprawę. Pojazd Yliri działał, odniósł jedynie niewielkie uszkodzenia jednego panelu. Luke, mając w pamięci drażliwość swoich nowych dathomirskich sprzymierzeńców, postanowił lecieć w ścigaczu towarowym. Duże fotele i potężny bagażnik pomieściły Skywalkerów, Solo, pozostałych przybyszy, Shę i siostry Sih. Yliri pilotowała nie za szybko, żeby nie zostawiać z tyłu pozostałych Wiedźm i rankorów.

- To spotkanie w pewnym sensie jest waszym dziełem - wyjaśniała Kaminne Luke'owi.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Jak to możliwe? Nie było mnie tu od lat.

- Ale kiedy dawno temu przybyłeś, zmieniłeś wszystko. Właśnie to mówią o Luke'u Skywalkerze. Gdziekolwiek się zjawi, wszystko się zmienia. - W jej głosie brzmiała nuta smutku. Nie patrzyła na Luke'a ani na wznoszący się przed nią pagórkowaty krajobraz, ale w jakieś odległe regiony przeszłości. - Byłam niemowlęciem, kiedy po raz pierwszy przybyłeś na Dathomirę, a o twoich czynach często potem opowiadano przy ogniskach. Niektóre z klanów postanowiły wprowadzić nowe prawo, uwalniając swoich mężczyzn. Kiedy nakazałeś, aby otworzyć tu szkołę Jedi, przyjmowała ona wszystkich, którzy byli silni Mocą, nie tylko dziewczyny, i to właśnie wynikało z nowego prawa.

Luke skinął głową. Według tradycji klany Dathomiry żyły w matriarchacie i rządziła w nich linia matki, mężczyźni zaś byli niewolnikami lub niewiele ponad to.

- Więc przyszły zmiany? - zapytał.

- Tak. Niezbyt szybko i niezbyt regularnie. Czasem nawet niezbyt pokojowo.

Luke poczuł lekkie mrowienie. Wyczuwał nieprzyjazne zamiary, prawie jakby mu włosy

jeżyły się na karku. Obejrzał się i pochwycił gniewne spojrzenie Olianne, która wpatrywała się w niego z bagażnika. Odniósł wrażenie, że gdyby mogła w tej chwili zakraść się tutaj z nożem, nie tylko by go zabiła, ale jeszcze obdarła ze skóry.

Zmusił się, aby ją zignorować.

Kaminne, najwyraźniej nieświadoma wymiany spojrzeń pomiędzy Lukiem i swoją siostrą, ciągnęła:

- W niektórych klanach co śmielsi i silniejsi mężczyźni uciekali i żyli w niewielkich grupach z dala od kobiet. Działo się tak od czasów, odkąd na Dathomirze pojawili się ludzie, ale po twoim przybyciu liczba ta znacznie wzrosła. Niektórzy mężczyźni napadali na klany, uderzając wtedy, kiedy na miejscu nie było Wiedźm lub było ich niewiele. Kradli zapasy... czasem nawet porywali partnerki dla siebie spośród kobiet, które nie władały Mocą.

Spojrzał na nią współczująco. Raporty z tych wydarzeń lądowały na jego biurku w czasach, kiedy jeszcze była tu szkoła Jedi.

- Bardzo przeżywałyście takie napaści?

- Bardzo. Deszczowe Liście pozostały przez ten cały czas wierne tradycji i dawnym obyczajom. Ale dziesięć lat temp nasi mężczyźni wszczęli bunt. Nie wszyscy, ale większość. Uderzyli sprytnie i bardzo okrutnie, o najciemniejszej nocnej godzinie, zabijając najbardziej doświadczonych z Wiedźm. Żadna Wiedźma, która przebywała w jaskiniach tej nocy, nie przeżyła. Moja matka, ciotki, najstarsza siostra... niektóre z nas wyjechały akurat na polowanie albo oddaliły się w różnych sprawach na dłużej. Wracając, dowiedziałyśmy się o buncie. Użyłyśmy naszej sztuki i zaatakowałyśmy mężczyzn, zabijając wszystkich. Nie przeżył nikt powyżej dziesięciu lat. Mój ojciec też zginął, choć był niewinny. W ciągu tygodnia straciłyśmy dwie trzecie naszych ludzi i wszystkie doświadczonych Wiedźmy.

Z tyłu ścigacza dobiegł drwiący głos Olianne:

- No i jak ci się podoba rola bohatera, Skywalker? Czy powinniśmy nadawać naszym chłopcom imiona na twoją cześć?

Luke obejrzał się na nią.

- Przykro mi z powodu waszych strat, ale ja nikogo nie uczę przemocy. Moc też do niej nie zachęca. Tutaj chodziło o żądzę zemsty. To mroczne uczucie spowodowało obie rzezi... nie ja.

- On ma rację, Olianne - Kaminne wbiła wzrok w siostrę, aż ta odwróciła oczy. Luke podziwiał spokojną siłę charakteru, którą musiała dysponować Kaminne, aby przewodzić temu klanowi.

Kaminne pochyliła się do przodu.

- To był początek ciężkich czasów. Uczyliśmy się wszystkiego od nowa. Pojawiły się plemiona mężczyzn, większe niż klan Deszczowych Liści i silniejsze. Ale było także jedno plemię, które nie atakowało. Chcieli z nami handlować, a potem się do nas zbliżyli. Oni się nazwali Strzaskane Kolumny. - Wyraz twarzy Kaminne złagodniał. - Z czasem wypracowaliśmy sobie nowy zwyczaj. Co roku oba klany zbierają się na północ od jeziora Redgill. Zakładamy wspólne obozowisko i pozostajemy tam przez miesiąc. Zawierane są tam małżeństwa, które trwają rok. W następnym roku, kiedy klany się spotykają, przekazujemy chłopców w odpowiednim wieku ich ojcom i przedstawiamy im urodzone przez ten czas córki, aby rodziny mogły się wzajemnie poznawać.

- I właśnie tam się teraz wybieracie - domyślił się Luke. - Nic dziwnego, że nie chcecie przybyszów z zewnątrz.

- Chodzi o coś więcej. W tym roku zbieramy się, bo chcemy wynegocjować inny rodzaj małżeństwa: związek klanów. Deszczowe Liście i Strzaskane Kolumny stałyby się jednością. Jeśli się dogadamy, wyjdę za Tasandera Desta, ich przywódcę, i będzie to związek trwający dłużej niż rok.

- Tasander Dest. - Luke zmarszczył brwi. - To raczej nie jest dathomirskie nazwisko.

- Hapańskie. Hapanie mieli swoją placówkę na Dathomirze przez wiele lat. Ich stara Królowa Matka pochodziła z Dathomiry, a obecna jest w połowie Dathomirką. Tasander został tu sprowadzony jako dziecko przez swojego ojca i postanowił pozostać, kiedy ten wyjechał.

Leia, siedząca z drugiej strony Luke'a nachyliła się w jej stronę.

- Czy ty masz dzieci z Destem czy z kimś innym ze Strzaskanych Kolumn?

Kaminne pokręciła głową.

- Przez wiele lat nie mogłam mieć dzieci. To nasz rodzinny problem, który ominął tylko moją matkę. Olianne też nie ma dzieci. Ale kiedy zaczęłyśmy rozmowy ze Strzaskanymi Kolumnami, poszłam do lekarki w porcie kosmicznym. Powiedziała, że to jest uleczalne i dała mi leki.

- Właśnie miałam to zaproponować, ale mnie uprzedziłaś.

Kaminne znów pokręciła głową.

- Nie jesteśmy głupie. Nasze życie jest ciężkie, ale dlatego, że takie sobie wybrałyśmy, a nie dlatego, że jesteśmy zbyt tępe, aby je zmienić. Kiedy nie wystarczają nasze zaklęcia, znajdujemy inne sposoby. Niektóre z naszych wojowniczek mają nawet miotacze i wiedzą, jak ich używać. Mamy komunikatory i nadajniki. Wszystkie te zmiany pojawiły się po waszym pierwszym przybyciu.

Leia się uśmiechnęła.

- Słyszałam o tych zmianach. Niektóre są dobre, niektóre złe, a kiedy obejrzysz się za siebie, pewnie będziesz zadowolona z tych, które sama wniosłaś. - Wyprostowała się w fotelu.

Luke postanowił zmienić temat.

- Mój syn i ja poszukujemy dziewczyny spoza Dathomiry, która rozbiła się statkiem gdzieś na północ od portu kosmicznego.

Kaminne przybrała obojętny wyraz twarzy, zupełnie jak gracz w sabaka.

- Wiemy o tym. Ma na imię Vestara. Należy do klanu.

- Musimy ją stąd zabrać. - Luke spojrział w niebo, jakby już wybierał się w przestrzeń.

- A ile z nas zamierzacie zabić, aby to osiągnąć?

- Nie mamy zamiaru nikogo zabijać.

- Nie macie tu żadnej władzy. Nie możecie jej zabrać ot, tak sobie, jeśli ona nie będzie chciała pójść z wami. Należy teraz do klanu... Olianne jest jej mentorką i może nawet ją adoptuje.

- A więc to tak... - Luke poczuł ucisk w żołądku. Co z tego, że wiedzieli, gdzie jest ich cel, kiedy stał się dla nich w pewnym sensie odleglejszy niż przedtem. - No cóż. Może chociaż zechce z nami porozmawiać.

- Może zechce.

### **Kwatera prezydent Natasi Daali, budynek Senatu, Coruscant**

Daalę obudziły łagodne, melodyjne dźwięki dzwonka. Natychmiast otworzyła oczy. Alarm budził ją zawsze po pierwszym dźwięku. Jak większość urodzonych żołnierzy, miała lekki sen.

Tym razem jednak nie był to budzik. Melodyjne tony oznaczały transmisję na żywo od Wynna Dorvana. Pewnie jak zwykle chodziło o coś pilnego. Odchrząknęła, aby się upewnić, że jej głos zabrzmiał czysto.

- Mów - nakazała.

- Ma pani priorytetową informację od Elyasa Carana.

Elyas Caran był emisariuszem, którego Daala wysłała na Kalamara. Sprawdziła chronometr i przeliczyła szybko w głowie: w strefie czasowej, gdzie mieszkała admirał Niathal, był teraz późny poranek, więc Caran mógł już przebywać w jej towarzystwie. Wiadomość na żywo nie wróżyła niczego dobrego.

- Czy jest jakiś powód, dla którego nie możesz przekazać transmisji do mojego pokoju?

- Chyba nie zechce pani przekazywać jej gdziekolwiek. Myślę, że powinna pani zobaczyć to w pełnym wymiarze, w centrum łączności, zanim ujrzy to ktokolwiek inny. Musimy pomyśleć, jak zareagować.

Słaby syk transmisji ucichł, kiedy Dorvan zakończył rozmowę.

Daala zerwała się w jednej chwili. To nie było podobne do Dorvana. Z pewnością

oznaczało, że coś jest nie tak.

Ubrana w jasny treningowy dres i w niebieski płaszcz, Daala weszła do sali łączności, gdzie dzień wcześniej rozmawiała z Niathal. Strefa odbioru nadawała już transmisję na żywo z Kalamara. Już po kilku krokach zrozumiała, co widzi. Zwolniła i podeszła do trójwymiarowego obrazu.

Elyas Caran, szczupły, pełen wdzięku mężczyzna w szaro-niebieskim stroju, skrojonym jak wojskowy mundur galowy, miał regularne rysy, lekko pomarszczoną skórę i szopę kruczoczarnych włosów, jak u znacznie młodszego człowieka. Daala wiedziała, że Caran farbuje włosy, nie była tylko pewna, czy to z próżności, czy z dyplomatycznej potrzeby dziarskiego wyglądu. Stał na froncie obrazu holograficznego.

W tle widniał basen wodny, wysoki na trzy metry. Ściany z transpastali, zajmujące całą jego wysokość, zakrzywiały się łagodnie. Woda miała piękny zielononiebieski kolor.

Pośrodku zbiornika pływała Cha Niathal w mundurze admirała. Oczy miała otwarte i zastygłe. Sama nie była całkiem nieruchoma; delikatne prądy w wodzie sprawiały, że jej ramiona i nogi poruszały się, choć bardzo powoli. Twarz i ręce Niathal miały dziwną czerwonawą barwę, inną niż poprzedniego dnia i Daali przyszło do głowy, że przyda się korekcja koloru hiperkomu.

A więc Niathal nie żyje. Daala poczuła nagły ból, jakby połknęła ostry kamień, który utknął jej w przełyku.

Caran odetchnął głęboko, jakby sam próbował zmierzyć się z nowiną, którą przynosił.

- To się stało dzisiaj rano. Kiedy przybyłem, jej asystent poszedł, aby ją powiadomić... i znalazł ją w takim stanie. - Wskazał na fragment zbiornika poza zasięgiem holokamery. - Wprowadziła do zbiornika rurę z gazem. Tlenek węgla. Bezbolesny sposób.

- Czy... czy zostawiła jakąś wiadomość, dlaczego się na to zdecydowała?

A przecież Daala знаła powód. Wiedziała, dlaczego ona sama mogłaby zrobić dokładnie to samo, gdyby znalazła się na miejscu Niathal. Przedłużający się proces mógłby zaszkodzić jej licznej rodzinie, a także flocie. Musiała jednak poznać słowa, które Niathal być może pozostawiła, bo byłby to rodzaj testamentu.

Caran obdarzył Daalę uśmiechem pełnym współczucia i smutku.

- Owszem, zostawiła list.

- Przeczytaj go, proszę.

Dyplomata nie skorzystał z notatnika ani innych zapisków. Zacytował z pamięci:

- „Uczyliłam to dla honoru, to był mój wybór. Niathal”.

Spojrzał w dół i zamyślił się na chwilę.

Twarda prostota tych słów sprawiła, że kamień w gardle Daali stał się większy i ostrzejszy. Zignorowała ten ból. Na razie.

Caran znów spojrzał jej w oczy.

- Co pani rozkaże?

- Sprowadź tutaj jej zwłoki. Niech wszyscy żądni jej krwi zobaczą, co osiągnęli. - A wtedy, pomyślała, zobaczymy, kto się smuci, a kto raduje. Lepiej poznamy naszych wrogów. - Potem przewieziemy ją na Kalamara na pogrzeb z honorami wojskowymi.

- Tak zrobię.

Obraz zafalował mocniej i znikł.

Daala była wstrząśnięta, ale nie chciała, aby ktokolwiek o tym wiedział. Odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z sali łączności, unikając spojrzeń obecnych. W korytarzu nie zdołała powstrzymać łez. Niedbałym gestem otarła je z oczu i z kamienną twarzą i wyprostowanymi plecami ruszyła do swojej kwatery.

## ROZDZIAŁ 8

„Sokół Millenium”, port kosmiczny Dathomiry

Allana potrzebowała paru godzin, żeby zbadać, jak wymknąć się z „Sokoła”.

Niektóre z jej pomysłów, jak w końcu musiała przyznać, nie miały większego sensu. Na przykład ukrycie się w przemysłowych przedziałach „Sokoła”, aż spanikowany C-3PO uzna, że uciekła, i spuści rampę, aby pójść jej poszukać. A ona wtedy wyskoczy na rampę i ze śmiechem przebiegnie obok niego. Problem w tym, że zanim robot zauważy jej obecność, może minąć wiele godzin, a potem jeszcze godziny poszukiwań, zanim wreszcie Threepio spanikuje. A przez cały ten czas Allana będzie potrzebowała jedzenia, picia, rozrywek i przerw na skorzystanie z odświezacza.

Długo nie udawało jej się wymyślić żadnego planu, który mógłby zadziałać. Wreszcie przyszło jej do głowy, żeby przejrzeć jeden z programów uczących statku, ten, który opisywał prawidłowe procedury utrzymania. Dopiero w tej starej instrukcji obsługi statku produkcji Koreliańskiej Korporacji Projektowej, w ciągu około godziny, odkryła niewielką windę, która dawała mechanikom dostęp do górnego wjazdu i do urządzeń na pancerzu „Sokoła”. Niebawem sprawdziła, że C-3PO również zapomniał o tym wjeździe i nie zaprogramował go na ignorowanie jej poleceń.

Cienie zaczęły już się rozciągać nad terenem portu kosmicznego, kiedy Allana wraz z Anji zakradła się do magazynu, znalazła zwój giętkiego kabla i zabrała go do malutkiej windy. Oczekwała, aż usłyszy marudzenie i monologi robota dochodzące z przeciwnej strony statku, i uruchomiła windę. Tak jak się spodziewała, kabina bez przeszkód wyniosła ją i nexu w górę. Górny wjazd otworzył się przed nimi i w jednej chwili stały obie na szczycie „Sokoła”, patrząc na ogromne, złociste słońce Dathomiry, które właśnie zaczęło się chylić ku zachodniemu horyzontowi.

Allana zmarszczyła nos. Deszczowy las brzydko pachniał. Czyjej druga babcia na pewno pochodziła właśnie stąd?

A teraz najtrudniejsza część. Przywiązała jeden koniec kabla do rozporki, dodając kilka węzłów do tego pierwszego - tak na wszelki wypadek, po czym przerzuciła resztę kabla przez burłę. Wychyliła się, żeby spojrzeć w dół. Ziemia wydawała się bardzo daleko. Anji za to skoczyła bez zastanowienia, lądując na dole miękko jak... no, jak nexu.

Allana skoncentrowała myśli na Anji i przekazała jej polecenie „siad”. Anji ziewnęła i przestąpiła z łapy na łapę w oczekiwaniu. Prawie dobrze. Allana odczekała jeszcze chwilę, aby sprawdzić, czy nikt jej nie zauważył. Ktoś najwyraźniej był w wąskim statku po drugiej stronie „Cienia Jade” - wysoki mężczyzna i jego przyjaciółka, pomyślała - ale było za ciemno, żeby dostrzec, czy patrzą w jej stronę.

Nie usłyszała żadnych podniesionych głosów, więc chwyciła kabel, usiadła na pancerzu i przesunęła się do krawędzi, aż jej nogi znalazły się w powietrzu. Teraz z niepokojem, ale i podnieceniem zsunęła się ze statku, przekładając dłonie tak, aby nie pokaleczyć ich o skraj pancierza, aż zawisała na rękach całym ciężarem ciała.

To niedobrze. Zapowiadają się kłopoty. Allana była silna jak na swój wzrost, aktywni dziadkowie zawsze zachęcali ją do ćwiczeń, ale teraz zwątpiła nagle, czy zdoła wciągnąć się z powrotem na górę.

Nieważne. Jeśli nie zdoła wrócić do „Sokoła”, będzie musiała uprzedzić C-3PO i wysłuchać jego gderania nieco wcześniej.

Ostrożnie zsunęła się na kablu. Jęknęła, kiedy poczuła, jak kabel wrzyna jej się w dłoń. I nagle stała już na ziemi obok Anji, z trochę tylko obolałymi ramionami.

Spojrzała na swoje dłonie. Kabel pozostawił na nich ślady, ale nie było krwi. Czowała tylko lekkie pieczenie. Podniosła wzrok na górujący nad nią kadłub, z którego właśnie zjechała, wzruszyła ramionami i rozejrzała się po porcie.

Teraz było już prawie ciemno. Na większości permabetonowych kopuł kompleksu rozjarzyły się światła. Z jednej kopuły doszedł zapach gotowanego posiłku, zapewne pieczonego mięsa. Allana przełknęła ślinę.

Jak dziadek Han zabrałby się do szukania Artoo? Polegałby na instynkcie, a to oznacza, że poszedłby tam, gdzie wydawałoby mu się najciekawiej. Allana spotkała wiele swoich rówieśników, które myślały w ten sam sposób, i zastanawiała się, jak Hanowi udawało się zawsze zwyciężać, skoro rozumował jak małe dziecko. Nie była pewna, czy ona to potrafi.

Chłopak Jainy, Jag, opowiadał kiedyś o metodologii stosowania siatki, co było jedynie dorosłym określeniem na zagładanie wszędzie po kolei. Rozejrzała się zatem, w wyobraźni dzieląc teren na kawałki i zastanawiając się, od którego zacząć.

No i, oczywiście, była jeszcze Moc, której Leia, Jaina i prawdziwa mama Allana używały przez cały czas. Zastanawiała się, czyjej też Moc coś podpowie. Trochę się jej bała, ponieważ raz zaprowadziła ją aż na Kessel, gdzie przemówił do niej okropny głos. Ale teraz R2-D2 znikł, więc Allana postanowiła się nie bać.

Pomyślała o Artoo, o tym, jak brakowało jej robota przyjaciela i jak wszyscy będą za nim tęsknić, jeśli nigdy nie wróci. Odwróciła się zatem na północ i ruszyła w kierunku kopuł znajdujących się przed nią. Anji wkrótce wyprzedziła ją i znikła w ciemności. Allana nie przejmowała się tym. Wciąż wyczuwała Anji w Mocy i wiedziała, że nexu nie odejdzie daleko od niej. W końcu Anji była przyjaciółką Allana, a przyjaciele nie uciekają samotnie do dżungli.

### **Na północ od Jeziora Czerwonych Skrzeli, Dathomira**

Dziwna grupa, składająca się z jednego ścigacza, trzech rankorów z jeźdźcami i czterech pieszych Wiedźm minęła iglicę nad Jeziorem Czerwonych Skrzeli tuż przed zapadnięciem zmroku. Przed Lukiem i jego oddziałem rozpościerało się wielkie obozowisko, liczące prawie dwustu mieszkańców rozlokowanych w dwóch strefach, wyraźnie oddzielonych pustym pasem ziemi.

Grupa Luke'a minęła po drodze kilka ukrytych posterunków, zwłaszcza na ostatnich kilometrach. Luke wyczuwał wartowników, niewidzialnych i czujnych. Kaminne także ich wyczuwała i dawała znak ręką przy każdym posterunku, aby mogli przejść bez przeszkód.

Teraz, kiedy znaleźli się już o niecałe sto metrów od obozowiska, wyszły im na spotkanie zaciekawione Wiedźmy z bliższej jego części, a także równie zainteresowani mężczyźni z części drugiej, północnej. Luke wyczuwał ich podejrzliwość, a nawet wrogość, zwłaszcza ze strony kobiet.

Poczuł też jedno dotknięcie niepokoju, szybko stłumione. Rozglądał się na wszystkie strony, chcąc namierzyć jego źródło, ale znikło, zanim zdołał to ustalić. Zmienił kierunek postrzegania i wyczuł gdzieś blisko swoją krew, ale trudno mu było w tym tłumie określić dokładną lokalizację. Ale i tak miał podstawy, aby sądzić, że dziewczyna Sith jest w pobliżu i zachowuje czujność.

Kaminne zeskoczyła z siedzenia i wylądowała na masce ścigacza. Przemówiła głośno, modulując głos jak wyszkolony orator:

- Przynoszę dobre słowo. Mężczyźni, którzy podążali śladem sióstr z Deszczowych Liści, nie są naszymi wrogami. Poznałam ich i przywiodłam tutaj, żeby pełnili funkcję doradców w naszym zebraniu. Wszyscy znacie nazwisko Luke'a Skywalkera. To on siedzi obok mnie.

Rozległ się szmer wielu głosów i Luke wyczuł zmianę w emocjach - podejrzliwość specjalnie nie zmalała, ale towarzyszyły jej teraz zainteresowanie i ciekawość.

- Wraz z nim przybył jego syn, Ben, a do nich dołączyli Leia Solo, jej partner Han i pozostali. Zagwarantowałam im bezpieczny pobyt. - Spojrzała na Yliri i gestem nakazała Koreliance, żeby podprowadziła ścigacz do miejsca oddalonego od wody o kilka metrów, w pobliżu jednego z ognisk.

- A więc jestem tylko twoim partnerem - westchnął Han.

Leia uśmiechnęła się do niego niewinnie.

- Zawsze nim byłeś. Przynieś mi coś smacznego do jedzenia, partnerze. A potem sam możesz się uraczyć porcją zupy.

Carrack kwaśno spojrział na Hanę.

- Tobie przynajmniej zostało jeszcze imię. Ja jestem ten „pozostały”.

Ścigacz zatrzymał się w miejscu wskazanym przez Kaminne. Jego pasażerowie, jak tylko wysiedli, zostali natychmiast otoczeni przez zaciekawionych Dathomirian. Kaminne, dalej siedząc na masce, opowiadała, jak próbowała sprowadzić Skywalkerów na manowce, dopóki nie zorientowała się, kim są. Luke z kolei z uśmiechem ścisnął dłonie tych nielicznych Dathomirian, którzy wyszli na jego powitanie. Przez cały czas jednak czujnie wypatrywał dziewczyny Sith.



Wyczuwał ją dalej niż przedtem, w najgęstszej ciżbie kobiet Deszczowych Liści.

Jakiś mężczyzna przeciskał się ku nim przez tłum. Różnił się wyraźnie od innych, głównie wzrostem - niemal dorównywał Hanowi - ale także wyjątkowo przystojną twarzą, prawie jak z holodramów. Kobiety z Deszczowych Liści usuwały mu się z drogi, choć z wyraźną niechęcią. W miarę jak mężczyzna się zbliżał, Luke widział coraz wyraźniej jasne włosy, oczy o błękitach wody w Jeziorze Czerwonych Skrzeli, kiedy ujrzeli je po raz pierwszy kilka godzin temu, no i strój składający się z dathomirskiej skórzanej kamizelki i butów oraz egzotycznych w kolorze spodni.

- Tasander Dest, jak sądzę - wyciągnął dłoń Luke.

- Mistrz Skywalker - odezwał się Dest z arystokratycznym hapańskim akcentem. - Cieszę się, że wreszcie cię poznałem.

Jego uwagę odwróciła na chwilę Kaminne, która siedząc nadal na masce ścigacza, opowiadała właśnie o potyczce pomiędzy Wiedźmami i przybyszami w kanionie. Jej ton sugerował, że była to zwykła bijatyka, a nie walka na śmierć i życie.

- Kaminne powiedziała nam, czemu służy to spotkanie - Luke gestem wskazał zgromadzonych. - Przed wami spore wyzwanie.

- Przed wami także, jeśli macie w planie coś więcej niż obserwację zwyczajów plemiennych. Klany zresztą nie zmieniły swoich zachowań od czasu, kiedy po raz pierwszy zjawili się na planecie.

Luke wzruszył ramionami.

- Jak możemy przekonać ich do siebie?

Dest uśmiechnął się, ukazując perfekcyjny garnitur zębów.

- Igrzyska zaczynają się jutro. Możecie wziąć w nich udział. Zyskacie szacunek, inni zaczną z wami rozmawiać. Ja też startuję w zawodach. Pokonaj mnie w czymś... jeśli zdołasz. - Jego zaraźliwa wesołość odwróciła uwagę od niewątpliwej arogancji tych słów.

Pół godziny później grupa Luke'a siedziała już przy nowym, własnym ognisku. Kaminne zaprowadziła obu Skywalkerów na drugą stronę obozowiska, do ciemnego miejsca obok kępy drzew.

- Niezłe miejsce na pułapkę - zauważył Ben.

Luke spojrzał na niego karcąco, ale Kaminne uśmiechnęła się tylko.

- Planuję tylko jedną pułapkę dziennie. A dzisiejsza niezbyt mi się udała.

Nastrój uległ wyraźnej poprawie i Ben zmienił temat.

- Wiem, że to wasz wewnętrzny problem, ale dotyczy również sprawy, która przywiodła tutaj mojego ojca i mnie, więc mam nadzieję, że pozwolicie mi zadać jedno pytanie.

Wyraz twarzy Kaminne z rozbawionego przeszedł w nieodgadniony.

- Pytaj.

- Dlaczego twoja siostra tak bardzo zainteresowała się tą dziewczyną Sith? Zna ją zaledwie dzień czy dwa i już zamierza adoptować?

Kaminne nie odpowiedziała od razu. Widocznie rozważała, ile może ujawnić.

- Kilka miesięcy temu córka Olianne, Sesara... miała osiem lat... umarła na gorączkę - zaczęła. - Kiedy Vestara wynurzyła się z lasu prosto na grupę myśliwych Olianne, bezradna, ledwo żywa i po prostu upadła w jej ramiona, widocznie jej cierpienia chwyciły moją siostrę za serce. I to wszystko.

Luke wymienił spojrzenia z synem. Myśli Bena były w tej chwili łatwe do odczytania, nie wymagały sięgania w Moc.

Naprawdę interesujący zbieg okoliczności, pomyślał, że Vestara natrafiła akurat na członkinię klanu, która mogła okazać jej współczucie. Czy to było tylko szczęście... czy też z góry o tym wiedziała?

Z oddali słyszeli dwa kobiece głosy, wznoszące się i opadające; czasem dawało się zrozumieć poszczególne słowa. Jeden głos należał do Olianne.

- ...nie musisz z nimi rozmawiać - mówiła.

Drugi głos był wyraźnie młodszy.

- Ale chcę.

- Przedtem przed nimi uciekałaś.

- Byłam samotna. A teraz jestem w rodzinie.

Głosy umilkły. Luke wiedział, że ani on, ani Ben, ani Kaminne nie wydali najmniejszego dźwięku, ale Olianne i dziewczyna Sith widocznie miały wyostrome zmysły.

Luke zobaczył je obydwie - kontur Olianne z charakterystycznymi włosami podświetlonymi światłem księżyca, i drugą, delikatniejszą sylwetkę obok niej. Kiedy znaleźli się o kilka metrów od obu kobiet, mógł się dokładniej przyjrzeć dziewczynie, nie ryzykując życia.

Była nastolatką w wieku Bena lub nawet młodszą, o długich, prostych włosach, które wyglądały na jasnobrązowe w świetle księżyca. Na jej twarzy nie było strachu ani niepewności; wydawała się nawet uśmiechać, chociaż po chwili Luke zrozumiał, że to złudzenie spowodowane niewielką blizną w kącie jej warg.

Podszedł do Olianne i się uklonił.

- Czy możemy przez chwilę porozmawiać z tą młodą kobietą sam na sam? - zapytał.

- Nie - warknęła Wiedźma.

Luke powstrzymał westchnienie.

- No cóż... Może jednak usiądziemy? - zaproponował.

Kaminne usiadła, za nią Luke i Olianne. Jako ostatni przyłączyli się młodzi.

- Jestem Luke Skywalker, a to mój syn, Ben.

- Wiem - dziewczyna wzruszyła lekko ramionami. - A ja jestem Vestara Khai.

- I jesteś Sithem.

- Raczej... byłam.

Luke uniósł brew.

- Więc już nie jesteś? - zdziwił się.

- Nie, teraz należę do Deszczowych Liści.

- Skoro zatem porzuciłaś swoje życie Sitha, zapewne nie będziesz miała nic przeciwko temu, aby opowiedzieć nam o nim.

Teraz Vestara uśmiechnęła się naprawdę.

- Nieważne, za kogo się teraz uważam, moi przyjaciele są moimi przyjaciółmi, a krewni krewnymi. Mam ci o nich opowiedzieć, żebyś mógł ich wszystkich pozabijać?

Luke pokręcił głową, ignorując jej protest.

- Złem jest także przyglądanie się, kiedy inni popełniają złe czyny, a ty nie robisz nic, aby ich powstrzymać.

- Poza tym nie mogę rozmawiać o nich bez nich. Czy mogę ich tu zaprosić?

- Tak - odparł. - Jeśli chcesz.

- Na pewno nie chcę, aby Olianne cierpiała. Ani ona, ani mój nowy klan.

- Ta dziewczyna kłamie - jęknął Ben. Luke nie musiał patrzeć na syna, żeby wiedzieć, że wznosi oczy do nieba.

Luke chciał już powiedzieć synowi: Oczywiście, że ona kłamie. Ale z jej kłamstw możesz się wiele dowiedzieć. Nie odezwał się jednak, przesłał tylko Benowi drgnienie swojego niezadowolenia.

- Jak na kogoś, kto bardzo pragnie się uwolnić od Sithów, walczyłaś u boku swojej towarzyszki z niezwykłym poświęceniem - zauważył.

- Oczywiście, że walczyłam! Wszystko trzeba robić z pełnym zaangażowaniem, w przeciwnym razie to nie ma sensu. Czy u Jedi jest inaczej?

Luke zignorował jej pytanie.

- Co możesz nam powiedzieć o swojej rodzinnej planecie?

- Nic.

- A o swoich planach, swoich celach? Co cię sprowadziło do Gromady Otchłani?

Vestara wzruszyła ramionami.

- Nic.

Nachyliła się w stronę Luke'a.

- Daj mi spokój, proszę. Pozwól mi pozostać wśród Deszczowych Liści.

- Gdzie rozbiłaś swój statek?

Zamrugła, jakby zaskoczona, że zadano jej pytanie, na które może udzielić odpowiedzi.

- Gdzieś w środku dżungli. Nie wiem dokładnie gdzie. Wszystkie przyrządy uległy uszkodzeniu. Po katastrofie wędrowałam godzinami, zanim znalazła mnie Olianne.

- Gdzie twój miecz świetlny?

- Był w kabinie, kiedy podchodziłam do lądowania. Kiedy się rozbiłam... cóż, z kabiny nie zostało nic. Nie mogłam go znaleźć.

- Skończyliście już? - Olianne wydawała się nie tyle zatroskana o Vestarę, co zła na Luke'a. Luke zawahał się przed odpowiedzią, ale to Ben przemówił pierwszy.

- Olianne, ta dziewczyna to Sith, a to oznacza, że jest czystym złem. Jest jak detonator termiczny toczący się po waszym obozowisku i tylko czekający, aby eksplodować. A kiedy to się stanie, ty i twój klan...

- Jestem złem? - Vestara dosłownie splunęła tym słowem. - Bycie Sithem nie ma nic wspólnego ze złem czy dobrem, tak samo jak bycie Jedi.

Ben spojrzał na nią gniewnie, urażony.

- Jak możesz tak mówić? Ludzie, stając się Sithami, czynią tylko zło...

- Naprawdę? A więc to wyjaśnia przypadek waszego Jacena Solo, o którym sporo słyszeliśmy...

- No właśnie. On był Sithem.

- Był Jedi i dobrze o tym wiesz!

- Tak, ale został Sithem - upierał się Ben.

- Spokój - powiedział Luke cicho, ale ze szczególnym naciskiem poprzez Moc. Cała czwórka odsunęła się od niego.

Znow popatrzył na Vestarę, ale to Olianne pierwsza przemówiła do dziewczyny:

- Ani ci Jedi, ani żaden Sith nie może cię stąd zabrać. Nie musisz się obawiać. - Pochyliła się i objęła Vestarę.

Luke zrozumiał, że dzisiejszej nocy nic już więcej nie wskóra. Wstał, skłonił się lekko dathomirskim kobietom i poprowadził Bena w kierunku ogniska ekipy Hana.

Jak tylko znaleźli się dość daleko, aby kobiety nie mogły ich usłyszeć, rozzłoszczony Ben kopnął kamień i warknął:

- Rozgrywa te baby, jakby były talią do sabaka. Dziecinną talią do sabaka.

Luke spojrzał na syna z dezaprobatą.

- Wiesz co, ciebie załatwiła w ten sam sposób. Wciągnęła cię w kłótnię, posługując się samymi emocjami, bez cienia logiki. A skoro ona jest Sithem, ty zaś Jedi, wygrała w pierwszym rozdaniu.

Ben milczał przez dłuższą chwilę. Kopnął kolejny kamień.

- Taak, wiem - mruknął.

## **Port kosmiczny na Dathomirze**

Allana doszła do wniosku że szpiegowanie jest raczej nudne.

W holodramach kobieta-szpieg ukrywała się w miejscach, skąd mogła śledzić ważne wyjścia, i już po minucie coś się przy nich działo, a pani szpieg zdobywała Ważną Wskazówkę.

Ona co prawda ukryła się doskonale w żywopłocie, mając niezły widok na frontowe drzwi jednej z kopuł, ale minuty powoli złożyły się w kwadrans, a potem w półgodzinę i nadal nic się nie działo. Anji wróciła, zwinęła się w kłębek u jej stóp i zasnęła. Allana czekała jeszcze trochę, ale coraz bardziej wściekła. Wreszcie wstała i pobiegła do kolejnego punktu obserwacyjnego... gdzie czekała znowu nie wiadomo jak długo i niczego się nie dowiedziała.

No cóż, może jednak coś z tego wynikło. Odkryła mianowicie, że kopuła, w pobliżu której

zaparkowano „Sokoła” i „Cień Jade”, kryła w sobie centrum łączności. Odgadłaby to i tak po ogromnej liczbie anten wyrastających z jej dachu, w tym hiperkomowych, ale udało się jej na moment zajrzeć do środka przez otwarte drzwi i zobaczyć stosy sprzętu łącznościowego i jednego znudzonego człowieka, mniej więcej w wieku Bena, ziewającego na służbie.

Kolejna kopuła, największa, okazała się chyba hotelem. Ludzie wchodzili i wychodzili z niej przez cały czas, a przez co chwila otwierające się drzwi Allana zauważyła ciasny hol, podobny do wielu innych, jakie poznała. To właśnie stamtąd unosiły się intrygujące zapachy jedzenia.

Przyszło jej do głowy, że gdyby R2-D2 szukał jachtu, to raczej nie w hotelu.

Statek kosmiczny zostałby zaparkowany w innej kopule. Nie w restauracji, nie w sali zabaw ani w archiwum.

Postanowiła przespacerować się przed frontowymi drzwiami wszystkich kopuł i tym razem przeczytać napisy. Na czwartym szyldzie, jaki minęła, zamocowanym na największej z kopuł, widniały słowa: „Warsztat mechaniczny Monarga”.

Schowała się wśród dwustulitrowych beczek po płynie hydraulicznym, odczekała pół godziny i westchnęła. Szpiegowanie było zdecydowanie nudne. Miała nadzieję, że szybciej znajdzie Artoo.

Iluminatory kopuły, a dokładnie ich dolne krawędzie, znajdowały się mniej więcej na wysokości czterech metrów, czyli o wiele za wysoko, aby mogła tam zajrzeć. Na próbę pchnęła kilka z otaczających ją plastoidowych beczek - okazały się lekkie, czyli puste.

Z mocno bijącym sercem podniosła jedną z beczek, podeszła do ściany i starannie ustawiła ją dokładnie pod jednym z iluminatorów, niedaleko od drzwi. Wejście na nią nie zajęło jej dużo czasu, ale wciąż było za nisko, żeby zajrzeć do środka. Przyciągnęła więc kolejną beczkę i ustawiła obok pierwszej, a potem zabrała się do trzeciej. Z tą miała trochę kłopotu, bo trzeba ją było postawić na dwóch pozostałych.

Teraz już mogła, chwając się na trzeciej beczce, zajrzeć do środka.

Większość pola widzenia przesłaniała kotara, na szczęście w strzępach, Allana mogła więc zajrzeć przez dziury i rozdarcia.

Zobaczyła szary ogon statku. Wyglądał trochę jak jacht wujka Landa, ale starszy i bardziej zniszczony.

Wokół kręciło się mnóstwo małych, pająkowatych robotów. Większość z nich nie miała nóg - toczyły się na zaopatrzonych w kółka trójkątnych konstrukcjach. Z przodu trzymały tace i stojaki na narzędzia i części; każdy miał dwa szkieletowe ramiona i stację czujników zamiast głowy. Miały po jakieś pół metra wysokości.

Był tam również człowiek. Allana z początku go nie zauważyła, bo stał pod ścianą, dopiero po chwili wszedł w jej pole widzenia. Był wysoki i chudy, ubrany w poplamiony szary kombinezon. Kiedy obejrzał się za jednym z robotów, by wydać mu polecenie, zauważyła, że ma opaskę na lewym oku.

Nie było ani śladu Artoo, ale wzdłuż jednej ściany w cieniu jachtu ktoś narzucił niebieską szmatę na coś, co mogło być robotem mechanicznym. Allana zmartwiła się, że jej roboci przyjaciel może być uszkodzony lub martwy. Musi się tego dowiedzieć.

- Panienko Amelio, czy można wiedzieć, gdzie jesteś? - głos C-3PO, dochodzący z kieszeni, w której trzymała komunikator, okropnie ją zaskoczył.

Schyliła się, ale zdążyła zauważyć, że mężczyzna odwrócił się w jej kierunku.

Do Allany prawie nie docierały dźwięki spod kopuły. Nawet klucz hydrauliczny, upuszczony na podłogę z permabetonu, wywołał ledwie słyszalny brzęk. A zatem mężczyzna też nie mógł usłyszeć głosu C-3PO. Allana, przerażona, wolała jednak na to nie liczyć. Zsunęła się z beczek tak szybko, jak tylko mogła i pobiegła ukryć się za tymi, których nie poruszyła. Dopiero teraz włączyła komunikator.

- Tu jestem - szepnęła.

- Tu, to znaczy gdzie dokładnie?

Czy powinna już teraz zdradzić wszystko C-3PO? Wykluczone, może zrobić to dopiero wtedy, kiedy namówi go do współpracy. A to może być nawet jutro.

- Bawię się w chowanego - powiedziała.
- Aha. A ja mam cię szukać?
- Tak, ale nie spiesz się. Muszę... eee... schować się jeszcze lepiej. Dolicz do tysiąca.
- Doskonale.

Drzwi do kopuły się nie otworzyły. Z sercem w gardle Allana zakradła się z powrotem i ostrożnie przeniosła beczki na swoje miejsce, po czym popędziła przez teren portu do „Sokoła”.

Wspinaczka na górę była dwa razy trudniejsza, niż się spodziewała, i gdyby miała użyć tylko rąk, nie pomagając sobie nogami, nigdy by jej się to nie udało. Kiedy była już na pancerzu, Anji zapiszczała cicho z dołu. Allana wyjrzała przez krawędź i zmarszczyła brwi. Nie pomyślała o tym, jak sprowadzić nexu z powrotem na „Sokoła”.

Anji jednak była dzielnym stworzonkiem. Przekrzywiła łebek i przez chwilę przyglądała się linie, po czym wystawiła pazurki i zaczęła wspinać się tak samo jak jej pani. Gdyby nie to, że pazury stępiono jej ze względów bezpieczeństwa, pewnie poszłoby jej to znacznie szybciej. Teraz łapy Anji ześlizgiwały się cały czas, dopóki nie nauczyła się chwytać liny poduszczkami; wtedy już poszło błyskawicznie. Allana szybko wciągnęła zwój kabla na pancierz, stanęła na małej windzie i znalazła się we wnętrzu „Sokoła Millennium”.

C-3PO znalazł ją podczas przygotowań do sanipary.

- Powiedziałbym, że nie ukryłaś się specjalnie dobrze - zauważył.
- Spociłam się i wynudziłam, idę się oczyścić.
- Doskonały pomysł, a ja przez ten czas przygotowuję ci pyszną przekąskę na później. Byłaś dzisiaj bardzo grzeczna.

Allana tylko się uśmiechnęła.

## ROZDZIAŁ 9

### Kwatera prezydenta, Coruscant

Daala widelcem przesuwając wokół talerza kawałki potrawy, klnąc w duchu swojego kucharza. Facet był doskonałym fachowcem, odpowiednim dla każdego szefa rządu, ale jego wybór dania na dzisiejszą kolację - mianowicie owoce morza - stanowił groteskowe przypomnienie samobójstwa admirała Niathal. Daala potrzebowała kilku chwil, aby się uspokoić i przypomnieć sobie, że jej kucharz nie był wtajemniczony w podstawowe sekrety i nie mógł wiedzieć o tamtej transmisji.

Odsunęła od siebie talerz i spojrzała przeproszająco na swojego towarzysza.

- Wybacz, nie jestem dziś w nastroju.

Nek Bwua'tu, dowódca floty Sojuszu Galaktycznego, Bothanin o szarym futrze, obdarzył ją drapieżnym uśmiechem.

- Prezydent nie musi przeproszać za pokrętnie myśli. Gdyby twoje sumienie było absolutnie czyste, mogłoby to wzbudzić podejrzenia.

- Możemy porozmawiać służbowo?
- Oczywiście. Zwłaszcza jeśli to ma ci pomóc.
- Słyszałeś może niedawno jakies... nie jestem pewna, jak to nazwać... szeptów wśród personelu floty, sugerujące, że nie jestem dość twarda dla wrogów państwa?

Bwua'tu, najwyraźniej nieporuszony, a może po prostu nieświadom związku pomiędzy zawartością talerza a niedawnym tematem rozmowy nadział kawałek upieczonego głowonoga na widelec i wsunął do ust. Żując, zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Owszem - rzekł wreszcie. - W ciągu ostatnich kilku miesięcy były jakieś plotki. Zwłaszcza o pułkowniku Solo, zabójcy Pellaeona, a ostatnio o szalonych Jedi.

- A co ty o tym myślisz?
- Myślę, że jakaś grupa o szczególnych zainteresowaniach starannie podsycy te płomienie.

Nie mam nic przeciwko temu, żeby przywołać Jedi do porządku, wiesz o tym, ale nie wierzę, żeby byli aż tak zbuntowani, jak twierdzą plotkarze. Uważam ich za przyzwoite istoty, którym dobro Sojuszu leży na sercu.

- Jakakolwiek byłaby przyczyna tych plotek, jeśli będą się dalej rozprzestrzeniać, mogą zaszkodzić skuteczności państwa.

- Pewnie masz rację.

- Śmierć Niathal to tragedia, a w dodatku pozbawia nas atutów, jakie mógłby przynieść jej proces i ewentualne uniewinnienie. Będę teraz musiała podjąć pewne kroki, aby uspokoić te pogłoski.

Bwua'tu odpowiedział niezobowiązującym mruknięciem.

- Nie uważasz, że mam rację?

- Nie mam pojęcia, co jest potrzebne, aby rządzić razem z licznym, w większości cywilnym gabinetem, któremu podlegają różne departamenty sił zbrojnych. Ty się tego doskonale nauczyłaś od czasu, kiedy zostałaś prezydentem. Jeśli ja słyszę jakieś szeptki, pierwszą moją myślą jest kazać się plotkarzom zamknąć i robić swoje dalej. Czy rozważasz jakieś kroki przeciwko Jedi?

Daala musiała przywołać całą swoją samodyscyplinę, żeby się nie skrzywić. Bwua'tu znów zdawał się czytać w jej myślach. Oczywiście, był mistrzem strategii, dużo lepszym niż ona, ale i tak było to niepokojące.

- Owszem rozważam - odpowiedziała.

- Powinnaś się wstrzymać.

- Dlaczego?

- Uważam, że odsuwanie Jedi, jak to uczynił pułkownik Solo, jest ryzykowne. Zakon powinien być dobrze zintegrowaną częścią Sojuszu. Nadmiar nacisków, zbyt wiele otwartych działań może prowadzić do tego, że staną się niechętni do współpracy.

- Nie proponowałbyś czegoś takiego elitarniej jednostce wojskowej.

Pokręcił głową.

- Masz rację. Ale komandosi rzadko używają Mocy i nie mają tradycji sięgającej początków Starej Republiki.

- Ale to właśnie komandosów ludność cywilna powinna podziwiać i szanować. Bardziej niż Jedi. - Zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

Bwua'tu zaśmiał się głośno.

- Podobno chcesz użyć Mando. Wysłać ich na Jedi.

Głos Daali stał się nagle ostry, jakby zabawy Bwua'tu w czytanie myśli miały zranić jej uczucia.

- Przestań już - powiedziała Daala ostro. Miała dość tego czytania w jej myślach.

- Jak sobie życzysz.

Po chwili jej twarz się rozpuściła.

- Wybacz, jestem przewrażliwiona. Zostajesz?

- Jeśli zaproszenie jest aktualne.

- Wiesz, że jest.

## Świątynia Jedi, Coruscant

Kyp Durrone wszedł do Sali Rady Jedi krokiem tak szybkim, że szaty rozwiały mu się i zakręciły wokół stóp jak peleryna. Nie przeszkadzało mu, jeśli się spóźniał, ale nie lubił, kiedy ludzie uważali go za rozlazłego. Czasami potrzebne było odpowiednie tempo.

Kiedy podchodził do wyznaczonego krzesła, ujrzał hologram Jadena Korra, który zwracał się do zgromadzenia za pośrednictwem transmisji na żywo. Korr, pochodzący z Coruscant niegdyś uczeń Kyle'a Katarna, był o wiele poważniejszy jak na gust Kypa, ale jego kariera Rycerza Jedi była długa i imponująca.

- ...dowody nie powalają na kolana - mówił Korr - ale jest ich coraz więcej i wszystkie

wskazują na reaktywację Czarnego Słońca. Dochodzą do tego jeszcze dziwne elementy, takie jak rysunki znalezione w śmieciach wyrzuconych przez porwane statki. Rysunki sugerują istnienie jakiegoś rodzaju kultu... czczącego Xizora.

Wśród zebranych Jedi rozległy się pomruki. Księżę Xizor, należący do Falleenów przywódca przestępczej organizacji Czarnego Słońca czterdzieści lat temu, nie żył od dawna... a przynajmniej od dawna uważano go za martwego.

Mistrz Kenth Hamner zadał pytanie, które wszystkim przyszło do głowy:

- Czy istnieje jakakolwiek szansa, że księżę Xizor nadal żyje?

Hologram Korra wzruszył ramionami.

- Nie widziałem na to żadnych dowodów. Ale jeśli przetrwał choć kawałek księcia, a zwolennicy Czarnego Słońca położyli łapy na komorze do klonowania...

- Rozumiem. - Mistrz Hamner zdawał się niewzruszony tą teorią. - Oczywiście, sprawdźcie to. Czy masz wszystko, co ci jest potrzebne?

- Na razie mam.

- Doskonale. Dziękuję, Jedi Korr. Świątynia się wyłącza.

Obraz Korra zafalował i znikł.

Hamner zwrócił się w kierunku centralnej grupy Jedi i wybrał wzrokiem jednego.

- Jedi Saar, czy masz raport ze swojego aktualnego śledztwa?

- Mam. - Sothais Saar, który wystąpił na wezwanie Hamnera, był Chevem - wyglądał na człowieka o skórze albinosa. Był wysoki jak na Cheva, o niebieskich oczach, dość rzadkich wśród jego rasy; miał też charakterystyczne dla niej niskie czoło. Krótko obcięte włosy, czarne na czubku głowy, jaśniały równomiernie ku dołowi, tak że na skroniach i karku miały jasnobrązowy kolor. Ubrany był w modnie skrojoną szatę, niezbyt pasującą do konserwatywnych gustów Jedi. Kiedy wyszedł przed rzędy krzesel, aby stanąć przed Hamnerem, wyglądał jak adwokat, gotów do obrony swojej sprawy przed sądem. - Moje zadania obejmowały ostatnio sporządzenie raportu, tak obszernego, jak pozwalają na to okoliczności, na temat niewolnictwa praktykowanego w galaktyce, zarówno oficjalnie, w regionach niekontrolowanych przez Sojusz Galaktyczny, jak i nieoficjalnie, w okolicach mniej ściśle kontrolowanych. - Głos też miał jak adwokat lub urodzony polityk. - Nie będę was nudził cytowaniem liczb, omówię tylko główne trendy. W takich regionach, jak przestrzeń kontrolowana przez Huttów, niewolnictwo wśród gatunków rozumnych w dalszym ciągu kwitnie. A ponieważ ostatnio Zakon Jedi stał się siłą działającą na korzyść Starej Republiki i jej spadkobierców, nasze wysiłki dążące do likwidacji niewolnictwa poza Sojuszem Galaktycznym znacznie straciły na intensywności i skuteczności. Urządzamy przepychanki z rządem Sojuszu na temat wykorzystania miejscowych zasobów poza jego granicami, a tymczasem nieszczęśni niewolnicy, którzy kiedyś uważali Zakon Jedi za swoją ostatnią nadzieję, coraz częściej dochodzą do wniosku, że pozostawiono ich własnemu losowi...

Kyp wyłączył się. Nie był na te sprawy obojętny, sam wiele dziesięcioleci temu pracował jako niewolnik w kopalni na Kessel. Chętnie się gdzieś wybierze, aby ponegocjować twardo z handlarzami niewolników. Nie był jednak zainteresowany całą tą rozmową, która zdawała się mieć na celu nie tyle przekazanie informacji Jedi, co zirytowanie Kentha Hamnera, który stał na czele Zakonu w tym okresie politycznego zastoju.

Poczuł, że ktoś się do niego zbliża. Podniósł wzrok i ujrzał Jainę, opierającą się o jego krzesło.

Zniżyła głos do szeptu:

- Znów ten Xizor, słowo daję! Dlaczego martwi wrogowie nie mogą pozostać martwi cały czas?

Kyp wzruszył ramionami.

- Zapytam Exara Kuna, kiedy następnym razem pójdziemy na drinka.

- Bardzo zabawne.

- ...pełny tekst mojego raportu - kontynuował Saar - zatytułowanego *Wzmożenie praktyk niewolniczych jako skutek II Galaktycznej Wojny Domowej* dostępny jest w archiwach Świątyni. To zresztą uproszczona wersja. Wersję z adnotacjami i indeksem udostępnię za jakieś trzy tygodnie.

- Dziękuję, Jedi Saar, za twoje niezwykle zaangażowanie w tej sprawie - odezwał się Hamner znudzonym głosem. - Zalecamy, żeby wszyscy zapoznali się z twoim raportem. - Rozejrzał się wokoło, zauważył Kypa i wyprostował się nagle. - Na tym kończymy pierwszą część spotkania. Druga część jest przeznaczona dla Mistrzów i proszę ich, żeby pozostali.

Rycerze i uczniowie Jedi wstali jednocześnie i zaczęli opuszczać salę. Jaina jednak została.

Mistrz Hamner odczekał, aż ostatni z wychodzących przekroczy próg sali, nacisnął przycisk na poręczy fotela, a drzwi zamknęły się i zablokowały.

- Mistrzu Durrone, poprosimy o raport.

Kyp odchrząknął.

- Nasze eskadry StealthX-ów - zaczął - są gotowe do działań w siedemdziesięciu dwóch procentach. Zgodnie z obecnymi szacunkami, za dwa dni gotowość wyniesie dziewięćdziesiąt jeden procent i będzie to prawdopodobnie maksimum naszych możliwości. Aby uzyskać lepsze wyniki, musielibyśmy wydawać nasze kredyty bardziej otwarcie, a wtedy rząd i prasa nie mogliby tego nie zauważyć.

- Ona mówi, żebyśmy startowali teraz - odezwała się Mistrzynie Sebatyne. - Niech pozostali dołączą do nas za dwa dni.

Mistrz Hamner spojrzał na nią z wyrzutem.

- Dziękuję, Mistrzynie Sebatyne. Ale dokąd mamy lecieć? Do Otchłani? Nie wiemy, gdzie przebywają ci nowi Sithowie.

Saba Sebatyne nie wydawała się w najmniejszym stopniu zbита z tropu. Gadokształtna Mistrzynie Jedi zerwała się z miejsca.

- Powinniśmy przejść na pozycje przegrupowania, gdzie rząd nie będzie mógł się wtrącać, rejestrować ani podsłuchiwać. Pozostaniemy tam zamaskowani i zaciżeni... ale trzeba to zrobić już.

- W ciągu dwóch dni może uda nam się nawiązać kontakt z Benem Skywalkerem albo z małżeństwem Solo. Musimy wiedzieć więcej niż teraz. Zaczekamy. - W głosie Hamnera pojawił się rozkazujący ton. - Będziemy stosować te same metody, co do tej pory. Większość Mistrzów ma się trzymać z dala od Świątyni z wyjątkiem terminów spotkań. Trzeba unikać wrażeń, że coś kombinujemy. Mistrzynie Ramis, czy transfer naszych najbardziej doświadczonych pilotów Jedi z powrotem na Coruscant przebiega zgodnie z planem?

Octa Ramis tylko skinęła głową.

- Nie znaleziono jeszcze w Archiwach żadnego dowodu na istnienie tej nieznanej dotąd gałęzi Sithów?

Tym razem kilka głów zaprzeczyło jednocześnie. Hamner westchnął.

- Doskonale. Wrócimy do tego. Dziękuję wszystkim.

Znow nacisnął przycisk i drzwi sali się otworzyły.

Kyp pochwycił wzrok Jainy, zanim ruszył do wyjścia.

- Nie oddalaj się od Świątyni - polecił jej. - Kiedy wystartujemy, chcę, żebyś była w swojej maszynie.

- Możesz na to liczyć.

### **W pobliżu Jeziora Czerwonych Skrzeli, Dathomira**

Ben obudził się wcześniej, jeszcze przed świtem. Nie spał zbyt wiele, długo w nocy siedział z ojcem, pracując - tak jak i Luke - nad swoim mieczem świetlnym. Dzięki temu, kiedy wreszcie położyli się spać po północy, mieli dwa w pełni sprawne urządzenia.

Chłopiec mógłby pospać dłużej, ale miał zamęt w myślach. Usiadł na pościeli, o kilka metrów od ogniska reszty ekipy, otulił się kocem i zamyślił, mając nadzieję, że osiągnie stan chłodnej zadumy, jaki przystoi Jedi.

Kiedy Darth Caedus, czyli jego kuzyn Jacen Solo zginął - co nastąpiło już po śmierci jego sithańskiej mentorki, Lumiya - a jego uczennica Tahiri Veila nie wykazywała żadnych chęci do



kontynuowania tradycji Sithów, Ben miał nadzieję, że wreszcie rozprawili się z nimi na dobre. Och, oczywiście, czasem podejrzewano, że jest inaczej: wciąż istniał Statek - kula medytacyjna Sithów, którą sam kiedyś dowodził, dochodziły też plotki o zabłąkanych gdzieś w galaktyce, wymierających społecznościach Sithów. Ben to ignorował. Ci Sithowie wydawali mu się nierzeczywiści.

Zmieniło się to jednak wraz z pojawieniem się grupy uderzeniowej Sithów w Gromadzie Otchłani. Większość członków grupy - ci, z którymi walczyli Ben czy Luke - była porządnie wyszkolona, na poziomie doświadczonych Rycerzy Jedi. Luke Uznał nawet towarzyszkę Vestary Khai, za równą Mistrzom Jedi. Ben teraz już nie wierzył, że grupa uderzeniowa to ostatni przedstawiciele nowego zakonu Sithów.

Zatem Sithowie wrócili i część Bena - ten chłopiec, który był torturowany i którego prawie przeciągnął na Ciemną Stronę Darth Caedus - wciąż się ich obawiała.

Śmierć go nie przerażała. Ale stać się kimś takim jak Jacen Solo... to całkiem inna sprawa.

O kilka kroków od syna siedział Luke, całkowicie rozbudzony i spokojny.

- Twoje uczucia cię zdradzają - powiedział.

Ben się skrzywił.

- Twoje za to kręcą się w kółko, robiąc wszystkim na złość.

Luke wyszczerzył zęby.

- Mógłbyś przestać mówić takie rzeczy?

- Przepraszam, ale mam dość słuchania tych samych starych prawd, opowiedzianych w ten sam stary sposób, rok za rokiem. Myślę, że dlatego Mistrz Yoda przekręcał tak bardzo basie w swoich zapiskach. Po dziewięćset latach musiał mieć po czubek głowy słuchania w kółko tego samego. Jeśli się używa tych samych wyświechtanych słów zbyt długo, to ludzie przestają rozumieć ich znaczenie.

Luke zastanowił się nad tym.

- Możesz mieć rację - uznał w końcu.

- To dobrze. Tato, jaki mamy plan na dziś rano?

Luke odrzucił koc i wstał.

- Po pierwsze, zrobić śniadanie.

- Nie jest to dzieło geniuszu strategicznego, jakie miałem nadzieję usłyszeć.

Luke zaśmiał się znowu.

- Cóż, jeśli nie zjemy czegoś niebawem, z mojego geniuszu niewiele zostanie. - Ruszył w kierunku zapasów.

Słońce Dathomiry było coraz wyżej i obozowisko zaczęło przygotowywać się do codziennych zajęć. Grupki kobiet i grupki mężczyzn, rzadko kiedy mieszane, kręciły się na łąkach otaczających jezioro, wbijając paliki w ziemię, udeptując trawę wzdłuż tras wyścigów, rozlokowując cele, zaganiając do zagród krzepkie, zielonożółte jaszczury.

Firen Nuln, treserka rankorów dla plemienia Deszczowych Liści, widocznie przegrała jakiś zakład, bo podeszła do ogniska przybyszów.

- Przysłano mnie, żebym odpowiedziała na wasze pytania, jeśli je macie.

Sądząc po tonie głosu, nie uradował jej ten obowiązek.

Ben wymienił spojrzenia z Hanem i wzruszył ramionami.

- Jasne. No więc... jakie konkursy planujecie?

- O, różne. Wyścigi biegaczy, jeźdźców na jaszczurach, na rankorach, na ścigaczach dla tych, którzy je mają, konkursy strzelania z pistoletu i ze strzelby, celności w rzucie włócznią, zapasy, łodzie, pływacy, zagadki...

- Zagadki? - Ben nie mógł ukryć zaskoczenia, a nawet lekkiej pogardy w głosie. - Macie konkurs rozwiązywania zagadek?

- Oczywiście - skinęła głową Firen.

Ben rozłożył dłonie na odległość jakichś trzydziestu centymetrów.

- Co to: tej wielkości, waży czterdzieści kilo i zjada ludzi?

Dyon, oparty o ścigacz towarowy i obserwujący przygotowania, pokręcił głową, nie odwracając się.

- U nas to wygląda inaczej. Pośród Dathomirian i większości ludów o bogatej tradycji przekazów ustnych zagadki przyjmują inną formę. Twoja brzmiałaby tak: Mam długość mniejszą niż ramię mężczyzny. Ważę jednak tyle, że dorosły człowiek nie dałby rady nosić mnie przez cały dzień. A kiedy ten dzień się skończy, to właśnie tego człowieka zjem na kolację.

- To bardzo skomplikowany sposób zadawania zagadki.

Firen skinęła głową.

- Za to poważniejszy. Jeśli zagadka zostanie sformułowana tak, jak zrobił to Dyon, nie brzmi już jak dziecinna zabawa. - Wydawała się dziwnie niespokojna. Wreszcie zapytała: - Więc jakie jest rozwiązanie tej zagadki?

Ben spojrzał na nią niewinnie.

- To jest Ewok w pudełku na śniadanie.

Han zachichotał.

Dyon rzucił Benowi gniewne spojrzenie.

- Widzisz, dla nas to wcale nie jest śmieszne, bo nie ma kontekstu lokalnego. Na Dathomirze nie ma Ewoków ani pudełek na śniadanie, chyba że w porcie kosmicznym.

- Można to jakoś zmienić. - Firen zmarszczyła brwi i zamyśliła się. - Może niech to będzie jaszczurka kolef w bukłaku na wino.

- Wyluzuj, Dyon. - Han przeciągnął się, aż trzasnęły mu stawy. - To naprawdę było śmieszne.

Dyon pokręcił głową.

- Z takim podejściem nie wygracie żadnego z konkursów.

Han wydawał się zaskoczony.

- Nie wygramy? Przecież i tak nie bierzemy w tym udziału!

- Ale weźmiecie - wtrąciła się Firen. - Musicie stanąć do konkursów... przynajmniej dorośli, jeśli macie zachować szacunek członków klanu.

Han rozpromienił się w uśmiechu.

- Ach, tak? To całkiem inna historia!

- Najpierw oczywiście musicie zdecydować - powiedziała Firen - po czyjej stronie będziecie startować.

- Mężczyzn i kobiet, oczywiście. - Leia w skupieniu poprawiła swoją szatę Jedi. Wydawała się niezbyt zainteresowana, ale Ben nie dał się zmylić.

- Nie ma mowy. - Firen pokręciła głową. - Mężczyźni i kobiety konkurują ze sobą. Jest też podział na tych, którzy mają Sztukę i którzy jej nie mają.

- Czyli ci, którzy używają Mocy, i pozostali? - Ben rozejrzał się wokół. W miejscach, gdzie zbierali się uczestnicy konkursów, każda grupa zawierająca i mężczyzn, i kobiety była zdominowana przez przedstawicieli jednej z płci. Domyślił się, że tam, gdzie było więcej kobiet, przeważali użytkownicy Mocy.

- Masz rację. Musimy tak postępować, ponieważ w zmaganiach pomiędzy tymi, którzy posiadają Sztukę, i pozostałymi, ci pierwsi zwykle wygrywają. - Firen machnęła ręką w stronę kawałka nagiej plaży, gdzie zbierano drewno na wielkie ognisko. - Tam odbędzie się zadawanie zagadek i inne konkursy, te nieliczne, w których posiadający Sztukę i ci bez niej mogą ze sobą współzawodniczyć.

- Wydaje mi się to niezłe pomyślane - ocenił Luke. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na masce ścigacza, dokonywał ostatnich poprawek regulacji na rękojeści miecza. - Podejrzewam, że szczególnie dużo gadania byłoby, gdybym to ja nie wziął udziału w zawodach.

- O, z pewnością - stwierdziła Firen. - Wszyscy będą się zastanawiać, czy zasłałeś, czy tylko gardzisz naszą tradycją.

- Chyba lepiej będzie, jeśli się przyłączę. - Luke spojrzał na szwagra. - Ty też, Han.

- Ale ja naprawdę jestem słaby.

Leia prychnęła.

- Akurat. Raczej leniwy.

Han spojrzał na Firen błagalnie.

- Powiedz, że jest też konkurs degustacji wina.
- Nie ma.
- A rozwiązywania problemów nawigacyjnych?
- Też nie.
- Samochwalstwa?

Firen westchnęła, odwróciła się i ruszyła w kierunku obozowiska Deszczowych Liści.

Rozległ się sygnał wzywający do pierwszego konkursu tego ranka - krótkiego biegu dla posiadających Sztukę. Luke postanowił dołączyć do uczestników i większość jego ekipy podążyła za nim, żeby mu kibicować.

Ben został. Usiadł w cieniu ścigacza towarowego i zaczął przegląd przedmiotów, które dostał na wymianę lub pożyczył z samego rana, kiedy obozowisko dopiero się budziło.

Zielony płaszcz od Strzaskanych Kolumn, odpowiedni na chłodny klimat wyżynnych terenów, szczelnie okrył jego czarny strój, a brązowy kaptur płaszcza osłonił zbyt widoczne rude włosy. Przesunął zaczep miecza świetlnego na tył pasa, a w jego miejsce przywiesił wielki nóż w pochwie, pożyczony od Carracka. Gdyby teraz ktoś spojrział na niego, w jednej chwili by się zorientował, że nie należy ani do Deszczowych Liści, ani do Strzaskanych Kolumn, ale nie było już tak oczywiste, że jest Jedi albo przybyszem spoza planety.

Wkładając to zaimprovizowane przebranie, od czasu do czasu zerkał na miejsce walk lekkoatletów, zwłaszcza na tłum zebrany wokół zawodników. Olianne też tam była i zapewne bardzo starannie obserwowała wszystkich obcych.

Vestara na ogół stała obok Olianne, ale czasami kręciła się po obrzeżach tłumy. Ben wstał i nonszalanckim krokiem ruszył w stronę widowni.

Idąc, słyszał głos jednej z kobiet Deszczowych Liści, ogłaszający zasady rywalizacji. Zawodnicy mieli ścigać się przez długość pola, okrążyć słupkę tak, aby mieć go z lewej strony, a potem wrócić na linię startu. Następny wyścig będzie dłuższy - osiem okrążeń. A potem ta sama konkurencja zostanie powtórzona przez osoby nieposiadające Sztuki.

Ogłaszanie zasad dobiegało końca, kiedy Ben znalazł się wśród widzów. Trzy metry przed nim, na przedzie tłumy, stała Vestara. Olianne znalazła się kilkanaście metrów od niej, oddzielona cizbą gapiów.

Strzał z miotacza w niebo był sygnałem do startu wyścigu. Ben patrzył, jak jego ojciec i jeszcze trzy osoby - dwie kobiety i jeden mężczyzna z Dathomiry - bez trudu wysuwają się na czoło. Luke nie prowadził; przed nim biegła Halliava Vurse, instruktorka Deszczowych Liści. Mistrz Jedi, sprytny jak zwykle, bez wątpienia się oszczędzał.

Vestara weszła głębiej w tłum i znalazła się tuż przed Benem. Nie zdziwiła się jego widokiem.

- Dzień dobry - przywitała się.
- Skoro tak twierdzisz.
- Uważasz, że tak nie jest?

Ben zmarszczył brwi.

- Nieistotne, czy będzie dobry, czy zły.
- To zawsze jest ważne. Czy ranek będzie dla ciebie gorszy, jeśli twój ojciec przegra?
- Nie przegra.

Ben ponad ramieniem Vestary obserwował zawodników powracających na linię startu. Luke wyraźnie korzystał z Mocy i zaczął wysuwać się na prowadzenie - ale Halliava się nie poddawała. Dathomirianka biegła dobre dwa metry przed Lukiem i jako pierwsza pokonała linię mety. Widownia eksplodowała wiwatami.

Vestara się uśmiechnęła.

- No i co ty na to? Czy to lepszy dzień, czy gorszy?
- Taki sam. - Ben starał się nie okazywać irytacji. - Nie jestem tu, aby obserwować wyścig.

Przyszedłem, żeby porozmawiać z tobą...

- Bez wiedzy mojej nowej matki?
- ...o twoich kłamstwach z wczorajszego wieczoru.
- A co ty o nich myślisz?
- Więc przyznajesz, że okłamałaś i nas, i Olianne?
- Ależ oczywiście. Chodź, obejrzymy dłuższy wyścig. - Odwróciła się i precisięła z

powrotem na skraj tłumy.

Ben, zakłopotany, ruszył za nią.

- Co ty tu właściwie robisz? - zapytał.

- Zaraz, zaraz. - Vestara spojrzała na niego z pretensją. - Nie powiedziałaś jeszcze, które z moich słów były kłamstwem.

- Wszystkie.

- A więc uważasz, że nie nazywam się Vestara Khai?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Jeśli to nie jest twoje prawdziwe imię, i tak zawsze będę cię tak w myślach nazywał.

Skinęła głową.

- Masz rację, ale nie unikaj odpowiedzi. No więc gdzie jeszcze powiedziałam nieprawdę?

Ben przypomniał sobie rozmowę z poprzedniego wieczoru.

- Zaprzeczyłaś, że jesteś Sithem - wytknął jej.

- Wcale nie. Powiedziałam, że byłam Sithem, a teraz należę do Deszczowych Liści.

- Ale wciąż jesteś Sithem.

- No, może z pewnego punktu widzenia. Ale według prawa Deszczowych Liści nie jestem.

Więc i tutaj nie skłamałam. Co dalej?

Zawodnicy przygotowujący się do długiego wyścigu ustawiali się na starcie. Luke i Halliava byli wśród nich. Po strzale zaczęli biec, ale z mniejszą zawziętością niż poprzednio.

- Powiedziałaś - mówił dalej Ben - że nie będziesz mówić o swoich przyjaciółach i rodzinie, ponieważ to może wyrządzić im krzywdę.

- To też prawda. Z całą pewnością zechcielibyście ich skrzywdzić. No i gdzie się podziały moje kłamstwa?

- Sama przyznałaś, że mówiłaś nieprawdę.

- Może skłamałam.

Ben mimo woli zacisnął zęby. Sprytne wykręty tej dziewczyny działały mu na nerwy.

Ciekawe, co by zrobił Luke, gdyby Ben kiedykolwiek...

Uświadomił sobie nagle, że przy niezliczonych okazjach dawał ojcu podobnie wykrętne odpowiedzi i poczuł się z tym nieszczególnie.

Wśród okrzyków wiwatujących widzów słyszał, jak Vestara śmieje się z niego.

- Skłamałaś o miejscu, gdzie się rozbiłaś - nie dawał za wygraną. Włożył w te słowa całą pewnością, jaką czuł.

Dziewczyna przechyliła głowę w zamyśleniu.

- Wiesz, chyba masz rację. Tu rzeczywiście skłamałam.

- No więc gdzie się rozbiłaś?

- O, na to jestem zbyt dobrym pilotem. Nigdy w życiu się nie rozbiłam.

- Kolejne kłamstwo, tak?

Zaśmiała się i pokazała palcem na Luke'a.

- Twój ojciec nieźle sobie radzi.

Miała rację. Luke i Halliava znów znajdowali się na czele biegnących. Jako pierwsi dotarli do linii startu, okrążyli słupek i ruszyli w kierunku drugiego słupka.

Vestara zadumała się na chwilę.

- Ci ludzie tutaj są wspaniali, Ben. Myślę, że mój ród mógłby się od nich uczyć. Wolałbyś, aby tak się nie stało?

- Wolałbym, żeby Sithowie nie uczyli się niczego poza tym, jak przestać być Sithami.

- A czego nauczyłaś się ode mnie?

Zastanowił się.

- Jedi mają przysłowie: „Przyszłość zawsze w ruchu jest”. Przekręcono tu szyk słów na pamiątkę pewnego ekscentrycznego starego Mistrza. Od ciebie dowiedziałem się, że sithańskim odpowiednikiem tego powiedzenia jest: „Prawda jest zawsze w ruchu”.

- Interesujące. A jeśli stwierdzę, że mam nadzieję, że twój ojciec wygra, to mówię prawdę, kłamię czy strzelam do ruchomego celu?

Ben pokręcił głową i się odwrócił.

## ROZDZIAŁ 10

Luke rzeczywiście wygrał ten wyścig, przybiegając o kilka metrów przed Halliawą, która z kolei znacznie wyprzedziła zdobywcę trzeciego miejsca. Halliava miała o połowę mniej lat od Luke'a, ale jego zdolność do systematycznego czerpania z Mocy zdecydowanie przewyższała jej możliwości i to on pierwszy pokonał linię mety równym krokiem, ku wielkiej radości widzów.

Luke dołączył do syna w tłumie gapiów i wytarł się szmatą ze ścigacza towarowego. Spojrzał na syna znacząco i zapytał:

- Wskórałeś coś?

Ben pokręcił głową. Znów przebrał się w zwykłą czerń - nie chciał, aby Olianne lub inni przyzwyczaili się do jego widoku w maskującej odzieży, kiedy jest z ojcem.

- Ta dziewczyna przypomina małpojaszczura na kafowym haju. Tak kręci, że nie można jej przyszpilić.

- Szkoda.

- Mówiła na przykład, że lubi Dathomirian i że chciałyby, aby jej lud uczył się od nich.

Zabrzmiało to niewinnie... a mnie aż dreszcz przeszedł.

Luke rozejrzał się wokół.

- To dobrze, że masz taką świadomość. A jeśli zorientujemy się, czego oni chcieliby się nauczyć, to może odnajdziemy też słabe strony zakonu Sithów. Co mają Dathomirianie, a nie mają Sithowie?

- Wyjątkowe umiejętności w Mocy. Interesujące zwyczaje godowe.

Luke prychnął, rozbawiony.

- Tato, czy to prawda, że Teneniel Djo próbowała cię poślubić wbrew twojej woli? - zainteresował się Ben. Teneniel Djo, matka Tenel Ka, była Wiedźmą z Dathomiry.

- Jeśli to się nazywa „poślubić”, to owszem. A ty uważaj, do kogo się uśmiechasz. Nie jestem gotów do roli dziadka, a nawet teścia.

- Nie obawiaj się. Jaki mam tu wybór? Banda bab przyzwyczajonych do rządzenia swoimi mężczyznami i jedna sithańska dziewczyna.

Ben rozłożył się w cieniu ścigacza towarowego, szpiegując Vestarę przez makrolornetkę pożyczoną od Carracka.

I jak na złość, dziewczyna nie robiła niczego podejrzanego.

Obserwowała zawodników z zainteresowaniem i entuzjazmem. Rozmawiała z Deszczowymi Liśćmi, zwłaszcza z Olianne, ale także często z Kaminne i Halliawą.

Plotkowała i wiwatowała, kiedy trzeba, do niektórych odnosiła się ciepło, do innych lodowato. Poruszała się z gracją tancerki, wolną od lekkiej niezdarności charakterystycznej dla młodych kobiet w jej wieku.

Ku coraz większej irytacji Bena, przypominała wszystkie nastoletnie dziewczyny, jakie znał. Nic w jej zachowaniu nie donosiło: Jestem Sithem! Nie unosiły się wokół niej miazmaty zła, nie zauważało się też groźnej koncentracji, tak charakterystycznej dla Jacena, kiedy przechodził na Ciemną Stronę.

Ben bardzo chciał znaleźć jakiś powód, żeby znienawidzić tę dziewczynę, ale nie umiał. Jego uwagę odwrócił nowy konkurs. Han Solo właśnie wysunął się na czoło grupy

zawodników. Ben dopiero teraz się zorientował, że to konkurs strzelania z miotacza dla osób bez Sztuki. A przecież już od jakiegoś czasu słyszał rytmiczne eksplozje metodycznej strzelaniny.

Han stał na początku kolejki, czekając, aż cele - małe tabliczki z gliny - zostaną ustawione pionowo w uchwytach na drewnianych słupkach.

Jak tylko zajmujący się tym członkowie klanu odeszli na bezpieczną odległość, Han dobył broni i zaczął jej używać. W przeciwieństwie do poprzednich zawodników, strzelał z biodra. Strzały następowały po sobie tak szybko, że Ben z trudem je odróżniał. W mniej niż trzy sekundy wszystkie tabliczki znikły, pozostawiając chmury pyłu. Han zachichotał, zakręcił miotaczem na palcu i wsunął go z powrotem do kabury.

Ben też się uśmiechnął. Han liczył na to, że mniejsza dokładność, spowodowana tempem strzelania, nie zostanie zauważona dzięki osłupieniu, w jakie ten pokaz wprawi innych zawodników.

I miał rację. Ben zauważył wytrzeszczone ze zdumienia oczy pozostałych strzelców. Wielu widzów nagrodziło oklaskami ten ostentacyjny pokaz umiejętności.

Tasander Dest, przywódca Strzaskanych Kolumn, wystąpił naprzód, wcale niespeszony przegraną. Organizatorzy konkursu ustawili nowe cele. Kiedy się odsunęli, Dest dobył broni i zaczął strzelać dokładnie tak samo szybko jak Han. Dziesięć celów rozprysło się momentalnie.

Han zrobił nieszczęśliwą minę. Ben zachichotał. Wujowi dobrze zrobi, jeśli czasem natknie się kogoś, kto mu zagra na nosie.

Ku zaskoczeniu Bena, następny był wyścig ścigaczy. O dziwo, wielu członków Deszczowych Liści i Strzaskanych Kolumn miało takie maszyny. Ben nie wiedział tylko, czy pochodzą z handlu, czy z kradzieży. Był tylko jeden wyścig, dla osób pozbawionych Sztuki, i zgłosiło się ośmiu uczestników. Ben domyślił się, że użytkowników Mocy ze ścigaczami było zbyt mało, aby rozegrać osobne zawody.

Jak tylko ścigacze ruszyły z rykiem z linii startu, Ben stwierdził, że coś go niepokoi. Opuścił makrolornetkę i zamyślił się. Czyżby coś przeoczył? Wciąż nurtowały go słowa Vestary, jakoby straciła miecz świetlny. Nie wyobrażał sobie, że mogłoby w ten sposób stracić swój, ale przepytani przez obu Skywalkerów członkowie klanu Deszczowych Liści twierdzili stanowczo, że Vestara przybyła do nich bez niczego poza ubraniem i że nie mogła ukryć w nim miecza.

Owszem, tym Ben martwił się również, ale nękało go coś innego. Próbował odciąć się od wszystkich myśli, żeby lepiej wyczuć przepływający przez niego strumień Mocy. I nagle już wiedział.

W obozowisku niewątpliwie znajdował się ktoś o wrogich zamiarach.

Poczuł drobne ukłucie gniewu i niechęci, bardzo rozproszone, bardzo niejasne. Natychmiast pomyślał o Vestarze, ale kiedy znów zaczął ją obserwować przez makrolornetkę, nie odniósł wrażenia, że to ona była jego źródłem.

W miarę jak słońce wspinało się po nieboskłonie, uczucie narastało, choć nie stało się wyraźniejsze.

Około południa Ben przywitał się z resztą ekipy i z Shą Bez Plemienia, kiedy wrócili na południowy posiłek.

- Widziałem, jak strzelasz - zagadnął Hana. - Jak ci poszło?

- Oczywiście, pierwsze miejsce. Siedemdziesiąt na siedemdziesiąt - rzeczowo odparł Han. - Ten elegancki chłopczyk ze Strzaskanych Kolumn był drugi, sześćdziesiąt dziewięć na siedemdziesiąt. - Kciukiem wskazał na dwójkę swoich towarzyszy. - Carrack i Yliri mieli remis na sześćdziesięciu ośmiu i musieli mieć dogrywkę. Yliri go załatwiła.

Carrack się skrzywił.

- Mało ćwiczę z pistoletami. Jeśli cel był w zasięgu strzału z pistoletu, i tak radziłem sobie jakoś z rusznicą.

- To tylko wymówki - wesoło odparła Yliri. Podniosła medal, okrągły, o średnicy jakichś pięciu centymetrów. Był wykonany z żółtej glinki i ozdobiony obrazkiem przedstawiającym pistolet i zawieszony na skórzanym rzemieniu. - Za to ja mam nagrodę.

Han podniósł swój. Był lśniący czarny - wydawał się raczej wyrzeźbiony z onyksu niż

wykonany z gliny.

- Myślę, że wygram jeszcze kilka i będę miał komplet.

Tarth i Sha zajęli się ogniskiem i wiszącym nad nim kociołkiem z potrawką - świetny powód dla Bena, aby nie oddalać się z obozu - i niebawem wszyscy usiedli do posiłku. Luke, Leia i Ben zajęli miejsca oddzielnie, niczym wysunięty posterunek Jedi.

- Czujecie to? - zapytał ich Luke.

Leia i Ben skinęli głowami. Leia obejrzała się na męża.

- To ma coś wspólnego z Hanem - wyjaśniła.

- Naprawdę? - Luke wydawał się zdumiony. - Nie przebywa tu tak długo, aby zdążyć się komuś narazić...

- Hanowi nie potrzeba wiele czasu - zapewniła go Leia.

- Cóż, możliwe, że ma to coś wspólnego z jego dawniejszymi sprawami z Dathomirą, kiedy to podobno wygrał ją w jakiejś grze.

Ben pokręcił głową.

- Gdyby chodziło tylko o niego, to mogło tak być. Ale czuję, że tego zła jest więcej.

Zamilkli na chwilę, bo Tarth i Sha podali im miski z potrawką. Ben zaczął jeść, zaskoczony, jak bardzo zgłodniał podczas tych kilku godzin szpiegowania. Sam skompletował składniki potrawy spośród produktów dostarczonych przez Dathomirian i zapasów wysuportowanych z ładunku przybyszów. W jej skład wchodziły głównie ryby z Jeziora Czerwonych Skrzeli, pokrojone bulwy roślin z deszczowego lasu i kwaskowate liście gronowców. Ben przyprawił to wszystko na ostro, zgodnie z koreliańskimi zwyczajami, i musiał teraz przyznać, że wyszło mu całkiem nieźle.

Nagle poczuł mocniejszy dreszcz niepokoju i przez moment zastanawiał się, czy potrawka aby nie została zatruta, kiedy nie patrzył.

Luke i Leia też coś poczuli. Zdawało się, że Dyon także, bo poderwał głowę i rozejrzał się uważnie.

Leia wstała zwinnie i podeszła do męża.

- Han, nie ruszaj się - poleciła mu.

Znieruchomiał z drewnianą łyżką w pół drogi do ust.

- Chcesz mnie takim zapamiętać, czy co?

- Właśnie. - Nachyliła się i podniosła coś z ziemi. - No, już po wszystkim.

Kiedy się wyprostowała, w dłoni trzymała węża. Uchwyciła go tuż za łbem, a giętkie ciało zaczęło owijać się wokół jej ramienia. Wąż był zielony, z dekoracyjnymi czerwonymi i żółtymi pasami. Ostre kolory miały wyraźnie ostrzegawczy cel.

Han zerwał się, jakby był marionetką poruszaną przez zbyt energiczne dziecko, a jego potrawka wylądowała na nogach Carracka. Zaczął się uważnie rozglądać wokół, jednocześnie zerkając na węża Leii.

- Co to jest? - warknął.

- Żmija kodashi - wyjaśniła Sha, robiąc wielkie oczy. - Najbardziej jadowity Wąż w lesie deszczowym. Po jego ukąszeniu umierasz w ciągu kilku minut. Nie ma na to antidotum. Ale za to są bardzo smaczne.

Leia podsunęła jej węża.

- Czy one występują w tej okolicy?

Sha pokręciła głową.

- W nocy jest tu za zimno.

- Podrzuciono go, to pewne - Luke mówił cicho, ale wszyscy w obozowisku go słyszeli. - To właśnie jego wyczuwaliśmy. Był kierowany Mocą.

W innym miejscu obozowiska nagle rozległ się pełen przerażenia i bólu wrzask człowieka. Był tak rozpaczliwy, że wszyscy członkowie ekipy zerwali się na nogi i popatrzyli w tamtym kierunku. Krzyk dochodził z okolic ogniska w obozie Strzaskanych Kolumn. W oddali widać było grupę mężczyzn stojących w kręgu. Trzymali płonące głownie, nachylając się nad czymś, co leżało na ziemi. Wreszcie jeden z nich wyrwał miotacz z kabury i wystrzelił. Pozostali odczekali chwilę, po czym cofnęli się o kilka metrów, więc Ben nie mógł już nic zobaczyć.

Razem z ojcem i ich towarzyszami ruszył w tamtym kierunku, tak samo jak wielu Dathomirian. I wtedy rozległ się kolejny krzyk, dochodzący z innej części obozowiska.

Niedługo dowiedzieli się, do jakiej tragedii doszło.

Nie tylko Han miał paść ofiarą jadowitego węża. Pięć innych żmij kodashi czyhało w różnych miejscach obozu - głównie wśród Strzaskanych Kolumn. Jedna została załatwiona włócznią, zanim zdążyła ukąsić, ale pozostałym czterem się udało. Czterej mężczyźni, sami zwycięzcy w różnych konkurencjach igrzysk, wśród okropnych bólów spowodowanych neurotoksyną umarli w ciągu kilku minut. Zginęli zwycięzcy wyścigu ścigaczy, zapasów, długiego biegu i rzutu włócznią - wszystko to były konkurencje dla osób bez Sztuki.

Po chwili człowiek ze Strzaskanych Kolumn - brodaty, krępy, ubrany w płową skórzaną kamizelkę i kilt - wyszedł na wolną przestrzeń dzielącą oba obozy, o kilka kroków od ogniska ekipy Hana, i przemówił:

- To wszystko przez te kobiety! - Jego głęboki głos słychać było w całym obozowisku. Pokazywał na namioty Deszczowych Liści. - Mówiły, że chcą się połączyć, ale na pewno znów chcą zrobić z nas niewolników! Zabijają każdego mężczyznę, który wybija się ponad przeciętność!

- Kłamiesz! - zawołała Firen, treserka rankorów. Wstała z twarzą czerwoną i wykrzywioną z gniewu i rzuciła się na mówcę. Chociaż próbował się odsunąć, uderzyła go pięścią w pierś, tak mocno, że zwałił się na ziemię.

Ben ruszył w tamtą stronę, tak samo jak kobiety i mężczyźni z całego terenu obozowiska.

Powalony brodaczy odtoczył się od Firen i zwinnie poderwał się na nogi. Widać było, że odczuwa ból w pierści, ale poza tym nic mu chyba nie dolegało. Sięgnął do rękojeści noża u pasa.

Ben rzucił się w jego stronę. Miał dziwne wrażenie, jakby poruszał się w zwolnionym tempie - a może to jego poczucie czasu uległo zniekształceniu.

Brodacz dziwnie spowolnionym ruchem wyciągnął nóż, który miał obosieczne ostrze i około trzydziestu centymetrów długości. Wyciągnął lewą rękę przed siebie, a dłoń z nożem trzymał z tyłu. Ruszył w stronę Firen.

W tym momencie interweniował Ben. Wyciągnął miecz świetlny, zapalił go i uderzył płynnym ruchem. Rozjarzone ostrze obcięło nóż brodacza nad rękojeścią. Energetyczne ostrze tnące stal wydało melodyjny brzęk. Ben wyłączył broń i cofnął się o krok, zanim brodaty mężczyzna i Firen zdążyli zareagować.

Brodacz, oszołomiony, spojrział na zniszczoną broń. Firen, wciąż wyraźnie wściekła, nie spuszczaając wzroku z Bena, odsunęła się od niego.

Nagle w samym środku grupy znalazł się Luke. Zaczął mówić niegłośno, ale jego głos niósł się bardzo daleko.

- Powiedźcie mi, kto myśli w imieniu Strzaskanych Kolumn?

Nadbiegający Dathomirianie zatrzymali się nagle. Kilka minut temu byli gotowi na awanturę ze współplemieńcami, ale nie wydawali się specjalnie chętni, aby napaść na uzbrojonych Jedi. Jeden z nich zawołał:

- Jak to, kto myśli w naszym imieniu? Chodziło ci chyba o to, kto mówi?

- Nie, nie o to - w głosie Luke'a brzmiała nieukrywana pogarda. - Zauważyłem, że ten człowiek przemawia w waszym imieniu, ale przecież to jasne, że on wcale nie myśli.

- Powiedziałem tylko prawdę! - Brodaty mężczyzna rzucił rękojeść noża na ziemię, pomiędzy nich. - Wiem, że żaden mężczyzna ze Strzaskanych Kolumn nie nasłałby na nas żmij, żeby zabijać naszych zwycięzców. To ich robota! - Wskazał po kolei ręką na kobiety z Deszczowych Liści zebrane wokół, ale zamarł, kiedy dotarł do Halliavy. - To na pewno ona! Nawet ubiera się w barwy kodashi!

Halliava spojrziała na niego z gniewem, ale i z politowaniem.

- Tak jak wiele z nas, a także z was - powiedziała. - Zręczność i siłę tych gadów należy podziwiać. Pomyśl jednak: czy ubierałabym się w ich barwy, a potem nasyłała je na was, sama się zdradzając? Musiałabym być równie głupia, jak ty. A jak sądzisz, która z nas potrafi kontrolować



tyle węży naraz?

To pytanie dało im do myślenia. Kobiety i mężczyźni spoglądali po sobie, szukając następnego podejrzanego. Od czasu do czasu zerkali także na Jedi.

- Łatwo na to odpowiedzieć - odezwał się Tasander Dest, który pojawił się w tłumie.

Wyszedł na otwartą przestrzeń, tam gdzie stali Jedi, człowiek z brodą i Firen. Kaminne Sihn szła tuż za nim.

Dest klepnął brodacza w ramię.

- Drola, pomyśl trochę. Kto ma Sztukę rozkazywania węzom? Kto chce przywrócić sytuację sprzed kilku pokoleń? Kto byłby szczęśliwy, widząc, jak dzielni mężczyźni umierają, a kobiety z Deszczowych Liści zostają o to obwinione?

Drola nie odpowiedział od razu, poruszał tylko wargami. Wreszcie padły słowa:

- To Siostry Nocy.

- Właśnie, Siostry Nocy. Siostry Nocy spowodowały dzisiejszą tragedię. A Skywalkerowie uchronili nas przed kolejną.

Kaminne zwróciła się do tłumy:

- Podwoimy strażę dzisiejszej nocy. Jeśli zobaczycie lub poczujecie coś dziwnego, zgłóście to przywódcy klanu lub dowódcy.

- Dzisiaj odprawimy rytuały pogrzebowe za zmarłych, a jutro specjalne igrzyska na ich cześć - podniósł głos Dest. - Będziemy się wzajemnie strzec: Strzaskane Kolumny i Deszczowe Liście. Dając nam wspólnego wroga, Siostry Nocy przekonają się, że przyspieszyły połączenie naszych klanów, zamiast mu zapobiec.

Odwrócił się do Kaminne, dając do zrozumienia tłumowi, że może się rozejść.

Wśród zebranych zaczęły się niegłośnie rozmowy, ale Ben z ulgą stwierdził, że napięcie zelżało. Dalsze szeregi powoli zaczęły się przeredzać; ludzie zdążali do swoich obozowisk.

Luke podszedł do Bena i zniżył głos tak, aby nikt nie mógł go usłyszeć.

- Dobra robota z tym nożem - pochwalił go.

Ben wzruszył ramionami i przypiął miecz do paska.

- Ramię było łatwiejszym celem, ale rozumiem, że na Dathomirze dość trudno o protezy.

Dest i Kaminne podeszli do nich, ale to Luke przemówił pierwszy.

- Powiedźcie, gdzie można znaleźć te Siostry Nocy?

Kaminne machnęła dłonią w stronę rozchodzącego się tłumy.

- Niektóre mieszkają w lasach i górach, tworząc małe wioski, ale teraz większość jest wśród nas. Nie przyznają się, że są Siostrami Nocy. Nauczyły się ukrywać skutki, jakie wywiera na ich ciała mroczne zastosowanie Sztuk. Podobno każdy z klanów ma wśród swoich Siostry Nocy. Czasami odbywają się ich spotkania. - Kaminne miała nieszczęśliwą minę. - Zdaje się, że właśnie teraz zorganizowały zlot, by powstrzymać połączenie klanów.

- Nowe zwyczaje zagrażają ich tradycji. - Dest wydawał się bardziej rzeczowo podchodzić do tematu. - Chyba po prostu będziemy nadal musieli je zabijać.

### **Biuro asystenta prezydenta, budynek Senatu, Coruscant**

Wynn Dorvan zatrzymał się przed wejściem do gabinetu. Musiał się przygotować na ostatni etap spotkania z oczekującym go Jedi. Dorvan rzadko miał do czynienia z osobowością, która byłaby jednocześnie tak silna, tak skoncentrowana i... tak nudna.

Dorvan był jednak profesjonalistą. Przystroił twarz w uprzejmy uśmiech, chociaż był daleki od zadowolenia, i podszedł do drzwi, które podniosły się, aby wpuścić go do prywatnego biura.

W fotelu, plecami do drzwi, siedział Jedi Sothais Saar. Chev nie zareagował w żaden sposób na wejście Dorvana.

Dorvan wyminął go, aby zająć miejsce za biurkiem.

- Pani prezydent żałuje, że nie może do nas dołączyć, ale powtarza, że ona także jest przeciwniczką niewolnictwa zarówno w granicach Sojuszu, jak i poza nimi. - Spojrzał na Saara, aby

wysondować reakcję Jedi na te komunały.

Saar drzemał, półleżąc w fotelu, z głową przechyloną na bok i zamkniętymi oczami.

Dorvan spojrział na niego zaskoczony i uśmiechnął się z rozbawieniem. Nigdy wcześniej nie przyłapał Jedi na drzemce - a teraz z całych sił musiał się powstrzymać, aby nie parsknąć śmiechem.

- Jedi Saar? - zagadnął.

- He? - Saar podskoczył i otworzył oczy. Rozglądał się wokół, wyraźnie zdezorientowany.

- Widać, że życie Jedi składa się z długich godzin czuwania i niepewności chwili.

- To prawda. - Saar spojrział na niego tak, jakby Dorvanowi nagle wyrosła druga głowa; chyba nie całkiem go rozpoznawał. Wydawał się jednak szybko wracać do siebie. - Powiniennem już pójść - dodał.

- Nie wiedząc, co pani prezydent ma do powiedzenia?

- Nie, nie... chciałbym się tego dowiedzieć. - Saar obrócił się i spojrział na drzwi, jakby liczył na to, że zobaczy stojącą w nich Daalę. Po chwili przeniósł wzrok na Dorvana. - Mógłbyś mnie odprowadzić i opowiedzieć po drodze?

- Oczywiście.

Wyszli z biura i ruszyli w kierunku windy prowadzącej do głównego poziomu.

- Prezydent Daala chciałaby - zaczął Dorvan - abyście zrozumieli, że tak samo jak wszyscy jest zaangażowana w wyeliminowanie resztek niewolniczej mentalności z galaktyki.

- Ach, tak? - Saar, wyraźnie niespokojny, ledwie drzwi turbowindy się uchyliły, wskoczył do środka.

Dorvan ruszył za nim, mówiąc:

- Jednak prezydent ma wiele innych spraw domagających się jej uwagi.

- To zrozumiałe - zapewnił Saar. - Poziom główny - zarządził.

Drzwi turbowindy się zamknęły i kabina zaczęła opadać.

Dorvan poczuł zniecierpliwienie. Saar zwykle prowadził słowną grę polityczną z upodobaniem i zręcznością. Teraz wydawało się, że nic go to wszystko nie obchodzi.

- Moglibyście stworzyć plan współpracy między Jedi i rządem, wykorzystując możliwości obu stron - podsunął - i poddać ją ocenie pani prezydent. Wspólnie łatwiej osiągniemy cel.

Saar spojrział na niego krytycznie. Dorvan zaniepokoił się lekko. Wydawało mu się, że Jedi ogląda go przez szkło powiększające, odkrywając, że sekretarz należy do gatunku do tej pory niesklasyfikowanego. Tymczasem Jedi powiedział jedynie:

- Dobry pomysł.

Turbowinda stanęła i drzwi się uniosły. Saar przeszedł do głównego holu budynku. Po prawej, w odległości jakichś stu metrów, przez drzwi wpadało światło słoneczne. Mieli przed sobą niezliczone boczne korytarze i drzwi do biur; wszędzie kręcili się politycy i człapały roboty protokolarne.

Saar szybkim krokiem ruszył w kierunku wyjścia. Dorvan z trudem za nim nadązał.

- Jedi Saar - wysapał - pozwól sobie mówić otwarcie. Napięcie pomiędzy Zakonem Jedi a rządem jest szkodliwe dla obu stron. Musimy czynić zbyt wiele ustępstw, żeby w ogóle znaleźć wspólny język i uspokoić nastroje, zanim zdarzy się następna tragedia, a różnice staną się nie do pokonania. Jeśli przywódcy obu stron nie mogą znaleźć wspólnego języka, to może uda się to niższym rangą?

- Może. - Saar wydawał się kompletnie niezainteresowany.

W tej właśnie chwili Dorvan zrozumiał, co się tu dzieje. Olśnienie przyszło nagle, przynosząc ze sobą falę raczej strachu niż energii.

Jeśli jego domysły były słuszne, znajdował się teraz w większym niebezpieczeństwie niż kiedykolwiek.

Cóż, musiał się przekonać.

Przypomniał sobie szczegóły dziwnego zachowania szalonych Jedi i wreszcie przemówił:

- Pewnie się zastanawiasz, co zrobiłem z prawdziwym Wynnem Dorvanem.

Jeśli się mylił, jeśli zachowanie Saara ma inne, prostsze wytłumaczenie, spróbuje jakoś się

wytłumaczyć z tych słów.

Saar zatrzymał się, spojrzął na Dorvana i nagle w jego prawej dłoni pojawił się niezapalony miecz świetlny. Oczy Jedi były szeroko otwarte, ale nie ze strachu; wyglądał na człowieka, który właśnie szykuje się do walki.

Dorvan także się zatrzymał; wiedział, że nawet najdrobniejszy niewłaściwy ruch może go kosztować życie. Poczul w piersi ogromny ciężar. Trudno mu było oddychać.

- Jedi Saar, jestem nieuzbrojony - wykrztusił.

Nagle Saar znikł mu z oczu. Zamrugał i dostrzegł Jedi daleko przed sobą; tak szybko gnał do wyjścia, że jego obraz zdawał się zamazywać. Potracił adiutanta niosącego chwiejny stosik kart danych - karty z trzaskiem posypały się na kamienną podłogę holu, a adiutant wrzasnął.

Dorvan chwycił komunikator.

- Blokada! Blokada! - zawołał do mikrofonu.

Jego polecenie wywołało natychmiastową i automatyczną reakcję systemu bezpieczeństwa budynku. Słońce stopniowo znikło, kiedy drzwi wejściowe zaczęły się zasuwać i uszczelniać. Wokół rozległ się niski, wibrujący dźwięk alarmu.

Jedi Saar rzucił się gwałtownie do wyjścia i dał nura pomiędzy płyty drzwi, kiedy były zaledwie o metr od siebie.

Dorvan zaklął.

- Dorvan, tu kapitan Brays z ochrony. Co się... - usłyszał w komunikatorze.

- Mężczyzna rasy Chev ucieka przez główne wejście, ma na sobie ciemne szaty. To szalony Jedi. Powtarzam, szalony Jedi. Sprowadźcie całą ekipę, żeby go śledzić. Nie wolno dopuścić do konfrontacji, chyba że macie środki niezbędne do pokonania Rycerza Jedi.

- Rozumiem.

## ROZDZIAŁ 11

Jedi Saar pędził przez plac przed budynkiem Senatu. Musiał zniknąć z otwartej przestrzeni, i to jak najszybciej, zanim rzucą się za nim w pościg ścigacze powietrzne ochrony. Nie dał jednak rady utrzymać dłużej wspomaganego Mocą tempa biegu. Musiał nieco zwolnić.

Przed nim znajdował się punkt ochrony, który sprawdzał wszystkich pieszych i ścigacze wkraczające na plac od tej strony. Siedzący tam agent właśnie odbierał alarmową wiadomość. Saar przebiegł obok, ignorując krzyki pracowników w hełmach. Zautomatyzowane systemy obronne posterunku, przeznaczone do wykrywania i ściągania w dół pojazdów przybywających z drugiej strony, nie mogły go powstrzymać, kiedy przebiegał koło nich.

Znalazł się na ulicy, w tłumie przechodniów. Postanowił zdjąć płaszcz i zabrać komuś z tłumu kolorową tunikę, żeby wyglądać inaczej niż w kamerach budynku Senatu.

Poczul ulgę, kiedy ujrzał, że przed nim wysiada z powietrznej taksówki Mistrzynie Cilghal, płacąc kierowcy monetami kredytowymi. Mistrzynie będzie wiedziała, co robić, przecież...

...ulga nagle znikła. Przez tych kilka sekund, jakich potrzebował, aby przebyć dzielącą ich odległość, Saar zrozumiał, że Kalamarianka, choć strojem i wyglądem identyczna z Mistrzynią Cilghal, jednak nią nie była.

Zatrzymał się, bo usłyszał trzask i syk. Zorientował się, że to on sam zapalił miecz świetlny, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Ostrze rozjarzyło się na niebiesko. Przechodnie z krzykiem zmieniali kierunek, byle dalej od dwojga Jedi.

Kierowca powietrznej taksówki odpalił silniki i odjechał, gubiąc monety od Cilghal, które z brzękiem upadły na bruk i potoczyły się na wszystkie strony.

Kalamarianka spojrzała na Saara.

- Jedi Saar, chyba wiem, co się z tobą dzieje.

- Co zrobiłaś z Mistrzynią Cilghal? - warknął Saar.

Falszywa Cilghal zamrugała każdym okiem oddzielnie, wyraźnie zastanawiając się nad odpowiedzią. Wreszcie skinęła głową, jakby podjęła decyzję.

- Ta rozmowa prowadzi donikąd. Nie ma sensu jej ciągnąć, bo i tak cię nie przekonam. Sięgnęła po swój miecz świetlny, dobyła go i zapaliła. Saar rzucił się w jej stronę.

Ich ostrza zderzyły się z trzaskiem w spektakularnej fontannie iskier. Garstka gapiów otaczających całą scenę teraz uciekała w pośpiechu. Już po chwili trzask mieczy świetlnych zagłuszyło wycie syren nadlatujących pojazdów ochrony.

Saar zadawał cios za ciosem. Chciał wciągnąć większą, dość niezdarną przeciwniczkę w serię szybkich parad, które powinny ją wybić z rytmu. Tyle że Cilghal wcale nie była niezdarna. Walczyła jak przystało na Mistrza Jedi, szybka niczym błyskawica, przewidująca każdy atak, niedająca się zwieść żadną sztuczką.

Saar wywinął salto w tył, aby zwiększyć odległość o kilka metrów, ale kiedy opadał głową w dół, poczuł nadlatujący od strony Cilghal impuls energii. Rzuciło nim prosto na granitową fasadę najbliższego budynku. Starał się Mocą spowolnić lot, złagodzić uderzenie, ale bez skutku. Uderzył w ścianę, aż huknęło.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, był bruk ulicy, pędzący mu na spotkanie.

### **Gabinet prezydenta, Coruscant**

Daala podniosła wzrok, kiedy Dorvan wszedł do jej biura. Miała gniewną minę, ale w jej głosie brzmiała troska.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Udało mi się uniknąć jego miecza. - Wyraźnie zdenerwowany Dorvan klapnął na najbliższe krzesło, nie czekając na zaproszenie. - Jestem wściekły, bo blokada, którą zarządziłem, nie spowolniła go ani trochę, za to mnie nie pozwalano tam dotrzeć przez pół godziny. Co mówi ochrona?

- Wpadł na Mistrzynie Cilghal i wywiązała się krótka walka, po której rozpląszczył się na chodniku. Cilghal zajęła nadjeżdżający ścigacz i zabrała go do Świątyni. - Daala zerknęła na monitor, znajdujący się na jej biurku, żeby przeczytać aktualne doniesienia. - Pracownicy Służb Bezpieczeństwa Coruscant, których wysłałam do Świątyni Jedi, są tam już. Nakazali Jedi wydać im Saara w ciągu godziny, grożąc konsekwencjami.

- A będą jakieś konsekwencje?

- O tak, zdecydowanie tak.

### **Świątynia Jedi, Coruscant**

Wieści o szaleństwie Saara i o oficerach Służb Bezpieczeństwa Coruscant parkujących na frontowych schodach Świątyni rozeszły się z szybkością światła. Gdy Jaina weszła do oddziału medycznego, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, był główny monitor, prezentujący wiadomości. Przekazywano widok z lotu ptaka na Świątynię Jedi, umundurowanych oficerów ochrony i strażników Jedi, stojących sztywno w odległości kilku metrów od siebie, jakby w zawieszaniu.

Cilghal, a może Tekli, wyłączyła dźwięk. Jaina spojrzała na Cilghal, która pochylała się nad ciałem nieprzytomnego Saara. Rycerz Jedi leżał na repulsorowych noszach, które w tej chwili spoczywały na podłodze. Zdjęto mu tunikę, a na czoło, niczym bandanę, założono pierścień monitorujący. Oczy miał zamknięte, ręce i kostki nóg przykute do noszy. Na nos założono mu opatrunek z błękitnego plastigipsu.

Jaina podeszła do Mistrzynie. Obok stał Shul Vaal, medyk Jedi i pomocnik Cilghal, błękitny Twi'lek w średnim wieku. Ze swoimi niespiesznymi ruchami i uspokajającym zachowaniem był niczym wyspa spokoju wśród cyklonu chaosu.

- To samo, co tamci? - zapytała.

Shul Vaal skinął głową.

- Taka sama paranoja i wrogość. Jeszcze nie objawiły się nietypowe zdolności w Mocy. Mistrzynie Cilghal obdarowała go złamanym nosem i wstrząsem mózgu.

- Musiałam szybko zakończyć walkę - powiedziała Cilghal defensywnie. - Czasem, aby kogoś uzdrowić, musisz go skrzywdzić.

Jaina się skrzywiła.

- W kilku słowach streściłaś moje życie uczuciowe. Mogę w czymś pomóc?

Cilghal skinęła głową.

- Przygotuj wahadłowiec, zanim rząd wpadnie na genialny pomysł i zacznie sprawdzać każdy pojazd opuszczający Świątynię. Chcę wywieźć Jedi Saara poza planetę, do Mgieł Przejściowych.

- Załatwione.

Jaina weszła do jednego z hangarów Świątyni, położonych na niższych poziomach budynku. Hala była dość obszerna, aby pomieścić sportowe boisko. Strop był na wysokości dziesięciu metrów, aby dało się startować i lądować na repulsorach. Zaparkowano tu dwa wahadłowce klasy Lambda i kilka ścigaczy powietrznych. Oba wahadłowce miały skrzydła w pozycji podniesionej, a jednemu zdjęto panel w części silnikowej. Mechanik, kobieta w szatach Jedi, stała oparta o kadłub i oglądała reportaż na monitorze wmontowanym w ścianę. Z roztargnieniem skinęła głową Jainie.

- Jedi Solo, witaj.

- Jedi Tainer, czy wahadłowiec jest zdalny do lotu?

Tyria Sarkin Tainer skinęła głową. Była w wieku Leii, szczupła, jasnowłosa. Powiadano, że w czasach młodości zachwycała pięknnością, ale teraz jej uroda nabrała nieco macierzyńskiego charakteru. Miała podwinęte rękawy, a ramiona umazane smarem od czubków palców po łokcie.

- Ten tutaj też może być gotów do lotu w ciągu pół godziny - dodała.

- Nie trzeba, jeden wystarczy. - Jaina spojrzała na brudne ręce Tyrii. - Chyba sama wypiszę pozwolenie na lot.

Tyria skinęła głową.

- Mądra decyzja - pochwaliła i odwróciła się znów do silnika. - Nigdy nie wychodź za mechanika. Z latami uczysz się od męża tego i owego, czy chcesz, czy nie. A potem kończysz w obsłudze pojazdów służbowych za każdym razem, kiedy nie zdołasz się wywinąć.

- Ja też znam się na mechanice. I lubię pracować przy pojazdach służbowych. - Jaina podeszła do biurka przy drzwiach i zaczęła wstukiwać dane do konsoli. Jak powinna opisać swoją misję w dokumentacji? Musi to być coś bardzo nudnego i w stylu Jedi, aby uspić podejrzenia. „Dostawa ćwiczebnych mieczy świetlnych na Korelię” - tak, może być.

Podobno Tyria nigdy nie mogła zostać Mistrzynią, bo była kiepska we władaniu Mocą, ale była doskonałym pilotem, stąd jej obecny przydział do Świątyni. Kiedy startowały eskadry StealthX-ów, zawsze leciała jednym z nich...

Jaina wyczuła u niej nagłe napięcie. Podniosła wzrok.

- Co jest? - zainteresowała się.

Tyria spojrzała w monitor.

- Zapęła się.

- Co? - zdziwiła się Jaina.

- Nagranie się zapętało. Były lekkie zakłócenia, a potem powrócił zapis sprzed kilkunastu minut. Ale wciąż jest napisane „Transmisja na żywo”.

Jaina spojrzała na ekran i zobaczyła wspomniany napis. Może to tylko błąd personelu technicznego redakcji wiadomości, pomyślała, a może...

Sięgnęła zmysłami poprzez Moc, momentalnie wchodząc w stan medytacji, który uczyni ją podwójnie wrażliwą. Wyczuje wszelkie myśli o gniewie lub zemście i o ewentualnym ataku...

W pobliżu nic się nie działo, ale w miarę jak rozszerzała zakres medytacji, zaczęła wyczuwać drżenie oczekiwania.

Chwyciła komunikator.

- Centrum łączności, tu Jedi Solo.

- Słyszymy cię, Solo - odezwał się męski głos.

- Powiedz Mistrzowi Hamnerowi, że być może zagraża nam bezpośredni atak. - Nie zwracała sobie głowy podawaniem zaleceń dotyczących procedur bezpieczeństwa i ochrony. Hamner to były wojskowy. Nie potrzebuje takich rad, a nawet może się poczuć urażony.

- Robi się.

Tyria przesączonymi rozpuszczalnikiem szmatami zaczęła czyścić ramiona.

Jaina, wciąż częściowo w stanie medytacji, zawróciła do holu. Gdyby tylko mogła jakoś usystematyzować swoje sprzeczne emocje...

Usłyszała stuknięcia, kiedy zamykały się kolejne drzwi wiodące do poziomu hangaru.

Z głównego hangaru myśliwców wyszedł kilkunastoletni uczeń, czarnowłosa i widać dość dorosły, żeby nosić miecz świetlny. Nie tracił czasu na wypytywanie, co się dzieje. Widocznie sam też coś wyczuł.

- Czy powinienem przejść do Sali Głównej? - zapytał.

- Chyba tak. - Przed Salą Główną, przy głównym wejściu czekali agenci służb bezpieczeństwa. - Albo... nie, lepiej zaczekaj tutaj.

Jaina pokręciła głową. Czuła, że coś jest nie tak; to nie były jedynie odległe emocje sugerujące nadchodzący atak.

Powietrze przecięło przenikliwe wycie alarmu. Światła w Świątyni zamigotały.

Jaina nie słyszała odgłosów walki, ale jej komunikator nagle ożył.

- Alarm! Alarm! Atak na główny hol! Drzwi sforsowano...

- Kim jest napastnik i jakie ma siły? - przemówił spokojnym głosem Mistrz Hamner.

- To są Mando! - głos młodego Jedi w głośniku brzmiał gorączkowym podnieceniem.

Jaina zaklęła. Więc jednak Mandalorianie! Rząd widocznie potraktował sprawę poważnie.

Zwróciła się ku turbowindom, ale wyraźne przeczucie nie pozwoliło jej ruszyć w tamtym kierunku. Wbiła wzrok w ucznia.

- Jak się nazywasz?

- Bandy Geffer, z Bepinu.

- Uczniu Geffer, ustaw się przy interkomie, jak najdalej od wszystkich ścian zewnętrznych. Stój tak, dopóki nie zmienię rozkazu. Masz tu komunikator i daj mi znać, gdyby się coś działo.

- Tak jest, Jedi Solo! - Chłopak odwrócił się na pięcie i pobiegł.

W sąsiednich drzwiach pojawiła się Tyria. Miała już czyste ramiona i niezapalony miecz świetlny w dłoni. Nie zwracała uwagi na Jainę. Spojrzała w dół korytarza, jakby oceniając wytrzymałość ścian, a potem w górę, przyglądając się krokwiom i innym elementom architektonicznym wysokiego sklepienia.

- Nienawidzę bronić się z takiej pozycji - westchnęła.

- Ja też nie.

Drzwi wiodące do hangaru StealthX-ów zadygotały, a za nimi rozległ się stłumiony huk. To zapewne ładunki wybuchowe, wybijające otwory dla komandosów. Jaina minęła hangar wahadłowców, niezdziwiona tym, że słyszała za plecami kroki biegnącej Tyrii.

- Poinformuj kontrolę - poleciła Gefferowi. - Tutaj też atakują.

- W komunikatorach słychać tylko szum! Jestem przy interkomie.

- Zgłoś utratę łączności.

Dwóch Jedi wbiegło przez główną bramę do hangaru StealthX-ów. Przy następnym skrzyżowaniu korytarzy - za którym znajdowały się turbowindy dla tego poziomu, a w głębi pulpit koordynatora, gdzie teraz siedział uczeń Geffer - Jaina włączyła miecz. Tyria poszła w jej ślady; jej ostrze także ożyło z sykiem.

Drzwi do hangaru StealthX-ów eksplodowały, w jednej chwili rozpadając się na niezliczone kawałki durastali; jedne miały wielkość małych kamyków, inne - hełmu pilota myśliwca. W tym samym momencie w czterech punktach wybuchła ściana, tworząc po dwa otwory z każdej strony drzwi. Z każdego otworu wyłonił się wojownik mandaloriański w charakterystycznej zbroi o klasycznym kształcie hełmu. Wyglądali równie anonimowo, jak imperialni szturmowcy, ale i tak

bardziej indywidualnie, bo każda ze zbroi miała własny motyw kolorystyczny i wyjątkowy kształt hełmu.

Nie było żadnych rozmów. Mando na przedzie wykonał ruch ręką i w kierunku Jedi pomknęła chmara minirakiet, ciągnąc za sobą smugi dymu.

Jaina i Tyria podskoczyły na dwa metry w górę. Zanim główny Mando skończył celować, Jaina sięgnęła w Moc i przyciągnęła duży kawał rozbitej ściany, ustawiając go przed wyciągniętą dłonią komandosa. Fala minirakiet uderzyła w płytę i eksplodowała. Wybuch zniszczył co prawda zaimprovizowaną tarczę, ale zważył z nóg zarówno strzelającego, jak i dwóch komandosów stojących najbliżej niego.

Tyria z aprobatą kiwnęła głową.

- Nieźle - pochwaliła.

- Dzięki.

Tyria obejrzała się na ucznia.

- Zgłoś, że mamy tu pięciu lub więcej Mandalorian. Niech rozważą przysłanie posiłków.

- Może ja wam pomogę?

- Opuść tylko swoje stanowisko - warknęła Tyria - a poczujesz mój but na swoim tyłku!

Jeden z Mando, z rusznicą laserową w dłoni, rzucił się do przodu. Przebiegł przed najbliższym z komandosów i w tym momencie Jaina zorientowała się, że tamten wystrzelił drugą serię minirakiet, wykorzystując towarzysza jako zasłonę. Pięknie zgrana w czasie akcja, nie ma co. Zanim Jaina się zorientowała, że nadlatują kolejne rakiety, ich rój był już zbyt mocno rozproszony, aby ponownie zastosować ten sam sposób obrony.

Tyria skoczyła w prawo, kryjąc się za rogiem przed nadlatującymi pociskami, a Jaina postanowiła zaatakować Mandalorian.

Zrobiła unik i minirakieta minęła jej ciało ledwie o trzy centymetry, wraz z innymi pociskami uderzając o ściany, podłogę i sufit za jej plecami, aż cały korytarz się zatrząsł. Owiał ją gorący podmuch eksplozji.

I nagle znalazła się pośrodku nich, w samym środku oddziału Mando. Napastnicy musieli teraz strzelać bardzo uważnie, aby nie skrzywdzić własnych żołnierzy. Trzech z nich podnosiło się już na nogi. Jeden z dwóch pozostałych dobył krótkiego wibromiecza i uniósł go jak sztylet, rzucając się na Jainę.

Obserwowała jednego z nich, który wciąż jeszcze stał na nogach. Oczywiście, bezpośredni atak był tylko zmyłką; odczekał pół sekundy i strzelił do niej z urządzenia, które wyglądało jak wyrzutnia liny mocowana do przedramienia. To, co z niej wystrzeliło, przypominało elastyczny kłębek, który natychmiast zaczął się rozwijać, aż utworzył sieć.

Jaina chwyciła sieć poprzez Moc i odrzuciła ją w kierunku komandosa z wibromieczem. Sieć owinęła się wokół niego.

Jaina jednak nadal utrzymywała mentalny chwyt. Teraz szarpnęła, aż sieć wraz z zawartością przeleciała przez jedną z dziur w ścianie. Mando pociągnął za sobą towarzysza, który wystrzelił sieć i nadal był z nią połączony liną. Szarpnięcie poderwało go w powietrze i wytrąciło z rąk rusznicę.

Pozostało trzech, ale tamci dwaj nawet nie zostali ranni, więc pewnie zaraz wrócą - zapewne ze wsparciem.

Jeden z Mandalorian odwrócił się i spojrział w dół korytarza; uniósł ramię akurat na czas, by przechwycić opadające ostrze miecza Tyrii. Beskar, z którego zostały wykonane jego pancerne rękawice, wytrzymał uderzenie promienia energii i żołnierz nie został ranny, ale rękawica uległa uszkodzeniu, a sama siła uderzenia odepchnęła go o krok w tył.

Jeden z wojowników - kobieta - był wyposażony w plecak odrzutowy. Włączył go teraz i odleciał, oddalając się od Jainy. Nieważne, to nie kobieta była głównym celem Jainy. Jedi podskoczyła i trafiła drugiego komandosa stopą w skroń. Kopniak nie był oczywiście dość silny, aby uszkodzić beskar, ale hełm przeniósł sporą dawkę energii kinetycznej, a żołnierz zachwiał się i cofnął.

Miecz świetlny Tyrii odnalazł wolną od pancerza szczelinę w zbroi przeciwnika. Wbiła

ostrze sztychem w wewnętrzną stronę jego uda. Mando wydał zdławiony okrzyk, chwiejnie odstał w tył i upadł, a swąd spalonego ciała mieszał się z zapachem środków wybuchowych. Zaraz jednak inny komandos, ten, który wystrzelił sieć na Jainę, wyskoczył z otworu w ścianie i zamachnął się na Tyrię, zanim zdążyła zareagować. Pięść w rękawicy z beskaru trafiła ją w szczękę. Jaina usłyszała trzask; szczęka się przemieściła, a Tyria bez przytomności padła na ziemię.

Stosunek sił raptownie się zmienił: teraz była ona jedna na czterech. Albo trzech i pół, jeśli uderzenie w głowę, które zainkasował jeden z Mando, w ogóle mogło się liczyć.

Z głębi korytarza, bliżej miejsca, gdzie siedział uczeń Geffer, rozległ się następny huk. Jaina pokiwała głową. Rozumiała, co się dzieje: kolejna grupa Mandalorian opuszczała hangar StealthX-ów w ten sam sposób jak poprzednie. Wykorzystali materiały wybuchowe do sforsowania drzwi i teraz zaatakują w trudnej do pokonania formacji.

Teraz jedyną przeszkodą dzielącą ten oddział od turbowind był jeden uczeń. Jaina zobaczyła, jak pulpit Geffera, popychany Mocą przez chłopca, przesuwa się przez skrzyżowanie korytarzy, nabierając prędkości. W ułamek sekundy po tym, jak pulpit znikł z pola widzenia, minirakiety rozniosły go w pył. Uczeń Geffer z ponurą miną, zdeterminowany i zarazem przerażony, pojawił się za nim z zapalonym mieczem.

Jaina zaklęła. Nie mogła się cofnąć, żeby pomóc Gefferowi. Musiała utrzymać pozycję, inaczej zostaną otoczeni. Uczeń nie mógł być godnym przeciwnikiem dla doświadczonych Mandalorian, zwłaszcza takich, którzy najwyraźniej byli przeszkoleni i przygotowani do walki z Jedi. Musiała wierzyć, że chłopak wytrzyma choć parę sekund.

Latająca Mandalorianka strzeliła do Jainya z miotacza. Jedi usunęła się, udając niezręczność, i rzuciła się na komandosa, który ogłuszył Tyrię.

Z turbowindy wyszedł Raynar Thul i zobaczył ucznia ze świecącym niebiesko mieczem w dłoni, obserwującego boczny korytarz. Jainę Solo w głównym korytarzu przyparli do muru trzej Mandalorianie, z których jeden latał. Poprawka, czterech Mandalorianie - czwarty, otrzepując się ze strzępów sieci, wyskoczył właśnie z dziury, która kiedyś była drzwiami.

Raynar ruszył przed siebie.

- Ja się tym zajmę - rzucił Gefferowi i odwrócił się ku przedmiotowi uwagi ucznia.

Cóż, raczej przedmiotom. Kolejnych pięciu Mando przedzierało się przez szczątki mebli i gruz ze ściany. Widząc go, zawahali się. Miał nadzieję, że nie na widok dobrze zabliznionych, ale wyraźnych blizn po oparzeniach, lecz dlatego, że był mocniejszym przeciwnikiem, niż się spodziewali.

Włączył miecz świetlny i ruszył na nich.

- Jestem Jedi Thul - oznajmił. - Nie walczyłem od wielu lat. Powinniście stłuc mnie na miazgę. Chodźcie, zapraszam.

Zaatakowali rusznicami, minirakietami, miotaczami płomieni. Była to skoordynowana akcja, każdy ze strzelających pokrywał ogniem inną część korytarza, a snop płomieni celował w środek.

Raynar jednak zdążył rozpocząć swoje sztuczki w Mocy. Chwycił panel durastalowej ściany, oderwany przez eksplozje, które zrobiły przejście dla Mandalorian. Zanim padły strzały, panel poderwał się i zawisł przed nimi w powietrzu.

Raynar wiedział, że ta osłona nie wytrzyma długo ostrzału, wiedział też, że jest zbyt daleko, aby zwrócić siłę strzałów na przeciwnika, ale nie potrzebował nawet sekundy, aby podbiec do przodu i skoczyć wysoko.

Z miejsca, gdzie płomień uderzył w panel, wypłynął gęsty dym. Minirakiety trafiły w durastal i rozerwały ją na kawałki, co jeszcze utrudniało widoczność.

Raynar przepłynął ponad chmurą dymu, wykorzystując ją jako osłonę. Wykonał po drodze powolne salto i wylądował za parą Mandalorian zamykających oddział.

Kiedy pole widzenia trochę się przetarło, zobaczył to samo, co oni - samotnego chłopca zagrządzającego im drogę. Mando wymienili spojrzenia i uwagi przez komunikatory.



Raynar wolną ręką chwycił za ramię jednego z ostatnich Mando, kobietę z miniwyrzutnią raketową. Zanim się zorientowała, co się dzieje, zanim zdążyła mu się wyrwać, wycelował ramię kobiety w jej dwóch towarzyszy i włączył wyrzutnię.

Minirakiety przeleciały kilka metrów i uderzyły w napierśnik z beskaru i plecak odrzutowy.

Detonacja plecaka zaćmiła eksplozje minirakiet. Raynar aż się zachwiał od fali uderzeniowej, czując ukąszenia drobnych odłamków na twarzy, piersi i ramionach. Owiał go gorący podmuch. Trudno, kolejna robota dla chirurgów plastycznych, pomyślał i pokręcił głową, żeby lepiej widzieć.

Wszyscy przeciwnicy padli na ziemię, ale trójka z nich zaraz zaczęła wstawać, przyjmując pozycje obronne. Raynar dał krok do przodu i ciał mieczem rusznicę laserową, zanim zdążyła wziąć go na cel.

Poczuł linę owijającą się wokół jego kostki. Komandos, który ją wystrzelił, szarpnął i zwałił Raynara z nóg. Jedi wysunął wolne ramię, żeby odzyskać równowagę, ale pochwyciła je pancerna rękawica napastnika... i ścisnęła z całej siły.

Raynar poczuł i usłyszał, jak pęka mu kość w ramieniu powyżej łokcia. Przeszył go taki ból, że omal nie stracił przytomności. Zamachnął się mieczem, ale ostrze odbiło się od uniesionego ramienia napastnika, więc opuścił go, aby przeciąć krępującą go linę. Mando jednak wciąż ścisnął złamane ramię Raynara.

Nagle jak spod ziemi wyrósł uczeń. Przebiegł przez grupę Mandalorian z szybkością wspomaganą Mocą i ciał w nogę przeciwnika Raynara, trafiając od tyłu w zgięcie kolana. Wyszkolony Jedi raczej pchnąłby sztychem, omijając zbroję w tym czułym miejscu, ale chłopiec i tak osiągnął swój cel: jego ostrze przecięło tkaninę, skórę i mięśnie, zanim zatrzymało się na zbroi.

Mando nie krzyknął, ale upadł do tyłu, zwalniając uchwyt na ramieniu Raynara.

Pozostali dwaj Mandalorianie odruchowo odwrócili się w stronę Geffera, spuszczać jednocześnie wzrok z Raynara. Walcząc z bólem, obawiając się, że cierpienie go osłabiło, Jedi sięgnął w Moc. Hełm jednego z Mando poszybował w górę, zerwany z głowy mężczyzny; w powietrzu obrócił się i opadł w dół z potężną siłą. Brzęk metalu o czaszkę sprawił Raynarowi satysfakcję, którą powinien był uznać za niestosowną. Mando upadł.

Uczeń zaatakował mieczem świetlnym komandosa, którego przedtem zranił, powiększając przewagę. Nie zwracał uwagi na pozostałych wrogów, wierząc, że Raynar poradzi sobie z nimi.

Drugi sprawny Mando, kobieta, której minirakiety Raynar uruchomił, odwróciła się i zaatakowała go wibroostrzem. Raynar uskoczył i odpowiedział mieczem świetlnym. Kobieta zastopowała ostrze rękawicą, pozwalając, aby nieszkodliwie ześliznęło się w dół. Raynar skoncentrował się na niej. Nie mógł na razie zwracać uwagi na walkę Geffera, choć słyszał za plecami staccato ostrza miecza świetlnego, atakującego mandaloriańską zbroję szybko, lecz niestety nieskutecznie.

Raynar zamarkował cięcie mieczem z góry na dół i zakończył udawany manewr silnym kopniakiem, który trafił jego przeciwniczkę w hełm w okolicach szczęki. Okręcił się jeszcze dwa razy, pomagając sobie Mocą, i wymierzył dwa kolejne ciosy, oba celne. Przy trzecim kopniaku jego przeciwniczka z hukiem upadła na podłogę i znieruchomiała.

Taka gimnastyka nadwreżyła złamane ramię Raynara, powodując okropny ból. Cóż, bywało, że Jedi cierpiał już znacznie bardziej, więc i teraz dał sobie radę.

Uczeń cofał się akurat przed okaleczonym przeciwnikiem, odbijając strzały z miotacza ostrzem miecza tak szybko, jak tylko zdołał. Raynar użył Mocy, aby unieść Mando, po czym kilkakrotnie rzucił nim o podłogę.

Nie powinno to ogłuszyć opancerzonego komandosa, jednak przez ranę w nodze Mando odczuwał uderzenia mocniej, niż powinien. Raynar dotąd ciskał nim o ziemię, aż przeciwnik stracił przytomność.

Dyszając ze zmęczenia, Raynar spojrział na ucznia, który oddychał jeszcze ciężiej.

- Bardzo dobrze. Nadajesz się - pochwalił chłopca.

- Sir, pańskie ramię...

- No właśnie... zrób mi temblak, dobrze? - Raynar wsunął lewą rękę za pas, by choć

częściowo ją unieruchomić, po czym pobiegł w kierunku skrzyżowania korytarzy, usiłując po drodze uspokoić oddech.

Na skrzyżowaniu wyjrzał zza rogu. Z naprzeciwka, niosąc Jedi Tainer, szła w jego stronę Jaina Solo. Jej szaty miały gdzieś tam ślady ognia, ale wydawała się cała i zdrowa. Raynar wyszedł jej na spotkanie.

Młoda Jedi miała nieszczęśliwą minę.

- Ten poziom jest nie do obrony - powiedziała. - W miejscu, gdzie powinny być zewnętrzne wrota hangaru StealthX-ów, jest tylko dziura. Na zewnątrz może być więcej Mandalorian.

Minęła go, kierując się do turbowindy.

Poszedł za nią.

- Wjedźmy jeden poziom wyżej - zaproponował - zablokujmy windy i spróbujmy się tam utrzymać.

Skinęła głową na znak zgody.

- Jak sobie radzi nowy chłopak? - zainteresowała się.

- Nieźle. Gorzej ze słuchaniem rozkazów. Ty też kiedyś taka byłaś, pamiętasz?

Roześmiała się wreszcie.

- Nadal taka jestem.

W godzinę później było już jasne, że najazd na Świątynię z jednej strony okazał się klęską, z drugiej zaś wyrządził więcej szkód Jedi, niż rząd mógłby nawet marzyć.

Atak na główny hol, który przypuścili Mandalorianie, strzelając z ustalonych pozycji na zewnątrz, miał być jedynie zmyłką, jak stwierdził Mistrz Hamner.

- Prawdziwy atak nastąpił na poziomie hangarów i w okolicy magazynów żywności.

Komandosi mieli tyle materiałów wybuchowych i sprzętu elektronicznego, że zdołali otworzyć przejścia przez Świątynię, których nie dało się obronić, oraz sparaliżować całą łączność i koordynację. Na szczęście szybka reakcja i wczesne ostrzeżenie od Jedi Solo o możliwości zastosowania manewrów flankujących spowodowały, że zdołaliśmy je odeprzeć.

Żaden z Jedi nie zginął. Straty wśród Mandalorian nie były znane, bo kolejne jednostki zabrały swoich zabitych towarzyszy. Siły rządowe ulokowały się teraz wokół Świątyni, blokując wejścia i wyjścia z budynku. Ruchome stanowiska artyleryjskie wycelowane są w główne wejście i wszystkie wejścia boczne.

Kyp Durronek, który dowodził obroną na poziomie zaopatrzenia w żywność, przyniósł Jainie najnowsze wieści.

- Wylot StealthX-ów nie wchodzi w rachubę. W żaden sposób nie zdołamy wyprowadzić ich stamtąd niepostrzeżenie.

Jaina, siedząc samotnie przy stole w mesie i wprowadzając raport do notatnika, spojrzała na niego spość łba.

- Przecież to najbardziej niewykrywalne pojazdy w galaktyce - przypomniawsza.

- Owszem, w przestrzeni. W atmosferze repulsory i silniki manewrowe jednak hałasują... a Mistrz Hamner jest pewny, że rząd wycelował mikrofony kierunkowe w każde wyjście. Jeśli usłyszą włączane silniki myśliwca...

- ...to uruchomią swoje samojezdne turbolasery i wytną StealthX-y w pień jeden po drugim, w miarę jak będą opuszczać hangar. - Jaina wyprostowała się gniewnie. - Nie możemy pomóc wujkowi Luke'owi, bo nie da się zrobić nic z Sithami w Otchłani.

- Nie możemy nawet wywieźć Jedi Saara poza planetę. Sądząc z tego, jak bardzo musimy się kryć, aby wejść lub wyjść ze Świątyni, wszystkie zainteresowane strony współpracują ze sobą.

Jaina westchnęła.

- Ani słowa od rządu?

- Tylko żądanie kapitulacji. Mistrz Hamner jest na liście przewidzianych do aresztowania,

tak samo jak ja, ty, Thul, czyli prawie każdy, kogo udało im się rozpoznać albo zarejestrować w czasie ataku. No i Saar oczywiście. Jak się mają Thul i Tainer?

- Już są na nogach. Oczywiście w gipsie. - Jaina się zadumała. - Dobrze było znów zobaczyć Raynara w akcji. Był prawie... normalny.

- A niech będzie sobie nawet nienormalny. Nastąpiły nienormalne czasy.

## ROZDZIAŁ 12

### Port kosmiczny na Dathomirze

Zapadła noc. Allana, nakarmiona, odrobiła lekcje, po czym Threepio ułożył ją do snu.

Jak tylko robot odszedł, wstała i ubrała się z powrotem, uzupełniając strój o kurtkę z kapturem, aby trudniej było ją dostrzec w ciemności. Zabrała Anji i przekradła się do miniwindy. W ten sam sposób jak poprzedniego wieczoru, opuściły „Sokoła Millenium” i dotarły na ziemię. I tak jak poprzedniego wieczoru, Allana ujrzała, że ktoś pełni nocną straż w igłowcu zacumowanym w pobliżu „Cienia Jade”. Tym razem wydawało się, że sylwetka należy do kobiety, siedzącej samotnie w kabinie i ledwie widocznej przez owiewkę. Allanie coś się tu nie podobało - miała uczucie, jakby kobieta ją obserwowała. Ale czy nie czuła się tak za każdym razem, kiedy była nieposłuszna?

Zamiast ruszyć prosto do hangaru Monarga, Allana w ciemności poprowadziła Anji wokół kadłuba, aż znalazła się w miejscu, skąd było widać sterownię „Sokoła”. Przez iluminator zobaczyła C-3PO, siedzącego w fotelu drugiego pilota; wyglądało to tak, jakby był wpatrzony w skomplikowany układ przyrządów na głównej konsoli.

Allana włączyła komunikator.

- Threepio! - zawołała.

Robot podskoczył i wyprostował się. Obejrzał się na wylot korytarza wiodącego do sterowni i dopiero w komunikatorze zabrzmiał jego głos:

- Tak, panienko Allano? Czyżbym o czymś zapomniał? Może chcesz szklaneczkę wody lub mleka?

- Widzimy cię - poinformowała droida.

C-3PO wychylił się do przodu, żeby sprawdzić, czy Allana nie przycupnęła na końcu korytarza, poza zasięgiem jego wzroku.

- O, bardzo w to wątpię - powiedział. - Żadna ze ścian nie jest wykonana z transpastali.

- Ale przedni iluminator tak. Odwróć się i popatrz uważnie.

Droid wypełnił polecenie, obracając się razem z fotelem.

Spojrzał najpierw na ekrany monitorów konsoli, a dopiero potem wyjrzał przez przedni iluminator.

Allana stanęła na palcach, wyciągnęła rękę nad głowę tak wysoko, jak tylko mogła, i pomachała nią.

C-3PO zerwał się z fotela.

- Ojej, panienko Allano, jak się panienka tam znalazła? - jęknął.

- Wyszliśmy sobie, i już.

- Widocznie musiałem zapomnieć pozamykać zewnętrzne włazy... chociaż pamiętam, że to robiłem. Czyżbyś odszyfrowała hasło? Ale nie, jest zanadto skomplikowane. Musiałabyś mieć umiejętności większe od postępów, którymi wykazujesz się w nauce.

- Nieważne, w każdym razie wyszliśmy.

- Nie, nie, musisz wrócić do środka. Zaraz po ciebie idę.

- Do tego czasu już nas tu nie będzie, ale możesz nas znaleźć w warsztacie mechanicznym Monarga. Idziemy ratować Artoo-Detoo.

- O nie, panienko...

Wyłączyła komunikator i usunęła się z pola widzenia iluminatorów, mając absolutną

pewność, że jeśli nawet nie zdoła uratować swojego przyjaciela - droida, zjawi się Threepio i wszystko załatwi.

Ustawiła się znów w cieniu stosu beczek ze smarem obok permabetonowej kopuły Monarga. Wiedziała, że nie ma wiele czasu; choć C-3PO chodził stosunkowo powoli, nie miał długiej drogi do przejścia.

Chwyliła pustą beczkę... no, prawie pustą, bo w środku chlupotało może z pół litra cieczy. Na razie ją odstawiła.

Z Anji depczącą jej po piętach przeniosła dwie inne beczki i ustawiła je obok siebie, jakieś pięć metrów od wejścia do warsztatu, a wreszcie przyniosła tę, którą wybrała jako pierwszą. Ustawiła ją obok pozostałych, otworzyła i po dziecinnemu niezgrabnie odwróciła nieporęczne naczynie dnem do góry, wylewając całą zawartość na pozostałe dwie beczki i odstawiając na bok.

Teraz czas na następną część planu. Dziewczynka zawahała się na moment, bo była pewna, że zaraz popełni przestępstwo. Trudno. W końcu działa w słusznej sprawie. Jej dziadek, ilekroć musiał wybierać pomiędzy przestrzeganiem prawa a skutecznością działania, wybierał to drugie, zwalając winę na Leię, która twierdziła, że to działanie w słusznej sprawie. Allana ta logika całkiem zadowalała.

Pokazała na drzwi koło warsztatu i szepnęła do nexu:

- Usiądź tam i się nie ruszaj.

Anji przekrzywiła głowę i zastrzygła wibrysami.

- Nie udawaj głupiej - ostrzegła Allana. - Wiem, że wszystko rozumiesz.

Anji przyjrzała się uważnie wyciągniętej ręce Allany, mrugnęła parę razy i podreptała we wskazanym kierunku - jednak w połowie drogi zatrzymała się i usiadła. Allana westchnęła. Musi im to wystarczyć.

Wyjęła z kieszeni małą spawarkę, którą wypożyczyła sobie z szafy z narzędziami na „Sokole”. Han często używał jej do drobnych prac, ale nigdy do podpalania. Uruchomiła ją i przysunęła płomień do cieczy, którą oblała beczki. Ogień buchnął w jednej chwili.

Allana wyłączyła spawarkę, chwyciła pod pachę Anji i pobiegła do drzwi warsztatu. Kopnęła w nie kilka razy, wywołując głośne, metaliczne dudnienie, teraz przykucnęła, nakryła głowę ciemnym kapturem kurtki i przytrzymała mocniej Anji.

Nie było żadnej reakcji. Patrzyła na płonące beczki i zastanawiała się, czy ogień sam się wypali, czy też zgasi go jakiś sąsiad, zanim Monarg coś zauważy. Ciekawe, pomyślała, czy Monarg w ogóle jest w warsztacie. Może powinna była jeszcze raz zajrzeć w okno, zanim spróbowała tej sztuczki... tyle że to dałoby C-3PO dość czasu, aby ją dogonić i powstrzymać.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie. Bliższe skrzydło uderzyło Allanę, niezbyt mocno, ale jednak przycisnęło ją i zwierzątko do szorstkiej permabetonowej powierzchni kopuły. Anji ugięła łapki, szykując się do skoku, ale Allana przytrzymała ją za kark.

Przez szczelinę pomiędzy framugą i drzwiami ujrzała Monarga stojącego nieruchomo. Rzucił brzydkim słowem, jakiego Han nigdy, przenigdy nie użyłby w obecności dziewczynki, odwrócił się i pobiegł z powrotem do warsztatu.

Allana, zmartwiona, zmarszczyła brwi. Nic nie poszło dokładnie tak jak trzeba. Facet miał wybiec na zewnątrz i miotać się wokół ognia.

Monarg znowu wyskoczył przez drzwi, niosąc coś w rękach. Allanie zdawało się, że w jednym z przedmiotów rozpoznała gaśnicę, ale widziała go przez szparę i tylko przez ułamek sekundy, więc nie mogła być pewna.

Przesunęła się troszkę i wyjrzała zza drzwi. Rzeczywiście, Monarg trzymał w ręku gaśnicę. Słychać było teraz syk piany, kiedy zaczął nią zalewać ogień. Jednocześnie rozglądał się wokoło, poświęcając tyleż uwagi otoczeniu, co pożarowi... a w drugiej dłoni trzymał miotacz.

Allana przełknęła ślinę.

Kiedy Monarg przeszedł na drugą stronę płonących beczek i odwrócił twarz, tak że widoczna była jedynie czarna klapka na oku, Allana rzuciła się do drzwi i wpadła do warsztatu,

wciąż ściskając grzbiet Anji, żeby nexu jej nie uciekła, i natychmiast skrzyła w bok, aby nikt nie mógł jej dostrzec przez otwarte drzwi.

Warsztat wyglądał tak, jak go zapamiętała: pełno w nim było biegających małych robotów mechanicznych. Wszystkie miały tace z częściami i narzędziami, wbudowane w korpus powyżej kółek, a niektóre niosły coś dodatkowo w rękach. Nie zareagowały na jej obecność.

Na samym środku stał statek. Pomalowano go na ognisty, żółtopomarańczowy kolor, a liczne uszkodzenia powłoki albo zostały wyklepane, albo były trudne do zauważenia pod nową farbą. Jacht był o wiele za duży, aby dało się go wprowadzić przez wejście, przez które weszła Allana, ale warsztat miał w głębi drugie, przesuwne wrota, dokładnie na wprost dziobu statku.

Po drugiej stronie, pod ścianą, niedaleko wrót, obok biurka i konsoli komputera stał przykryty szmatą kształt, dziwnie znajomy. Podprowadziła do niego Anji, czujnie oglądając się na Monarga i pamiętając, aby nie znaleźć się na linii jego wzroku. Gdy dotarły do biurka, dziewczynka poczuła zapach świeżo zaparzonego, mocnego kawy, który tłumiał odór farb i paliwa. To był kubek Monarga; stał na blacie, dopiero co napełniony i parujący.

Allana podniosła skraj płachty, która mogła ukrywać jej przyjaciela.

I rzeczywiście. R2-D2 stał cicho, nieruchomo, z wygaszonymi wskaźnikami.

- Artoo? - głos Allany był tak cichy, że prawie sama go nie słyszała. Czy on nie żyje? Co się dzieje z robotami, kiedy umierają?

Dopiero teraz zobaczyła śrubę ogranicznika, wciśniętą w tors Artoo.

Nic dziwnego, że nie mógł się odezwać, skoro mu to uniemożliwiono. A więc Monarg postanowił go ukraść. Musiał uspokoić droida, żeby wyczyścić mu pamięć i przeprogramować go.

Allana chwyciła śrubę i szarpnęła, ale jej drobne palce ześliznęły się z obłego kawałka metalu. Szarpnęła znowu, tym razem mocniej, ale z takim samym rezultatem.

Desperacko obejrzała się przez ramię na drzwi. Wciąż widziała Monarga, zwróconego plecami do kopuły. Ogień został już ugaszony, gaśnica spoczywała u jego stóp, ale ciągle trzymał w dłoni pistolet. Rozglądał się na wszystkie strony i widać było, że jest okropnie zły.

Koło Allany przetoczył się robot mechaniczny. Zauważyła, że przenosi różne narzędzia, a wśród nich hydrauliczne imadło-szczypce. Złapała je, a robot spokojnie odtoczył się w swoją stronę.

Monarg właśnie zaczął się odwracać, by wejść do środka.

Allana wepchnęła Anji pod stół warsztatowy, a sama przysunęła się do R2-D2 i wpełzła pod okrywającą go płachtę. Już po chwili, mimo warczenia pracujących robotów, usłyszała trzask zamykanych drzwi... i oto była zamknięta w warsztacie razem z Monargiem.

Zachowywała się możliwie najciszej, starając się nie poruszyć płachtą. Zacisnęła kleszcze na śrubie i zaczęła szarpać, ale nadal bez skutku.

Usłyszała Monarga dopiero wtedy, kiedy krzesło po jej lewej stronie zatrzeszczało. Zagryzła dolną wargę i szarpała się dalej z ogranicznikiem. Anji, zaciekawiona i niespokojna, wyraźnie myślała, że to zabawa. Allana próbowała dać zwierzakowi do zrozumienia, jak poważne jest ich zadanie, ale to tylko jeszcze bardziej zdenerwowało nexu.

Threepio już powinien tu być. Śruba jak na złość ani drgnęła. Nic nie szło jak trzeba. Zdaje się, że dziadek Han też zawsze miał pecha.

Usłyszała nagle głos Monarga, zaskakująco miękki i łagodny. A myślała, że mechanik jest gburowaty i złośliwy.

- Czego tu szukasz?

Nie dostał odpowiedzi, ale za chwilę, płachtę ukrywającą Allanę, ściągnięto na bok. Monarg wydał jej się wielki jak olbrzym i chyba jeszcze bardziej groźny. Stał nad nią, a obok niego robot mechaniczny, który wskazywał na nią jednym pająkowatym ramieniem. Kiedy już cała ukazała się jego czujnikom optycznym, przesunął ramię na szczypce.

Monarg chwycił Allanę za kark i wyciągnął zza Artoo.

- To ty podłożyłaś ogień, prawda?

Allana wydała z siebie wysoki, żalony, rozpaczliwy krzyk i kopnęła Monarga w gołe nogi. Anji wskoczyła mu na plecy i próbowała ugryźć w kark, jednak przeszkadzał jej w tym kaganiec.

Na szczęście moment zaskoczenia i świadomość, że ma na karku szczeniaka nexu, sprawiły, że Monarg wrzasnął i puścił Allaną. Jednocześnie robot mechaniczny zwinnie wyjął jej z rąk szczypce i pognał z powrotem do swoich zadań.

Monarg zakręcił się w kółko, sięgnął do tyłu i złapał Anji. Gdyby jej kolce nie były stepione dla bezpieczeństwa, przebiłyby mu dłoń. Tymczasem bez trudu złapał ją za skórę na karku i ściągnął z siebie. Raz i drugi uderzył głową zwierzątka o stół warsztatowy i odrzucił je na podłogę hangaru, o kilka metrów dalej.

Anji wylądowała z bolesnym skowytym, przetoczyła się na łapy, chwiejnie przeszła trzy kroki i przewróciła się na bok, skomląc żałośnie.

Allana znów kopnęła Monarga w goleń.

- Drań! - wrzasnęła.

Monarg, czerwony ze złości, spiorunował ją zdrowym okiem.

- Zapłacisz mi za to, mała! - warknął głośno, żeby przekrzyczeć Allaną, która nie przestawała wrzeszczeć.

Wreszcie umilkła, chwyciła kubek z biurka i chlusnęła jego zawartością w przerażająco bliską twarz.

Wielkolud ryknął jak zraniony Wookiee i cofnął się chwiejnie.

Allana rzuciła w niego kubkiem po kafe. Kubek odbił się od jego lewej nogi dokładnie w miejscu, gdzie go kopnęła, po czym upadł na permabetonową podłogę i rozbił się w drobny mak.

Monarg wyprostował się i odwrócił w jej stronę, ale nie mógł otworzyć oparzonego oka; z jego ruchów Allana wywnioskowała, że jej nie widzi. Chciało jej się krzyczeć z radości.

Drzwi hangaru znów skrzypnęły głośno. Allana obejrzała się w nadziei, że może to C-3PO wreszcie się zjawił, ale droida nie było w zasięgu wzroku. W pobliżu drzwi zauważyła za to dwa ciemne kształty, które tylko jej mignęły i znikły w ciemnych zakamarkach. Jeden, dość wysoki, mógł należeć do mężczyzny, drugi - drobniejszy - był chyba kobietą, ale co z tego, skoro i tak już ich nie było.

Monarg zerwał opaskę z drugiego oka. Odślonił gałkę oczną szarą jak z durastali, z jarzącym się żółto światłem pośrodku. Już sam ten widok był wystarczająco nieludzki, ale nagle gałka wysunęła się na cztery centymetry z oczodołu i skierowała wprost na Allaną. Monarg rzucił się w jej stronę.

Dziewczynka krzyknęła głośno i uskoczyła na bok. Monarg zamarł i znów zaczął się obracać, kręcąc głową. Teleskopowe oko kołysało się niezależnie od jego ruchów.

A jednak jej nie zobaczył, przynajmniej na razie.

Tak, teraz to było jasne. Proteza, którą miał zamiast oka, była wyposażona w układ mikrooptyczny, zaprojektowany do oglądania bardzo małych przedmiotów, takich jak delikatne obwody. Póki zdrowe oko było unieszkodliwione, Monarg mógł tylko patrzeć jak przez wąską rurkę. Allana głośno przełknęła ślinę i umilkła.

Olbrzym znów ją zobaczył i ruszył ku niej, ale noga mu się powinęła i upadł jak podcięty.

Allana puściła się biegiem. Potknęła się, odbiła od jednego z robotów mechanicznych i okrążyła rufę jachtu. Pachniało świeżą farbą. Miała ochotę poszukać pojemnika z farbą, żeby chlusnąć Monargowi w sztuczne oko. Obejrzała się za siebie.

Znów ją zgubił. Głowa i oko kręciły się to w jedną, to w drugą stronę. Kiedy jeden z robotów przetoczył się koło niego, namacał go, chwycił, sprawdził, czy to nie dziewczynka i wypuścił z powrotem.

Po chwili wydał zdławiony jęk, jednak dość głośny, by go usłyszała, i zawołał:

- Tryb migrena!

Wszystkie droidy nagle zwolniły tempo. Ucichł turkot kół po permabetonie i zgrzyt serwomechanizmów poruszających ramionami. W warsztacie zapanowała prawie zupełna cisza, zakłócana jedynie stłumionym warkotem, szcękaniem metalu o metal i cichym skomleniem Anji.

Allana znów przełknęła ślinę. Jeśli będzie musiała się czołgać, aby nie zrobić hałasu, dotarcie do Anji i Artoo zajmie jej tyle czasu, że Monarg na pewno ją zlokalizuje... albo ból po oparzeniu złagodnieje na tyle, że znów będzie mógł używać prawdziwego oka.

Ale przecież... spojrzała na roboty, kręcące się koło niej. Nawet przy zmniejszonej prędkości miały niezły czas.

Skuliła się w kłębek i wtoczyła na tacę transportową robota, który właśnie ją mijał. Była to akrobacja o wiele łatwiejsza od tych, których uczyła ją Leia. Poczuli się bardzo dumna, kiedy i podniosła się do pozycji siedzącej, prawie nie robiąc hałasu.

Robot, który ją wiozł, potoczył się z powrotem do miejsca, z którego przybyła, kierując się wprost na Monarga. Allana skrzywiła się, niewykluczone, że znów będzie musiała kopnąć tego człowieka. Na szczęście, kiedy robot zbliżył się do mężczyzny, ten przytrzymał go, dotknął tablicy czujników na jego głowie, stwierdził, że to jeden ze swoich, po czym pozwolił mu odejść. Droid odtoczył się o kilka metrów, a potem nagle skierował się do zestawu bocznych stołów, zupełnie jakby ktoś nim kierował. Allana uznała, że jednak ma szczęście. Stoczyła się na podłogę i przywarła do niej, częściowo ukryta pod blatem. Dlaczego Monarg nie rozkazał droidom, aby ją otoczyły i unieruchomiły? Widocznie nie mógł. Ich wrzecionowate kształty nie zostawiały wiele miejsca dla procesorów.

Kolejny robot przejechał obok Monarga, który sprawdził jego tożsamość i przepuścił dalej. Maszyna skierowała się w stronę R2-D2. Allana przesunęła się trochę i w chwili, kiedy ją mijał, wśliznęła się do jego skrzyni z narzędziami.

Skrzynia była pełna. Niewygodnie było w niej siedzieć, a w dodatku nie dało się poruszać całkiem bezszelestnie. Zobaczyła, że Monarg zwraca się w jej stronę, a sztuczne oko krąży niespokojnie w poszukiwaniu.

Pomiędzy stopami znalazła metalowy pilnik, który wyglądał tak, jakby nadawał się do poluzowania śruby ogranicznika R2-D2. Wyciągnęła go, ale przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Wybrała klucz hydrauliczny, leżący koło jej kolana, i rzuciła tak daleko, jak tylko mogła, w stronę stołów, za którymi do niedawna się kryła. Klucz upadł na podłogę i kilka razy odbił się z łomotem.

Głowa Monarga skierowała się w tamtą stronę. Robot wiozący Allanę zatrzymał się, zawrócił i ruszył w stronę klucza. Allana wyturlała się na zewnątrz i przykucnęła. Była teraz już tylko o kilka metrów od Artoo. Przesunęła się w jego stronę i najciszej, jak mogła i zatrzymała się tuż przed nim.

Monarg macał podłogę w okolicach stołu, na próżno szukając źródła hałasu. Kiedy niechcący trącił stopą narzędzie, jego wysuwane oko skierowało się wprost na nie.

Allanie udało się wsunąć zaimprovizowane narzędzie pod jedną krawędź ogranicznika. Szarpnęła porządnie i śruba wysunęła się o kilka milimetrów. Dziewczynka rozejrzała się wokół.

Monarg trzymał klucz w ręku i rozglądał się po najbliższym otoczeniu. Droid, który jako ostatni transportował Allanę, podtoczył się do niego i zabrał mu narzędzie, wkładając je z powrotem do swojej skrzyni. Jego głowa obróciła się wokół własnej osi i robot dostrzegł dziewczynkę. Ruszył w jej stronę.

Allana rozpaczliwie zabrała się do wykręcania śruby, ciągnąc coraz mocniej. Jeszcze kilka milimetrów...

W polu jej widzenia pojawił się nagle cień i dłoń Monarga znów zamknęła się na jej ramieniu. Szarpnięciem oderwał ją od robota. Usłyszała jeszcze, jak jej pilnik z brzękiem spada na podłogę.

Monarg podniósł ją w górę, trzymając na odległość ramion, aby nie mogła go kopnąć. Układ optyczny wystający z jego oczodołu, który wydawał się żyć własnym życiem, jeszcze pogorszył sprawę. Allana znów zaczęła wrzeszczeć.

Czekał, aż zabraknie jej tchu, ale to mogło potrwać.

Właściwie nie zabrakło jej tchu, tylko poczuła ból w ramieniu. Zdusiła w sobie krzyk i zaczęła się szarpać, usiłując uwolnić się z uchwytu mężczyzny, który jednak wydawał się silny jak robot-ładowacz.

- Jest problem z takimi smarkulami - rzekł. - W przeciwieństwie do robotów nie można im wyczyścić pamięci i przeprogramować. A to oznacza, że jeśli teraz cię puszczę, niezależnie od tego, co mi naobiecujesz, pewnego dnia wszystko rozgadasz.

Spojrzała na niego gniewnie, żałując, że nie może nic zrobić, żeby przerazić go samym

wzrokiem.

- Nie zamierzam niczego ci obiecywać. I wszystko powiem. Ukradłeś Artoo.
- Taak... Powinnaś chyba obejrzeć, jak wygląda od środka zgniatacz śmieci.

Allana usłyszała czyjeś kroki, zbliżające się z ciemnych zakamarków hangaru. Monarg widocznie też je usłyszał, bo jego sztuczne oko zaczęło kołysać się z boku na bok, usiłując przeniknąć mrok.

Allana walczyła, bezskutecznie okładając piąstkami ramię, które ją trzymało. Już otworzyła usta, żeby uświadomić Monargowi, że jest w poważnych kłopotach, ale głos, który się rozległ, nie należał do niej.

- Moim zdaniem powinien pan uwolnić dziewczynkę, i to zaraz. Jeśli pan tego nie zrobi, sam pan się znajdzie w śmietniku.

## ROZDZIAŁ 13

Na twarzy Monarga pojawiło się niedowierzanie. Odwrócił się w stronę drzwi i źródła nowego głosu.

Threepio, stojąc na tle otwartych drzwi, wyglądał jak zwykle niezgrabnie i całkiem niegroźnie. Ale głos, którym zwrócił się do Monarga, brzmiał surowo.

- Zapewniam pana, że nie żartuję, sir. Nadszedł czas, aby uwolnić pan dziewczynkę, jeśli chce pan uniknąć nieprzyjemności.

- Uwielbiam nieprzyjemności. - Monarg wolną ręką przetarł zalane kafem oko i otworzył je szerzej. Otaczająca je skóra była czerwona i nie mógł do końca otworzyć powiek, ale Allana uznała, że pewnie już coś niecoś widzi. - Zablokować warsztat - wydał rozkaz.

Drzwi za plecami C-3PO zamknęły się, więżąc go wewnątrz kopuły. Allana usłyszała zgrzyt automatycznej zasuw.

C-3PO, niewzruszony, ruszył w stronę Monarga.

- Właśnie załadowuję duży pakiet uniwersalnych manewrów bojowych wszystkich klas, których użycie stanowi przestępstwo na większości cywilizowanych światów - poinformował uprzejmie.

- Roboty protokolarne nie walczą. - Monarg upuścił Allanę. Wylądowała na równych nogach, rozcierając ramię w miejscu, gdzie mocny chwyt sprawił jej ból, i zaraz uciekła w cień rzucany przez jacht SoroSuub.

Anji wciąż leżała, skamłając, na środku hangaru. Kiedy próbowała wstać, potrafiła przejść chwiejnie tylko kilka kroków, po czym znów traciła przytomność. Allana nie wiedziała, jak wydostanie z hangaru swoją przyjaciółkę. Nexu, chociaż jeszcze bardzo młoda, i tak była za duża, aby Allana mogła ją unieść.

Monarg zbliżał się do droida sprężystym, zdecydowanym krokiem. Allana skrzywiła się. C-3PO niewątpliwie zapracował sobie na potężne łanie, a ona nie miała pojęcia, co mu strzeliło do głowy, żeby tak narazić się Monargowi.

Roboty mechaniczne zamarły, kiedy ich pan kazał zablokować warsztat. Stanowiły milczącą widownię, wodzącą czujnikami za swoim panem.

Monarg stanął przed złocistym robotem, górując nad nim wzrostem. Zmarszczył brwi.

- Skończyłeś już ładować swój program bojowy?

- No cóż, szczerze mówiąc, jeszcze nie. To duży pakiet, a ja muszę kompilować niektóre jego części na bieżąco.

- No to masz pecha. - Monarg położył jedną dłoń na piersi C-3PO i pchnął.

Złocisty robot cofnął się, potknął, uderzył plecami o zamknięte drzwi i klapnął na podłogę.

- Sir, nie jest pan dżentelmenem - skarcił Monarga.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale nie spędza mi to snu z powiek.

Monarg podszedł i kopnął robota. Był to potężny cios, który trafił C-3PO w skroń.

Głowa droida zakołysała się, a rozjarzone światelka oczu przygasły na chwilę.



- Ojej... - jęknął.

Allana musiała to natychmiast powstrzymać. Threepio nie wytrzyma długo takiego traktowania. Za chwilę rozpadnie się na kawałki. Monarg znów kopnął C-3PO, tym razem tak mocno, że aż sam się przewrócił. Stęknął z zaskoczenia i podniósł się na kolana. Odwrócił się i gniewnym wzrokiem zmierzył Allanę.

- Ty to zrobiłaś? - zapytał.

- Niby co? - zdziwiła się dziewczynka.

Monarg jedynie pokręcił głową, wstał i znów podszedł do C-3PO. Allana wyszperała swój komunikator i przełączyła na kanał awaryjny. Nikt jednak nie odpowiedział na jej szeptane wezwanie; słyszała jedynie szum.

Spojrzała wściekle na Monarga. Pomyślał o wszystkim, drań!

Chociaż... chyba jednak nie o wszystkim. Robot mechaniczny, stojący najbliżej niej, miał kosz pełen narzędzi, a wśród nich bardzo długi i bardzo ciężki klucz hydrauliczny. Gdyby tak chwycić ten klucz i zająć Monarga od tyłu... Pomalutku zaczęła przesuwać się w stronę robota.

Kilka metrów za nią na korpusie i kopulastej głowie R2-D2 zapłonęły światełka. Nie dowodziły jeszcze pełnej świadomości, nie od razu. Sekwencje, w jakiej błyskały, były zrozumiałe tylko dla techników robotów mechanicznych, którzy mogli bardzo dokładnie wyjaśnić, co wskazywały.

Kiedy jednak Artoo uruchomił swoją pamięć i ośrodki intelektualne, zaczął bardzo szybko gromadzić dane - o wiele szybciej, niż budzący się człowiek.

Po drugiej stronie kopuły, do której Threepio wtargnął tak bezczelnie w poszukiwaniu dziewczynki, potężny mężczyzna właśnie chwycił go za nogi i zaczął nim rzucać o ściany i permabetonową podłogę.

Ogranicznik, który Monarg wkręcił Artoo, leżał teraz porzucony o kilka metrów dalej. To dobrze. Anji chwiejnie kręciła się w kółko na środku hangaru. To źle.

Allana skradała się w stronę Monarga z okazałym kluczem w ręku. Biegła od stołu do stołu, kryjąc się za nimi. Analizator zagrożeń R2-D2 oznaczył możliwość, że zaatakuje mężczyznę, jako prawie pewną. Prawie tak samo pewną jak to, że atak się nie powiedzie.

Częstotliwości komunikacyjne zupełnie się zablokowały. R2-D2 miał kilkanaście oczekujących wiadomości, wszystkie od Threepio i Allany. Jedna, od C-3PO, była oznaczona „Najwyższy priorytet”. Przejrzał ją w ciągu kilku milisekund; tyle potrzebował, aby jego motywatory zaczęły działać.

„Artoo, przesłałem ci polecenie uruchomienia - było w wiadomości. - Przy szczęściu, jakie zazwyczaj mam, prawdopodobnie to nie poskutkuje, ale jeśli się przedostało, to wiedz, że zaraz ktoś mnie zniszczy. Postanowiłem grać na zwłokę, w nadziei że obudzisz się w porę, aby mnie uratować, a co ważniejsze, uratować panienkę Amelię. Dołączyłem profil psychologiczny mojego napastnika zapisany w systemie komputerowym lokalnych sił bezpieczeństwa”.

Motywatory R2-D2 były już całkowicie sprawne. Natychmiast przekazał raport o sytuacji awaryjnej do Zekka i Taryn Zel, po czym ustawił się w konfiguracji trójnogu na kołkach i niemal bezszelestnie ruszył naprzód.

Monarg właśnie składał C-3PO na pół, coraz bardziej zwiększając nacisk, co groziło pęknięciem konstrukcji. Wyraz twarzy miał dziwnie wesoły. Widać było, że świetnie się bawi.

R2-D2 nie przebył nawet pięciu metrów, kiedy otrzymał odpowiedź od Zekka i Taryn, z której wynikało, że wiedzą o sytuacji i monitorują ją z wnętrza hangaru. Uznał, że to zastanawiające, skoro jeszcze nie ujawnili swojej obecności Monargowi. Rozwiązał tę zagadkę w milisekundę później, kiedy przypomniał sobie rozkaz, który mu wydano - nie ujawniać ich obecności ani Allanie, ani nawet C-3PO. Widocznie działali w głębokiej tajemnicy i nawet udzielając pomocy, musieli pozostać w ukryciu.

R2-D2 skrzył na prawo, żeby zająć Monarga od tyłu. Minął Anji, a potem Allanę, która cichutko pisnęła z zaskoczenia na jego widok.

Artoo otworzył zewnętrzną klapkę i wysunął jedno ze swych wielu narzędzi - spawarkę łukową. Nastawił ją na napięcie mniej skuteczne przy spawaniu metali, za to całkiem odpowiednie do żywych tkanek. Podtoczył się bliżej Monarga, wybrał obszar docelowy - lewy pośladek, rozległy i w tej chwili stosunkowo nieruchomy rejon - przyłożył do niego spawarkę i puścił prąd.

Rezultat był... cóż, zadowolający. Monarg wyskoczył wysoko w powietrze, a jego ryk brzmiał niczym początkowe tony planetarnej syreny alarmowej. Threepio z łomotem upadł na podłogę i wyprostował się do prawie normalnej konfiguracji. Monarg wylądował za nim, ściskając dłońmi pośladki. Wstał i odwrócił się na pięcie, żeby zobaczyć nowego przeciwnika.

R2-D2 wysunął spawarkę w sposób, który wydawał mu się wystarczająco groźny, i przejechał obok Threepio, zbliżając się do człowieka.

Monarg, kulejąc, zaczął uciekać wzdłuż ściany. Artoo zignorował go i podtoczył się do drzwi. Wysunął wtyczką do danych i wetknął ją do gniazda w ścianie obok drzwi.

W normalnej sytuacji zlikwidowanie ochrony tej kopuły zajęłoby dobrych parę minut i tyle to trwało, kiedy R2-D2 wszedł tu po raz pierwszy. Monarg jednak wiedział, że robot jest bezbronny, więc nie zawracał sobie głowy zmianą kodów. Drzwi odblokowały się od razu i otworzyły. R2-D2 odwrócił głowę, aby spojrzeć na towarzyszy, i zaczął.

Threepio, który właśnie gramolił się na nogi z głośnym wyciem serwomotorów, odpowiedział mu:

- Zgadzam się. Panno Amelio, Artoo sugeruje, żebyśmy wyszli teraz. Biegiem.

Allana podbiegła do Anji, wzięła ją za kark i poprowadziła w stronę obu robotów. Kiedy mijala robota mechanicznego, któremu zabrała klucz, ten sięgnął po swoje narzędzie. Niewiele myśląc, zupełnie odruchowo i właściwie nie patrząc, zamachnęła się kluczem. Cios był równie skuteczny jak kopniak Monarga w skroń C-3PO - głowa robota odskoczyła, a on sam upadł.

Dotarła wreszcie do drzwi.

- Miałam rację, że on tu jest - odezwała się i wyprowadziła Anji w ciemność.

- Tak, miałas rację. - C-3PO pokuśtykał za nią.

- A ty się myliłeś.

- Gdybym miał zęby, właśnie w tej chwili bym nimi zgrzytał. Tak, myliłem się.

Artoo wydał mechanizmowi drzwi ostatnie polecenie, po czym ruszył za przyjaciółmi. Drzwi zamknęły się za nim, ale jeszcze wcześniej, R2-D2 usłyszał odgłos strzału z miotacza; promień uderzył w grubą durastal zamkniętych na szczęście wrót.

Robot wiedział, że polecenie blokady nie powstrzyma Monarga na długo, ale każda chwila zwłoki działała na ich korzyść, zwłaszcza że Anji ciągle się potykała. Artoo przekazał więc jeszcze rozkaz do ośrodka łączności. Dzięki temu mężczyzna jeszcze przez jakiś czas nie będzie mógł wezwać pomocy, a to było bardzo ważne.

- Threepio, naprawdę masz program uniwersalnego wojownika? - zapytała Allana.

- Och, nie, panienko. Jestem pewien, że czterolatek mógłby mnie pokonać nawet w mój najlepszy dzień.

- Więc lepiej się pospieszmy i zabierzmy Anji na pokład „Sokoła” - orzekła Allana. - Nie wygląda za dobrze, myślę też, że Monarg nie potraktowałby jej łagodnie, gdyby nas znowu dopadł.

- Mnie też się tak wydaje - zgodził się C-3PO. - Podążając za panienką, dostałem się do lokalnych plików na temat naszego przyjaciela Monarga i do jego rejestru zatrzymań. Ma zwyczaj wprowadzać się w stan upojenia, a potem angażować się w nieplanowane starcia z udziałem sąsiadów. Podałem jego zachowania analizie psychologicznej i zastosowałem pakiet prognostyczny. Jego profil... powiedzmy, pozostawia dużo do życzenia. Gdy wszedłem pod kopułę i ujrzałem, że Artoo jest wyłączony, ale nie ma już ogranicznika, podjąłem kroki w celu obudzenia go i skupienia uwagi naszego gospodarza na sobie, dopóki Artoo się nie obudzi.

- To był dobry plan.

- Dziękuję, panienko.

- Chciałabym, aby wszystkie twoje plany były takie dobre.

C-3PO tylko westchnął.

Kiedy wbiegali, wtaczali się i kuśtykali po rampie „Sokoła”, usłyszeli huk otwierających się drzwi kopuły Monarga.

Allana niespokojnie spojrzała na R2-D2.

- Możemy go utrzymać z daleka?

Robot odczekał na szczycie rampy, aż Anji wejdzie do środka, po czym wysłał adresowany sygnał do komputerów „Sokoła”. Rampa uniosła się i zablokowała. Zaszczębiotał coś do Threepia.

- Artoo mówi, że raczej nie - powiedział C-3PO. - Najwyżej kilka minut. Mamy do czynienia z wściekłym, zdeterminowanym mechanikiem, który ma warsztat pełny narzędzi. W dodatku ten warsztat jest najlepszy w okolicy, a jego rejestr aresztowań, dowodzący, że nie był nigdy zatrzymany na dłużej niż jedną noc za swoje pijackie wybryki, sugeruje, że ma bardzo dobre układy z lokalnymi władzami.

- Więc co zrobimy?

- Nawiążemy łączność i zagrozimy mu postępowaniem sądowym, jeśli nie porzuci swoich agresywnych zachowań, oczywiście.

Allana zmierzyła go groźnym spojrzeniem po czym pobiegła do kokpitu „Sokoła”.

- Dziadek i babcia będą wiedzieli, co robić - zdecydowała, wskoczyła na fotel pilota i obrzuciła wzrokiem niepokojąco skomplikowaną tablicę łączności. Od czasu, kiedy Han i Leia adoptowali ją dwa lata temu, Han, z dumą zarówno dziadka, jak i właściciela, pokazywał jej wszystkie szczegóły układów sterowania statkiem. Robił to wielokrotnie, czasem nawet na krótko pozwalał jej przejąć stery i przeprowadzać proste zadania podczas lotu.

Teraz też wiedziała, co robić. Uruchomiła tablicę łączności, zaczęła na potwierdzenie, że działa i normalnie odbiera wszystkie transmisje lokalne i satelitarne. Ustawiła regulator na częstotliwość jej dziadków i włączyła mikrofon.

- Halo? Eee... tu „Sokół Millenium”. Chcemy rozmawiać z Hanem i Leią... natychmiast.

Odpowiedzi nie było.

- Halo! Anji jest ranna!

- Proszę nie zapomnieć powiedzieć „odbior”, panienko.

- Odbiór! Proszę, odezwijcie się! On zaraz po nas przyjdzie.

Odpowiedzi nie było.

### **Nad brzegiem Jeziora Czerwonych Skrzeli, Dathomira**

Ben znów owinał się płaszczem, ale tym razem dla ochrony przed zimnem, a nie po to, żeby się przebrać.

Przez całe życie słyszał pobłażliwe, ale bardzo krytyczne uwagi swojego ojca na temat wszelkich narad i zebrań. Twierdził, że to strata czasu i forum do wygłaszania skarg, a nie rozwiązywania problemów.

To spotkanie było idealną ilustracją jego słów. Dowódcy obu klanów, Deszczowych Liści i Strzaskanych Kolumn, a także „doradcy” spoza planety, siedzieli wokół ogniska rozpalonego na brzegu jeziora i rozmawiali. Głos - zaznaczony sękatą laską z czaszką na końcu, trzymaną w dłoni - miała kobieta z Deszczowych Liści, siwowłosa i tak chuda, że prawie wynędzniała. Laska wskazywała, że ten, kto ją dzierży jest jedyną osobą, poza przywódcami klanów, która ma prawo przemawiać w tym momencie.

- Jak widać, nazwa Zerwane Łańcuchy niczym nie różni się od Strzaskanych Kolumn. Uwzględnia jedynie plemię mężczyzn i ignoruje Deszczowe Liście. To idiotyczny pomysł.

Wielu z zebranych, zwłaszcza mężczyźni, podnieśli krzyk w proteście, ale Kaminne i Tasander gestem nakazali im spokój, wskazując na laskę mówcy. Ci, którzy wnosili sprzeciw, podnieśli ręce, a kobieta niechętnie oddała laskę czarnobrodemu mężczyźnie ze Strzaskanych Kolumn.

Mężczyzna wstał.

- Nie istnieje taka nazwa, która spodobałaby się wszystkim. Musimy zdecydować i narzucić wszystkim naszą decyzję. Nie możemy się martwić o zadowolenie każdego członka klanu. Proponuję Zardzewiałe Kajdany.

Kolejna fala niezadowolonych głosów, kolejne ręce w górze.

Ben westchnął. Wolałby, aby Sha Bez Plemienia była tu z nimi. Z wszystkich ludzi na tym zgromadzeniu ona miała prawdopodobnie najlepsze rozeznanie w zwyczajach klanowych i nie kierowała się lojalnością wobec żadnego z plemion. Nie widział jej jednak od kilku godzin.

Kwestia, jaką nazwę nadać zjednoczonemu klanowi, nie wydawała się sprawą najważniejszą, ale odkąd Ben dołączył do zebranych, zdążył się już dowiedzieć, że zjednoczenie po prostu nie może nastąpić, dopóki nazwa nie zostanie wybrana. A już sposób, w jaki obie strony się spierały, udając, że starają się sobie nawzajem pomóc, był po prostu zbrodnią.

Ben zapatrzył się w ogień. Płomienie były wyższe od Carracka. Zmarszczył brwi. Może to, co się tu odbywa, to rzeczywiście zbrodnia i tak należy ją potraktować.

Motyw, środki, okazja - takie elementy prowadzą do odkrycia, kto popełnił zbrodnię. Skoro już dowiesz się, jaki był powód, aby ją popełnić, kto miał odpowiednie środki i możliwość - odpowiedź zwykle jest blisko.

Przy tej „zbrodni” środki i okazja nie miały znaczenia. Za to motywacja - owszem. Jaki powód miały oba klany, aby popierać jedynie takie nazwy, które określały każdy z nich oddzielnie? Ben podejrzewał, że chodzi głównie o brak wyobraźni z ich strony - ale także niezrozumienie, co przedstawiają nazwy klanów.

Zamyślił się. Wokół wrzała zawzięta dyskusja. Wreszcie w rzadkiej chwili ciszy, kiedy członkowie obu klanów spoglądali na siebie wściekle, Ben podniósł rękę.

Olianne, która właśnie skończyła mówić, skrzywiła się gniewnie, ale przekazała mu łaskę.

Wstał. Niektórzy wydawali się zaskoczeni, że zamierza zabrać głos. Ojciec był tylko rozbawiony.

- Czy można uznać - zwrócił się do kobiet - że nazwa Deszczowe Liście w jakiś sposób określa wasze miejsce w świecie? Żyjecie w lasach, pod otwartym niebem, więc chcecie przywołać pamięć o naturze, prawda?

Popatrzył kolejno na wszystkie członkinie Deszczowych Liści.

Firen Nuln skinęła głową, choć dosyć niepewnie.

- Nazwa jest stara, więc nie wiemy, co właściwie myśleli członkowie klanu, kiedy ją wybierali. Ale tak się na ogół uważa.

Ben zwrócił się do Tasandera.

- A teraz Strzaskane Kolumny... Chyba mniej więcej rozumiem sens tej nazwy. Zniszczone podwaliny tradycji i przeszłości, która uczyniła z was niewolników, tak?

Tasander skinął głową.

- Masz rację. Kolumny to symbol społeczeństwa takiego, jakim było przedtem. I sposobu na życie, który przyniósł klęskę.

- Mam pewien pomysł. - Ben zaczerpnął tchu, aby uporządkować myśli. - Zgadnijcie, co to jest? Jestem stare jak czas, a jednak nieustannie rodzę się na nowo. Nic nie może żyć beze mnie, beze mnie nie ma nadziei. Wczoraj dzieci uśmiechały się do mnie, jutro też się będą uśmiechać. - Urwał i rozejrzał się po zebranych, bez słów zachęcając zebranych członków klanu, aby rozwiązali jego zagadkę.

Przez chwilę wszyscy milczeli i nagle na twarzy Kaminne pojawiło się olśnienie.

- Słońce! - zawołała.

Ben skinął głową.

- Właśnie. Starsze niż sama Dathomira, ale nowe każdego dnia. W pewien sposób łączy ono symbolikę obu waszych nazw.

Wśród zgromadzonych rozległy się pomruki, głównie aprobaty. Firen z zamyśloną miną podniosła rękę. Ben przekazał jej łaskę i usiadł.

Luke nachylił się do syna i szepnął mu do ucha:

- Nieźle, nieźle.

- Przynajmniej dałem im do myślenia.

- I przywołałeś w tym celu jeden z ich obyczajów. Zręczne posunięcie z twojej strony. -

Luke usiadł prosto.

Ben uśmiechnął się, zadowolony z pochwały, i znów zainteresował się zebranymi ludźmi.

Nie minął kwadrans, jak Tasander i Kaminne zaproponowali Jaśniejące Słońce jako nazwę połączonej grupy. Było kilka głosów sprzeciwu, ale mniej niż przy innych nazwach, no i nikt nie zasugerował, że Jaśniejące Słońce faworyzuje któryś z klanów.

Dyskusja toczyła się dalej, kiedy Halliava wskazała na niebo.

- To dobry znak - powiedziała.

Wszyscy podnieśli wzrok. W górze, zataczając szerokie koła, krążył maleńki, ale mocno świecący obiekt. Emitował żółte światło, które przygasało i rozjaśniało się w nieregularnych odstępach czasu jak zepsuty pręt żarowy.

- To jest iskromucha - odezwał się Drola ze Strzaskanych Kolumn. - Zwykle ich nie widzimy, kiedy jest tak chłodno.

- Popatrz, następna! - Kaminne wskazała w inny rejon nieba, gdzie kolejny owad zakreślał skomplikowane linie.

Zebrani Dathomirianie wydawali się podniesieni na duchu symboliką związaną z tymi pięknymi owadami. Kolejne światełka dołączały do nocnego pokazu. I nagle niebo ożyło, iskromuchy zlatywały się setkami, a Ben widział, jak mężczyźni i kobiety z obu klanów wyteżają wzrok, wpatrując się w świetliste wzory kreślone przez owady.

Jeden z nich spłynął w dół i wylądował na ramieniu mężczyzny ze Strzaskanych Kolumn, nie więcej niż pięć metrów od Bena. Mężczyzna zamarł, wyraźnie zdenerwowany. Długoskrzydły, przezroczysty owad przeszedł z jego łokcia na nadgarstek, a świetlista poświata płynąca z wnętrza jego ciała pulsowała w tym samym rytmie, co pozostałe.

Nagle owad opuścił odwłok i dotknął nim przegubu mężczyzny. Z odwłoka wyskoczyła iskra i zaraz kawałek skóry, mniej więcej o średnicy centymetra, zupełnie poczerniał. Z oparzenia uniósł się dym i mężczyzna wrzasnął, strzepując iskromuchę z ręki.

Wydawało się, jakby to był sygnał dla pozostałych iskromuch. Z nieba w zwartym szyku spływały świetliste owady; rozproszyły się dopiero jakieś dwa metry nad ziemią. Zaczęły masowo atakować Dathomirian, parząc ich gorącymi iskrami.

W całym obozowisku rozległy się krzyki i jęki. Ben zauważył nadlatujące ku niemu z głośnym brzęczeniem dwie iskromuchy. Kiwnął palcem na każdą z nich, wytrącając je z kursu. Iskromuchy zatoczyły koło i odleciały w poszukiwaniu łatwiejszej ofiary.

Nagle znalazł się przy nim ojciec.

- To znowu Siostry Nocy. Czujesz to?

Odgonił chmurkę owadów od twarzy. Iskromuchy spadły na ziemię, ale kilka z nich od razu wzbilo się z powrotem w górę.

Ben położył dłoń na rękojeści miecza świetlnego, ale pohamował się w porę. Machanie zapaloną klingą wśród spanikowanych, obolałych Dathomirian, którzy rozprasali się na wszystkie strony, uciekając przed owadami, mogło się okazać fatalne w skutkach.

- Nie mogę nic zrobić - westchnął.

- Skoncentruj się, synu. Albo trzymaj je z dala ode mnie, póki ja się nie skoncentruję.

Ben wybrał to drugie rozwiązanie. Luke przymknął oczy i rozluźnił ciało w pozycji medytacyjnej. Był to dość dziwny pomysł, zważywszy, że otaczał go totalny chaos w postaci latających wszędzie, kłuszących owadów oraz uciekających, wrzeszczących ludzi. Ben trzymał się blisko ojca, odganiając iskromuchy od niego i od siebie.

Nagle gdzieś w pobliżu buchnął w górę słup ognia, zabłysnął na niebie i zatoczył łuk, obracając w popiół całe stado iskromuch. Dym z płomienia rozpląnął się w powietrzu i Ben zauważył, że kiedy owady wpadają w chmurę dymu, natychmiast tracą orientację.

Rozejrzył się za źródłem ognia. Okazało się, że to Carrack, który próbował włożyć zbroję, ale nie dawał rady, napastowany przez co najmniej kilkadziesiąt owadów. W jednej ręce trzymał dyszę miotacza płomieni i kierował ją w najgęstsze chmury iskromuch.

Luke nagle otworzył oczy i odwrócił się w kierunku drzew otaczających obozowisko - tej samej kępy drzew, gdzie spotkali się wczoraj wieczorem z Olianne i Vestarą.

- Są tam, rozproszone. Jest ich kilkanaście, ale kilka z nich wyczuwam bardzo wyraźnie - powiedział cicho. - Idziemy - zdecydował po chwili.

Obaj Jedi ruszyli biegiem, klucząc pomiędzy zdenerwowanymi członkami klanów i uciekając przed iskromuchami.

Han trzymał się blisko Leii, machając zamoczonym w wodzie jeziora kocem jak elastyczną pałką. W ten sposób starał się utrzymać iskromuchy z dala od niej, i całkiem dobrze mu szło. Leia miała niewielkie oparzenie na ramieniu, a on jedno na czole. Spacerowała po obozowisku, nie bardzo zdając sobie sprawę z atakujących ją owadów; skupiała uwagę na większych chmarach wysoko w górze. Han zauważył, że owady atakują cele na ziemi, po czym wznoszą się w powietrze, przegrupowują i atakują znowu. Przypominało to w upiorny sposób wzorce ataku myśliwców i nie miało nic wspólnego ze zwykłym zachowaniem owadów.

Leia przenosiła wzrok od jednej chmury owadów do drugiej, a tam, gdzie popatrzyła, iskromuchy traciły orientację i łamały szyk. Nie była jednak w stanie utrzymać ich na dłużej, więc nieuchronnie się w końcu przegrupowywały.

Pokręciła głową i spróbowała wyjaśnić mężowi:

- Są pod bardzo silną kontrolą. Doskonale zorganizowaną. Żałuję, że nie ma tu Valina Horna. W takich sztuczkach był bardzo dobry.

- Odgońcie je ode mnie! Potrzebuję pomocy! - wydierał się Carrack, który cały czas próbował włożyć broję i strzelać z miotacza płomieni.

Han spojrział na Leię, która skinęła głową. Razem podbiegli do potężnego najemnika.

Carrack wcisnął Hanowi do ręki swoją broń - długi kij ze spustem na jednym końcu, a dyszą na drugim, podłączony rurką do wielkiej metalowej butli, która teraz wlokła się po ziemi. Miał oparzenia na obu policzkach, ale włożył już prawie całą broję.

- Potrzebuję tylko kilku sekund - stęknął.

- No to je masz. - Han wziął broń. Nie pytał o radę, ani o instrukcje, to by było do niego niepodobne, tylko wycelował dyszę w górę, w kierunku najbliższej chmury owadów, i przycisnął spust.

Wyprodukował jaskrawy słup ognia, który wytrysnął z dyszy i wbił się w chmurę iskromuch - po czym przeleciał na wylot, na wysokość jakichś pięćdziesięciu metrów. Oświetlił obóz od końca do końca.

Leia wzięła koc Hana, zwinęła go w coś w rodzaju pętli i trzaskała nim jak pejcem, tu strącając na ziemię dwie iskromuchy, tam jedną.

- Może trochę zmniejsz płomień, kochanie - zasugerowała.

- Nie. Taki mi się podoba. - Han zwolnił spust, wycelował i strzelił jeszcze raz. I znów obozowisko zalała łuna pomarańczowego światła, a owady w promieniu pięćdziesięciu metrów zamieniły się w parę.

Han uśmiechnął się szeroko.

- Czemu ja nigdy sobie czegoś takiego nie sprawiłem?

Leia spojrzała na niego z niedowierzaniem i zaraz wróciła do odganiania owadów od całej trójki.

- Bo to by było jak dopuszczenie dzieci do zabawy detonatorami termicznymi - dogryzła mężowi.

- Naprawdę mi się to podoba. - Han zatoczył krąg dyszą, aż słup ognia na niebie zmienił się w półokrąg, zmiatający kolejne chmury owadów. - Wreszcie mam miotacz płomieni.

- Niech cię, Carrack, widzisz, co narobiłeś? - skarciła go Leia.

Carrack wbił hełm na głowę, po czym Han usłyszał szum, gdy hełm wskoczył na swoje miejsce i systemy w całej zbroi ożyły.

Najemnik chwycił potężny miotacz, który leżał u jego stóp i zaczął obracać się powoli,

obserwując odległe kępy drzew.

- Włączyłem podczerwień - oznajmił. - Han, nie podstawiaj mi ognia pod nos, bo mnie oślepiasz.

Han z rozradowaną miną przesunął się tak, aby jego płomień omiatał okolicę za plecami Carracka.

- Widzę nieruchome sylwetki w lesie - zameldował Carrack - rozstawione na pozycjach co trzydzieści, czterdzieści metrów. Same kobiety. Jest też dwóch mężczyzn, idących w ich kierunku. Hej, to Skywalkerowie.

Han zauważył, że coraz więcej Dathomirian rzuca się do jeziora, pomimo niskiej temperatury. Szli po dnie najdalej, jak mogli, aby tylko utrzymać głowę ponad wodą. Taktyka ta jednak niewiele dała: iskromuchy nurkowały, siadały na ich głowach i parzyły nawet przez włosy. Z każdą minutą przybywały ich setki.

Han spojrzał na żonę.

- Potrafisz użyć Mocy jako systemu nagłośnienia?

- Mogę sprawić, że mnie usłyszą, to fakt.

- Powiedz tym, którzy są w jeziorze, żeby odliczyli do dziesięciu i zanurzyli się pod wodę.

A potem jeszcze raz do dziesięciu.

- Hej, wy tam, w wodzie! - wydawało się, że Leia w ogóle nie podniosła głosu, a jednak jej słowa doleciały do wszystkich zakątków obozowiska. - Kiedy zawołam „zero”, macie się wszyscy zanurzyć pod wodę. Dziesięć... dziewięć...

Carrack, stojący obok Hana, uniósł rusznicę do ramienia. Nie strzelił jednak, tylko doczepił do broni coś, co wyglądało jak wiązka małych, cylindrycznych granatów. Nad lunetką broni pojawił się prostokątny ekran i Han zobaczył na nim ludzkie sylwetki, świecące na jasnozielono. Carrack mruczał, ledwie słyszalny poprzez hełm:

- Cel pierwszy, jeden pięć siedem przecinek trzy metra. - Odwrócił się odrobinę i na ekranie pojawiła się nowa sylwetka. - Cel drugi, jeden trzy cztery przecinek dwa metra.

- Dwa... jeden... zero! - dokończyła Leia.

Han zobaczył, że głowy Dathomirian znajdujących się w jeziorze znikają pod wodą. Opuścił więc miotacz i przeciągnął płomieniem po powierzchni jeziora. Jego strzał spopielił setki, jeśli nie tysiące owadów, a unoszący się dym zniechęcił kolejne, lecące za nimi.

- A sio! - prychnął Carrack, strzelił i natychmiast przyczepił do broni kolejny pęczek granatów. Skorygował cel i znów wystrzelił, a potem jeszcze raz.

Oddał pięć strzałów, zanim w oddali wybuchł pierwszy granat.

Ben uznał, że bieg na złamanie karku w kompletnej ciemności przez las to nie jest dobry pomysł, nawet dla Jedi. Zderzył się z drzewem i otarł sobie ramię, a potem przegalopował przez ciemne zarośla, zanim jego system nerwowy zarejestrował pierwszy ból podrapanej skóry. Luke biegł przed nim; szło mu nieco lepiej, ale niewiele. Ben usłyszał, jak ojciec zahacza o nisko wiszący nad ziemią konar. Zaskoczony Luke bluznął takim słowem, jakiego Ben nigdy w życiu nie spodziewałby się od niego usłyszeć.

Jeszcze kilka kroków i Ben potknął się o coś, co wydawało mu się elastyczną kłodą drewna. Upadł, przetoczył się z wdziękiem i wstał.

- Stag - zaklął.

- Nic ci nie jest?

- Mnie nic. - Ben zawrócił kilka kroków i nachylił się, by namacać przedmiot, który legł mu na drodze. Miał złe przeczucia.

Jego dłonie natrafiły na twarz. Zimną twarz.

- Mamy tu trupa - zameldował.

- Nasi przeciwnicy ukrywają się w Mocy. Tracę koncentrację. Im bliżej podchodzimy, tym bardziej rozproszona staje się moja świadomość... uuuch! - okrzykowi Luke'a towarzyszył trzask gałęzi i potężny łoskot.

- Tato? - Ben ruszył w tamtą stronę.

Rozległ się kolejny, jeszcze głośniejszy huk. Najwyżej trzydzieści metrów przed Benem, z

lewej strony, eksplodował granat. Chłopiec rzucił się na ziemię. W chwilę później rozległ się następny wybuch, tym razem po prawej.

Siedem kolejnych granatów zdetonowało w sekundowych odstępach coraz dalej od Luke'a i Bena. Gdy wszystko ucichło, Ben podniósł głowę. Niedaleko ujrzał płonąca kępę drzew. Druga kępa paliła się po prawej.

- Tato? - zagadnął z niepokojem.

- W porządku. - Na wprost niego ciemność rozbłysła nagle, kiedy miecz Luke'a zapłonął na wysokości jakichś czterech metrów. Ostrze cięło coś, co wyglądało jak pęki winorośli. Potem miecz, a wraz z nim zapewne i Luke, opadli na ziemię. Ben nie słyszał lądowania ojca, ale miecz zawisł w powietrzu.

Podbiegł do niego.

- Co się stało? - W blasku świetlnej klingi ujrzał twarz ojca. Wydawał się cały i zdrowy.

Luke machnął mieczem w powietrzu.

- Zastawili pułapkę z siecią. Kamienna przeciwwaga i siatka, w siatce kolce, a na nich żywiczna substancja, zapewne trucizna. Udało mi się ich uniknąć. Drut wyzwalający pułapkę i sieć umieszczono tam, gdzie najmniej drzew, dokładnie w miejscu, przez które przebiegałaby osoba biegnąca z obozowiska.

- Świetnie, nie ma co. Coraz lepiej. - Ben usiłował skoncentrować się w Mocy, ale mu nie wychodziło; albo był zbyt rozdygotany, albo wrogowie byli niedaleko.

- Przemieszczają się. - W głosie Luke'a nie było ani zadowolenia, ani rozczarowania. - Myślę, że sprawa załatwiona.

## ROZDZIAŁ 14

Carrack wystrzelił dziewięć razy. W połowie cyklu z oddali dobiegł odgłos eksplozji pierwszego granatu. Po wystrzeleniu ostatniego pocisku odczekał kilka sekund do wybuchu i spojrział na Hana.

- Po jednym dla każdej z tych bab - zameldował. Podniósł broń i spojrział przez lornetkę na podczerwień. Zatoczył lufą powolny, długi łuk. - Poruszają się. Jest ich sporo. No, przynajmniej siedem. Skywalkerowie też tam są. Chyba zaczekam ze strzelaniem, dopóki nie zajmą stałych pozycji.

- Hej, wy tam - wtrąciła się Leia. Pokazała w górę. - Patrzcie tylko.

Nad ich głowami, w pięciu oddzielnych chmarach, zbierały się iskromuchy.

Carrack spojrział w górę.

- Niedobrze.

- Niedobrze dla nas. - Han obdarzył najemnika pełnym pretensji spojrzeniem - Ty masz zbroję.

- A zbroja ma szczeliny, które dla owadów są jak drzwi w jedną stronę.

- Leia, do jeziora! - polecił Han żonie.

Skinęła głową i puściła się biegiem w kierunku brzegu.

Han ruszył za nią, a wtedy pięć rojów iskromuch spadło na Carracka.

Han zahamował i obrócił się na pięcie, zamiatając niebo nad Carrackiem jęzorem ognia.

Miał dobre oko. Z połowa owadów uciekła.

Reszta otoczyła Carracka i obsiadła go, przyczepiając się do zbroi. Wielkolud rozjarzył się nagle iskrami, jakby wszystkie iskromuchy próbowały przebić się na wylot. Han usłyszał jego krzyki bólu, kiedy owady przedostawały się przez szczeliny w pancerzu.

Carrack jednak nie zamierzał stać nieruchomo. Ruszył za Hanem i Leią do jeziora.

Obciążony setkami tysięcy owadów na zbroi, szedł jednak z każdą chwilą wolniej.

- Han, przygotuj się. Zrób miejsce - zarządziła Leia i skinęła ręką na Carracka.

Han zwolnił spust i ustawił się, celując dyszą w jezioro.

Dobrze się domyślił. Leia sięgnęła w Moc, a Carrack nagle wzniósł się w powietrze i



łukowatym lotem skierował się ku wodzie.

Jak tylko uderzył w tafłę, Han rozpętał piekło miotaczem płomieni. Słup ognia powędrował śladem dręczycielek Carracka, nie tylko wychwytyjąc te, które towarzyszyły najemnikowi aż do samej wody, ale spopielając również maruderów. W jednej chwili zginęła większość atakujących iskromuch.

Po chwili Carrack podniósł się z wody, rozejrzał się i sztywnym ruchem zdjął hełm. Wokół szyi miał co najmniej tuzin śladów po oparzeniach i wyglądał okropnie żałośnie.

- Medyka - jęknął.

Pozostałe iskromuchy rozproszyły się po nocnym niebie. Dathomirianie i członkowie ekipy Hana zajęli się szacowaniem szkód i roztrząsaniem, co się właściwie zdarzyło.

Nikt nie został pokąsany na śmierć, ale wielu odniosło poważne obrażenia. Carrack był w najgorszym stanie. Oparzenia na kolanach, łokciach, pod pachami i na karku wystarczyły, aby doznał wstrząsu. Yliri i uzdrowicielka z Deszczowych Liści opatrzyły go, przykładając na oparzone miejsca kompresy nasączone wywarem z roślin, o których Dathomirianie mówili, że pomagają na takie urazy.

Han przyjrzał się ranom podczas nakładania opatrunków.

- Będzie potrzebował bacty - ocenił.

- Trzeba odwiedzić port kosmiczny. - Dyon miał jedno czarne oparzenie na końcu nosa, już zabandażowane, i drugie na prawym przedramieniu. - Żaden z klanów nie ma zapasów bacty.

Członkowie klanów, którzy wyszli z lasu, donieśli, że tropiciele, którzy ruszyli śladem napastników, natrafili na pułapki - sieci, zaostrome pale, wilcze doły, zatrute przynęty na zwierzęta. Dopiero teraz lista ofiar zaczęła rosnąć - zginęły dwie kobiety z Deszczowych Liści i trzech mężczyzn ze Strzaskanych Kolumn.

No i dwie Siostry Nocy. Luke sprawdził miejsce eksplozji pierwszego granatu Carracka i wszystkich następnych po kolei. Przy pierwszych dwóch natrafił na ciała - a właściwie fragmenty ciał - dathomirskich kobiet. Kaminne, Tasander i inni przedstawiciele obu plemion podeszli, żeby popatrzeć. Olianne zidentyfikowała kobietę z pierwszego miejsca wybuchu jako Hacinę z Garncarek Czerwonej Gliny, ale nikt nie rozpoznał drugiej. W żaden sposób nie potrafiono wyjaśnić, co tu robiły, tak daleko od ziem swojego klanu.

- Z tego wynika - oznajmił Dyon - że to były Siostry Nocy. Granaty Carracka zabiły je, zanim jeszcze poczuły zagrożenie, ale te pierwsze wybuchy ostrzegły pozostałe. Te, które ocalały, nasłały owady na Carracka z zemsty.

Ben zaprowadził grupę poszukiwawczą do zwłok, o które potknął się wcześniej. W świetle pręta żarowego Dyona i pochodni Dathomirian rozpoznano również i to ciało.

Była to Sha Bez Plemienia. Została ugodzona nożem w plecy, a potem podcięto jej gardło. Oczy miała otwarte, twarz spokojną. Luke z namaszczeniem pochylił się i zamknął jej powieki.

- Jest już zimna - zauważył Ben. - Leżała tu chyba dość długo.

Kaminne spojrzała na nich ze współczuciem.

- Musiała natknąć się na Siostry Nocy podczas zastawiania przez nie pułapek, więc ją zabiły.

Ben pokręcił głową.

- Taką dobrą tropicielką jak ona? Przyszła pewnie tutaj, zobaczyła, że dzieje się coś dziwnego, przyczała się, żeby sprawdzić... a one ją podeszły? Nie chce mi się wierzyć.

Luke wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: To możliwe.

- Miały Moc po swojej stronie, Ben.

- Pewnie tak. Ale coś mi się tu nie zgadza.

Ojciec uśmiechnął się lekko.

- No cóż, często słyszałem, jak Corran Horn wygłasza taką opinię. I na ogół miał rację. A teraz ty... Ufaj swojemu instynktowi i słuchaj go, Benie.

- Dzięki, tato.

Wrócili do obozowiska w samą porę, bo akurat Han i Leia usłyszeli popiskiwanie komunikatorów - oznaczało to, że odebrano i zarejestrowano ich wiadomość. Han wyjął swój komunikator i uruchomił go. Z miniaturowego głośniczka rozległ się głos Allany.

- Halo? Eee... tu „Sokół Millenium”. Chcemy rozmawiać z Hanem i Leią, natychmiast. Halo! Anji jest ranna!

Po chwili rozległ się w tle słaby głos C-3PO:

- Proszę nie zapomnieć powiedzieć „odbiór”, panienko.

Allana wołała dalej:

- Odbiór! Halo! Proszę, odezwijcie się! On zaraz po nas przyjdzie!

Han pobladł, co było widać nawet w blasku płomieni. Uruchomił nadajnik komunikatora.

- Han do „Sokoła”, Han do „Sokoła”. Odezwij się, Amelio, odbiór.

Odpowiedzi nie było.

### **Na pokładzie „Sokoła Millenium”, port kosmiczny na Dathomirze**

- Możemy wezwać strażę portu. - Allana próbowała nie tracić nadziei. Musi być jakiś sposób, aby utrzymać Monarga z dala od nich, a jeszcze nie wyczerpała wszystkich możliwości wezwania na pomoc dorosłych.

C-3PO, usadowiony w fotelu drugiego pilota, wydawał się mniej pewny siebie.

- Analiza najnowszych zapisów, tutejszej dokumentacji oraz inne przesłanki każą przypuszczać, że jakiegokolwiek zaangażowanie władz lokalnych skończy się zajęciem „Sokoła Millenium” i zatrzymaniem panienki, aby zmusić do poddania się pana Hana i panią Leię. Prawdopodobieństwo, że lokalne władze znają ich tożsamość i czekają jedynie na zezwolenie do działania lub prowokację, jest bliskie pewności.

- Mów w basicu, Threepio.

W polu widzenia Allany, przed kokpitem „Sokoła” coś się poruszyło. Poznała Monarga. Na jego twarzy nawet w słabym świetle padającym przez przednie iluminatory widać było niezadowolenie. Towarzyszyła mu grupa potężnie zbudowanych mężczyzn w odświętnych strojach, przypuszczalnie kompanów oderwanych od pijatyki w wątpliwej sławy knajpach portu kosmicznego. Wlekli z sobą żuraw - urządzenie, które było pół-robotem, a częściowo metalową drabiną.

Monarg podniósł rękę. Trzymał w niej spawarko-przecinarkę o dużej mocy. Wskazał najpierw na nią, a potem na Allanę, po czym wraz z kompanami ruszył na tyły „Sokoła”, poza zasięg wzroku dziewczynki.

- Niedobrze, niedobrze, niedobrze! - Threepio wydawał się naprawdę zrozpaczony. - Z moich wyliczeń wynika, że nawet przy grubych blachach pancerza „Sokoła Millenium” takie narzędzie we wprawnych rękach pozwoli wyciąć drogę w ciągu kilku minut.

Do sterowni wtoczył się R2-D2. Skończył właśnie zwijać kabel, po którym uciekła Allana, i zamknął górny właz, przez który wraz z Anji opuściły „Sokoła”. Zaszczębiotał coś do kolegi.

- Artoo mówi, że w pobliżu rampy wejściowej jest zainstalowane przeciwdesantowe działo laserowe, a właśnie w tym miejscu ten łajdak przygotowuje się do ataku na nasz pancerz.

Robot mechaniczny zaćwierkał znowu.

- Ojej, nie miałem zamiaru przekazywać panience tej informacji. W żadnym wypadku nie zalecam uruchomić broni przeciwdesantowej i anihilować naszego prześladowcy. - C-3PO obejrzał się na Artoo. - Oczywiście, że my też nie możemy jej użyć, po co o tym w ogóle wspominasz?

Ćwierknięcie.

- Nie, to nie jest ta część mojego oprogramowania, którą ośmieliłbym się pominąć.

Allana spojrzała na kontrolki statku, przez moment oszołomiona ich liczbą i stopniem skomplikowania. Szukała czegokolwiek, choćby przycisku „Przeglądź złych ludzi”, co pozwoliłoby jej poradzić sobie w tej sytuacji.

Takiego przycisku jednak nie było, a kiedy znowu spojrzała przez iluminator, zauważyła

jeszcze dwie ludzkie sylwetki biegnące w stronę „Sokoła” - wysoki, silnie zbudowany mężczyzna i kobieta. Oboje mieli na sobie płaszcze z kapturami naciągniętymi na głowy. No właśnie. Żli ludzie zwykle ukrywają swoje twarze.

Allana znowu spojrzała na tablicę rozdzielczą. Nie było tu pojedynczego przycisku, który mógłby pomóc. Ale... były wszystkie inne.

Allana zawsze była pilną uczennicą, kiedy temat ją interesował, a „Sokół” był bardzo interesujący.

Niepewnie z początku, potem coraz śmieiej, zaczęła naciskać przełączniki procedury włączenia silników statku.

- Panienko Allano, co panienka właściwie robi?

R2-D2 zapiszczał.

- Wiem o tym, ty koszu na śmieci na kółkach, ale czekam, aby sama to potwierdziła... albo zaprzeczyła. Panienko Allano, proszę się nie bawić kontrolkami aktywacji zasilania.

- Nie bawię się. Przynieś mi parę poduszek.

- Nie pora teraz na drzemkę.

- Potrzebuję poduszek, bo jestem mała. Ten fotel jest dla mnie za duży. Przynieś kilka, to będę mogła nas uratować i nie pozwolę im jeszcze bardziej skrzywdzić Anji. Nadchodzi więcej złych ludzi, widziałam ich!

- Tak, panienko! - Robot protokolarny poderwał się i wybiegł z kokpitu w nieprzyzwoitym pośpiechu.

Wrócił w ciągu mniej niż minuty i pod kierunkiem R2-D2 ułożył poduszki za plecami dziewczynki na siedzeniu pilota, żeby mogła oprzeć się o coś twardego przy manipulowaniu sterami. Allana kontynuowała mozolne i dokładne przełączanie serii przełączników i kontroltek.

- Artoo, wszyscy jesteśmy zgubieni - jęknął Threepio.

Allana spojrzała na robota mechanicznego.

- Możesz się podłączyć do komputera? - zapytała.

Ćwierknął twierdząco. Wysunął ramię z wtykiem danych i wsunął je w gniazdo obok panelu łączności.

Monitory i odczyty na wszystkich tablicach zapalały się kolejno; niektóre informowały o zagrażającym przerwaniu pancierza w pobliżu rampy załadowniczej.

Co dalej? Aha, lista kontrolna. Nie знаła tej listy. No dobrze, znała jedną pozycję.

- Pasażerowie, zapiąć pasy.

- O jejku, jejku... - lamentował C-3PO.

Nieśmiało, wręcz z obawą położyła ręce na drążku. Nie, nie tak. Najpierw repulsory.

Uruchomiła system, zabierając większość energii silników „Sokoła” od silników manewrowych, i znów chwyciła ster. Gdzieś z oddali, z okolic rampy załadowniczej usłyszała okrzyki przerażenia - a potem poczuła potężny wstrząs i usłyszała ostry huk.

- Ojej! - zawołał C-3PO. - To brzmiało jak eksplozja.

Łagodnie, tak precyzyjnie, jak tylko mogła to zrobić małymi rączkami, pociągnęła za drążek sterowy.

„Sokół” podskoczył z dziobem zadartym w niebo. Allana odruchowo pchnęła ster i dziób z łomotem opadł na ziemię, wyrwijąc dziewczynkę z fotela i napelniając cały statek metalicznym łoskotem.

R2-D2 zaczął jęczeć.

- Artoo mówi, że palnik Monarga eksplodował przy próbie włączenia - przetłumaczył C-3PO. - Zdaje się, że mamy jakieś uszkodzenia powłoki, ale intruzi odpadli.

- To bardzo dobrze. - Spróbowała jeszcze raz, ostrożniej, jednocześnie pociągając i unosząc drążek.

„Sokół” chwiejnie wzniósł się w powietrze. System repulsorów jęczał jak marudny nastolatek.

Światła pozycyjne na obwodzie lądowiska zapłonęły jasno jak słońca i obróciły się, przechwytyjąc „Sokoła”. Nieoczekiwany, jaskrawy blask oślepił Allanę na moment, ale w chwilę

później polaryzowana transpastał iluminatorów pociemniała. Dziewczynka zamruwała, żeby pozbyć się czarnych plam.

Panel łączności rozjaśnił się lampkami.

- Port kosmiczny Dathomiry do „Kaczątka Naboo”, proszę podać swoje zamiary.

- Powiedz im, że odlatujemy.

- Ojej, zaraz. Eee... Port kosmiczny Naboo, tu „Kaczątka Dathomiry”. Odlatujemy.

- Natychmiast wracajcie do doku. Nie wypełniście planu lotu i nie dostaliście zezwolenia na start.

Allana wyrzwała przez iluminator po prawej. „Cień Jade” wydawał się strasznie bliski.

Wystarczy, że ręka jej drgnie w niewłaściwą stronę, a oba statki się zderzą.

- Jeśli nie potraficie nas obronić przed wielkimi, złymi porywaczami robotów, to odlatujemy - powiedziała stanowczo.

- Nasz kapitan chce wiedzieć... - wtrącił się Threepio.

- Słyszę waszego kapitana. Ile ona ma lat? Dziesięć?

Allana poczuła, że rozpiera ją radość. Dziesięć! Pomyśleli, że ona ma dziesięć lat! Odrobinkę pchnęła stery w przód. „Sokół”, z dziobem skierowanym ku ziemi, ale tym razem już w powietrzu, ruszył w kierunku ogrodzenia.

- Powiedz, że mam dwanaście lat - poleciała.

- Powtórz jej, że nieważne, ile ma lat. Osobiście gwarantuję, że będzie odpowiadać przed sądem jak osoba dorosła, jeśli natychmiast nie postawi tego wraku tam, gdzie jest, i nie podda się naszej ekipie ochroniarskiej.

- Nie sądzę, żebym chciał to przekazywać. Młoda panienka ma do dyspozycji pociski wstrząsowe i zdaje mi się, że jej nastrój w tej chwili można najlepiej określić jako niezrównoważony. Ma także uzasadnione zastrzeżenia do administracji waszego portu kosmicznego, które mogą wymienić.

Allana pchnęła drążek nieco mocniej i „Sokół” nabrał prędkości. Jaskrawo oświetlone ogrodzenie zbliżało się ku nim w zastraszającym tempie.

R2-D2 zaczął kręcić głowę.

- Nasz przyjaciel robot mechaniczny, który powinien się na tym znać, obliczył, że jesteśmy właściwie kilka metrów za... - tu Threepio nagle przerwał.

„Sokół” przeleciał nad ogrodzeniem. No, prawie nad ogrodzeniem. Płazy pojazdu przejechały po konstrukcji z drucianej siatki. Z punktów styku we wszystkich kierunkach posypały się iskry. Płazy zaplątały się w siatkę, ale „Sokół” nie stracił prędkości. Dwudziestometrowy odcinek ogrodzenia po obu stronach pojazdu został zerwany ze słupków i powleczony w górę.

„Sokół” zadygotał, dziób opadł niżej, ale nie dotknął ziemi. Silniki zawyły, statek podskoczył i nabrał z powrotem prędkości, pozostawiając po sobie ogromną wyrwę w ogrodzeniu.

- Artoo melduje, że przeszkoda została usunięta. Obliczam, że całkowity koszt odszkodowania wyniesie...

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Kwota nie obejmuje rekompensaty za szkody moralne, szkody fizyczne, a także wartość sentymentalną, jeśli ogrodzenie jest dla kogoś ukochaną pamiątką...

- Nieważne. Chcę tylko wiedzieć, na ile mnie wsadzą.

R2-D2 pisnął.

- Wychodzi na to, że ponad pięćdziesiąt lat coruskańskiego czasu.

Allana przez chwilę leciała na poziomie wierzchołków drzew. Słyszała uspokajające skrobanie i trzaski gałęzi łamanych dolną powierzchnią pancerza „Sokoła”, czyli mogła być pewna, że jest na wystarczającej wysokości nad ziemią. R2-D2 zauważył jednak za pośrednictwem Threepia, że przy tej taktyce jej prześladowcy znajdą ją bez trudu, kiedy tylko nastanie świt. Na wszelki wypadek zwiększyła pułap.

Kilkakrotnie zmieniała kierunek, popędzana przez Artoo; ostatecznie wzięła kurs na

bagniste obszary, porośnięte wysokimi drzewami obwieszonymi festonami mchu. Na szczęście odległości między pniami były spore. Po denerwującej, pięciominutowej walce z maszyną, metodą prób i błędów udało jej się posadzić „Sokoła” na ziemi. Łoskot towarzyszący lądowaniu, nieco zamortyzowany miękką glebą, nie był specjalnie niepokojący i tylko kilka ekranów diagnostycznych zgłosiło awarie.

- Artoo uważa - poinformował ją Threepio - że jeśli mamy umknąć pogoni, najlepiej będzie zastosować kamuflaż, który pozwoli nam ukryć się przed obserwatorami z powietrza. Oznacza to konieczność wejścia na górny pancierz statku.

Allana skinęła głową. Czowała się stara, mądra i tak zadowolona z sukcesu, jak tylko może być osoba, która ma przed sobą perspektywę co najmniej pół wieku odsiadki.

- Poradzę sobie - zapewniła.

### Nad jeziorem Czerwonych Skrzeli, Dathomira

Han wciąż wrzeszczał w mikrofon, żądając wytłumaczenia, jak Zekk i Taryn mogli dopuścić do tego, że ktoś odleciał „Sokołem” z Allaną i robotami na pokładzie, kiedy odezwał się komunikator Leii.

Odebrała natychmiast.

- Jedi Solo.

- Leia?

- All... Amelia! Wszystko w porządku? Gdzie jesteś?

- Właściwie - wtrącił głos C-3PO - to dość skomplikowana historia.

Rzeczywiście. Ciągnęła się tak długo, że Han rozłączył się z Zekkiem i skinął na obu Skywalkerów, żeby podeszli i posłuchali. Allana i C-3PO relacjonowali wydarzenia tak szczegółowo, że Han, śmiertelnie blady, nagle poczuł gwałtowną potrzebę, aby usiąść tam, gdzie stał.

- Ona latała „Sokołem” - jęknął.

Leia zmarszczyła brwi.

- Cicho bądź. Wychodzi na to, że świetnie sobie poradziła. - Podniosła komunikator do ust. - Amelio, kochanie, niech Artoo prześle nam wasze współrzędne. Dotrzemy do was najszybciej, jak się da. Bardzo, bardzo szybko.

- Dobrze.

- Kocham cię.

- Ja ciebie też.

- Solo się wyłącza. - Leia spojrzała na swoich towarzyszy. - Jak się do tego zabierzemy?

Yliri, niepewnie przycupnięta obok, podeszła bliżej.

- Załadujemy Carracka na ścigacz towarowy. Zabiorę was do waszego statku, wyczyszczę pamięć ścigacza, żeby ochrona portu nie mogła was wysledzić, a potem dostarczę Carracka do portu.

- To chyba najlepsze wyjście - westchnęła Leia. - Nie podoba mi się, że muszę wyjechać, zanim pozabawiam wszystkie sprawy tutaj.

Luke pokręcił głową.

- Przecież nie ma innego wyjścia.

- Wiem. - Z torby przy pasie Leii rozległ się pisk, choć komunikator wciąż trzymała w ręku. Sięgnęła do torby, pogrzebała w niej chwilę i wyjęła notatnik. Otworzyła go natychmiast. - Artoo przesłał też twoją pocztę, Ben. Twój notatnik nic nie odbiera.

- Jasne, skoro mój notatnik to kłęb zwęglonych obwodów. Mogę pożyczyć twój?

- Weź go sobie. Mam drugi na „Sokole”.

W ciągu kilku minut załadowali nieprzytomnego Carracka i nadal wstrząśniętego Hana na ścigacz towarowy. Tarth Vam.es także dołączył do nich, przepaszając, że musi opuścić grupę, ale wyjaśnił, że na pewno się przyda, aby wyciszyć sprawę w porcie kosmicznym. Yliri usiadła na

miejscu kierowcy i ruszyła na południe.

- Zdaje się, że okoliczności i Siostry Nocy mają przewagę - westchnął Luke. - Nikt z nas nie zginął, a jednak jest nas o połowę mniej.

- Fatalne wieści. - Ben ze zmartwioną miną zamknął notatnik. - Dostałem wiadomość od Jainy. Był najazd rządowych na Świątynię. Daala wysłała do tej roboty Mandalorian. Ofiar nie ma, ale jest bałagan.

Luke rozejrzał się, by sprawdzić, gdzie znajduje się Vestara - stała obok Olianne przy ognisku przywódców Deszczowych Liści. Ben też był zadowolony, że nie znajdowała się dość blisko, aby usłyszeć ich rozmowę.

Teraz gwizdnął cicho.

- Mam! Szkoda, że o tym wcześniej nie pomyślałem.

- Co masz?

- Wiem, jak zdołała ukryć swój miecz i inny sprzęt. A może nawet wiem, co ona tu robi.

Przynajmniej częściowo.

- Oświetl mnie.

- Wiemy już, że się nie rozbiła. Jacht w warsztacie Monarga, o którym mówili Amelia i Threepio, musiał należeć do niej. Ten sam model i stopień zdezelowania. Oddała go do naprawy, może po to, aby nim potem uciec.

- Dobrze. A co dalej?

- Kręci się po pustkowiu, żeby utrzymać nas w ruchu i domysłach. A jej rzeczy są albo u Monarga, albo... - Ben spojrzął w ciemność poza obozowiskiem. - Niewykluczone, że pierwszymi Dathomirianami, na jakich się natknęła, nie były Deszczowe Liście, ale Siostry Nocy. Sithowie i Siostry Nocy pasują do siebie jak kafa i śmietanka. Zostawiła swoje rzeczy u nich i przekazała im informacje, jakich potrzebowały do przeprowadzenia ataku.

Luke zastanowił się i pokręcił głową.

- Może i spotkała je wcześniej, to nie jest wykluczone. Ale wiemy, że każdy z klanów ma wśród swoich członków utajnione Siostry Nocy, jedną lub dwie. One zdobywają informacje, o których wspominałeś.

- Może i masz rację. Chcę po prostu koniecznie ją na czymś przyłapać.

- Dowiedz się najpierw, co naprawdę robi, a potem możesz ją oskarżać.

- Taak. Świetny plan.

## ROZDZIAŁ 15

### **Bagna na wschód od portu kosmicznego, Dathomira**

Han wyłączył spawarkę i zdjął prawie nieprzezroczyste gogle z oczu. Stał na prawoburtowym pierścieniu załadowniczym „Sokoła Millennium”. Przez otwarty właz wpadało nocne, wilgotne powietrze. Łata z pancernei durastali, którą właśnie przyspawał do zewnętrznej powłoki „Sokoła”, nie była dziełem sztuki, ale utrzyma spójność pancerza w przestrzeni i wystarczy, aby zniwelować szkody, wyrządzone w chwili, kiedy Zekk użył Mocy, aby zniszczyć palnik Monarga. Han skinął głową, zadowolony z wyniku swojej pracy.

- Trochę piaskowania, trochę farby i nikt się nie domyśli, że oberwał - usłyszał nagle.

Skoczył jak oparzony i wściekłym wzrokiem zmierzył głośnik. Leia stała o kilka metrów w głębi korytarza, na końcu rampy załadowniczej, podniesionej i zablokowanej.

- Podkradaj się tak częściej, kiedy używam elektronarzędzi, siostró, a pewnego dnia zdarzy się szokujący wypadek.

- Przecież odczekałam, aż wszystko wyłączysz - roześmiała się. - Tym razem.

- Dzieciak śpi?

Skinęła głową.

- Musiałam ją jakoś uspokoić i zapewnić, że nie zamierzamy dać jej szlabanu do czasu, aż będzie w naszym wieku.

- Szkoda, że to zrobiłaś, wolałbym mieć jakieś pole manewru. - Han odsunął się od włącznika i wbił przycisk zamykania. Włącznik zablokował się z krzepiącym szczękiem.

- Już i tak będzie musiała poczekać na kolejną wizytę na Dathomirze, żeby się przejechać na rankorze.

- Och, racja, jeszcze ten rankor. Zapomniałem, że jej to obiecałaś.

Leia uniosła brew.

- Wiesz, że to właściwie nie byłam ja.

Han wzruszył ramionami i się uśmiechnął.

- Aleja tak właśnie to zapamiętałem.

Ujął żonę pod ramię i odprowadził do kokpitu, po drodze odkładając na miejsce maskę i spawarkę.

- A jak się ma nexu?

- Chyba nic jej nie będzie, ale jest mocno posiniaczona.

C-3PO sterczał w kokpicie, całym sobą wyrażając większe niż zwykle zakłopotanie.

- Czy już wszystko szczelne, sir?

- Wszystko szczelne. - Han klapnął na swój fotel, teraz już wolny od poduszek Allany. - Skończyliście już z Artoo kosmetyczne poprawki?

- Artoo spawa ostatni panel, który wyskoczył podczas naszego niezwykle stresującego lądowania, sir. Poza tym wszystkie tablice diagnostyczne pokazują zielone światło... chyba tak się mówi, prawda?

Leia zajęła swoje zwykłe miejsce w fotelu drugiego pilota.

- Threepio, dlaczego nie poinformowałeś nas, kiedy Artoo znikł? Uniknęlibyśmy masy problemów.

- Ojej, wiedziałem, że ten temat wypłynie. Artoo udzielił mi szczegółowych instrukcji, że mam wam nie przeszkadzać, aż upłynie określony czas bez wiadomości z jego strony.

Podejrzewam, że uważał, iż jego śledztwo może zająć trochę czasu. A ponieważ przez dziesięciolecia ponoszenia konsekwencji poznałem jego tendencje do działań bez niczyjego zezwolenia, zgodziłem się. Bardzo mi przykro, że pani Allana wpadła przez to w kłopoty.

- To nie twoja wina - westchnął Han. - Jak zwykle, winę ponoszą okoliczności i dziedziczność.

Leia spojrzała na niego z ukosa.

- Zwykle wystarczy ci stwierdzenie, że to nie twoja wina, bez wyciągania konkretnych wniosków, kto właściwie jest za to odpowiedzialny.

- Tak, rzeczywiście, dziwne czasy. Threepio, zmykaj i wyłącz się na chwilę. Damy ci znać, kiedy się naradzimy, co robić.

- Jak pan sobie życzy, sir.

Han odczekał, aż złocisty robot poczłapie na rufę.

- Nie podoba mi się to, ale chyba musimy wracać na Coruscant.

- Wiem.

- Jeśli Daala była dość wściekła, żeby napuścić Mandalorian na Jedi, na naszą córkę! - musimy coś z tym zrobić.

- Zgadzam się.

Spojrzał na nią przez przymrużone powieki.

- Odkąd to się stałaś taka zgodna?

- Odkąd to się stałeś taki odpowiedzialny?

Han obejrzał się przez ramię na rufę statku. Nie mógł nic zobaczyć przez dzielące ich ściany, ale Allana zapewne spała spokojnie.

- Cóż, mamy kolejną szansę... a ja nigdy nie powtarzam dwa razy tego samego błędu.

- O, z pewnością mogę na ciebie liczyć, że i tym razem coś przekombinujesz. - W słowach Leii nie było prawdziwej złośliwości, tylko rozbawienie.

- No, nareszcie wróciła moja nieznośna dziewczyna, z którą się ożeniłem - zaśmiał się i odwrócił, żeby rozpocząć listę kontrolną przed startem. - Chcesz skontaktować się z Lukiem i powiedzieć mu o wszystkim?

- Nie.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Staram się być tylko nieznośną dziewczyną - powiedziała i uruchomiła tablicę łączności.

## Coruscant

Ledwie Daala zdążyła odwrócić wzrok, pogrzeb admirał Cha Niathal jakimś sposobem przekształcił się w poranną procesję, po której miała nastąpić część oficjalna pogrzebu transmitowana przez największe serwisy informacyjne.

Daala siedziała w swoim biurze w budynku Senatu i daremnie próbowała poprawić na sobie świeżo uprasowany biały mundur galowy, jednocześnie trzymając w rękach notatnik i komunikator i obserwując na monitorze ściennym przygotowania do procesji.

- A więc Siły Bezpieczeństwa Coruscant same wybierają się na procesję. A konkretnie kto? - zapytała.

Głos w jej komunikatorze należał do mężczyzny i brzmiał, jakby jego właściciel próbował się tłumaczyć.

- No cóż, wymawia się to na trzy różne sposoby w trzech różnych językach. Zdaje się, że to brzmi jakby kapitan Koltstan.

- A czy mamy w Siłach Bezpieczeństwa kapitana Koltstana?

- Nie, proszę pani.

- Więc to nie to nazwisko. Dowiedz się, kto to był. I kto zapłacił za transport, za werble i za depozyt zabezpieczający. - U jej drzwi rozległ się dzwonek, zapowiadający gościa - a skoro był to dzwonek, nie zaś ochroniarz, musiał to być ktoś, kto miał stałe zezwolenie na wejście. - Proszę wejść.

Drzwi uniosły się i do biura wszedł Wynn Dorvan. Widząc rozpięte rzędy guzików galowego munduru Daali i wyzierający spod zakietu podkoszulek, odwrócił się tyłem z zażenowaniem, sugerującym, że właściwie wpadł tylko pooglądać holofotografię superniszczyciela gwiazdowego, wiszącą na ścianie na honorowym miejscu.

- Och, nie bądź idiotą - prychnęła Daala.

- Słucham, proszę pani? - rozległ się głos z komunikatora.

- To nie do ciebie. Ty masz iść poszukać odpowiedzi na moje pytania. Daala się wyłączyła. - Przesunęła przycisk komunikatora z siłą, która zniszczyłaby każde inne urządzenie, niezaprojektowane do zadań wojskowych. - Jeszcze chwila zwłoki i spóźnię się na procesję - warknęła i zajęła się guzikami. - O co chodzi?

Dorvan odważył się zerknąć przez ramię, po czym odwrócił się do Daali.

- Ochrona szacuje, że wzrósł poziom zagrożenia uroczyście.

Daala zamrugnęła nerwowo.

- Właśnie rozmawiałam z ochroną.

- Tak, ale ja z biurem śledczym. Mówię o komórce zajmującej się ochroną wysoko postawionych celów, takich jak... eee... pani.

- A więc twierdzą, że poziom zagrożenia dla wysoko postawionych celów wzrósł?

Pokręcił głową.

- Nie, tylko dla pani.

Dopięła górne guziki i stanęła przed pustym fragmentem ściany.

- Lustro - powiedziała.

Panel przesunął się w bok, odsłaniając wysokie lustro. Daala nie mogła znieść myśli, że takie świadectwo próżności mogłoby wisieć na widoku przez cały czas, ale potrzebowała go czasem, żeby sprawdzić swój wygląd przed pojawieniem się publicznie, a zatem poszła na



kompromis i kazała zainstalować je za panelem ściennym.

- Możesz mówić konkretniej? - odezwała się do komunikatora.

- Twoje notowania w opinii publicznej spadają od czasu informacji o samobójstwie Niathal, więc ochrona uważa, że ktoś mógłby do ciebie strzelić w czasie pogrzebu. To chyba proste.

- Niathal była jeszcze niedawno na liście najbardziej znienawidzonych, aż do...

- Aż do dnia poprzedzającego jej śmierć. Teraz jest uważana za szlachetnego oficera, który oszczędził strzału plutonowi egzekucyjnemu. A pani nie tak dawno zaatakowała Kalamarian.

- A więc mamy się obawiać Kalamarian i Quarrenów? - Uwolniła kosmyki spod kołnierza i pozwoliła im opaść na plecy. - Jak sądzisz... lepsze będą rozpuszczone, splecione czy upięte? - spytała Dorvana.

- To jak na panią bardzo... nietypowe pytanie.

- Muszę cię zapytać, bo nie mam pojęcia, jaka jest właściwa odpowiedź.

- Zaplecione, ale... proszę tam nie iść. Nie chodzi tylko o Kalamarian i Quarrenów. Są jeszcze sympatycy Kalamarian, szalone grupy Konfederatów, ekstremiści antyimperialni, zwolennicy Niathal, zwolennicy Dartha Caedusa... - Przepraszająco wrzucił ramionami. - Ochrona uważa, że osoby, które mogłyby panią skrzywdzić, stanowią zagrożenie nieorganizowane, ale dość liczne, aby traktować je poważnie.

Spojrzała na niego, starając się nie okazać frustracji.

- Nie mogę wygrać, obojętne, jak się zachowam, prawda?

- Nie, nie może pani.

- Jeśli się pojawię, szaleńcy zaczną do mnie strzelać. Jeśli się nie pojawię, wyjdę na nieczulą przywódczynię, której gruboskórność doprowadziła do śmierci Niathal i która nawet nie zamierza poświęcić czasu, aby oddać jej hołd.

- To wszystko prawda. - Dorvan rozłożył ręce w geście „co ja mogę na to poradzić”, - Skoro zatem i tak ma pani przegrać, wołałbym, aby pani przegrała, ale przeżyła. Nie chciałbym uczestniczyć w dwóch admirałskich pogrzebach jeden po drugim.

Daala westchnęła głęboko.

- Nie masz dla mnie jakichś dobrych wiadomości? Jaka jest reakcja społeczeństwa na najazd na Świątynię Jedi?

- Wciąż niechętna. Uważa się, że Jedi starają się załatwiać sami swoje problemy, czego dowodzi choćby zabranie przez Solo szalonych Jedi na leczenie, a my wyszliśmy na durniów niezdolnych ich powstrzymać.

- Chcesz powiedzieć, że to ja wysłałam na durnia.

- Użycie Mandalorian jest odbierane przez siły zbrojne jako brak zaufania do ich możliwości. Szczególnie obrażone są siły specjalne.

Daala wzniosła oczy ku niebu, jakby szukając pomocy u gwiazdnego superniszczyciela zaparkowanego na niskiej orbicie planetarnej.

- Czy istnieją jakieś siły, o których nie mam pojęcia? Jakaś potężna konspiracyjna organizacja poświęcona zniszczeniu kariery Natasi Daali?

- Każdy polityk, z jakim pracowałem, w pewnym punkcie swojej kariery zadawał mi to samo pytanie. Odpowiedź zazwyczaj brzmi: nie. - Dorvan zamyślił się. - Co znaczy, że czasami odpowiedź brzmi: tak.

Spojrzała na niego z uwagą.

- No dobrze. Zostanę w biurze i zajmę się różnymi drobniejszymi kryzysami. Potrzebuję jednak czegoś, co odwróci ode mnie uwagę opinii publicznej. Chociaż na dzień, może na tydzień. Pogoń tych z biura prokuratora, niech się w podskokach zajmą sprawą Tahiri Veili. Dopilnuj, żeby rozwój wydarzeń był dokładnie śledzony przez prasę.

- Zajmę się tym.

- I dopilnuj, żeby wszyscy wiedzieli, że to zabójczym, dobrze? Że w przeciwieństwie do mnie, naprawdę zabiła admirała. Że to nie żadna słodka sierotka, sprzedająca ciasteczka od drzwi do drzwi.

- Zapamiętam ten kawałek o sierotce - odparł Dorvan, odwrócił się na pięcie i ruszył do

wyjścia.

Daala obserwowała pogrzeb admirała Niathal na monitorze w chłodnym zaciszu swojego nieskazitelnie białego biura.

Niathal położono w transpastalowej trumnie, zamontowanej na repulsorowym pojeździe o kształcie platformy, który dostojnie wyruszył z terenu ambasady Kalamaru w kierunku odległego placu Twórców, rozległego miejsca spotkań publicznych, wybudowanego po zakończeniu wojny z Yuuzhan Vongami. Procesja była oczywiście napowietrzna - pieszy pochód musiałby przejść mrocznymi, wilgotnymi poziomami blisko powierzchni lub wzdłuż wąskich, krętych, wiszących chodników dla pieszych. Ani jedno, ani drugie wyjście nie miałyby w sobie tej posępnej elegancji, więc wszyscy uczestnicy jechali na ścigaczach różnych typów - zwykle były to zamknięte, dyskretnie ciemne pojazdy, odpowiednie dla polityków.

Tuż przed i za trumną jechały dwie duże barki, wiozące oddział korpusu doboszów Floty Sojuszu Galaktycznego. Kiedy procesja mijała kolejne permabetonowe kaniony Coruscant, wybijali wojskowy, synkopowy rytm, który odbijał się echem od drapaczy chmur. Był to poruszający występ, odpowiedni dla kariery i temperamentu Niathal, i brzmiał jak odległy grzmot ujęty w muzykę.

Za pojazdem korpusu doboszów leciały ciemne ścigacze ambasadorów, urzędników i innych ważnych istot, które regularnie współpracowały z Niathal za życia. Sznur pojazdów był bardzo długi.

Procesja leciała na jednej ze standardowych wysokości transportowych, gdzie było najwięcej chodników dla cywilnych pieszych, więc kładki wzdłuż całej trasy były zatłoczone mieszkańcami. Daala widziała w tłumie nie tylko twarze, ale i transparenty. Przeważnie były to tablice wypisane ręcznie, czasem migającymi diodami na cienkich arkuszach flimsiplastu. Na jednym widniał napis „SB precz z Kalamarem”. Inny migał „Wita cię wielki prąd”. Na trzecim grubymi, czarnymi literami napisano „Daala morderczyń”.

Przemarszowi procesji towarzyszył płynący z monitora jedwabisty głos holoreportera Javisa Tyrra, opisującego to, co się dzieje na ekranie.

- ...minęli aleję Medyków. Korpus doboszów gra nowy utwór... mam wrażenie że to *Upadek Tialgi*, tradycyjna melodia alderańska o królowej - wojowniczej, która staje do walki przeciwko przeważającym siłom, aby jej dzieci mogły dotrzeć do bezpiecznej przystani. Tak, to istotnie ten utwór, słyszymy teraz polifoniczne tony dzwonek sekwencyjnych, które mają zastąpić w tej aranżacji alderańskie flety. Właśnie przechodzą pod środkowym przesłem chodników alei Medyków, skąd, jak widzimy, na każdy pojazd nieprzerwanym strumieniem sypie się deszcz srebrzystych konfetti z flimsi... aha, właśnie dano mi do zrozumienia, że to symbol łez, łez lądowych żałobników pani admirał, ponieważ sami Kalamarianie nie płaczą... a oto i pojazd wiozący Jaggeda Fela, przywódcy Imperium Galaktycznego. Raporty donoszą, że Fel stoi w obliczu narastającej opozycji politycznej w Imperium, więc to bardzo piękny gest, że na cały dzień oderwał się od ważnych spraw międzyplanetarnych, aby pokłonić się zmarłej. Następny pojazd należy do ambasady Kalamara; ma charakterystyczne, napelnione wodą, przedziały z tyłu i włązy wejściowe na dachu. Całkowity ciężar parkującego pojazdu Kalamarian łącznie z wodą to ponad trzysta ton, więc może on lądować jedynie na specjalnie wzmocnionych płytach lądowisk. Dalej...

Daala wyłączyła dźwięk. Nie miała nic przeciwko temu, aby korpus doboszów towarzyszył jej pogrzebowi, ale myśl o tym, że cała ceremonia także byłaby relacjonowana, irytowała ją bardziej, niż się spodziewała. Niepokojąca była już sama myśl o tym, że w jakiegokolwiek roli mógłby tam wystąpić Tyrr. Nie życzyła tego Niathal, naprawdę.

Procesja dotarła wreszcie do placu Twórców. Pojazd z trumną i pierwsza trzydziestka ścigaczy skręciły na prawą burtę i rozpoczęły powolne, spiralne podejście do środka placu, gdzie ustawiono tymczasowe estrady i miejsca do lądowania. Pojazd z trumną wylądował na najwyższym z nich. Pozostałe osiadły w półkolistych rzędach, wyglądając jak nawiasy okalające estrady. Wysiedli z nich uczestnicy i skierowali się ku podestom dla widzów.

Elegancki mężczyzna w średnim wieku, w dobrej kondycji, ale przedwcześnie posiwiały, ubrany w galowy mundur generała Dowództwa Myśliwców, wstąpił na mównicę środkowej estrady. Kiedy zaczął mówić, na ekranie pojawił się napis: „Generał Tycho Celchu, Dowództwo Myśliwców SG (emerytowany)”.

Daala westchnęła i położyła sobie dłoń na czole. To oczywiste, że pojawił się tam ktoś taki jak Celchu. Pracował z Niathal przez ostatnie lata jej działalności i przeszedł na emeryturę w tym samym czasie, ale nie miał do czynienia z Jacenem Solo i nie został skażony jego jadowitą spuścizną. Był dobrym mówcą, popularnym zarówno wśród żołnierzy, jak i oficerów. Po jego przemówieniu słuchacze z jeszcze większą goryczą będą przeżywać stratę Niathal. Ludzie odwiedzający jej mogiłę będą musieli tylko wcisnąć przycisk, aby całe przemówienie pojawiło się przed nimi w postaci hologramu, uwiecznione na zawsze.

Westchnęła. Nic nie szło jak należy.

Po prostu nic.

## ROZDZIAŁ 16

### Nad Jeziorem Czerwonych Skrzeli, Dathomira

Rankiem po ataku iskromuch zebraniu klanów towarzyszyła już inna atmosfera. Chociaż Ben był tutaj obcy, i tak wyczuł różnicę dzięki swojej wrażliwości na Moc i obserwacji zebranych.

Wszyscy mieli się teraz na baczności, stali się jeszcze bardziej podejrzliwi. Nie wróżyło to dobrze, biorąc pod uwagę fakt, że już wcześniej nie darzyli się zaufaniem. Wszyscy okazywali dumę i drażliwość, jeszcze wyraźniej niż do tej pory. Atak Sióstr Nocy nie wywołał jednak rozłamu, klany nadal zmierzały do wspólnego celu. W oczach uczestników zgromadzenia Ben widział przekonanie, że plan się powiedzie.

A skoro on to widział, dostrzegły także Siostry Nocy. Muszą być wściekłe - nie dość, że odparto ich atak, to na dodatek zginęły dwie z nich. Na pewno będą chciały się zemścić. Zwłoka może doprowadzić do połączenia się klanów, a do tego nie zamierzają dopuścić.

Nie to jednak zaprzętało teraz umysł Bena. Chciał schwytać morderczynię. Osoba odpowiedzialna za śmierć Sha bez wątplenia należała do Sióstr Nocy, więc jeśli jej dopadnie, dotrze też do pozostałych.

Rankiem, gdy członkowie plemienia zajęli się zawodami i planowaniem obrzędów pogrzebowych ofiar ukąszenia żmii kodashi, Ben przechadzał się po obozowisku, zadając pytania: „Czy Sha towarzyszyła wam wczoraj? Jak się zachowywała? Wiecie, z kim mogła rozmawiać, zanim do was dołączyła? A gdzie później poszła?”

Uzyskał różne odpowiedzi. Podobno rozpytywała o dzieci Deszczowych Liści. O co dokładnie? O imiona, wiek.

Zniechęcony, wrócił w południe do obozowiska. Nie on jeden; Dyon już tam był, przygotowując posiłek. Przewrócił owinięte w transpastal kotlety z jaszczurek, które zapiekał w popiele ogniska, i uśmiechnął się do Bena.

- Ależ z ciebie poważny facet, Ben.. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Wokół aż roi się od władających Mocą dziewczyn, które nie znalazły sobie jeszcze chłopaka.

- Cicho bądź. - Ben przysiadł, opierając się plecami o dużą skałę. - Albo nie. Opowiedz mi wszystko, co wiesz o Sha Bez Plemienia.

- Cóż... - Dyon zmarszczył brwi, wysilając pamięć. - Nazywała się Sha'natrac Tsu. Należała do Klanu Błękitnego Korale, ale to oni wydali na nią wyrok śmierci.

- Dlaczego?

- Klan miał zatarg ze Szczypcorękami, którzy wzięli swoją nazwę od dużego, powolnego skorupiaka. Błękitny Korale to jedna z tych nowych grup, gdzie mężczyźni sprawują władzę pospołu z kobietami, a klan Szczypcorękich utworzyli zbiegli niewolnicy i kobiety, które do nich dołączyły.

Oba klany żyły nad morzem. Waśń między nimi sięgała wielu lat wstecz; co roku kilka osób po obu stronach ginęło w zasadzkach albo po prostu zniknęło.

- Rozumiem. Dwa klany nie dość przewidujące, żeby się nawzajem nie wybijać.

- Do tego się to sprowadza. W rzadkim jak na klany Dathomiry przyplynie rozsądku obie grupy zgodziły się zasiąść przy jednym stole i wyjaśnić dzielące ich różnice. Sha brała udział w tym spotkaniu... i zakochała się w Szczypcorekim.

- O nie, tylko nie romans.

- W dodatku ze smutnym zakończeniem. Rozmowy pokojowe nie potoczyły się jak trzeba, klany znowu zaczęły na siebie dybać, a Shę i jej wybrańca, którzy nie kryli się ze swoimi uczuciami i nie zamierzali się pozabijać, ogłoszono zdrajcami. Uciekli, skazując się tym samym na wygnanie. Zamieszkali niedaleko portu kosmicznego, z dala od terenów łowieckich swoich klanów. Działo się to jakieś siedem lat temu.

- A ten tragiczny finał?

- Pięć lat temu Sha zaczęła najmować się u klientów portu w charakterze przewodnika. Była kurierem, myśliwym i szpiegiem, ale najbardziej odpowiadały jej zlecenia, dzięki którym mogła wyrwać się z domu, zwłaszcza jeśli przy okazji miała szansę natknąć się na nieznane sobie wcześniej klany. Gdy pytano ją o męża, odpowiadała, że nie żyje, ona zaś pomści jego śmierć, zabijając winnego. Ale nie wdawała się w szczegóły.

Ben obrzucił go podejrzliwym wzrokiem.

- I to wszystko?

- Nikt poza Shą nie wiedział nic więcej.

- Ty to wiesz, jak ożywić opowieść, Dyon. Jak to się stało, że nie zostałeś historykiem?

Dyon zbył tę uwagę machnięciem ręki.

- Nie bądź sarkastyczny wobec kogoś, kto gotuje ci posiłki.

- To akurat dobra rada - Ben zamilkł. Z opowieści Dyona można było wywnioskować, że Sha natknęła się na mordercę swojego męża, ale i tak rodziło to więcej pytań niż odpowiedzi. Kto zabił jej męża i dlaczego? I jak pytania, które zadawała, mogły ją do tego kogoś doprowadzić?

Nie dawało mu spokoju coś, co Sha powiedziała przy ich pierwszym spotkaniu.

Dotyczyło to Sióstr Nocy. „Znajdują sobie kryjówkę, liżą rany i wracają - mówiła. - Jeśli ich szeregi się kurczą, przybywają po dzieci”. Przez krótką chwilę wydawała się dziwnie smutna.

Ben utkwiał wzrok w Dyonie.

- Już wiem. Porwały jej córkę - oznajmił.

- Jaką córkę?

- Właśnie, jaką córkę? - zapytał Luke, siadając ze skrzyżowanymi nogami przy ognisku.

- Myślę, że Sha miała córkę, którą porwały Siostry Nocy. - Ben wyjaśnił im swój tok rozumowania.

Luke przyjął od Dyona kubek kawy i pokręcił głową.

- Naciągana teoria, Ben.

- Ufam swojemu instynktowi. Wiem, że to wątpliwe wyjaśnienie, ale wiele by tłumaczyło.

Wraz z mężem z klanu Szczypcorekich zamieszkała z dala od swoich prześladowców, zarazem jednak utraciła ochronę, jaką zapewniał jej klan. Urodziło im się dziecko i wszystko było w najlepszym porządku. Aż któreś nocy pojawiły się Siostry Nocy. Jej dziecko zniknęło, a mąż zginął. Żeby sfinansować swoje poszukiwania, zaczęła zatrudniać się, gdzie popadło. - Ben rozejrzał się po obozie Deszczowych Liści. - Aż wreszcie na coś trafiła. Może ktoś z Deszczowych Liści powiedział jej: „Tak, było takie dziecko. Ale tutaj nie powiem nic więcej, bo ktoś nas może podsłuchać. Przejdźmy się pod Drzewa Niechybnej Zagłady”.

Luke zmarszczył czoło.

- Tak lekko mówisz o jej śmierci.

- Przepraszam. To taki zwyczaj śledczych. Dużo się nasłuchałem takich tekstów w Straży Sojuszu Galaktycznego. Swoją drogą bardzo by pomogło, gdybyśmy zawężili ramy czasowe interesującego nas wydarzenia.

- Chyba będę mógł w tym pomóc. - Dyon zaczął przetrząsać liczne kieszenie swojej

kamizelki, aż wreszcie wyciągnął porysowany, ale solidnie wyglądający datapad. - Luke, możesz przypilnować ogniska?

- Oczywiście.

Dyon zaczął wklepywać polecenia i zapytania.

- Dobrze, że mamy wzmacniaki i satelity. Mogę dostać się do rejestru portu kosmicznego.

Znaczy, na Coruscant nie byłoby w tym nic dziwnego, ale tutaj... A więc Sha Tsu i Vagan Kolvy pojawili się w porcie po raz pierwszy siedem lat i miesiąc temu. Pięć lat i dziesięć miesięcy minęło od ostatniej wizyty męża. A pięć lat i osiem miesięcy temu Sha deklaruje chęć pracy jako zwiadowca, przewodnik i myśliwy.

Ben rozważył te informacje.

- Czyli jej dziecko porwano najprawdopodobniej...

- Jej domniemane dziecko - upomniał go Luke.

- Zaatakowały jej domniemane obozowisko, zamordowały jej domniemanego męża i porwały domniemane dziecko jakieś pięć lat i osiem miesięcy temu - doszedł do wniosku Ben. Kolejny raz obrzucił obóz uważnym spojrzeniem. - Niełatwo byłoby wprowadzić nowe dziecko do klanu takiego jak ten, prawda?

Dyon zatrasnął datapad.

- Niekoniecznie, ale nie da się tego zrobić po cichu. Życie tutaj jest trudne, a w pożywieniu brakuje kalorii, więc ciężka nie umknęłaby uwadze pozostałych. Między klanami dochodzi też niekiedy do wymiany: jeśli masz kuzynkę w sąsiednim klanie i ta kuzynka umrze, dziecko zostanie przyjęte tutaj. Ale i tak wszyscy będą wiedzieć, że nie jest stąd.

- Więc tak to wygląda. - Ben wziął od ojca kawałek zawiniętego w folię mięsa i zaczął przrzuczać je z ręki do ręki, żeby nie poparzyć sobie palców. - Po obiedzie chyba zacznę zadawać kolejne pytania.

Luke się uśmiechnął.

- A co zrobisz, gdy ktoś zasugeruje ci rozmowę pod Drzewami Niechybnej Zagłady?

- Przyjmę propozycję, zamknę oczy i złożę usta do pocałunku?

- To właśnie dzięki temu instyktowi Skywalkerowie zawsze sobie radzą.

Ben trzymał się swojego postanowienia. Po posiłku jeszcze raz wybrał się na obchód obozu, teraz jednak wypytując o coś innego, niż poprzednio: „Czy to twoje dziecko? Ile ma lat? Czy jej ojciec należy do Strzaskanych Kolumn? Ma jakieś rówieśnice?”

Dopiero z nadejściem nocy usłyszał wiadomość, która wzbudziła jego zainteresowanie.

Podczas gdy w oddali rozbrzmiewały odgłosy zawodów zapaśniczych zorganizowanych na cześć tych, którzy padli ofiarą węży, Ben przyglądał się czarnowłosej dziewczynce, z powagą odwzajemniającej jego spojrzenie.

- To twoja córka? - zapytał stojącą obok kobietę.

Halliava, zwyciężczyni biegu na krótki dystans dla adeptek Sztuki, a także innych zawodów, obdarzyła go szerokim, dumnym uśmiechem.

- Tak. To Ara. Aro, to Ben. Przybył z daleka, jest chłopcem-Wiedźmą. Przywitaj się, jak należy.

Dziewczynka podniosła pulchną rączkę, obracając ją wewnętrzną stroną dłoni do Bena.

- Witaj przy naszym ognisku. Mamy tu chleb, mięso i wodę.

- Zwą mnie... - odpowiedziała szeptem Halliava.

- Zwą mnie Aradasa Vurse.

Ben odwzajemnił gest.

- Mnie zaś Ben Skywalker.

- Naprawdę jesteś chłopcem-Wiedźmą?

Ben przytaknął.

- Tylko że my mówimy o sobie „Jedi”. Są Jedi chłopcy i dziewczynki, a Sztuka, którą poznajemy, niewiele różni się od waszej.

- Tak? - Nagle zawstydzona Ara chwyciła się mocno uda matki, ale nie odwróciła głowy.

Ben uśmiechnął się przyjaźnie do Halliavy.

- Będzie miała jakieś cztery lata, prawda?

- Pięć i jedną porę roku. Nie wygląda na swój wiek. - Halliava wzruszyła ramionami. - Z dziećmi jest ten problem, że nigdy nie wiadomo, kiedy urosną. Ja jestem wysoka, a ojca miała nawet wyższego. Żartowaliśmy sobie, że jest w połowie rankorem.

- Miała?

- Zginął przed narodzeniem Ary. Był wojownikiem Strzaskanych Kolumn. Wzięliśmy ślub na corocznym zgromadzeniu, jakieś sześć lat temu, a rozeszliśmy się pod jego koniec. Później dowiedziałam się, że spadł z drzewa, gdy wspinał się po ptasie jaja.

- Przykro mi.

Znowu wzruszyła ramionami.

- Obiło mi się o uszy, że poród też nie był łatwy - dodał Ben.

- Kto tak powiedział? - Halliava zmarszczyła pytająco brwi.

- Już nie pamiętam. Mój ojciec opowiadał przy ognisku różne historie o mnie... że w brzuchu matki wędrowałem od jednej bitwy do drugiej, po drodze uczestnicząc w planetarnych katastrofach. Któraś z Deszczowych Liści dorzuciła wtedy coś od siebie.

- No tak. Śmierć Dasana zasmuciła mnie i nikomu nie powiedziałam, że spodziewam się jego dziecka. Wybrałam się na jeszcze jedną, ostatnią wyprawę zwiadowczą dla klanu, wiedząc, że po powrocie będzie już po mnie widać ciążę... ale akurat, gdy miałam wracać, poślizgnęłam się i spadłam do wąwozu, łamiąc sobie nogę. O mało nie umarłam z głodu, i to pewnie dlatego Ara jest taka mała. Dopiero po porodzie udało mi się wrócić do Deszczowych Liści.

- Twarda z ciebie kobieta.

Obdarzyła go kolejnym uśmiechem, bez cienia poczucia winy czy oznak fałszu.

- Wśród Deszczowych Liści nie ma słabeuszy.

- Miło było cię poznać, Aro - pożegnał się Ben.

Dziewczynka pozdrowiła go, machając rączką.

Ben odwrócił się, serdecznym skinieniem głowy żegnając się z Halliavią, i podszedł do kolejnego ogniska. Tłumaczył zebranim, że chce zapoznać się ze wszystkimi członkami klanu, by lepiej zrozumieć ich obyczaje.

Opowieść Halliavy była mało prawdopodobna, ale możliwa. Dasan ze Strzaskanych Kolumn rzeczywiście zginął miesiąc po zgromadzeniu klanu, sześć i pół roku temu, choć nikt nie przypominał sobie, by wziął ślub z Halliavą; z drugiej strony tego typu związku nie zawsze celebrowano czy choćby pamiętano.

Faktem było również, że trzy miesiące po zgromadzeniu Halliava wyruszyła na długą misję zwiadowczą, z której wróciła wiele miesięcy później, już z Arą w ramionach.

A niech to. Ben wolałby, żeby jego podejrzenia się nie sprawdziły. Polubił Halliawę. Może się mylił. Miałby większą pewność, gdyby przydarzył się teraz jakiś wiarygodny wypadek albo próba zabójstwa, coś, co pomogłoby zakończyć śledztwo.

Upomniał się, że tylko żywy zrealizuje swoje cele. Zabójców musi spotkać sprawiedliwość, a przed nim ważne zadanie odnalezienia gniazda Sióstr Nocy. I, być może, współpracujących z nimi Sithów.

## ROZDZIAŁ 17

### Coruscant

Tahiri Veila wyglądała przez maleńki iluminator swojej celi, obserwując przelatujące na niższym poziomie statki. Było późne popołudnie i tysiące ludzi przemykało w swoich aerośmigaczach. Gdyby wiedzieli, że za tym oknem stoi Tahiri Veila, morderczynie admirała Gilada

Pellaeona - oficera i przywódcy wspomnianego równie czule przez Sojusz Galaktyczny, jak i Imperium - z pewnością znalazłby się ktoś, kto spróbowałby przestrzelić transpastał.

Zdawała sobie sprawę, że nie wygląda na morderczynię. Była wysoką blondynką, atrakcyjną nawet bez makijażu i olśniewających ubrań. Na jej czole można było dostrzec ledwo widoczne, intrygujące blizny - pamiątkę z przeszłości. Sprawiała wrażenie sportsmenki, która wcześniej zdobywszy mistrzostwo, zajmowała się już tylko reklamowaniem płatków śniadaniowych i uśmiechaniem się do holokamery. Tyle że na jej twarzy od dawna nie gościł uśmiech.

Odwróciła się do swojego gościa, który przysiadł na końcu koi, jedyne go mebla - pominąwszy nieoddzieloną od reszty pomieszczenia toaletę - w małym pokoiku będącym teraz jej domem.

Gość pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Trudno to pojąć, ponieważ wszystko opiera się na logice obcej racjonalnym umysłem. To logika adwokatów, logika prawa.

Nazywał się Mardek Mool. Jak każdy Bith, miał wydłużoną czaszkę, fałdy skórne na policzkach i wielkie, ciemne oczy, którymi przyglądał się Tahiri niepewnie, jakby miała zaraz się zdenerwować i udusić go Mocą. Nie wróżyło dobrze jej sprawie, że według własnego obrońcy była zdolna zabić kogoś z zimną krwią, bez widocznego celu, tylko dlatego, że jest poirytowana. Mimo to Mool był istotą kompetentną, oddaną swojej pracy i miał dobre serce, no i wyglądało na to, że chce jak najlepiej przysłużyć się jej sprawie. Cóż, skoro sąd odmówił jej usług Nawary Vena, tłumacząc swoją decyzję konfliktem interesów wynikłym z jego powiązań z Zakonem Jedi, Tahiri doszła do wniosku, że powinna być wdzięczna za Moola.

Odsunęła się od okna. Transpastał automatycznie pociemniała, gdy przysiadła na drugim końcu koi, naprzeciw Moola.

- Wyjaśnij mi coś. Zostałam aresztowana pod zarzutem współudziału w zabójstwie i morderstwa, a moja wina jest oczywista...

- Nigdy tak nie mów. Ani na głos, do siebie, gdy jesteś sama, ani nawet we śnie. Nie dysponujesz odpowiednimi kwalifikacjami, żeby orzekać o swojej winie.

- Dziękuję za to wotum zaufania - zakpiła Tahiri. - Oskarżyli mnie o popełnienie tych przestępstw, przekazali prasie swoją wersję historii, odgrywając przy tym wściekłych i żądnych mojej krwi, po czym umieścili mnie tutaj, w ośrodku odosobnienia o średnim rygorze, z którego, nawiasem mówiąc, mogłabym uciec nawet przez sen. A teraz ni z tego, ni z owego naciskają na sąd, by wyznaczył datę rozprawy. Czegoś tu nie rozumiem. Nie wiem nawet, dlaczego to oni prowadzą sprawę, a nie Imperium, skoro człowiek, którego zabiłam...

- Człowiek, którego rzekomo zabiłaś.

- Przestań. Był obywatelem Imperium i zginął na planecie wchodzącej w jego skład. Sądziłam, że to Imperium sprawuje na niej jurysdykcję i że tam będę sądzona.

Mool westchnął.

- Tahiri, chciałabyś pożyć wystarczająco długo, żeby określić, czy na to życie zasługujesz? Zamilkła na chwilę, ale na to pytanie odpowiedziała sobie już wcześniej, jeszcze zanim przyszli po nią agenci bezpieczeństwa.

- Tak, chcę - powiedziała w końcu.

- Więc rób, co każę. Jest kilka powodów, dla których nigdy nie powinnaś mówić „zrobiłam to”. Nie masz pojęcia, jak bardzo odbija się to w wyrazie twarzy i w mowie ciała. Nawet jeśli uda ci się kontrolować wszystko inne, niewątpliwie przekonasz o swojej winie sędziego lub ławę przysięgłych. Rząd w każdej chwili może otrzymać sądowe zezwolenie na umieszczenie tutaj podsłuchu. Za każdym razem, gdy do ciebie przychodzę, sprawdzam pomieszczenie i na razie to powinno wystarczyć, ale nie jestem specjalistą i nie zawsze będę w pobliżu. Być może nie zdołają skazać cię na podstawie dowodów, którymi do tej pory dysponują. Nie podsuwaj im nowych.

- W porządku. Więc... jestem niewinna.

- Powiedziałaś to bez przekonania. A to oznacza, że czujesz się odpowiedzialna za każdą podjętą przez siebie decyzję i że Jacen Solo w żaden sposób na ciebie nie wpłynął.

- Oczywiście, że wpłynął.

- W jakim stopniu?

- Nie da się tego określić.

- Zgadza się. - Pokiwał z aprobatą głową. - Myślę, że w większym, niż sama jesteś w stanie przyznać. Wykorzystał twój brak pewności siebie. Odseparował cię od innych, stając się jedynym punktem odniesienia w kwestiach światopoglądowych, w sprawach etyki oraz dobra i zła. Być może użył Mocy w sposób, którego do tej pory nie znałaś. Tahiri, każdemu się wydaje, że nic nie zdoła pozbawić go pełni władz umysłowych. Ale przychodzi taki moment, gdy człowiek traci kontrolę... jak żołnierz lub pilot, który w trakcie swojej służby zabijał i widział śmierć przyjaciół, albo Jedi, przez całe życie zmagający się z Ciemną i Jasną Stroną Mocy. Nie wspominając o nastolatce, która straciła ukochanego, a od jego czarującego brata otrzymała jeszcze jedną szansę, by poczuć obecność wybranka. Jakim cudem miałabyś pozostać przy zdrowych zmysłach?

W Tahiri obudziła się iskierka nadziei. Jeśli jednak zaakceptuje wyjaśnienia Moola, przyzna, że nie zawsze była panią swoich myśli i podejmowanych decyzji. A taki wniosek byłby trudny do zaakceptowania.

Szczęśliwie dla niej Mool wrócił do innych dręczących ją pytań.

- A co do tego, dlaczego zatrzymano cię, by później osadzić w ośrodku o średnim rygorze... po prostu chcieli, żebyś uciekła.

Wiedziała dlaczego.

- Wtedy automatycznie przyznałabym się do winy.

- I pewnie szukałabyś pomocy u przyjaciół, ich także stawiając poza prawem. Dlaczego rząd miałby sobie odpuścić, po tym, co mówili na twój temat? Nie mogli przecież dać opozycji do ręki wypowiedzi sugerującej, że stanowisko rządu uległo złagodzeniu lub że przygasił jego sprawiedliwy gniew. A odpuścili sobie dlatego, że czas pracuje dla nich. Im dłużej ciągnie się ta sprawa, tym więcej będzie cię to kosztować, finansowo i emocjonalnie.

- I tym większa szansa, że poddam się lub ucieknę.

- Zgadza się. A dlaczego to nie Imperium prowadzi proces? Mogłoby, owszem. Nadal może. Ale Sojusz Galaktyczny ma do tego prawo. Pellaeon sprawował funkcję naczelnego komandora Sił Obrony Sojuszu Galaktycznego, co zapewniło mu dożywotnie obywatelstwo. Gdybym miał zgadywać, dlaczego tak mocno naciskają, strzelałbym, że prezydent Daala chce odwrócić uwagę prasy od śmierci admirała Niathal.

- Więc jestem tylko pionkiem przesuwanym tam, gdzie go akurat potrzebują. Nie ma to żadnego związku ze sprawiedliwością.

Mool klasnął w dłonie, jakby właśnie oglądał imponujący wyczyn sportowy.

- A skoro oni nie szukają sprawiedliwości, to dlaczego ty miałabyś się podporządkować?

Tahiri ogarnął zimny gniew. Przez krótką chwilę nie wiedziała, jak sobie z nim poradzić - stłumić, jak by to zrobiła Jedi, czy raczej czerpać z niego siłę, jak Sith? Odrzuciła obie możliwości, znalazła dla niego miejsce i pozwoliła, by nadał jej głosowi ostry ton.

- Co teraz zrobimy?

- Będę szukał lekarzy, którzy zaświadczą o stanie umysłu osoby poddanej manipulacji przez niewątpliwy autorytet. Będę też ostro walczył o zmianę miejsca rozprawy...

- Dlaczego?

- Ponieważ osoba z największym w całej galaktyce doświadczeniem w kwestii Sithów ma prawny zakaz powrotu na Coruscant.

- Luke Skywalker, tak?

- Zgadza się. A nam bardzo by zależało, żeby powołać go na świadka, i to nie tylko z racji jego szerokiej znajomości tematu, ale również dlatego, że opinia publiczna darzy Jedi rosnącą sympatią. Gdy ogłoszę, że proces będzie sprawiedliwy tylko wtedy, jeśli zeznania złoży też Wielki Mistrz Luke Skywalker, opinia publiczna wywrze nacisk na prokuratorów. Na razie zapamiętaj, co powiedziałeś o swojej roli pionka w grze i przywołuj to uczucie za każdym razem, gdy pojawisz się publicznie, ponieważ byłaś pionkiem również w grze Jacena Solo, i to właśnie wpędziło cię w kłopoty. Tahiri, ty naprawdę byłaś ofiarą. Musisz to zrozumieć, tak samo jak opinia publiczna.

- W porządku. Postaram się.



- Nikt nie chce myśleć o sobie jako o ofierze. Nie będzie ci łatwo przełamać te opory. Mool potarł dłonią fałdy skóry i na chwilę odwrócił wzrok.

- Masz dla mnie więcej złych wieści - powiedziała Tahiri.

- Nie znoszę pracować z Jedi. Trudno cokolwiek przed nimi ukryć. - Powrócił do niej wzrokiem. - Powinnaś rozważyć ich propozycję.

- Jaką propozycję? - zapytała lodowatym tonem Tahiri.

Moolowi rozszerzyły się fałdy na policzkach.

- Jedyną, jaką otrzymałaś. - Niedługo po podjęciu się jej obrony Mool przedstawił Tahiri propozycję wystosowaną przez kogoś z rządu Daali: jeśli zgodzi się zbierać informacje i dowody świadczące o przestępstwach Jedi przeciwko Sojuszowi Galaktycznemu, otrzyma niski wyrok w ośrodku karnym o minimalnym rygorze, i to takim, który sama sobie wybierze. - Dano mi do zrozumienia, że propozycja jest aktualna i może okazać się jedyną nadzieją na uniknięcie kary śmierci.

Tahiri obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Już ci odpowiedziałam. I nie zmienię zdania.

Mool westchnął i pokiwał głową.

- Skoro tak, to doradzałbym znalezienie adwokata lepiej nadającego się do prowadzenia tej sprawy.

- Rezygnujesz?

Mool zaprzeczył ruchem głowy.

- Skądże znowu.

- Więc o co chodzi?

- Pracuję w tej branży już ładnych kilka lat - zaczął Mool. - Wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że tobie potrzebny jest ktoś mający dziesiątki lat doświadczenia. Mówię to z bólem serca, ale nie nadaję się do tak głośnej sprawy. Tutaj obowiązują inne reguły gry. Szczerze mówiąc, jeśli zdecydujesz się na proces, nie będę w stanie określić, wedle jakich reguł tak naprawdę gramy.

Tahiri westchnęła, spojrzała na toaletę w drugim końcu pokoju i pokiwała głową.

- Przynajmniej jesteś szczery - powiedziała. - To dla mnie ważniejsze, niż ci się wydaje.

Dziękuję.

- Proszę bardzo - odparł Mool. - Szkoda, że nie mogę zaoferować ci nic więcej. Naprawdę chciałbym pomóc.

- Wystarczy, że mówisz prawdę, Mardek. - Tahiri odwróciła się i czule ścisnęła jego kolano.

- Dzięki temu dajesz mi wszystko, czego potrzebuję.

## ROZDZIAŁ 18

### Nad Jeziorem Czerwonych Skrzeli, Dathomira

Salto do tyłu, które wykonał Luke, było idealne. W szczytowym punkcie głowa znalazła się wyżej, niż gdyby stał. Wylądował w lekkim przysiadzie, nawet nie wzbijając kurzu, i od razu przyjął pozycję obronną. Otaczająca ring widownia okrzykami wyraziła swoje uznanie.

Firen była tuż za nim. Gdy Luke robił salto, ona skróciła dystans i wyprowadziła swój ulubiony atak - cios otwartą dłonią w klatkę piersiową - dokładnie w momencie, gdy dotykał ziemi. Zablokował uderzenie prawym nadgarstkiem i odbił je w bok. Ręka Firen minęła cel przynajmniej o sześć centymetrów.

Zakończył ruch w pozycji idealnej do kontrataku. Również uderzając otwartą pięścią, trafił Firen w podstawę szczęki. Zęby miała zaciśnięte, więc nawet nie szczęknęły, ale głowa jej odskoczyła i Firen cofnęła się chwiejnym krokiem.

Od razu wyrzuciła przed siebie lewą dłoń i sypnęła piaskiem w twarz Luke'a, oslepiając go. Zatoczył się do tyłu, słysząc radosne okrzyki wśród widowni złożonej z Deszczowych Liści.

Potrząsnął głową, ale nie od razu odzyskał wzrok.

Niedobrze. Jako wojownik przewyższał Firen umiejętnościami - znał więcej stylów i trenował na większej liczbie światów, niż ona miała łącznie palców, ale zapomniał, że w prowadzonych na Dathomirze zawodach walki wręcz wszystkie chwytły były dozwolone i można było wykorzystać to, co znajdzie się pod ręką. Firen nie oszukiwała, po prostu go przechytrzyła. A teraz zamierzała zakończyć pojedynek.

Tym razem Luke wykonał salto do przodu. Usłyszał przebiegającą pod nim, niezdolną wyhamować pęd przeciwniczkę i soczyste, dathomirskie przekleństwo, które padło z jej ust.

Nie tylko ją słyszał, ale również odnalazł w Mocy.

Łądowanie wypadło niezgrabnie - ale tak właśnie miało wyglądać. Chciał przekonać Firen, że źle wyliczył skok. Potykając się, zrobił kilka kroków do przodu, złapał równowagę i zaczął z całej siły pocierać zamknięte oczy.

Czuł niemal bezgłośnie szarżę Firen. Była równie szybka i drapieżna, jak dathomirski jaszczur.

Ale łatwo ją zlokalizował. Gdy znalazła się w jego zasięgu, wyprowadził kopnięcie, wbijając lewą stopę w jej talię i powstrzymując atak. Jęknęła, wypuszczając z płuc całe powietrze.

Luke obrócił się na drugiej stopie, wymierzając z obrotu kopniak tuż poniżej miejsca, gdzie trafił chwilę wcześniej. Uderzenie zważyło Firen z nóg; słyszał, jak upada w pył. Dzięki Mocy widział, choć niewyraźnie, jak leży twarzą do dołu i próbuje się podnieść.

Podszedł do niej, schylił się i ścisnął ramię, którym się podpierała. Rzuciła się w jego kierunku i zaczęła wierzgać, ale unieruchomił ją, zakładając dźwignię na łokieć i nadgarstek.

Tłum zaczął skandować, odliczając od dziesięciu w dół. Firen nie zdołała się uwolnić. Gdy padło Jeden”, wokół rozległy się okrzyki radości i rozpacz, ale było już po walce. Luke puścił ją, cofnął się i zaczął przecierać oczy.

- Trzymaj - usłyszał głos Bena. Wyciągnął dłoń, a Ben wsunął w nią buklak. Przyjął go z wdzięcznością i polał oczy wodą. Zamrugał i znowu mógł widzieć.

- Dzięki.

Firen stała kilka metrów od niego. Nie wyglądała na szczęśliwą. Gdy poczuła na sobie spojrzenie Luke'a, odwróciła się w jego stronę.

- Nie ma nic gorszego, niż zostać pokonaną przez mężczyznę.

- Masz na myśli byle jakiego mężczyznę? - Luke wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- No... Kaminne powtarza, że nie powinniśmy już tak mówić.

- Wolałabyś już pewnie, żeby przygnoił cię rankor.

Rozważyła to.

- Masz rację, wolałabym - zdecydowała.

Podeszła bliżej i wyciągnęła dłoń.

- Dobra walka, byle jaki mężczyzno.

- Dobra walka, tradycyjalistyczna ciemieżycielko.

- Przestańcie już - przerwała im Kaminne, ale powiedziała to z uśmiechem i w jej głosie nie było przygany. Odwróciła się do zebranego tłumu. - Zwycięzcą dorocznego turnieju walki wręcz dla władających Sztuką został Luke Skywalker, Jedi.

Członkowie obu klanów, choć w większości należący do Strzaskanych Kolumn, po kolei gratulowali Luke'owi wygranej, a Tasander wręczył mu medal za zdobycie pierwszego miejsca. Jak to zwykle bywa, zebrani zaczęli się wreszcie rozchodzić, by obejrzyć kolejny występ.

Luke rozejrzał się wokół i spojrzał w niebo, oceniając pozycję słońca. Już po południu. Zastanawiał się, czy tej nocy...

- Tak.

Spojrzał na syna.

- Co takiego?

- Tak, Siostry Nocy zaatakują dzisiaj po zapadnięciu zmroku. - Ben ściszył konspiracyjnie głos, jakby grał w holofilmie. - Myśli cię zdradziły.

- To może tobą wstrząsnąć, ale jestem przekonany, że nie udałoby ci się wyłapać moich

myśli dzięki Mocy.

- Nie wszystko jest Mocą, tato. Najpierw spojrzales w miejsce, gdzie ostatniej nocy znajdowały się nasze pułapki, ciała i cała reszta. Potem zlustrowales linię drzew, ale jeziora już nie. Musiales zastanawiac się nad drogami dojścia do obozu, a to oznacza, że myślales o wrogu, o Siostrach Nocy. Na podstawie pozycji słońca próbowales też przewidziec, ile zostało nam czasu.

- Może to jednak dobrze, że odbyles trening w Straży. Myślisz, że byłbyś bardziej zadowolony, rozlewając kaf albo rysując karykatury? - Luke westchnął. - No dobrze, dlaczego twoim zdaniem miałyby dzisiaj zaatakować?

- Ponieważ gdy ty walczyles w półfinałach, Dyon odebrał na swoim komunikatorze bardzo interesujący przekaz.

Wrócili do ogniska i czekającego przy nim Dyon. Gdy Ben skinął głową, Dyon rozejrzał się wokół, upewniając się, że nikt nie może ich podsłuchać.

- Skontaktowała się ze mną Yliri - szepnął.

- To dobrze. - Luke wypatrywał wieści z portu kosmicznego. Wiedział, że Hanowi i Leii udało się bez problemu opuścić planetę, ale nie znał losu pozostałych.

- Chyba coś tam się dzieje.

Luke obrzucił go pytającym spojrzeniem.

- W porcie?

- Nie, chodzi o coś pomiędzy Yliri a Carrackiem. Bardzo martwiła się jego ranami i koniecznie chciała mu towarzyszyć. Opiekuje się nim dzień i noc. Myślę, że podczas pobytu tutaj bardzo zbliżyli się do siebie. Oczywiście takie zebrania sprzyjają...

Ben westchnął.

- Dyon, zapomniales o grawicyklach?

- A, tak. Racja. Dzisiaj rano czujniki wyłapały sygnał z transponderów trzech grawicykli. Lądowały jeden po drugim, o różnych porach, na rozległej równinie na zachód od portu.

Luke wzruszył ramionami.

- I co z tego? Kilka klanów nimi dysponuje.

- Nadlatywały z różnych kierunków. To by przemawiało za tym, że należą do różnych klanów. Ale klany często przerabiają grawicykle i wyłączają transpondery. Nie lubią, gdy ktoś śledzi ich ruchy. A zatem jeśli trzy pojazdy z włączonymi transponderami lądują w jednym miejscu, na pewno będzie ich tam więcej.

Luke pokiwał głową.

- Gdzie są teraz?

- I w tym cały problem. Przez chwilę odbieraliśmy sygnał ze wszystkich trzech, aż nagle zniknęły jeden po drugim, w odstępach dwuminutowych.

- A to może oznaczać - wtrącił Ben - że gdy zajęły pozycje, ktoś zapytał: „Transpondery wyłączone?” A ta trójka o mózgach małpojaszczurek odparła: „Transpondery? Co to takiego?” I wreszcie wyłączyli, co trzeba.

Luke rozważył tę ewentualność.

- Twierdzisz, że Siostry Nocy zdecydowały się ściągnąć wsparcie, które przylatuje tutaj na grawicyklach?

Ben przytaknął.

- Są też i inne wyjaśnienia, ale ja z natury jestem podejrzliwy.

- Twojemu wujkowi Hanowi podejrzliwość dobrze służy. - Luke obrzucił obóz badawczym spojrzeniem. - Jeśli to, co mówisz, okaże się prawdą, będzie oznaczać, że w przeciwieństwie do nas Siostry Nocy uzupełniły swój stan liczebny, a nawet otrzymały posiłki.

Dyon przytaknął.

- Lepiej unikać sytuacji, gdy to przeciwnik wybiera pole bitwy.

Luke zwrócił się ku najważniejszej części obozu: arenie zmagania, gdzie Kaminne i Tasander mieli właśnie poprowadzić kolejną konkurencję.

- Trzeba z kimś pogadać o przeniesieniu obozu.

Podobnie jak wielu szlachetnie urodzonych hapańskich mężczyzn, Tasander wywodził się z rodu piratów, Kaminne zaś przez dziesięć trudnych lat utrzymała swój klan w jedności i przy życiu. Nie potrzebowali dodatkowych dowodów. Jedyne problem stanowiła logistyka.

- Pakowanie i przenosiny zajmą przynajmniej godzinę - myślała na głos Kaminne. - Można jednak ogłosić alarm. Wtedy każdy będzie miał pięć minut na dotarcie do obozu i zabranie tego, co najbardziej potrzebne, a potem kolejne pięć na zbiórkę. W tej sytuacji wszystkie zbędne rzeczy zostawimy w obozie. Ale gdzie się przeniesiemy? Najlepiej niezbyt daleko, bo po zapadnięciu zmroku będziemy narażeni na atak.

Tasander spojrział na północny wschód.

- Kilka kilometrów w tym kierunku jest pewne wzgórze. Leży z dala od szlaków handlowych. Jest paskudne i mało obiecujące, na dodatek strome. To wręcz goła skała. Ale nic tam nie można podpalić i jest łatwe do obrony.

Kaminne pokiwała głową.

- A jak tam jest z wodą?

- Niestety nie ma.

- Zanim wyruszymy w drogę, musimy jej nabrać we wszystko, co się tylko nada. A to niestety potrwa. Pod którym sztandarem wyruszamy?

- Słucham? - Dyon wydawał się zbity z tropu.

Podobnie jak i Luke.

- Sztandarem?

Tasander wskazał dłonią obozowisko.

- Nie mamy tutaj jednego obozu, ale dwa. Strzaskane Kolumny w jednym miejscu, Deszczowe Liście w drugim, a każdy z klanów zebrany pod swoim sztandarem i symbolem. Teraz, gdy wy zajęliście miejsce w środku, mamy nawet trzy obozy. Ale tego małego, nierównego wzgórza nie da się tak łatwo podzielić. To może być obóz jednych albo drugich, ale nie obu. Członkowie podporządkowanego klanu nie będą z tego zadowoleni... a to podkopie morale i odbije się na hierarchii. Który klan ma być gospodarzem? Czyj sztandar będzie tam powiewał?

Gdy głos zabrał Luke, głos miał twardy jak durastal.

- Jedi. To będzie obóz Jedi. Dyon, przygotuj nasz sztandar. Byle szybko.

- Załatwione - Dyon skinął głową.

Kaminne spojrzała na Tasandera i ponownie na Luke'a.

- Deszczowe Liście wyrażają zgodę.

- Strzaskane Kolumny również. - Tasander podrapał się z namysłem po podbródku gestem tak teatralnym, że trudno było zachować powagę. - Przedstawiciele klanów muszą towarzyszyć Jedi, gdy ci przejmą teren i wbiją sztandar.

Tym razem Ben ubiegł Kaminne.

- Niech to będą Halliava i Drola.

Kaminne spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Są młodzi i popularni, wygrali po kilka starć. I nie związali się z nikim. Ludzie będą mieli o czym plotkować.

Kaminne wzruszyła ramionami.

- Niech będzie. Zatem Halliava i Drola.

- Ale nie mówcie im, o co naprawdę chodzi. Postarajmy się tego nie rozgłaszać. - W ustach Bena brzmiało to jak rozsądna rada, a nie reprimenda.

- Jak sobie życzysz. - Kaminne spojrzała na swojego wybranka. - Do roboty.

- Ruszajmy.

Lekkim truchtem pobiegli do miejsca, gdzie odbywały się właśnie zawody walki wręcz dla niewładających Sztuką.

Luke obrzucił Bena spojrzeniem, które miało być karcące, jednak bez powodzenia.

- Stajesz się bardzo przebiegły - zauważył.

- To po mamie. A może i po Skywalkerach, w końcu Leia jest twoją siostrą. Tylko tobie się

nie udzieliło.

Zdezorientowany Dyon pokręcił głową.

- Nie łąpię. Co w tym było takiego przebiegłego?

Ben spojrział na niego wzrokiem niewiniątka.

- Sprawy nastolatków. I tak byś nie zrozumiał.

Oczywiście Dyon miał na swoim datapadzie informacje o Jedi i Sojuszu Galaktycznym. Wykorzystując te znajome symbole jako punkt odniesienia, szybko opracował flagę, mającą posłużyć za sztandar Jedi podczas zbliżającej się misji. Na dużym, kwadratowym kawałku jasnobrązowej tkaniny namalował ptaka - podstawowy symbol w heraldyce Nowej Republiki i Sojuszu Galaktycznego. Nad tym surowym wizerunkiem domalował skrzyżowane ze sobą, zapalone miecze świetlne, jeden o zielonym, a drugi o błękitnym ostrzu.

Zaglądający mu przez ramię Ben z aprobatą pokiwał głową.

- Nada się.

- W zasadzie jest już gotowy, muszę go tylko wysuszyć, żeby nie rozmazał się w marszu.

Gdy tylko prace nad sztandarem zostały zakończone, dołączyli do Luke'a oraz Halliavy i Droli, zdziwionych i rozdrażnionych faktem, że odciągnięto ich od zawodów, po czym cała grupa podjęła marsz na wzgórze, o którym mówił Tasander. A że ze szczegółami opisał drogę do niego, Dyon mógł się ograniczyć do sprawdzania co parę minut ich pozycji względem satelity. Pół godziny od wymarszu z obozu Deszczowych Liści/Strzaskanych Kolumn, gdy udało im się wreszcie przebić przez wyjątkowo gęsty odcinek lasu, zobaczyli przed sobą wzgórze.

Rzeczywiście nie prezentowało się specjalnie obiecująco. Ogólnie rzecz biorąc, była to wysoka na czterdzieści metrów, czarna, skalna płyta, która, wyłoniwszy się w pradawnych czasach spod powierzchni Dathomiry, niewiele się od tamtej pory zmieniła. Jej poszarpane krawędzie wznosiły się ku niebu, a w górnej części można było dostrzec trochę zieleni. Południowo-zachodnie podejście było najłagodniejsze, co w tym przypadku oznaczało, że wymagało tylko zwykłej sprawności fizycznej, a nie nadludzkiego wysiłku. Ben zauważył, że szczyt jest nierówny i opada pod kątem, co zapowiadało kłopoty ze znalezieniem wygodnego miejsca pod śpiwór. Oby tylko w nocy nie padało, pomyślał.

Cała ich piątka była w dobrej kondycji i nie odnieśli wcześniej żadnych ran, więc wspięcie się na samą górę zajęło im raptem kilka minut. Ze szczytu rozciągał się widok na dolinę prowadzącą do Jeziora Czerwonych Skrzeli. W popołudniowym słońcu wody jeziora połyskiwały wstęgami błękitnych, złotych i pomarańczowych zmarszczek.

Drola zamrugął.

- Ładnie tu. Ale nie dość ładnie, żebym zrezygnował z zawodów w ciskaniu kamieni. W tym roku miałem szansę na zwycięstwo.

Halliava prychnęła.

- Najpierw rzuciłbyś głazem, który masz między uszami, co?

Drola pokręcił głową.

- Nie, granitową kulą, którą ty nazywasz sercem - odparł niewzruszony.

Luke się uśmiechnął.

- Tutaj macie do zrobienia coś ważniejszego od rzucania kamieni. Będziecie naszymi świadkami. - Na znak dany dłonią, Dyon podał Luke'owi długą, drewnianą tyczkę z przyczepionym na końcu sztandarem. Luke wzniosł go w górę i zaczął mówić: - Obejmuję... - Nagle zamilkł. Zamyślony oparł sztandar na kamienistym podłożu.

Ben z niepokojem spojrział na ojca.

- O co chodzi?

Luke pokręcił głową.

- Nie mogę. Jeśli choćby tymczasowo zajmę to wzgórze, to stanie się ośrodkiem Jedi, prawda?

- Tak... aha, rozumiem. - Z powodu osobistych przekonań jego ojciec nie powoływał do

zycia ani nie odwiedzał ośrodków Jedi.

Luke przekazał sztandar Benowi.

- Ty musisz to zrobić. Ja nawet nie będę mógł tutaj zostać.

- No i dokąd pójdziesz? Zejdiesz niżej, gdzie nie będziesz miał żadnego wsparcia?

- Nie... Zajmę pozycję w połowie wysokości wzgórza. Wystarczy, że przejmiesz szczyt.

- On nie może - wtrąciła Halliava. Nadal sprawiała wrażenie zdezorientowanej, ale w jednej sprawie miała pewność. - Jeśli zejdiesz, zostanie tu tylko jeden Jedi. Nie będzie miał większego prawa do wzgórza od Droli, Dyona albo ode mnie. Nie możemy być świadkami, skoro jesteśmy sobie równi.

Dyon wydał zduszony jęk i spojrzał na Luke'a.

- Więc twierdzisz, że gdy podróżujesz z planety na planetę, denerwuje cię brak jednego rządu i konstytucji? To wyobraź sobie miejsce, gdzie po drugiej stronie strumienia władzę sprawuje się w odmienny sposób i panują inne zwyczaje, a o żadnej konstytucji nie ma mowy, ponieważ mało kto potrafi pisać. Witaj na Dathomirze.

Luke uśmiechnął się tylko i przekazał sztandar Benowi.

- To ty masz podstępne geny. Wymyśl coś. - Po czym odwrócił się na pięcie i zaczął schodzić ze wzgórza.

- Wspaniale. - Na ojca zawsze można liczyć, pomyślał Ben.

Gdy spojrzał po pozostałych, do głowy wpadł mu pewien pomysł. Oparł tyczkę o ramię i zaczął grzebać w torebce u pasa.

Chwilę później wydobył z niej wybitą na Coruscant monetę o nominale pięciu kredytów.

Rzucił ją Dyonowi.

- Dyon, właśnie cię zatrudniłem. Nie zrobię z ciebie Jedi, ale możesz pracować dla Zakonu jako konsultant.

Dyon przyjrzał się monecie smutnym wzrokiem, po czym włożył ją do kieszeni kamizelki.

- Moje notowania musiały sięgnąć dna, skoro zajmuję się za piątaka.

- Tak to wygląda, gdy trzymasz z Jedi. - Ben spojrzał na pozostałych. - Czy teraz Jedi mają przewagę nad Liśćmi i Kolumnami?

Drola skinął głową. Halliava, po chwili namysłu, również.

Ben wznosił sztandar.

- Ja, Ben Skywalker, w imieniu Zakonu Jedi niniejszym przejmuję to wzgórze od dwudziestego metra wzwyż. - Spojrzał na Dathomirian. - Może być? Dostatecznie dramatyczne?

Halliava wzruszyła ramionami.

- Musisz wymienić imiona świadków.

Drola wskazał trzymany przez Bena sztandar.

- I wbić go w ziemię tak, żeby się nie przewrócił.

- Niniejszym ogłaszam to w obecności Halliavy Vurse z klanu Deszczowych Liści oraz Droli... Droli...

- Kinna - odpowiedział z nachmurzoną miną brodac.

- Droli Kinny z klanu Strzaskanych Kolumn. - Ben rozejrzał się w poszukiwaniu kamieni, którymi mógłby podeprzeć tyczkę.

- Skoro macie problemy z moim imieniem, to przynajmniej schodzić powinienem pierwszy.

- Jesteś mężczyzną. Idziesz drugi. Ben, skończyliśmy już? Chciałabym wrócić do obozu.

Ben spojrzał na nią przepaszająco.

- Musimy tutaj zaczekać. Kaminne i Tasander również się na to zgodzili. - Oparł tyczkę o sięgającą mu do ramienia pionową ścianę skalną i zaczął okładać ją kamieniami.

Drola postarał się, żeby wygłoszona przez niego uwaga zabrzmiała rozsądnie.

- Dokładnie tak powiedzieli.

- Nie odzywaj się już. Niepotrzebnie uczyłyśmy was mowy.

Ben uśmiechnął się szeroko. Halliava nie była uszczypliwa ani zła. Przekomarzała się tylko. Wolał to od swarliwej atmosfery panującej w obozach podczas zgromadzenia.

Nagle poczuł wyrzuty sumienia. Może Halliava nie jest Siostrą Nocy. Nie chciałby jej

obrazić tym, że nieustannie ma ją na oku, i me życzył sobie, żeby inni okazywali jej brak zaufania, gdyby jednak okazała się niewinna.

Ale nie mógł wyjawic jej prawdy, na wypadek gdyby jednak miała zanieść wieść odległym Siostron Nocy. Nie miał jeszcze pewności.

Wykonawszy swoje zadanie, wyprostował się.

- Witajcie w obozie Jedi - ogłosił. - Teraz pozostaje tylko czekać.

## ROZDZIAŁ 19

Nie czekali długo. Godzinę po tym, jak wdrapali się na szczyt, Ben dostrzegł członków klanów wychodzących pojedynczo z lasu. Na ich czele szedł Tasander. Gdy spośród drzew wyłoniła się już większa grupa, Tasander nakazał części z nich wspiąć się na wzgórze, pozostałym zaś przesuwać się wzdłuż otaczającej je linii drzew. Niebawem mężczyźni i kobiety zaczęli na szczycie rozkładać posłania i - tam, gdzie było to możliwe - rozbijać namioty; ci, którzy pozostali na dole, wychodzili spomiędzy drzew, niosąc ścięte naprędce tyczki, których końce ostrzyli długimi nożami.

Ben głośno przełknął ślinę. Właśnie do niego dotarło, że toczą wojnę i przygotowują umocnienia mające zapewnić im bezpieczeństwo. Urodził się w czasie wojny, a jako dziecko i nastolatek torował sobie drogę przez kolejne konflikty. Teraz również trwała wojna, choć na mniejszą skalę. Czy już zawsze będzie mu towarzyszyć? Znalazł odpowiedź, gdy przypomniał sobie losy ojca.

Widział go w połowie wysokości wzgórza. Luke przeskakiwał z kamienia na kamień, kołysał się w przód i w tył na każdej skalnej półce, po czym skakał na kolejną. Ben wiedział, jaki jest tego cel: ojciec badał teren, zyskując przewagę na wypadek, gdyby właśnie tam przyszło mu zmierzyć się z przeciwnikiem.

Ben usłyszał, że Droła i Halliava przepytują przybyłych o powód całego zamieszania, aż wreszcie dostali odpowiedź: „Przygotowujemy umocnienia na wypadek ataku Sióstr Nocy”. Jeśli Halliava jest jedną z nich, znajdzie jakiś sposób, by poinformować o tym pozostałych spiskowców. Obserwując ją, Ben jednak nie zauważył, by próbowała wymknąć się pod jakimś pretekstem. Z ponurą miną odebrała córkę od Olianne i zaczęła budować swój obóz.

Ben zastał Dyona siedzącego na głazie, obserwującego południowo-zachodnie zbocze i wstukującego coś w datapad.

- Co robisz?

- Spisuję kronikę tego dnia. - Dyon nie podniósł wzroku, a ton jego głosu sugerował, że niemal bez reszty pochłania go praca nad dokumentem. - Zamierzam wysłać ją do Yliri i uzupełniać w ciągu nocy.

- Dlaczego?

- Mogę dzisiaj zginąć, Ben. Daleko od domu, pośród ludzi, dla których jestem obcy. Chcę, żeby ci, którym na mnie zależy, wiedzieli, dlaczego tak się stało.

- Aha. - Ben przysiadł na kamieniu obok, jakby uszło z niego powietrze. - Przepraszam.

- Za co?

- Że poprosiliśmy cię o pomoc. No, zasadniczo to Han z Leia, ale my chcieliśmy, żebyś z nami został.

- Nie ma potrzeby przepraszać. - Dyon oderwał się od pisania i spojrzał na Bena. - Wiesz, że gdy byłem młodszy, chciałem zostać Jedi. Przeszedłem próbę i nawet trochę trenowałem.

- Wiem.

- Odpadłem. Nie radziłem sobie z Mocą. Rozumiałem, dlaczego tak się stało, ale w gruncie rzeczy chodziło o to, że się nie nadawałem. Nie byłem wystarczająco cennym nabytkiem.

Ben się skrzywił.

- To nie tak.

- Wiem, ale na płaszczyźnie emocjonalnej dokładnie w ten sposób to wygląda. No i w

porządku. I bez tego potrafiłem nadać mojemu życiu sens. A przez te ostatnie kilka dni przysłużyłem się Jedi, Wielkiemu Mistrzowi Jedi, jak nikt inny.

Wzruszył ramionami.

- Jeśli przyjdzie mi dzisiaj zginąć, nie chcę, by ktokolwiek myślał, że uważałem swoje życie za bezwartościowe. - Wrócił wzrokiem do datapadu i swojej pracy.

Ben spojrział w stronę kolejnej grupy, wyłaniającej się właśnie z lasu.

Tak samo jak Dyona, każde z nich może dzisiaj spotkać śmierć. A wszystko dlatego, że chcieli, by ich klany, ich bliscy, obrali nowy kurs, taki, który sami wybiorą. Ben czuł gniew na istoty pokroju Jacena Solo, Sióstr Nocy i Sithów, dla których realizacja własnych celów znaczy więcej niż życie zwykłych ludzi, takich jak...

- Wody?

Odwrócił się. Stała przed nim Vestara. Na szyi miała zawieszony skórzany pasek podtrzymujący oparty o biodro pojemnik, rodzaj kubelka z wodą. Zanurzyła w nim chochlę i podała mu.

Napił się i oddał Vestarze chochlę.

- Mogę cię o coś spytać?

- I tak ci nakłamię. Ewentualnie mogę powiedzieć prawdę.

- Skąd wzięłaś kredyty?

- Jakie kredyty?

- Te, dzięki którym wyremontowałaś łódź.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Nie dysponuję taką fortuną, nie mam łodzi i nie zlecałam żadnych napraw.

- Nie ma sensu kłamać. Znaleźliśmy łódź w sklepie Monarga.

- Nie należy do mnie.

- No to powiedzmy, że jest twoja prawem znalazcy, który wydobył ją z Otchłani.

- Nie jest moja.

Ben westchnął.

- Słowo daję, Ben. - Włożyła chochlę z powrotem do kubelka. - Nie powinieneś zdradzać swoich domysłów ludziom, których uważasz za wrogów. Rodzice niczego cię nie nauczyli? -

Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała ku oddalonej o kilka metrów grupce Deszczowych Liści.

Ben wzruszył ramionami. Oczywiście, że nauczyli. Ale może nie wszystko sobie przyswoił.

## Coruscant

I tyle pożytku z kodów transpondera.

„Gwiezdny Turysta” - pod którego podszywał się „Sokół Millenium”, o czym wiedzieć miał tylko Han - ledwo zdążył wejść na orbitę Coruscant, gdy dwa myśliwce klasy Aleph pojawiły się nie wiadomo skąd i weszły mu na ogon. Dobór eskorty podpowiadał Hanowi, że nie miała pełnić funkcji straży. Silnie uzbrojone i opancerzone myśliwce nadawały się do sprawowania warty, ale nie byłyby w stanie dogonić „Sokoła”, gdyby zaczął uciekać.

Po krótkiej rozmowie z pilotami myśliwców Leia wyłączyła transponder.

- Podali współrzędne lądowania. To plac przed budynkiem Senatu.

Han się skrzywił.

- Więc zależy im na przedstawieniu dla mediów, nie na dokonaniu aresztowania. -

Wycelował kciuk w rufę, mniej więcej w kierunku alephów. - Gdyby chcieli nas zatrzymać, przysłałiby coś szybszego.

- Pewnie masz rację - odparła Leia. - Ale na wszelki wypadek posłałam po Jainę. Ma prawo spotkać się z nami, by zająć się Allaną i Anji.

Z siedzenia pasażera za Leią odezwała się cienkim głosem Allana:

- Będzie z nią Mistrzyni Cilghal, prawda?

- Stan Anji poprawił się - przypomniała Leia. - Nic jej nie będzie, jeśli z Jainą zabieracie ją



do szpitala. Mistrzini Cilghal przeprowadzi kilka testów i na pewno puści was obie do domu.

- Jesteś pewna?

- Raczej tak - powiedział Han. - Lepiej będzie, jeśli spotkacie się z Cilghal już w szpitalu, będzie miała pod ręką cały sprzęt do badań.

- To by miało sens - zastanowiła się Allana. - Tylko żeby wszystko było gotowe. Anji nie lubi, kiedy boli ją głowa.

Gdy zbliżyli się do budynku Senatu, Han dostrzegł na ziemi tłum złożony z dobrze ubranych polityków, pstrokato wystrojonych prezenterów i ich ekip, a także umundurowanych pracowników ochrony. Wszyscy oni zgromadzili się na obrzeżach strefy lądowania „Sokoła”. Wcale nie poprawiło mu to nastroju. Nie o to chodziło, że musiał stawić czoło tłumowi ludzi, z których każdemu mógł być winien pieniądze - no, te czasy minęły. Teraz w tłumie mogli się czaić dawni wrogowie lub opłaceni przez nich zabójcy. Nie przepadał za tłumem - nawet gdy sprawy miały się dobrze, a ludzie radośnie wiwatowali. Wtedy bywało wręcz jeszcze gorzej - gwizdy, wezwania do sądu... zawsze działało mu to na nerwy. Uśmiechnął się. Tak, nie męczyło go to, tylko irtowało.

Wykonali płynne podejście i wylądowali w wyznaczonym miejscu, otoczonym przez śmigacze ochrony i pojazdy dziennikarzy. Han i Leia wypełnili szybko listę kontrolną, wyłączyli aparaturę i stanęli razem z droidami na szczycie rampy załadowniczej. Han poinstruował Allanę, że ma zostać z Anji na pokładzie, po czym wcisnął przycisk odpowiedzialny za opuszczenie rampy.

Gdy rampa dotknęła ziemi, a rodzina Solo i roboty zaczęli po niej schodzić, w cieniu pod kadłubem „Sokoła” pojawił się komitet powitalny, przystając kilka metrów od rampy. Pośród nielicznych pracowników ochrony Coruscant i szturmowców znaleźli się też Daala i jej prawa ręka, Wynn Dorvan.

Han spojrzał na Leię i lekkim uniesieniem brwi wyraził zaskoczenie obecnością samej pani prezydent. Ledwo zauważalnym wzruszeniem ramion Leia dała mu do zrozumienia, że również nie spodziewała się takiego obrotu spraw.

Stojąca za nimi w głębi wjazdu Allana krzyknęła:

- Hej, Jaina!

Sięgając wzrokiem w tłum, Han dostrzegł swoją córkę, posępną, wojowniczo wyglądającą postać w tradycyjnych szatach Jedi. Pomachał jej, po czym rozszerzył adresatów tego gestu na cały tłum. Gapie, którzy nie mieli na sobie rządowych strojów ani nie robili akurat czegoś innego, przywitali to pozdrowienie cichymi wiwatami.

Han i Leia zatrzymali się u podnóża rampy. Kpiącym gestem Han złączył nadgarstki i podstawił je stojącym najbliżej pracownikom ochrony.

- Nie wygłupiaj się - powiedziała Daala, podchodząc bliżej. Ucisnęła dłoń Hana i Leii. - Wystawiono nakaz aresztowania na twoje nazwisko, ale nie zostanie dzisiaj wykonany.

Po przywitaniu z Daalą, Leia obrzuciła swoją rękę przelotnym spojrzeniem, jak gdyby licząc palce, po czym zwróciła się do pani prezydent.

- To dobrze rokuje... ale czy mogę zapytać dlaczego?

- Ponieważ pewne problemy wymagają kompleksowych rozwiązań, a nie można do nich niestety zaliczyć aresztowania i skazania. - Wzrok Daali powędrował za ich plecy, ku Allanie. - Ty musisz być Amelią Solo.

Gdy Allana odpowiedziała, w jej głosie nie dało się wyczuć cienia respektu ani strachu.

- Muszę tu zostać - wyjaśniła. - Mam rannego nexu.

- ...Nexu? - Daala otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i wróciła wzrokiem do starszych państwa Solo. - To jej zwierzak?

Han wzruszył ramionami.

- Ma dobrą rękę do zwierząt. - Rozejrzał się, próbując zgadnąć, w co gra Daala, po czym dodał: - Dzięki, że po nas wyszliście, ale mamy za sobą długą drogę, więc jeśli nie macie nic przeciwko...

- Jeśli wy nie macie nic przeciwko, proponowałabym najpierw spotkanie. - To nie była prośba. Spojrzała na szczyt rampy i stojącą tam Allanę. - Czy Amelia ze swoim nexu dołączy do

nas?

Han przeniósł wzrok na Leię, która ledwo wzruszyła ramionami, i odpowiedział:

- Nie, zabierze ją jej siostra, Jaina.

Daala podążyła za ich wzrokiem ku Jainie, stojącej za ochroniarzami Coruscant.

- Ach, tak? Mam nadzieję, że miło spędzi z nią czas.

Dorvan gestem nakazał stojącym najbliżej Jainy szturmowcom przepuścić Jedi. Kiedy już rodzina wymieniła żywiołowe uściski, Jaina weszła na pokład „Sokoła” po Allanę i jej nexu. Han i Leia, w otoczeniu świty Daali, skierowali się ku budynkowi Senatu.

Zasiedli w lśniącym czystością gabinecie pani prezydent. Towarzyszyli im jedynie Daala i Dorvan. Daala wcisnęła kilka przycisków i drzwi zamknęły się na głucho.

- Tak przy okazji, nagrywam naszą rozmowę - zawiadomiła. - Nie zostanie wykorzystana w procesie, ale chcę mieć dowód porozumienia, jeśli jakieś osiągniemy.

Leia się uśmiechnęła.

- Cóż, i tak nie leży w naszym interesie przyznawać się do udziału w strzelaninach lub działaniach przemytniczych.

- Raczej nie - odparła Daala. - Ale nie o przyznanie się do winy tutaj chodzi.

Han poruszył się niespokojnie.

- Więc co nas tutaj sprowadza? Liczyłem, że uda nam się wyskoczyć na kolację. To spotkanie może mi popsuć plany na wieczór.

- Mnie również. - Daala usiadła w fotelu, przyjmując niemal zrelaksowaną pozę. - Chciałabym, żebyście przekazali Zakonowi Jedi moją propozycję i pomogli rozwiązać nasz problem.

- A w którym imieniu? - zapytała Leia. - Chyba nie spodziewasz się, że będziemy cię reprezentować.

- Spodziewam się, że zrobicie co trzeba dla dobra Sojuszu Galaktycznego - odparowała nieco ostrzejszym tonem Daala. - A to oznacza pomoc w porzuceniu wzajemnych żalów i przywróceniu Zakonowi Jedi jego tradycyjnej funkcji jako organizacji podporządkowanej rządowi. Jeśli będziecie dążyć do tego celu, rząd może przytknąć oczy na przestępstwa, których ostatnio się dopuściliście, pomagając kilkorgu niepoczytalnym Jedi w ucieczce z planety. Jeśli wam się uda, zarzuty zostaną oddalone.

Han spochmurniał.

- Jeśli sądzisz, że zaprzędamy się, żeby tylko uniknąć kilku sfingowanych zarzutów, to lepiej oszczędź nam wszystkim czasu i wsadź nas do więzienia.

Daala westchnęła i przewróciła oczami, zerkając na Dorvana.

- Mówiłam ci, że to nie przejdzie.

Dorvan gestem dłoni poprosił ją o cierpliwość i zwrócił się do małżeństwa Solo.

- Wasza podejrzliwość jest zrozumiała - zaczął. - Ale nie tego od was oczekuje pani prezydent. Szuka kogoś, kto pomoże ostudzić emocje, przedstawi Jedi całą sprawę i wybada, czy można wypracować sensowne ustępstwa, które zaakceptowałyby obie strony.

Han znowu spojrzął na Daalę.

- Sensowne ustępstwa? - Uśmiechnął się krzywo. - Na najwyższym szczeblu robi się gorąco, co?

Daala obrzuciła go zimnym spojrzeniem, ale Dorvan potwierdził jego przypuszczenia.

- Szczególnie od pogrzebu Cha Niathal. A ta sytuacja zaczyna się odbijać na pozostałych sprawach państwowych.

Han spojrzął na Leię i lekkim wzruszeniem ramion dał jej do zrozumienia, że wyraża zgodę.

- Ale jest pewien problem - zauważył.

- Jaki?

- Leia jest Jedi. Nie wydaje się wam, że odbije się to na naszym stosunku do całej sprawy? Że będziemy stronnicy?

- Skądże znowu. - Daala znowu pochyliła się ku nim, a na jej twarzy pojawił się lekki uśmiešek. - Hanie Solo, służyłeś w stopniu oficera w Siłach Zbrojnych Nowej Republiki, prawda?

- Oj, tak.

- Sojusz Galaktyczny gwarantuje ci takie same przywileje i prawa. A w czasie kryzysu, z jakim mamy obecnie do czynienia, prezydent, pełniący również funkcję naczelnego dowódcy sił zbrojnych, może przywrócić emerytowanych oficerów do czynnej służby. Także tych, którzy nie należą do rezerwy.

Han osunął się na fotel i zasłonił dłonią oczy.

- Nie mów mi takich rzeczy.

- Niestety jestem do tego zmuszona. Przywracam ci rangę generała i przydzielam zadanie znalezienia sensownego rozwiązania naszych wspólnych problemów. Chyba że wolisz formalnie złożyć patent oficerski, co zostanie odczytane jako rezygnacja z przydzielonego zadania i z okazanej łaski, w efekcie czego będę zmuszona wykonać nakaz aresztowania.

Dorvan odchrząknął.

- Zdajemy sobie sprawę, że niewiele cię obchodzi zdanie opinii publicznej na temat twoich norm etycznych i wypełniania zobowiązań względem Sojuszu Galaktycznego. Dlatego nie ujawnimy warunków naszej umowy. Podamy tylko do wiadomości, że była sekretarz stanu, Jedi Leia Solo, wraz z bohaterem i łotrzykiem Sojuszu, Hanem Solo, podjęli się rozwiązania sporu pomiędzy rządem a Jedi.

Han spojrzał na żonę.

- Czy on właśnie nazwał mnie łotrzykiem?

- Dokładnie tak.

- Albo to będzie „szalenie popularny łotrzyk”, albo nici z umowy.

- Przyjęto do wiadomości.

Daala spojrzała na nich.

- To jak, dogadaliśmy się?

- Nie bardzo wiem, jak moglibyśmy odmówić pomocy, w realizacji tak szczytnej idei. - Leia pochyliła się w fotelu i wyciągnęła ku niej rękę. - Zgoda.

Daala uściśnęła dłonie najpierw Leii, a potem Hana.

- Generale, będzie pan potrzebował zaufanego współpracownika - zauważyła.

- Już go mam. To Threepio. - Hanowi nie przyszło to łatwo, ale lepiej, żeby do spraw nie mieszał się podsunięty przez rząd, attache wojskowy.

- Ach, ten twój droid protokolarny. Oczywiście. - Daala spojrzała na swojego asystenta. -

Dorvan przygotował streszczenie mojej oferty.

Dorvan wyjął z kieszeni zapisany odręcznie arkusz flimsiplastu.

- Oczywiście bez podpisów. Gdyby to wpadło w ręce prasy...

- Nie wpadnie - zapewniła go Leia, wyrwijając mu kartkę. - Już nam się zdarzało prowadzić delikatne negocjacje.

- To dobrze - powiedziała Daala. - Dajcie znać Dorvanowi, gdybyście czegokolwiek potrzebowali. I informujcie mnie na bieżąco o rozwoju sytuacji.

Wyglądało na to, że zakończyła rozmowę, więc Han i Leia wstali. Mając przykrą świadomość swoich obowiązków, Han niedbale zaszalutował Daali całkiem tak, jak zrobiłby to szalenie popularny łotrzyk, i skierował się ku drzwiom.

Nie zamienili z Leią ani słowa, dopóki nie wymaszerowali głównym wyjściem na skąpany w słońcu plac.

- Jak myślisz... co tu się, u licha, dzieje?

Leia pokręciła głową.

- Jest w opałach. Musi udawać, że szuka rozwiązania.

- A szuka? - zapytał Han.

- Dowiemy się, gdy to przeczytamy - odparła Leia, machając otrzymanym od Dorvana flimsiplastem. - Tak czy inaczej, dzięki temu nie wylądujemy w więzieniu, a ona będzie sprawiać wrażenie nieco rozsądniejszej.

Ruszyli w kierunku „Sokoła”. Był zamknięty na glucho, ale i tak rozstawiono wokół niego ochronę.

- Poradzimy sobie z czymś takim? - zapytała Leia.
- Może. Wolę spróbować, niż gnić w więzieniu.

## ROZDZIAŁ 20

### **Biuro prezydent Daali, budynek Senatu, Coruscant**

Gdy godzinę później Dorvan wrócił do gabinetu, Daala gestem kazała mu usiąść. Zanim podniosła wzrok, przez chwilę jeszcze spoglądała w monitor i przeglądała dokumenty.

- O co chodzi? - zapytała.

- Wieści o zaangażowaniu Solo trafiły do prasy i ruszyły sondy badające reakcję opinii publicznej.

- Jestem... wstrząśnięta, Wynn.

Zignorował jej sarkazm.

- Przygotowując się do tego spotkania, jak również do tych z udziałem prasy, opracowałem pewne mechanizmy monitorowania źródeł informacji i odzewu społecznego. Jednym z nich jest skrupulatne badanie, codzienne i cogodzinne, archiwów sieci planetarnej.

Daala oderwała wzrok od monitora.

- To znaczący wydatek dla twojego biura. A ja go nie zatwierdziłam.

- Nie zleciłem tego za pośrednictwem swojego biura. Ani twojego. Odebrałem pewną przysługę.

- I czego się przez tę godzinę dowiedziałeś?

- Niczego istotnego. Okazało się jednak, że informacje prasowe na twój temat są w dość jednolity sposób filtrowane i urabiane, jeszcze zanim newsmeni zaczną je wykorzystywać w swoich artykułach. I to niezależnie od agencji prasowej... a nawet jej politycznej orientacji i sojuszy.

- Nie mam zielonego pojęcia, co starasz się mi powiedzieć.

Westchnął.

- W porządku, posłuchaj. Przygotowujemy notę prasową. Gdy rozsyłamy ją za pośrednictwem sieci planetarnej, wchodzi w skład pakietów informacji o niskim priorytecie, kierowanych w przestrzeń kosmiczną przez HoloNet. Odbierają je wszystkie serwisy informacyjne. Następnie program komputerowy rozkłada je na czynniki pierwsze, interpretuje ich oficjalny język, wyszukuje słowa-klucze odnoszące się do ważnych bieżących i historycznych wydarzeń i dzieli wyniki, tak żeby żywy autor tekstów mógł przepisać komunikat, zamieniając go w historię, którą prezenter odczyta podczas emisji programu informacyjnego.

- Uwielbiam mężczyzn, którzy potrafią przełożyć ten bełkot na basie. Dobra robota.

- W przypadku noty prasowej na temat Solo i ich dobrowolnego pośrednictwa w wyjaśnianiu różnic dzielących rząd Sojuszu Galaktycznego z Zakonem Jedi, zmiany i przeróbki pojawiły się w każdym badanym przez nas źródle. - Zaczął wyliczać je na palcach. - Po pierwsze, propozycja nie wyszła od Solo. To prezydent Daala poprosiła ich o pomoc. Po drugie, w odniesieniu do twojej obecnej sytuacji wrogie ci serwisy używają słowa „nieszczęsna”, podczas gdy te rzekomo przyjazne piszą, że trapią cię kłopoty.

Daala zmarszczyła brwi.

- Wychodzi na to samo.

- Tak. Po trzecie, Leia Solo nie jest określana jako „była prezydent”, tylko „Rycerz Jedi”. Po czwarte, Han Solo...

- Naprawdę użyłeś wyrażenia „szalenie popularny łotrzyk”?

- Oczywiście. Taka była umowa. W nocie prasowej pojawia się jednak cytat z zastępcy ministra handlu z Korelią: „Większość zna Hana Solo jako szalenie popularnego łotrzyka, w rzeczywistości jest on jednak łebskim i twardym negocjatorem”. Ale, jak to miałem właśnie

wyjaśnić, ten paragraf został całkowicie usunięty, zamiast niego zaś opisane są pokrótce wyczyny Solo w walce ze złymi przywódcami politycznymi, takimi jak Palpatine. Po piąte, rozmyślnie nie wspomnieliśmy o ich związku z Jacenem Solo, wiedząc, że prasa dorzuci ten szczegół od siebie. Ale tego nie zrobili.

- Czyli Solo występują przeciwko rządowi, są Jedi i są dobrzy. Daala jest nieszczęsna i zła. Dorvan przytaknął.

- Zgadza się. Bardzo dobrze wychodzi ci przekładanie tego bełkotu na basie.

- Pozwól, że jeszcze się upewnię. Twierdzisz, że siły odpowiedzialne za kształtowanie opinii publicznej są do mnie uprzedzone.

- Z tego, co zauważyłem, to nawet bardziej niż względem kogokolwiek innego. W zależności od poglądów politycznych danego serwisu informacyjnego, Luke Skywalker dostaje słowa poparcia lub nie pozostawiają na nim suchej nitki. To samo dotyczy określonych przywódców, przewodniczących związków zawodowych, ważnych figur wojskowych. Ale nie ciebie. Daala jest zła. A tak przy okazji, były porucznik Floty Imperialnej, którego oddałaś pod sąd wojenny, ma właśnie opublikować swój pamiętnik. *Przeznaczony na pożarcie: Czarne Dziury, ego i inne siły pochłaniające życie*. Zgadnij, o kim pisze.

- Czy to może być ukartowane?

- Możemy mieć do czynienia z naturalną reakcją. Te wszystkie szkodliwe zmiany mieszczą się w granicach krytyki, jakiej doświadczali inni przywódcy polityczni i wojskowi. Jeśli to spisek, to bardzo się pilnowali, żeby nie przekroczyć tego poziomu. Ale takie przedsięwzięcie wymagałoby zmiany oprogramowania trzech lub czterech źródeł, z których korzystają programy analizujące informacje, i to już kilka lat temu. Musieliby też przeprowadzić analizę opinii publicznej i wpływających na nią sił.

- Sprawuję urząd prezydenta raptem od dwóch lat!

- A więc jeśli mamy do czynienia ze spiskiem, to zawiązano go już wiele lat temu i miał służyć jakiemuś określonemu celowi, nie tylko szkodzeniu tobie i rujnowaniu ci kariery.

- Wspaniale. Gwiazda Śmierci odpala silniki, i to mnie pierwszą bierze na celownik.

- Zgadza się. - Dorvan opuścił dłoń, na której palcach wyliczał różnice, i podniósł drugą. - Chcesz usłyszeć, co myślę o sondażach, które przygotowano dla opinii publicznej?

- Nie. Chcę, żebyś się tym zajął.

Uśmiechnął się.

- W porządku. Zajmie mi to jakieś osiem lat i będę potrzebował minimum ośmiu milionów kredytów.

Daala pokręciła głową. Czowała się dziwnie odrętwiała.

- Gdybym dysponowała takimi pieniędzmi... nieważne. Co możemy zrobić?

- Im więcej ludzi sobie zjednasz, tym bardziej prawdopodobne, że twój przeciwnik, jeśli rzeczywiście istnieje spisek skierowany przeciwko tobie, zorientują się, że jesteś na ich tropie. Poszukałbym detektywa o odpowiednich umiejętnościach, zapłacił dużymi okrętami wojennymi lub małymi planetami, i przekonał się, czy zdoła wykurzyć naszych wrogów. Przez ten czas można im utrudnić kopanie pod tobą dołków. Postaraj się zyskać w oczach opinii publicznej. Niech cię polubią.

Przemyślała jego propozycję i pokręciła głową. Gdy się odezwała, nawet dla niej zabrzmiało to żałośnie:

- Nie potrafię. Nie stanę się drugą Wynssą Starflare.

- Kim?

- Nie twoje czasy, dzieciaku. Grała w holofilmach. Była piękna, pełna życia, miała blond włosy, wręcz lśniła na holoekranie. Ja muszę być lojalna wobec swoich żołnierzy i nie przerywać ognia.

- W porządku.

- Chcesz odejść?

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Może ci się wydawać, że jestem mięczakiem, ale ja też jestem lojalny wobec swoich.

- Nie jesteś mięczakiem, tylko zatwardziałym cywilem.

Odgarnęła włosy z twarzy.

- W porządku. Odbierz od kogo się da przysługi, zrób wszystko, co w twojej mocy. Ja zaś sprawdzę, jakie środki będę w stanie przeznaczyć na wysokiej klasy detektywa. A jeśli opinia publiczna chce widzieć we mnie potwora, to dołożę starań, żeby to było uzasadnione.

Dorvan wstał.

- Dzieci, jedzcie jarzyny, bo inaczej przyjdzie po was admirał Daala.

- Wynocha, ale już.

### **Apartament kasyna Błysk Fortuny, Coruscant**

Drzwi turbowindy odsunęły się do góry. Wyszedł z niej imperator Palpatine w towarzystwie swojego bezgłowego, gamorreńskiego ochroniarza. Strażnik o wyglądzie Dartha Vadera, ale raptem metrowym wzroście przejechał elektronicznym czytnikiem po ich klatkach piersiowych, upewnił się, że dioda nadal świeci na niebiesko i uprzejmie wskazał złote, dwuskrzydłowe wrota wmurowane w ścianę z czarnego kamienia. Cały ten okrągły hol był z niego zbudowany. Gdy Palpatine i bezgłowa istota do nich podeszli, drzwi się otworzyły.

Apartament lśnił od ostentacyjnego bogactwa. Barwa dywanów zmieniała się właśnie z przyjemnej dla oka szarości w błękit nieba; zapoczątkowana w drugim końcu pomieszczenia, obok zajmującego całą ścianę okna z traspastali, stopniowo docierała do drzwi, którymi weszli. Ściany wyłożono marmurem Kuati, białym, poprzecinanym błękitnymi żyłkami i przyprószonym złotem. Kanapy i krzesła były białe i lekko lśniące, co z jednej strony świadczyło o kosztowności mebli, a z drugiej ułatwiała przeprawę przez apartament w całkowitych ciemnościach. Ustawiony pośrodku okrągły stół z zagłębieniami wokół krawędzi, przeznaczonymi na napoje i figury, był marmurowy z żyłkami srebra.

Na końcu kanapy leżał Wookie, dziwnie płaski i sflaczały, jak gdyby usunięto mu kości i organy wewnętrzne, pozostawiając jedynie skórę. Przy okrągłym stole siedzieli przyduży, srebrny droid protokolarny z ludzką głową, wyposażony w odrzutowy plecak szturmowiec-klon sprzed sześćdziesięciu lat z hełmem na podłodze i galowo ubrana kobieta o szarych, neimoidiańskich dłoniach, ale twarzy leciwej Ziemiarki. Na stole obok niej leżała pozbawiona nosa, szara neimoidiańska twarz, równie płaska jak ciało Wookiego. Po stole przemykał niczym krab okrągły droid rozdający karty, a pod ścianami stały piękne kobiety i przystojni mężczyźni w ciemnych szatach. Gdy imperator i jego nieumarły towarzysz weszli do pomieszczenia, wszyscy podnieśli wzrok.

Imperator wykonał gest, jakby zamierzał zaatakować Błyskawicą Mocy.

- Na ból śmierci... rozdaj i mnie.

Człowiek Neimoidianka klasnęła w dłonie i posłała mu promienny uśmiech.

- Co za wspaniała kreacja. Dlaczego nie zaprezentowałaś jej na poprzednich imprezach?

Gość wzruszył ramionami. Porzucił barwę głosu imperatora i odezwał się własnym, głębokim i aksamitnym basem:

- To dlatego, droga senator Treen, że sprawdza się ona tylko w określonym towarzystwie. - Spojrzał z ukosa na bezgłowego Gamorreanina, a ten uklonił się i odszedł, nie wychodząc z roli, w charakterystycznych podskokach, podkreślanych przez noszony przez niego strój z pianki. Stał pod ścianą jak prawdziwy ochroniarz.

Imperator usiadł na wolnym siedzeniu, ściągnął maskę i położył ją obok należącej do Treen twarzy Neimoidianki.

- Co za ulga - westchnął.

Droid protokolarny, senator Bramsin, posłał mu pełne współczucia spojrzenie.

- Wiem, co masz na myśli. Nie mogłem się już doczekać, żeby zdjąć tę potworną maskę. -

Rzucił kose spojrzenie szturmowcowi. - Tobie to dopiero musi być ciężko.

Szturmowiec pokręcił głową.

- Strój ma wbudowane chłodzenie. Ale mam problemy z siadaniem, a jeszcze większe ze wstawianiem.

Bramsin przyjrzał mu się ze zrozumieniem.

- Ja też już wiem, dlaczego nigdy nie widziałem siedzącego droida protokolarnego.

Senator Treen przeniosła wzrok z imperatora na szturmowca.

- Moffie Lecersenie, pozwól, że ci przedstawię generała Jaxtona z dowództwa Sił Myśliwskich Sojuszu Galaktycznego.

- Nie mieliśmy okazji się poznać, ale oczywiście rozpoznałem generała z Wiadomości.

Jaxton obdarzył Lecersena uśmiechem piaskowej pantery.

- I z informacji wywiadu, jak mniemam.

Jaxton odpowiedział przypochlebnym tonem Palpatine'a:

- O tym oczywiście nie rozmawiamy.

Droid rozdał karty, układając trzy przed Lecersenem, kolorami do dołu. Na ich odwrotnej stronie umieszczono godło Imperium. Lecersen uśmiechnął się; jakże stosownie. Gdy podniósł karty, ze zdziwieniem stwierdził, że nie grają w sabaka, a w komnaty. W ręku miał Czerwoną Kurtyzanę, Niebieskiego Droida Niszczyciela i Czerwonego Imperialnego Gwardzistę.

Treen obrzuciła swoje karty przelotnym spojrzeniem i zmanierowanym tonem, nie okazując większego zainteresowania, powiedziała:

- Pięćdziesiąt.

Na blacie stołu przed nią wyświetlił się napis „Pięćdziesiąt tysięcy kredytów”, potwierdzając stawkę.

Jaxton spojrział na nią spode łba.

- Wiesz, niektórzy z nas są urzędnikami państwowymi.

- A, tak. Obniżyć stawki do poziomu sił zbrojnych.

Napis zmienił się na „Pięćdziesiąt kredytów”.

Lecersen złożył karty na stole.

- Wchodzę. - Na powierzchni stołu przed nim wyświetliła się identyczna suma. - Teraz rozumiem, skąd się tu wzięła długa tradycja regularnie odbywających się przyjęć kostiumowych.

Treen przytaknęła.

- Prawdę powiedziawszy, sama zapoczątkowałam je całe lata przed przeniesieniem się tutaj, ale z myślą o takich właśnie spotkaniach.

Siedzący po prawej stronie Lecersena Jaxton złożył karty w wachlarz, wyraźnie pogrążony w myślach.

Lecersena to rozbawiło. Jaxton raczej nie znał tej starej, imperialnej gry i wolałby dostać karty z talii dla dzieci, z nadrukowaną wartością.

Wreszcie generał wzruszył ramionami.

- Wchodzę. - Na stole przed nim pojawiła się suma zakładu.

Siedzący z prawej Bramsin przewrócił oczami.

- Sto. Więc co tam słyszeć? - Na stole wyświetliła się stawka.

Treen nawet nie spojrzała na swoje karty.

- Wchodzę.

Następny był Lecersen.

- Wchodzę.

- Wchodzę. - Na twarzy Jaxtona odbił się wyraz lekkiej dezaprobaty. - Obawiam się, że admirał Bwua'tu nie jest tak uległy, jakbyśmy tego chcieli.

Treen rzuciła kartę, Czerwonego Kapitana Szturmowców-klonów.

- Wiedzieliśmy, że te jego dziwaczne zasady mogą skomplikować sytuację.

Lecersen dorzucił Czerwonego Imperialnego Gwardzistę.

Gra w komnaty opierała się na odwiecznym dziecięcym pytaniu: „Kto by wygrał, gdyby ten walczył z tym?” Postać z karty rzuconej przez gracza spotyka się w prywatnej komnacie z drugą postacią, z karty na lewo od niej, a silniejsza wygrywa. Ale wyłonienie zwycięzcy dodatkowo komplikowały kategorie - Siła, Wola i Szansa - oraz kolory kart, gdzie niebieski bił biały, czerwony

bił niebieski, a czarny bił czerwony. To oznaczało, że Lecersen miał przewagę nad Treen.

Jaxton zawahał się, ale dorzucił Białego Szeregowca Szturmowców-klonów, jedną z najslabszych kart w talii.

- Chodzi o coś jeszcze. Specjalista od wojny psychologicznej odpowiedzialny za przygotowanie profilu Bwua'tu... choć on sam jest przekonany, że ocenia osobę zajmującą wysokie stanowisko w sektorze korporacyjnym...

Lecersen prychnął.

- ...zauważył, że lojalność admirała w stosunku do Daali nie dotyczy jedynie spraw zawodowych.

Bramsin wyłożył Białego Imperialnego Gwardzistę. Bez żadnego problemu pobił Białego Szeregowca Szturmowców-klonów, ale już nie kartę Lecersena.

Droid rozdający zebrał wszystkie cztery karty. Cichym głosem komentatora sportowego ogłosił:

- Rozdanie pierwsze, runda pierwsza. Lecersen i Bramsin zdobywają po jednym zabójstwie. Proszę określić stawkę.

- Taka sama. - Treen bawiła się nerwowo kartami, ale Lecersen wiedział, że tylko udaje. - Bwua'tu to nadal pana zadanie, generale. Jakie działania zamierza pan podjąć?

Lecersen wciął się, podając swoją stawkę.

- Taka sama.

- Podnoszę do dwustu. - Jaxton nie przejął się wcale. - Czas działa na naszą korzyść. Nadal będę przedstawiał opinii publicznej naszego kandydata na kolejnego dowódcę floty jako skrzyżowanie Thrawna i Mon Mothmy i szukał haków, które skłoniłyby Bwua'tu do złożenia stanowiska. Niestety, najwyraźniej nie należy do tych, co wcześniej odchodzą na emeryturę.

Bramsin wydawał się spokojny.

- Taka sama.

Treen przytaknęła.

- Dwieście.

Lecersen również nie zwiększył stawki. Po odsłonięciu kart Treen zdobyła pierwsze zabójstwo, a Lecersen już drugie.

Przy trzecim rozdaniu Treen podbiła stawkę do tysiąca. Pozostali poszli za jej przykładem. Senator Kuatedu wystawiła potężną kartę, Niebieskiego Wezyra.

- A co, jeśli nie będzie chciał przejść na emeryturę?

Lecersen uśmiechnął się i rzucił Czerwoną Kurtyzanę, przewyższającą Wezyra współczynnikiem Woli.

- Wtedy, oczywiście, znajdziemy kogoś, kto go zabije. - Jaxton rzucił Czarnego Imperatora, bijąc pozostałe karty.

Bramsin westchnął, rozdrażniony. Położył karty kolorami do dołu, dając w ten sposób znak, że swoimi kartami nie pobije ani Jaxtona, ani Treen.

Droid zebrał karty.

- Lecersen zdobywa zabójstwo. Jaxton zdobywa dwa zabójstwa, plus dodatkowe dziesięć za czystkę. Ostateczne wyniki rozdania: Treen - jeden, Lecersen - cztery, Jaxton - dwanaście, Bramsin - dwa. Zaczyna Lecersen.

Jaxton z zachwyconą miną obserwował, jak stawki zakładów znikają sprzed graczy, a jego własna zmienia się na „Cztery tysiące kredytów”. Uśmiechnął się do pozostałych.

- Nie należy lekceważyć nowicjusza - powiedział.

## ROZDZIAŁ 21

### Obóz Jedi, Dathomira



Był środek nocy, a Ben Skywalker leżał rozbudzony na swoim posłaniu, co jakiś czas zapadając w krótki półsen. Mógłby zasnąć na dobre, nawet pomimo wbijających mu się w plecy kamieni, albo, choć groziło im niebezpieczeństwo, osiągnąć całkowity spokój dzięki medytacji. Jakaś jego część chciała jednak czuwać, wypatrując jakichkolwiek odstępstw od normy.

I czuwał w momencie, gdy przemknęła nad nim smużka energii Ciemnej Strony Mocy.

Wywołała dziwne uczucie, trochę tak, jakby ktoś rzucił kłębek przędzy z jednego końca pokoju na drugi, do czekającego tam przyjaciela, a przędza ciągnęła się teraz przez cały pokój. Tyle że tą przędzą była przepływająca wysoko nad jego głową energia Mocy, niedostrzegalna, zawieszona na niebie.

Ben podniósł się bezszelestnie i utkwiał wzrok w przestworzach. Widział błyszczące morze gwiazd, które można dostrzec tylko setki kilometrów od miast i ich światła.

Usłyszał ruch obok siebie i zauważył patrzącą w niebo kobietę. Dzięki Mocy czuł też jej charakterystyczną obecność - to Kaminne.

Powrócił do obserwacji nieba. Po chwili odezwał się cicho, niemal szeptem:

- Domyślasz się, co to może być?

- Wstęp do czaru zwanego siecią kontroli. Niektóre Wiedźmy nazywają je Żerdzią Glisty, inne Siecią Przewodnią.

- Jak to działa?

- Umożliwia przejęcie kontroli nad zwierzętami na dużym obszarze. To sztuczka skuteczna i trudna do rozbicia.

- Rozumiem.

- Coś podobnego wykorzystały na iskromuchach. Ale ta sieć jest mocniejsza, a to znaczy, że poślą zwierzęta o silniejszej woli. One...

Przerwała w tym samym momencie, gdy Ben wyczuł kolejną nitkę energii Mocy mknącą nad ich głowami. Pierwsza została posłana z południowego zachodu na północny wschód; ta pędziła z południowego wschodu na północny zachód.

Kaminne westchnęła zirytowana.

- Szybko ją tkają. Gdy zaatakowały za pośrednictwem iskromuch, były bardziej subtelne, teraz zależy im na czasie. Obudzę pozostałych. - Odwróciła się i szturchnęła stopą ciemny kształt śpiącej obok kobiety.

Ben stanął przy południowo-zachodniej krawędzi wzgórza i spojrzał w miejsce, gdzie powinien znajdować się jego ojciec. Nie dostrzegł go, ale poczuł - wybudzonego, czujnego.

Gdy budzono ze snu wojowników i Wiedźmy obu klanów, nad ich głowami przemknęło kilkadziesiąt nici Mocy. Wiedźmy nie dodawały już potem kolejnych, ale Ben czuł, jak pajęczyna energii opada powoli, jak gdyby tonęła w gęstym płynie.

Wzgórze rozświetliło światłem latarek i prętów jarzeniowych. Ben zauważył, że choć to on miał rzekomo sprawować władzę na wzgórzu, członkowie klanów zwracali się po instrukcje do swoich przełożonych. Tasander nakazał wojownikom przyjąć formację w kształcie klina, rozstawiając ich w centralnej części południowo-zachodniego podejścia; najpierw włócznie, za nimi łuki i blastery. Kaminne podzieliła swoje siły na dwie jednostki, rozmieszczając je po obu stronach podejścia obstawionego przez mężczyzn - wojowniczeki z przodu, Wiedźmy z tyłu. Na środku obozu pozostali ci, którzy nie brali udziału w walce, i wsparcie.

Ale nic się nie wydarzyło. Z otaczających wzgórze lasów nie dochodziły żadne odgłosy; owady ucichły. Dathomirianie reagowali coraz bardziej nerwowymi pomrukami.

Ben wskoczył na głaz.

- Posłuchajcie mnie - przemówił.

Dathomirianie zwrócili się w jego stronę.

- Imperium i Sojusz nazywają to wojną psychologiczną. Pytacie, dlaczego nie atakują? Bo chcą, żeby narastał w was niepokój, a w końcu puściły wam nerwy. Pozwolicie im na to?

- Nigdy - odezwał się Droła.

Pozostali powtórzyli za nim. Droła przekrzyczał wszystkich:

- Tylko tchórze chowają się i czekają. Wojownicy śmieją się im w twarz. - I wybuchnął

wymuszonym, nienaturalnym śmiechem.

Dołączyli do niego i inni, również kobiety, i śmiech stawał się coraz głośniejszy. Ben wyobraził sobie, jak przetacza się w dół zbocza, ku otaczającym je drzewom.

Gdy zeskoczył z głazu, pojawił się obok niego Dyon.

- Dobrze zagranie, Jedi.

Bez wzruszył ramionami.

- Mój kuzyn był mistrzem wojny psychologicznej.

- Twój ku... ach, tak.

Ben poczuł nad sobą drgnięcie, jak gdyby do sieci wszedł wielki pająk z energii Mocy. Na południowym zachodzie rozległ się odgłos ciężkiego stapania.

Linie drzew pokonały po chwili oświetlone przez gwiazdy i księżyc, trzy przypominające ludzi postacie, kierując się pędem ku obozowisku na wzgórzu. Tylko Jedi mógłby dotrzymać im kroku.

Rankory.

- Strzelać bez rozkazu! - ogłosił Tasander.

- Chwytać włócznie! - Kaminne wykrzykiwała podobne rozkazy swoim wojowniczkom i Wiedźmom.

Dużo niżej, w połowie wysokości wzgórza, miecz Luke'a rozbłysnął zielonym światłem.

Ben sięgnął po własny miecz, ale nie dołączył do linii włóczników. Bardzo chciałby tam być i pomóc złagodzić pierwszy wstrząs związany z atakiem rankorów, wiedział jednak, że bardziej się wszystkim przysłuży, łatając ewentualne dziury w obronie.

Z kieszeni kamizelki Dyon wyciągnął dwa małe, identycznie wyglądające blastery. Czekał w pogotowiu, aż pierwszy rankor dotrze na grań przed nim.

Pająk Mocy wykonał kolejny ruch, naprężając nitki energii. Ben zaklął; nie chciał, by cokolwiek odciągało jego uwagę od rozgrywających się tu wydarzeń.

Rankory dotarły do podstawy wzgórza i pognały pod górę, na wpół biegnąc, na wpół się wspinając, zwalniając tylko wtedy, gdy zmieniało się nachylenie zbocza. Gdy znalazły się w połowie drogi na szczyt, Ben dostrzegł szybki niczym spadająca gwiazda ruch miecza świetlnego ojca. Zniknął, gdy środkowy rankor stanął pomiędzy Benem a Lukiem - ale nagle ten sam rankor zawył z wściekłości i bólu, wyraźnie zwalniając, a potem przerywając wspinaczkę. Pozostałe dwa zostawiły go za sobą.

Na rankory spadł deszcz ognia z blasterów i niedostrzegalnych w ciemnościach strzał. Oświetlił je przelotnymi błyskami, ale nie spowolnił ich marszu.

I nagle oba rankory, wściekle rycząc, pojawiły się na grani. Początkowo było widać tylko ich łapy i głowy, ale już po chwili podciągnęły się wyżej, wynurzając się do wysokości pasa nad szczyt wzgórza.

Ustawieni pośrodku zbocza włócznicy Strzaskanych Kolumn i stojące po bokach wojowniczeki Deszczowych Liści ruszyli gwałtownie do przodu, zatapiając w ciałach rankorów stalowe ostrza swojej broni i przygotowane na oczekaniu piki. Nie spowolniło to jednak bestii, które wciąż parły przed siebie i chwilę później górowały już nad otaczającymi je wojownikami.

Ben czuł, za które nitki Mocy pociągano. Oderwał wzrok od rankorów i spojrzął w przeciwną stronę.

Dyon wycelował blaster w rankora po prawej. Ben chwycił go za nadgarstek. Odwrócił się w stronę walczących.

- Atakujcie od tyłu!

Nikt go nie usłyszał. Użył Mocy.

- Atakujcie od tyłu, posiłki na tyły!

Kilka osób obejrzało się na niego, ale w całej tej wrzawie i zamieszaniu nikt nie zareagował.

No, przynajmniej Dyon go słuchał. Wskazał mu północno-zachodnie zbocze.

- Tam!

Sam zaś, skacząc z kamienia na kamień, skierował się ku zachodniemu zbocz.

Zanim zdołał do niego dotrzeć, rankor już wspiął się na szczyt, wykonując skok tak

precyzyjny, jak gdyby wystrzelono go z armaty, i wylądował przed Benem. Rycząc, sięgnął po niego łapami.

Ben odbił się od kamienia, na którym wylądował i skręcił w lewo, przetaczając się po nierównej, kamiennej powierzchni. Gdy podnosił się z nóg, w jego dłoni rozbłysnął miecz świetlny.

Z tak bliska, nawet w słabym świetle księżyca widział, że bestia miała na sobie pozszywane kawałki skóry tworzące prymitywną zbroję. Nie zapewniała ochrony przed energią miecza świetlnego, ale rankory i tak miały wystarczająco grube kości i mięśnie, by trudno było je zranić. Ben zadał cios w kolano bestii, rozcinając grubą zbroję, skórę i bez wątplenia sięgając rzepki, ale rankor tylko zawył i zamachnął się ramieniem. Ben przeskoczył nad nim, unikając ciosu, który posłał w powietrze kamienie i obozowy sprzęt. Coś metalowego odbiło się od jego czaszki. Zakreśliło mu się w głowie i nie dokończył skoku jak należy - nie wykonawszy pełnego obrotu, wylądował ciężko na piętach i niezgrabnie klapnął na pośladki.

I znowu sięgnęła po niego łapa. Przetoczył się w bok, poniewczasie orientując się, że zgubił swój miecz świetlny. Łapa rankora rozorała namiot obok miejsca, gdzie znajdował się jeszcze chwilę temu. Wykonał przewrót do tyłu, stanął na chwilę na rękach i wylądował na równych nogach. Potrząsnął głową, żeby wrócić do siebie.

Zobaczył swój miecz świetlny, i to wciąż zapalony. Ostrze upadło na namiot ze skór, przecinając materiał i wpadając do środka. Reagując na wykonany przez Bena gest, broń wpadła mu do ręki.

Rankor zrobił dwa kroki i Ben znowu znalazł się w zasięgu jego łap. Bestia rzuciła się do przodu. Ben skoczył i przetoczył się między jej nogami, zatrzymując się na krawędzi wzgórza. Odwrócił się, stając twarzą w twarz ze swoim przeciwnikiem.

Rankor zaatakował. Gdy Ben, skacząc z kamienia na kamień, przesuwał się wzdłuż krawędzi grani, zwierzył się odwrócił. Ben zmienił kierunek, w przewrocie minął bestię i zamachnął się mieczem, celując w wewnętrzną część zranionego wcześniej kolana.

Ostrze przeszło przez ciało w satysfakcjonującym cięciu. Nie umiał określić, czy unieruchomił bestię, ale podnosząc się na nogi, wiedział, że wykonał swoje zadanie. Rankor, wymachując łapami, spadł za krawędź wzgórza.

Ben obserwował jego upadek. Rankor toczył się szybko, zderzając się z kolejnymi progami i wywołując małą lawinę kamieni. Gdy uderzył wreszcie o grunt, przysypały go głązy.

Ale nawet wtedy nie znieruchomiał. Przetoczył się, uciekając od ulewy kamieni, i zaczął z wysiłkiem podnosić się na nogi. Kulejąc, ruszył ku drzewom.

Ben odwrócił się i odszukał wzrokiem Dyona.

Dyon, choć nie był Jedi, dorównywał im na polu akrobacji. Skakał, odbijał się, przetaczał i obracał, nieustannie strzelając w korpus, członki i pysk rankora ze swoich małych, zbyt słabych pistoletów. Nieprzerwany strumień ognia z jego broni przywodził na myśl baterię blasterów w miniaturze.

Ale ten rankor nie padł ani nawet nie zwolnił - a okryte pancerzem ciało miał tylko lekko osmalone od strzałów.

Ten atak wytrącił go jednak nieco z równowagi. Dyon wykonał nadzwyczaj zgrabny wyskok, kończąc go kopniakiem, który trafił rankora w skroń akurat w chwili, gdy wychylał się lekko za krawędź wzgórza. Dyon odbił się, ciężko wylądował i przetoczył się poza zasięg rankora. Bestia zachwiała się, ale nie upadła. Ben skoczył w jej kierunku, świadom, że nie zdąży do niej dotrzeć, zanim odzyska równowagę.

Nagle pojawił się ktoś jeszcze: szczupła postać o bladej skórze, która powtórzyła kopniak Dyona. Jej uderzenie było nawet silniejsze, a lądowanie - obunóż, w przysiadzie, z zachowaniem równowagi - zgrabniejsze.

Rankor wydał jęk strachu i spadł. Gdy Ben dotarł do krawędzi, usłyszał, jak zwierzę toczy się w dół zbocza.

Tą smukłą postacią okazała się Vestera. Pomogła Dyonowi wstać.

Dyon rzucił przelotnie okiem na wyświetlacze na kolbach, po czym schował broń.

- Dzięki wielkie. W samą porę.

Wykonała gest, jakby otrzepywała dłonie z kurzu.

- Skończyłam roznosić wodę, pomedytowałam, poczytałam i postanowiłam wpaść, żeby sprawdzić, czy dzieje się coś ciekawego.

Dyon prychnął rozbawiony.

Ben stłumił w sobie nagły przypływ irytacji. Odwrócił wzrok ku południowo-zachodniemu podejściu.

Nie było tam rankorów. Dathomirianie stali nad krawędzią, wymachując bronią w kierunku dna doliny. Niektórzy szydzili, ale bez przekonania.

Byli wśród nich ranni i zabici. Nawet w otaczającej ich ciemności Ben mógł dostrzec sześć lub siedem ciał. Podeszedł bliżej.

W tej właśnie chwili spomiędzy drzew otaczających wzgórze dotarł do nich zrodzony w wielu gardłach śmiech - przenikliwy i kobiecy.

Podczas gdy członkowie klanów zajęli się zmarłymi i rannymi, przywódcy odbyli pospieszną naradę na krawędzi południowo-zachodniego zbocza. Niżej, na zboczu Ben dostrzegł miecz świetlny ojca, wzniesiony w geście pozdrowienia, dodający otuchy; zniknął, gdy Luke go wyłączył, oszczędzając baterię.

- Rankory. - Tasander wypowiedział to słowo, jakby splotał. - To było oczywiste, że ich atak będzie miał na celu zminimalizowanie naszej przewagi w obronie. Jak mogłem nie pomyśleć o rankorach!

Kaminne pokręciła głową.

- Są niebezpieczne, ale lepiej walczyć z nimi tutaj niż na równinie. Podjęliśmy słuszną decyzję.

Ben machnął ręką w stronę Firen.

- Trenujesz rankory dla Deszczowych Liści, prawda? - zapytał.

Skinęła głową.

- Czy możemy coś zrobić, by zakłócić kontrolę, jaką mają nad nimi Siostry Nocy?

- Nie wydaje mi się. Dobrze dobrały taktykę.

- Czy przed zapadnięciem zmroku przyjrzałaś się wzgórzom?

- Tak - potwierdziła.

- Mogą wspiąć się od południowego zachodu, zachodu i północnego zachodu. Czy jeszcze skądś?

- Tak naprawdę to z każdej strony, ale najszybciej w miejscach, które wymieniłaś, i od północnego wschodu. - Zamyśliła się. - Mogą nie dać rady pokonać podejścia od północy. Jest najbardziej strome i urządziliśmy tam sobie latryny. Nawet rankory niechętnie stawiają czoło takiemu wyzwaniu.

Wśród wodzów i ich zastępców rozległy się chichoty.

Kaminne wyjrzała za krawędź. Z lasu poniżej nie dochodził już złowrogi śmiech, ale nie ulegało wątpliwości, że wróg wciąż się w nim czaił.

- Dobrze byłoby wiedzieć, ile mają rankorów. Tylko pięć?

- Co najmniej dwadzieścia. Może trzydzieści. - W głosie Firen brzmiał smutek, ale i pewność.

Tasander spojrzał na nią pytająco.

- Skąd wiesz?

- Z ich ryków, gdy się zbliżały. Rankory nie mówią, ale dysponują pewnym złożonym systemem dźwięków, a ja trochę je rozumiem. Ich porykiwania oznaczały: „Patrzcie, jak walczę”, a ton nakazywał stadu obserwację. Nie tylko partnerce, młodemu czy polującym z nimi samcom... całemu stadu.

Ben szybko policzył w myślach. Na szczycie wzgórza znajdowało się mniej więcej dwustu krzepkich wojowników; dodatkowo może pięćdziesiątka słabych, młodych lub rannych, niezdolnych wspomóc ich swoją siłą. Ich szanse w starciu z trzydziestoma rankorami, choćby nawet

mieli po swojej stronie Wiedźmy, nie wyglądały zbyt różowo. Wiedźmy potrzebowały zazwyczaj więcej czasu niż Jedi lub Sithowie, żeby skoncentrować swoją moc.

Ale był ktoś jeszcze oprócz członków klanów i Jedi.

- Skontaktuję się przez komunikator z Yliri. Wynajmę ją i każę sprowadzić tutaj „Cień Jade” albo myśliwiec mamy. Siostry Nocy długo nie zapomną lania, które im... - Dyon jednak kręcił przecząco głową. - Nie? Dlaczego?

Nawet w świetle księżyca widać było skwaszoną minę Dyona.

- Dathomirianie coraz więcej uczą się od innych światów. Kilka minut temu próbowałem wgrać najświeższą aktualizację i nie udało mi się; komunikacja jest zagłuszana. Pewnie Siostry Nocy przywiozły na śmigaczach bardziej zaawansowany sprzęt, a razem z nim specjalistę od komunikacji spoza planety.

- Na pewno kobietę - rzucił opryskliwym tonem Droła.

Tasander zerknął na niego z ukosa.

- Droła, jeszcze raz powiesz coś, co przyczyni się do powiększenia rozłamu w naszych szeregach, a pójdziesz na nocny zwiad. Zbadasz przełyk rankora.

Droła zamilkł.

Tasander pochylił się i na płaskim kamieniu u swoich stóp wyrysował odłamkiem skały okrąg. Podzielił go na pół, po czym jedną z połówek na trzy kolejne części, tworząc prymitywny diagram kołowy.

- Połowę naszych sił rozstawimy na tym zboczu. Może się nim wspiąć naraz kilka rankorów. I dodatkowo po jednej szóstej na każde z pozostałych trzech podejść. Zastępcy wodzów mają dopilnować, żeby trzy mniejsze formacje były równe siłą. Do roboty.

Mężczyźni się podnieśli, ale kobiety Deszczowych Liści nie; utkwili wzrok w Kaminne.

Spojrzała na nie, zaskoczona, a po chwili w jej oczach pojawił się gniew.

- Aż do odwołania słowa Tasandera są moimi słowami, a moje słowa słowami Tasandera. Jeśli ktokolwiek we mnie wątpi, kwestionuje moją opinię, chce usłyszeć, co powiedzą inni wodzowie, ten obstawi wysunięty posterunek. Nawet za Lukiem Skywalkerem.

Kobiety pospiesznie wstały, dołączając do mężczyzn.

Ben pochwycił jej spojrzenie.

- Nie przejmuj się tym. Cywilizowani politycy zachowują się jeszcze gorzej.

- Czyli?

- Ci, którzy okazali się nieudolni, nie są zabijani. Niekiedy nawet wybiera się ich na kolejną kadencję.

## ROZDZIAŁ 22

Gdy nowo utworzone formacje zajmowały pozycje, Ben poczuł kolejne szarpnięcie pajęczyny Mocy. Podobnie zresztą jak Dyon i kilka Wiedźm; zauważył, że kierują spojrzenie ku niebu. Mocnym głosem, niosącym się nawet bez użycia Mocy, ogłosił:

- Przygotujcie się, nadchodzą!

Tym razem zaatakowały ich większe siły. Południowo-zachodnim zboczem gnało w ich stronę pięć rankorów i jeszcze po dwa każdym z trzech podejść nadających się do wspinaczki. W jednej chwili oświetliły je pociski z blasterów, te trafiające i te pudłujące, ale i tym razem nie udało się ich w ten sposób spowolnić - siła w czystej postaci, zwalista budowa ciała i dodatkowa skórzana zbroja robiły swoje. Całej jedenastce udało się dotrzeć do podstawy wzgórza, po czym zaczęły przerażająco szybko się po nim wspinąć.

W prostej linii pod Benem rozbłysnął miecz świetlny Luke'a. Gdy dotarł do niego środkowy rankor, błyskawiczne ciosy klingą zwały się w jedno. Rankor poślizgnął się i z rykiem zaczął zjeżdżać w dół zbocza.

Ale pozostała czwórka minęła już Luke'a i zbliżała się do szczytu.

Ben poczuł potężne smagnięcia wiatru. Wyczuwał w nim Moc. Podmuch przemknął obok

niego, ledwie go muskając, i z wyciem uderzył w wyłaniające się znad krawędzi rankory. Jedna z bestii straciła równowagę i runęła w dół. Pozostałe trzy, silniejszej budowy i pewniej trzymające się zbocza, podciągnęły się i - pomimo wściekłego ataku włóczników obu klanów - zaatakowały ludzi.

Ben zapalił miecz i dołączył do walki. Wykorzystując Moc, przeskoczył nad szeregami wojowników, zwinnie unikając uniesionych włóczni, i wylądował dokładnie przed środkowym rankorem, który dopadł właśnie wojowniczkę Deszczowych Liści. Ben dał susa i ciał bestię wzdłuż nadgarstka. Skóra pociemniała i pękła, momentalnie się przyzegając. Rankor zawył i uwolnił kobietę, która wykonała przewrót i poderwała się z włócznią w rękę, gotowa do dalszej walki.

Rankor zamachnął się na Bena drugą łapą. Jedi przeskoczył nad niezdarnym atakiem, wykonując salto do przodu. Gdy tylko jego stopy dotknęły klatki piersiowej bestii, ciał, odbijając się jednocześnie do tyłu. Kończąc salto, wylądował dokładnie w miejscu, gdzie stał chwilę wcześniej.

Rankor chwycił się kurczowo za klatkę piersiową, zawył i potykając się, zrobił krok do tyłu. Ben nie musiał nawet korzystać ze sztuczek Mocy, by wyeliminować tę bestię; bezmyślnie cofnęła się za daleko, stawiając nogę za krawędzią wzgórza i spadając w nicość. Leciała, młócąc w powietrzu łapami, a wyraz jej pyska nie wyrażał już bólu i złości, tylko przerażenie. Nie miał wątpliwości, że ojciec bez problemu uniknie pędzącego w dół cielska rankora.

Pozostały jeszcze trzy bestie, dwie z lewej i jedna z prawej. Zdecydował się zaatakować tę na prawo; jeśli zmusi ją do odwrotu, wojownicy będą mogli zewrzeć szeregi i skoncentrować atak na dwóch pozostałych rankorach.

Przygotowując się do skoku nad włócznikami, dostrzegł, że rankor chwycił jednego z mężczyzn Strzaskanych Kolumn, potrząsnął nim, aż człowiek stracił przytomność, i rzucił ciało w ciemność, daleko od wzgórza.

Ben skrzywił się i skoczył. Łądując, oparł się stopami na ramionach wojownika - chyba Droli - i przez krótką chwilę starał się odzyskać równowagę, gdy rankor sięgnął łapą w jego kierunku. Ben ciał, trafiając rankora w skórę między kciukiem a palcem wskazującym i rozcinając ją aż po nadgarstek. Rankor wydał głośny, przenikliwy wrzask, przywodzący na myśl odgłos wydawany przez gwizdek parowy, i cofnął się o krok.

Ben dokończył rozpoczęty wcześniej ruch i po przewrocie stanął przed Drolą.

- Włócznicy, teraz! - zarządził.

Wojownicy, kobiety i mężczyźni pospołu, zaatakowali rankora jednocześnie, zatapiając włócznie w całym jego ciele, od głowy po kolana. Nie wszystkie uderzenia przebiły zbroję lub skórę, ale każde niesło ze sobą ładunek energii kinetycznej. Potykając się, rankor zrobił kilka kroków do tyłu, upadł na pośladki - i przekonał się, że środek ciężkości jego ciała znalazł się metr za krawędzią wzgórza. Gdy spadł w ciemność, Ben i wojownicy słyszeli, jak jego toczące się w dół zbocza ciało uderza o skały.

Ben odwrócił się. Ataki włóczników i wywołany przez Wiedźmy wiatr zmusiły do odwrotu pozostałe dwa rankory z południowo-zachodniej grani. Gdzie indziej Dathomirianie przygotowywali już prowizoryczne opatrunki i przyklękali nad zmarłymi i ciężko rannymi. Odparto atak rankorów, które wdrapały się po najbardziej stromych podejściach.

Ben doliczył się co najmniej dwadzieściora Dathomirian, leżących nieruchomo lub ledwo się poruszających, niezdolnych do dalszej walki.

To stanowiło osiem do dziesięciu procent wojowników. Niedobrze. Dostrzegł Firen, stojącą przy południowo-zachodniej grani w towarzystwie Wiedźm Deszczowych Liści.

- Ile rankorów nie będzie już zdolnych do walki?

Pokręciła głową.

- Może jeden.

- Chyba sobie żartujesz.

- W pierwszym ataku było ich pięć i pięć wróciło do lasu. W drugim jedenaście, a chyba żaden z nich nie atakował wcześniej, i tyle samo się wycofało. Jeden się czołgał, musiało go dźwignąć dwóch innych, może więc już nie wrócić do boju. Ale Siostry Nocy, jeśli tylko stosują te same metody co my, w tej właśnie chwili wykorzystują swoje zdolności i zaklęcia, by opatrzyć i

uzdrowić swoje rankory, poprawić im nastrój i rozpalic żądzę zniszczenia.

- A gdzie nasze rankory? - zapytał Drola z gniewem i nutą podejrzliwości w głosie.

- Nasze, czyli należące do Deszczowych Liści. - Firen rzuciła wojownikowi Strzaskanych Kolumn nieprzyjemne spojrzenie. - Mężczyźni nie mają własnych rankorów. Przed przeniesieniem się tutaj wypuściliśmy je na pastwiska. Zajęłyby za dużo miejsca, za dużo by jadły i piły. Nasze... cóż, pewnie są daleko stąd, albo i pośród atakujących, ale żadnego jeszcze nie rozpoznałam.

Drola skinął głową.

- Jakie to sprytne, pozbawiac się najpotężniejszej broni przeciwko rankorom.

- Skąd mieliśmy wiedziec, że je przeciwko nam pošlą! - Firen zacisnęła dłoń w pięść.

Rozbłysły wokół niej małe błyskawice i dały się słyszeć trzaski.

- Dość już. - Kaminne stanęła pomiędzy Firen a Drolą. - Jeśli nie macie propozycji, jak poprawić naszą sytuację, to lepiej się nie odzywajcie. - Spojrzała na nich, zmuszając oboje do spuszczenia wzroku.

- Siostra Nocy! - tak krzyczeli zgromadzeni przy południowo-zachodniej grani.

Przepychając się przez tłum we wskazanym kierunku, Ben dostrzegł, że kilkoro Dathomirian wyciąga blastery.

Gdy tylko dotarł do krawędzi, zobaczył, do czego celują. Z lasu wyłoniła się postać rozmiarów człowieka, która zaczęła wspinać się w górę zbocza. W ręku trzymała wyższy od niej samej, jaśniejszy kij.

- Wstrzymać ogień. - Tasander powiedział to tak spokojnie, jakby cała sytuacja w ogóle go nie interesowała. - Ma w ręku białą włócznię.

Ben spojrzał na niego pytająco.

- To symbol pokoju?

Tasander przytaknął.

- Nawet Siostry Nocy nie zaatakują kogoś, kto ma ją w ręku... przynajmniej o ile nam wiadomo... ponieważ wtedy również im nie zapewniłaby bezpieczeństwa w razie czego.

Siostra Nocy zbliżyła się do podstawy zbocza i zatrzymała się w miejscu, gdzie ziemię zaczęły zastępować skały. Wbiła ostrze włóczni w ziemię, po czym wręcz obraźliwie wolnym krokiem wróciła do lasu.

Ben dostrzegł ruch na zboczu - w swoich białych szatach Luke był nieźle widoczny w otaczającej go ciemności. Ojciec Bena zszedł ze wzgórza, kierując się ku włóczni.

Ben pobiegł w dół zbocza, uważnie stawiając kroki między skałami i unikając ścian. W połowie wysokości spotkał się z niosącym włócznię Lukiem.

- Jak leci, tato?

- Kolejny, zwyczajny dzień w Świątyni. - Luke nie był ranny ani zdyszany. Właściwie to nawet się nie pobrudził. Podał włócznię Benowi. - Jest tu jakaś kartka.

Ben odwinął ją z drzewca włóczni. To nie było flimsi, a wygarbowana zwierzęca skóra. Nieudolnie wypisano na niej wiadomość - drukowanymi literami alfabetu Aurebesh, i to chyba całkiem niedawno, sądząc po wciąż lepkiej farbie.

Brzmiała następująco:

*„Do naszych sióstr, Deszczowych Liści*

*Zabijcie, zniewólcie lub wyprowadźcie mężczyzn, a zapomnimy o naszym sporze. Jeśli tego nie zrobicie, zginiecie wraz z nimi.*

*To wam przyobiecujemy my, Siostry Nocy”.*

Ben pokazał ojcu treść listu.

- Nie jest źle. Zero błędów ortograficznych. Myślę, że korzystały z linijki, żeby napisać równo, jak pierwszoklasistki.

Luke spojrzał na szczyt wzgórza.

- Jak sobie radzą?

- Dużo rannych i zabitych. Chyba spada nam morale.

- Nie pozwól, by do tego doszło. Przysłuchysz im się tym równie mocno, jak swoim wsparciem w walce.

- Pewnie masz rację. - Ben owinał skórę na włócznie, związał ją rzemieniem, którego użyły wcześniej Siostry Nocy, i objąwszy ojca, zaczął z powrotem wspinać się po zboczu.

Dotarłszy na szczyt, przekazał list Kaminne i Tasanderowi. Potrafili czytać, podobnie jak kilkoro zebranych wokół nich zastępców, więc wieść o treści listu szybko rozeszła się po obozie.

Kaminne zadumała się.

- Jak można ładnie powiedzieć: „Nie, i życzę wam bolesnej śmierci”?

Tasander wzruszył ramionami.

- Mój ojciec zwykł mawiać: „Oby żądzące owady z tysiąca światów dotarły do twoich wilgotnych zakamarków”.

Kaminne się zaśmiała. Zawtórowało jej kilkoro zastępców, tak pośród Deszczowych Liści, jak i Strzaskanych Kolumn.

- Masz rację, to będzie dobre.

Tasander rozwinął list, kładąc go zapisaną stroną na kamieniu i korzystając z farb Dyona, pięknym, płynnym stylem napisał odpowiedź. Gdy farba przestała się rozmazywać i zaschła, przywiązał list do włócznie, którą przekazał Droli.

Pozostali zrobili przejście dla wojownika. Ruszył ze szczytu wzgórza, nabrał prędkości i z wprawą cisnął włócznie. Lśniące drzewce poszybowało daleko za wzgórze, zagłębiając się w miękkiej glebie niedaleko linii drzew. Kilka chwil później wyłoniła się spomiędzy nich jakaś sylwetka, wyjęła włócznie i powróciła między cienie.

Krótko potem Ben wyczuł znajome pociągnięcie nici pajęczyny Mocy nad sobą. Nie musiał nawet ostrzegać pozostałych. Olianne zawołała pierwsza:

- Nadchodzą!

Ben był zdumiony, widząc, że zza linii drzew wyłania się i pędzi w stronę wzgórza tyle samo rankorów, co podczas poprzedniego ataku. Wyglądało na to, że wśród tych jedenastu żaden nie uczestniczył wcześniej w walce, nie odniósł żadnych ran.

- Strzelać bez rozkazu - ogłosił Tasander. Zaraz otworzono ogień z blasterów i wystrzelono z luków.

Gdy bestie dotarły do podstawy wzgórza, podobnie jak w poprzednim ataku zaczęły wspinać się po nim z niesamowitą szybkością. Jednak tym razem środkowy z grupy pięciu rankorów na południowo-zachodnim podejściu zatrzymał się, gdy dotarł do Luke'a, nie ignorując go, jak to się działo wcześniej, i zaatakował, podczas gdy reszta przemknęła po obu jego stronach.

Włóczniecy przygotowali się do ataku, jednak cztery rankory zatrzymały się. Zamiast wdierać się dziko na grań, zaczęły wykopywać i podważać głązy.

Ben za późno pojął ich zamiar. Tony obluzowanych głązów wszelkiej wielkości, od kamieni rozmiarów głowy do skał wielkich jak aerośmigacz, z łoskotem potoczyły się w kierunku Luke'a Skywalkera szeroką, zabójczą falą.

- Tato!

Luke nie usłyszał go, wciągnięty w walkę z broniącym się tylko rankorem. Być może poczuł niepokój Bena, ale nie wiedział, że to właśnie jego dotyczy. Nie spojrzął do góry. Ben obserwował, jak fala kamieni porywa jego i rankora, niosąc obu ze sobą w dół zbocza.

Dopiero wtedy pozostałe cztery bestie wspięły się na szczyt.

Poniżej, u podstawy wzgórza, Ben widział świecący, leżący nieruchomo miecz Luke'a. I cztery kobiece postacie, lśniące błękitną energią, pędzące spomiędzy drzew ku jego ojcu.

Chłopiec przykucnął, przygotowując się do skoku - nie w kierunku żadnego z czterech rankorów po prawej, podnoszących się właśnie na nogi, ale w dół zbocza, ku ojcu.

Poczuł na ramieniu czyjąś dłoń, powstrzymującą go od skoku. Spojrzął w górę, na kręcącego głową Dyona.

Przypominało to rozmowę bez użycia słów, opartą na zrozumieniu i trwającą ułamek



sekundy.

*Ojcu grozi niebezpieczeństwo.*

*Jeśli opuścisz wzgórze, Dathomirianie mogą stracić ducha.*

*Ojcu...*

*Co jest ważniejsze, to, do czego jesteś przywiązany, czy twoja powinność?*

Dyon miał rację, ale świadomość tego była bolesna. Ben wstał i obrócił się na pięcie, przygotowując się do skoku między rankory.

Smukła dłoń błyskawicznie wyszarpnęła mu z ręki wyłączony miecz świetlny. Ben dostrzegł przelotnie Vestarę, która przemknęła obok niego i skoczyła za krawędź wzgórza z jego bronią w dłoni.

Nawet gdy gład wielkości głowy musnął jego czaszkę i posłał go w dół zbocza, Luke nie stracił przytomności. Turlał się i ślizgał, dzięki swoim talentom akrobatycznym unikając obrażeń i wyprzedzając większość spadających gładów. Jednak, otumaniony, nie mógł wyjść z tego całkowicie bez szwanku. Gdy gład uderzył go w klatkę piersiową, poczuł trzaśnięcie w mostku. Płyta, na której wylądował, obsunęła się, a on uderzył plecami o ruchomą kamienną powierzchnię. Świat wokół wirował.

Odskoczył, ale pokonał ledwie trzy czy cztery metry, zanim zderzył się z kolejną skałą. Uderzenie pozbawiło go tchu. Głazy wciąż z łoskotem pędziły w jego stronę, ale większość zatrzymała się niedaleko miejsca, gdzie wylądował. Niewyraźnie dostrzegał ciało rankora, z którym walczył; leżało między nim a podstawą wzgórza, nieruchome, przygniecione przez kilka ton kamieni.

Wyczuwał zagrożenie, którego źródłem nie było naturalne niebezpieczeństwo w postaci lawiny. Zbliżała się ku niemu energia Ciemnej Strony Mocy. Gdy przetaczał się do przodu, o kolejne dwa metry oddalając się od pędzących gładów, w jego plecy, kark i nogi wbiły się ostre krawędzie kamieni. Dostrzegł cztery biegnące w jego kierunku Dathomirianki, wszystkie spowite niebieską energią. Kiedy zobaczyły, że podnosi się na nogi, zwolniły i uniosły ręce, wykonując serię skomplikowanych gestów.

Luke podniósł swój miecz świetlny i spróbował utrzymać się na nogach.

Z dłoni tkaczek zakłęb wystrzeliła Błyskawica Mocy. Pędzącej ku niemu, zabójczej energii towarzyszyły trzaski wylądowań.

Przyjął ich atak na ostrze miecza świetlnego. W takich sytuacjach broń Jedi stawała się czymś więcej niż skoncentrowanym i ograniczonym snopem energii; była jego przedłużeniem w Mocy, a ostrze mogło go ochronić przed uderzeniem błyskawicy. Włosy stanęły mu dęba od energii, która przebiła się za osłonę miecza, a siła ataku zmusiła go do przykłęknięcia.

Dwie z Wiedźm były już tylko kilka metrów od niego, a linię drzew przecięły właśnie dwa pędzące w jego kierunku rankory.

Niedobrze.

## ROZDZIAŁ 23

Wiedźmy były już dwa metry od niego, z podniesionymi rękami tkając wzory kolejnych zakłęb. Oszołomiony i przyciśnięty do ziemi przez błyskawice, Luke spróbował podnieść się na nogi, lecz bez większego efektu.

Na płaskim kamieniu wielkości blatu stołu z głuchym stuknięciem wylądowała Vestara. Znalazła się niedaleko stojącej w pobliżu Wiedźmy. Zamachnęła się na nią mieczem świetlnym - o niebieskim ostrzu, nie tym czerwonym, który miała w Otchłani.

Wiedźma, rudowłosa kobieta w średnim wieku z sinymi wybroczynami na twarzy, obrała ją za cel swojego zakłęcia. Powietrze między nimi rozgrzało się momentalnie. Wiedźmy bez wątplenia nazwałyby to ogniem, ale w rzeczywistości mieli do; czynienia z plazmą.

Vestara przyjęła atak na swój miecz świetlny. Opierając się na prawej stopie, obróciła się i lewą wyprowadziła boczne kopnięcie, trafiając w żebra. Luke usłyszał trzask i Wiedźma cofnęła się niepewnie. Jej czar, nie wyrzadziwszy nikomu krzywdy, zderzył się z głazami i nieubita ziemią.

Nie dość, że Vestara zaskoczyła tę Wiedźmę, to na dodatek, rozproszyła pozostałe. Uwaga obu kobiet rzucających błyskawice Mocy osłabła. Luke poczuł, że ich atak odrobinę zelżał - i to mu wystarczyło.

Gdy wykonał przewrót w prawo, błyskawice podążyły za nim, ale udało mu się odbić większą część ich energii, zerwać się na równe nogi i nawet skoczyć w stronę najbliższej stojącej Wiedźmy. Wyprowadził kopniak, trafiając ją w podbródek. Poczuł, że pęka kość. Wiedźma przewróciła się do tyłu, przerywając tkane właśnie zaklęcie. Upadła bez wdzięku i pozostała w tej pozycji.

Ziemia zadrżała, gdy do walczących zbliżyły się rozpędzone rankory. Ominęły stojące z tyłu Wiedźmy. Jedna z bestii ruszyła ku Luke'owi, druga obrała sobie za cel Vestarę.

Obrócony do nich twarzą Luke przesunął się na prawo, wciąż zmagając się z naporem błyskawic. Zbyt późno jednak dotarło do nich, co zamierza. Trzaskający strumień energii trafił w rankora zamiast w Luke'a.

Błyskawica poraziła i rozświetliła cielsko bestii. Pędzący rankor potknął się i upadł na pysk. W wyniku tego niezamierzonego ruchu znalazł się poniżej strumienia błyskawic, które znowu zaczęły nękać Luke'a. Przyjął je na ostrze - wykonało swoje zadanie. Rankor leżał nieruchomo, z jego pleców unosił się dym. Luke uśmiechnął się szeroko do Wiedźm, ale nie radośnie, tylko ostrzegawczo.

Luke dostrzegł, że rankor po prawej potyka się o coś i upada przed Vestarą.

Tym czymś była stojąca bliżej niej Wiedźma. Jakimś cudem - może dzięki kolejnemu kopniakowi lub korzystając z Mocy - dziewczynie udało się ustawić ją tak, że znalazła się na drodze rankora. Teraz leżała na ziemi, stratowana przez bestię, a rankor niezgrabnie się przewracał.

Vestara nie miała litości. Z gracją i wprawą godną Rycerza Jedi odsunęła się na bok i wykonała oszałamiająco szybkie cięcie, obierając sobie za cel gardło rankora. Ramię bestii uderzyło o ziemię kilka centymetrów przed nią.

Jedna ze stojących z tyłu kobiet przekierowała błyskawicę na Vestarę. Dziewczyna Sith przyjęła ją na miecz, ale siła ataku zmusiła ją do odwrotu. Pod naporem energii cofała się krok po kroku.

A to oznaczało, że Luke'a atakowała już tylko jedna Wiedźma. Prąc przed siebie, przywołując siłę woli i techniki Mocy, zbliżał się do niej w takim samym tempie, w jakim cofała się Vestara.

Kolejny atak Mocą poczuł, zanim jeszcze zauważył efekty jego działania. Drzewa wokół pulsowały energią. Uderzył w niego podmuch wyjącego wiatru, dołączając swoją siłę do błyskawicy.

Nie był teraz w stanie wykonać kolejnego kroku, więc stanął w miejscu, nieruchomy niczym głaz. Wiatr rozwiewał mu ubranie i włosy, zmuszał do zmrużenia oczu i osłonięcia twarzy dłonią. Ale Luke nie przykleknął ani się nie cofnął.

Widział, jak wiatr uderza w dwie powalone Wiedźmy. Prąd; powietrza porwał je ze sobą, unosząc kilka metrów wzwyż, szarpiąc skóry, które miały na sobie, by wreszcie cisnąć Wiedźmami w las. Dwie pozostałe, atakujące błyskawicami Mocy jego i Vestarę, również się wycofały, ale nie dały się przewrócić i krok po kroku dotarły do linii drzew, znikając w lesie.

Wiatr jednak nie ustał. Luke zauważył, że podmuchy przycisnęły Vestarę do skalnej ściany u podnóża zbocza.

Ze szczytu wracały właśnie cztery rankory, które go wcześniej minęły. Wszystkie były zakrwawione, ale wyraźnie było widać, że przeważnie nie jest to ich krew. Gdy tylko dotarły do podstawy wzgórza, puściły się biegiem, i chwilę później zniknęły w cieniu drzew.

Dopiero wtedy wichur ustał.

Luke spojrzał na Vestarę, której udało się wreszcie ode rwać od skały. Zasalutował jej mieczem świetlnym i wyłączył broń.

- Jestem zaskoczony, że mi pomogłaś. Pamiętam przecież z jaką zaciętością ty i twoja pani walczyłyście ze mną w Otchłani.

Vestara również wyłączyła swój miecz - czy też raczej, jak uświadomił sobie Luke, broń Bena. Wzruszyła ramionami.

- Wtedy byliśmy wrogami. Teraz dążymy do wspólnego celu.

- A jakiego dokładnie, że pozwolę sobie zapytać?

- Oczywiście chodzi o pokonanie Sióstr Nocy. Chcesz, że bym z tobą została?

Pokręcił przecząco głową.

- Benowi przyda się jego miecz świetlny.

Vestara zaczęła z gracją wspinać się po stoku.

- Na twoim miejscu odciąłabym jednemu rankorowi łeb i ustawiła go na kamieniu. To by dało do myślenia reszcie. Miałyby się czego bać.

- To nie w moim stylu.

Chwilę później Luke wspiał się za nią, wracając na swoje stanowisko w połowie wysokości zbocza.

Ben obserwował postępy dziewczyny. Targały nim sprzeczne emocje: wdzięczność za to, że pomogła Luke'owi, i podejrzliwość co do jej motywów. Gdy Vestara wdrapała się na grań, wyciągnął dłoń, pomagając jej się podnieść.

- Chyba powinienem ci podziękować - mruknął.

Oddała mu miecz świetlny i uśmiechnęła się znacząco.

- Ale pewnie nie podziękujesz. Bo gbur z ciebie.

- Dziękuję.

- Nie ma o czym mówić. A tak przy okazji, masz ładny miecz. Szkoda, że kolor niefortunny.

Gdy odeszła w stronę najbliższej stojącej grupki Wiedźm Deszczowych Liści, Ben przytroczył miecz do pasa.

Zmusił się, by przestać myśleć o Vestarze. Stanowiła problem i zagrożenie, fakt, ale nie była to aż tak pilna sprawa.

Mimo że Deszczowe Liście i Strzaskane Kolumny po raz kolejny odparli wspólnie atak nieprzyjaciół, a u podnóża zbocza leżały trzy martwe lub nieprzytomne rankory, klany poniosły spore straty. Zginęło tuzin wojowników, a jeszcze większa ich liczba odniosła rany. Morale podupadało, a fakt, że Siostry Nocy się ujawniły, pokazując tym samym, że wezmą bezpośredni udział w walce, przyczynił się do znacznej utraty ducha wśród członków klanów. Ben dołączył do obradujących nieopodal Kaminne, Tasandera i ich zastępców; był tam też Dyon. Chłopiec przysiadł na płaskim kamieniu obok grupy.

Tasander sprawiał wrażenie zmartwionego, jeszcze mniej pewnego siebie niż wcześniej.

- Czekam na wasze pomysły - powiedział. - Przewodziłem Strzaskanym Kolumnom w wielu walkach, ale żadna nie przypominała tej. Rankory, Siostry Nocy... nie mam doświadczenia taktycznego w takich sytuacjach.

Kaminne nie wyglądała lepiej od niego.

- Ja również. Nikt nie ma.

Ben zmarszczył brwi, bo właśnie coś sobie uświadomił.

- To nieprawda. Ja mam.

Kaminne poweselała.

- Z walk z innymi Jedi?

- Nie, nie z Jedi. Z wojen kosmicznych.

Tasander posłał mu zaciekawione spojrzenie.

- Co takiego?

Ben objął szczyt wzgórza szerokim gestem.

- Niech to będzie nasz Gwiazdny Niszczyciel. Albo hapański Smok Bitewny, jeśli wolicie. - Wskazał kilku stojących dalej wojowników Strzaskanych Kolumn, wyposażonych w strzelby. - Oni

mają broń dalekiego zasięgu. - Przesunął palec na kolejną grupę wojowników z łukami i blasterami. - To stanowiska turbolaserów. - Następna była grupka Wiedźm. - Działa jonowe i inne specjalistyczne systemy broni dalekiego zasięgu, jak torpedy protonowe. - I wreszcie grupka mężczyzn Strzaskanych Kolumn wyekwipowana we włócznie i zastrzone piki. - Tu są tarcze. Atakujące nas rankory to myśliwce.

Odezwał się Tasander:

- W porządku. Ale, jak to mądrze mawiał mój ojciec: co z tego?

- Przegrywamy, bo nie zgraliśmy systemów broni z tarczą. Powiedzmy, że po lewej mamy grupę włóczników z Deszczowych Liści, a po prawej ze Strzaskanych Kolumn. W miejscu, gdzie się ze sobą stykają, pojawia się rankor. Gdy atakuje, włócznicy wycofują się w różnych kierunkach, otwierając przejście. Tarcze nie nakładają się na siebie, nie wzmacniają się wzajemnie. Rankor przystępuje więc do ataku, chwytą i zabija kilka osób.

- Rozumiem. - Dyon kiwnął głową. - A łucznicy i wojownicy z blasterami atakują wszystkie cele jednocześnie, na każdym skupiając się w jednakowym stopniu.

- Zdałoby to egzamin w walce przeciwko ludziom. - Kaminne również przemyślała już ich taktykę. - Ale niekoniecznie rankorom.

Tasander podniósł się na nogi i obrzucił spojrzeniem zebrane na szczycie wzgórza, tak bardzo różniące się od siebie grupki wojowników i Wiedźm.

- Chyba wiem, co trzeba zrobić. Ufasz mi, Kaminne?

- Wiesz, że tak.

- Więc pozwól mi to zreorganizować i udziel mi swojego poparcia.

Pięć minut później Tasander przemówił do połączonego zgromadzenia Deszczowych Liści i Strzaskanych Kolumn. Mówił głośno, by usłyszeli go tłumnie zebrani przed nim członkowie klanów, ale nie aż tak, żeby słowa dotarły do lasu.

- Tak jak dotychczas, będziemy podzieleni na cztery oddziały. W skład głównego oddziału, który zajmie pozycje o, tutaj, wejdzie połowa naszych wojowników, a do trzech pozostałych, stacjonujących tam gdzie wcześniej, wejdzie po jednej trzeciej pozostałych sił.

Grupa włóczników to Tarcza - ciągnął. - Zajmiecie pozycje z tyłu grani. W pierwszym szeregu mają stać wojownicy z zastrzonymi pikami, zapartymi o ziemię. Nie wolno wam się ruszyć. Bez rozkazu nie przechodzicie do ataku ani się nie cofacie. Pozwolicie rankorom wspiąć się na grani, niech się nadzieją na waszą broń. Włócznicy, stoicie za nimi i atakujecie czułe punkty: pyski, pachy, wszystkie miejsca, gdzie nie chroni ich skórzana zbroja.

Wojownicy z łukami i blasterami to Turbo, skrót od „turbolaserów”. W pierwszej fazie zajmiecie pozycje przed Tarczą. Gdy przeciwnik znajdzie się w zasięgu wzroku, zaczniecie go nękać z dystansu. Jak tylko padnie komenda „włączyć Tarcze”, cofniecie się za włóczników. Tam sformujecie się na nowo i będziecie czekać, aż rankory uderzą w Tarczę. Dopiero wtedy otworzycie ogień. Jeśli dowódca wskaże konkretny cel, koncentrujecie na nim ogień, dopóki nie powie „strzelać bez rozkazu” lub nie wybierze kolejnego celu.

Wiedźmy, zajmujecie pozycję za Tarczą, pozostawiając Turbo wystarczająco dużo miejsca, by mogli ustawić się przed wami. Dowódca waszej jednostki również wskaże wam konkretny cel, a waszym zadaniem będzie skoncentrować na nim swoje zaklęcia, póki rankor nie padnie lub nie ucieknie. Wtedy dowódca wskaże kolejnego, potem następnego i tak dalej.

Ci, którzy uważają się za strzelców wyborowych, dołączą do Snajperów. Zajmiecie pozycje wzdłuż grani zbyt stromej dla rankorów. Na sygnał dany przez dowódcę otworzycie ogień, głównie do rankorów, gdy te znajdą się na szczycie, ale jeśli dowodzący wypatrzą Siostrę Nocy, wskażą wam nowy cel.

Tasander umilkł, ale Kaminne podjęła przemówienie, zanim zdążyły podnieść się jakiegokolwiek głosy.

- Nie pozwolimy, żeby Siostry Nocy nam rozkazywały. To zaś oznacza, że albo będziemy żyć jako jedna, zwarta siła, albo umrzemy jako jednostki. Życie lub śmierć, wybór należy do was.

Musicie zrozumieć, że w obrębie grup członkowie Deszczowych Liści i Strzaskanych Kolumn mają być ze sobą przemieszani. Gdy ustawicie się w szeregu, a po lewej lub prawej zobaczycie kogoś ze swojego klanu, to znak, że zawiedliście. Macie stać naprzemiennie, Liść - Kolumna, Liść - Kolumna. Osobiście zabiję tego, kto zostawi na pastwę losu towarzysza spoza swojego klanu. Chyba że Tasander mnie ubiegnie. Przysięgam.

Nie było najmniejszej szansy, by podniosły się szmery. Nikt nie przerwał ciszy, która zapadła po słowach Kaminne.

Odczekała chwilę i skinęła głową, zadowolona z efektu, jaki wywarła jej przemowa.

- Wracajcie na pozycje. Nowi dowódcy oddziałów przełożą wam rozkazy.

Bez słowa i pod dużym wrażeniem członkowie Strzaskanych Kolumn i Deszczowych Liści rozeszli się na swoje posterunki.

Ben ciężko westchnął.

- Widziałeś już kiedyś coś takiego?

Dyon pokręcił przecząco głową.

- To się mogło wydarzyć tylko na takiej planecie jak ta.

- Zrobisz coś dla mnie, skoro zostaję tutaj dla podbudowania morale?

- Pewnie.

- Zejdź niżej i powiedz tacie, żeby nie eliminował rankorów. Siostry Nocy zaczynają modyfikować swoją taktykę. Skoro wprowadzamy nowe zagrania, to i on powinien się przystosować. Powiedz, że ma wolną rękę, jeśli zechce zrobić coś nowego, nieprzewidywalnego.

Dyon uśmiechnął się szeroko.

- Załatwione.

Utrata trzech rankorów i zranienie dwóch Sióstr Nocy najwyraźniej dało Wiedźmom do myślenia. Kolejny atak nadszedł dopiero godzinę po zakończeniu poprzedniego. Ben znowu poczuł szarpnięcie pajęczyny Mocy nad swoją głową; kolejny raz, wraz z pozostałymi, podniósł alarm.

Ale tym razem na grani tłoczyli się już tylko wojownicy z łukami i blasterami. Ben, dowodzący Tarczami na południowo-zachodnim zboczach, zajął pozycję między pikinierami i nie porzucił jej, by przyjrzeć się siłom przeciwnika.

- Pięć, sześć, siedem, osiem! - krzyczała członkini Deszczowych Liści, dowodząca Turbo. W jej głosie dało się wyczuć niepokój, ale nie strach.

Turbo zaczęły strzelać.

Ich skoncentrowany ostrzał trwał tylko kilka sekund. Wreszcie dowódca zawołał: „Włączyć Tarcze! Włączyć Tarcze!”

Ben przycisnął się do stojącej po lewej, dzierżącej pikę wojowniczką Deszczowych Liści. Zmienił pozycję, otwierając przejście między sobą a pikinierem po prawej. Wojownicy z łukami i blasterami przemknęli nowo powstałym tunelem, minęli luźną formację włóczników z tyłu i sformowali się na nowo. Ben wrócił na swoją pozycję.

Zadrzała ziemia i chłopiec dostrzegł ręce i głowy rankorów, wyłaniające się z krawędzi wzgórza. Donośnym głosem, tak aby usłyszano go w całym tym zgiełku, krzyknął:

- Tarcze, przygotować się!

Rankory podciągnęły się na szczyt wzgórza i pognały przed siebie. Wojownicy z zaostrzonymi, wbitymi w ziemię tykami wycelowali swoją broń w pięć bestii biegnących w pierwszym rzędzie. Rankory wpadły na wojowników; piki wygięły się, jedna pękła. Gdy zwierzęta sięgnęły po mężczyzn i kobiety, włócznicy zaczęły dźgać ich ramiona. Ben włączył miecz świetlny i po samą rękę wbił go w kolano rankora.

- Turbo, celować w głowę środkowego, ognia! - Wybór dowódcy Turbo okazał się trafny; jej ostry, władczy głos łatwo wznosił się ponad wrzawę.

Strzały z łuków i promienie blasterów jednym strumieniem uderzyły w pysk stojącego w środku rankora. Już po chwili był nie do poznania. A jednak bestia nie padła, jeszcze nie; wyjąc, zatoczyła się do przodu, przebijając się przez linię trzech stojących za nią rankorów, i runęła w dół zbocza. Ten, któremu Ben przebił kolano, również się cofnął, ale tylko na tyle, by dołączyć do szeregu w pełni sprawnych rankorów.

Zostały cztery w pierwszym rzędzie i trzy w drugim.

- Turbo, środek-lewo, celować w pysk, ognia!

Chwilę później chwiejnym krokiem wycofał się kolejny umierający rankor. Pozostałe podjęły brutalny i energiczny atak na szereg włóczników i pikinierów, ale ci ostatni nie pozwolili im się zbliżyć na wystarczającą odległość, a ci pierwsi bronili towarzyszy walki przed atakami bestii.

Do boju dołączyły Wiedźmy. W szereg rankorów uderzyła cała nawałnica różnorodnych ataków - błyskawice, grad kamieni, rozbłyski ognia, przesywające dźwięki.

Jednemu z rankorów udało się przebić za linię dżgających włóczni i naostrzonych pik, i chwycić w talii kobietę stojącą obok Bena. Jedi zamachnął się, wkładając w uderzenie całą swoją siłę. Pomimo ogromnej masy ramienia rankora, miecz świetlny przeciął nadgarstek i odciął dłoń. Rankor wyprostował się, patrząc na przyżeganą ranę i wyjąc z przerażenia i bólu - aż jego głowa buchnęła płomieniem, podpalona zaklęciem Wiedźmy. Trzymając się za nią kurczowo, rankor pognał ku krawędzi.

I nagle z ośmiu atakujących bestii pozostały tylko trzy. Ben pierwszy raz poczuł, że emanuje z nich nie ból czy wściekłość, a strach.

Rankory się wycofywały.

- Tarcze, utrzymać pozycje!

- Turbo, do ataku! Strzelać bez rozkazu!

## ROZDZIAŁ 24

Luke przysiadł na płaskim kamieniu kilka metrów od wygodnego, południowo-zachodniego podejścia. Był od stóp do głów owinięty w czarny koc, o który poprosił Dyona. Miecz świetlny wciąż wisiał mu u pasa.

W pierwszych chwilach ataku beznamyślnie obserwował osiem wspinających się rankorów, nawet gdy któryś mijał go w odległości kilku metrów. Jeden z nich, idący w środku, został nieco w tyle za pozostałymi, rozglądając się na lewo i prawo w poszukiwaniu Luke'a. Nie znalazłszy go, kontynuował wspinaczkę.

Połowicznie pograżony w medytacji, Luke zatonął w Mocy, odrywając się od otaczającej go rzeczywistości.

Wyczuwał, a nawet widział rozpostartą nad nim sieć. Ale jemu potrzebna była tylko jedna nitka...

Podążył za nią przez przestwór nieba, a potem w dół, gdy odłączyła się od splotu i stała się pojedynczym, nieskażonym kanałem Mocy, energii Ciemnej Strony. Podążył jej śladem między drzewa, na ziemię.

Stała tam kobieta. Prawie ją widział oczami wyobraźni - była wysoka, mocno zbudowana, nawet urodziwa, jak na dzikuskę z Dathomiry. Miała rude włosy, tak samo jak Mara. Poczuł ukłucie smutku, ale nie wytrąciło go to z medytacji.

Nie skłoniło też do porzucenia swego celu.

Leżący obok stos - chyba z tuzin przygotowanych wcześniej kamieni wielkości pięści - uniósł się w powietrze. Wyżej i wyżej, aż sięgnął sieci Mocy i wybranej przez niego nitki.

Siostry Nocy opracowywały taktykę walki z Lukiem Skywalkerem. Niechaj i tak będzie. A więc na jakiś czas stanie się kimś innym.

Carrack potrafił skutecznie z nimi walczyć, więc się go pozbyły. Niechaj i tak będzie; na jakiś czas Luke stanie się Carrackiem... przynajmniej na poziomie stosowanej przez niego taktyki i roli, jaką odegrał.

Chmura kamieni przesuwała się teraz w bok, podążając za wskazaną przez Luke'a nitką Mocy.

A potem wraz z nią opadła po łuku ku ziemi. Luke obserwował oczami wyobraźni, jak chmura rozszerza się i nabiera prędkości.

W oddali dostrzegł szybko powiększający się punkcik - rudowłosą Siostrę Nocy.

W ostatniej chwili, przeczuwając zagrożenie, spojrzała w górę. Akurat w momencie, gdy uderzyła w nią chmura kamieni.

Obraz zniknął. W jednej chwili wyparowała też nitka energii Mocy tej Siostry Nocy. Sieć nad nimi zadrżała i osłabła.

Mknące w dół zbocza rankory przebiegały na lewo od Luke'a. Otworzył oczy, obserwując je. Obecność w Mocy pierwszego w stadzie już zanikała. Jego pysk był jedną wielką raną. Kolejna bestia, z płonąca głową, młóciła w powietrzu łapami i wyła.

Luke westchnął. Nie życzył im śmierci, ale zawsze pojawiała się ona tam, gdzie decydowano się wykorzystać Moc do osiągnięcia celu sprzecznego z naturą.

Na szczycie wzgórza Dathomirianie wznosili okrzyki radości. Na początku niezbyt równo, potem głośniejszym i pewniejszym głosem.

Ben ściągnął na siebie wzrok dowódczym Turbo.

- Ilu straciłaś? - zapytał.

Pokręciła głową, jakby sama nie dowierzając.

- Nikogo. A ty?

- Mam dwójkę rannych. Ale nikt nie zginął.

- Ale nie udało im się przebić do Wiedźm. - Odwróciła się i przywołała nastoletniego członka Strzaskanych Kolumn. - Ty tam, przynieś wody.

Już chwilę później stało się jasne, że odniesione przez nich zwycięstwo, choć zaskakująco szybkie, było jednak całkowite. Czterech członków klanów odniosło rany, jeden być może nawet śmiertelne. U podnóża wzniesienia pojawiły się za to cztery kolejne ciała rankorów, trzy wzdłuż południowo-zachodniego zbocza i jedno na wschodnim.

Ben wyczuwał obecność ojca w dole wzgórza, na głównym podejściu. Luke był spokojny, niewzruszony.

Dyon stanął przy krawędzi obok Bena.

- Gwiezdny niszczyciel „Wzgórze” całkiem nieźle się trzyma.

Ben przytaknął.

- Teraz przekonamy się, z jakiej gliny jest ulepiony ich dowódca.

W ciągu kolejnych dwóch godzin rankory zaatakowały jeszcze trzy razy.

Zginęło siedmiu członków Deszczowych Liści i Strzaskanych Kolumn. Jeszcze więcej odniosło rany. Zabito dwanaście rankorów, a resztę poraniono. Wszystkie rankory, które brały udział w dwóch ostatnich atakach, walczyły już wcześniej i też odniosły rany.

Dyon, który po każdej potyczce odwiedzał Luke'a, przekazał wiadomość od niego, że za każdym razem padała też jedna Siostra Nocy. Luke nie potrafił określić, ile ich zginęło, a ile odniosło rany.

- Ale twój ojciec kręcił głową tak zawzięcie - składał swoje sprawozdanie Dyon - że chyba już po nich.

## Świątynia Jedi, Coruscant

Han przygładził włosy na karku. Szli właśnie z Leią szerokim holem głównego wejścia do Świątyni Jedi.

- Nie zerwaliś już z nimi przypadkiem? - zapytał teatralnym szeptem.

Leia posłała mu zaciekawione spojrzenie.

- To znaczy?

- No, z tą zgrają, z którą kiedyś trzymaliśmy i staliśmy obozem, otoczeni przez wrogów...

Pokręciła głową.

- Są istotne różnice.

- Na przykład?

- Tutaj możemy przejść się ulicą po kubek kawy. A temperatura utrzymuje się na znośnym poziomie.

Han się rozpromienił.

- Nie będziemy się ciągle pocić. I wszędzie są sanipary. - Pociągnął nosem. - Ale chyba nie wszyscy z nich korzystają.

Idąca przed nimi Kani Asari, złotowłosa uczennica pełniąca obecnie funkcję osobistej asystentki Kenta Hamnera, obejrzała się przez ramię.

- Rząd uniemożliwił nam korzystanie z wody, energii i wywozu nieczystości. Korzystamy z zapasowych generatorów i przetworzonej wody. Nie starcza na wszystkie domowe wygody.

Spojrzenie Hana było pełne skruchy.

- Wybacz.

Dotarli do pierwszych turbowind. Kilka z nich było zaklejonych srebrną taśmą, co oznaczało, że zostały wycofane z użycia, ale jedna wciąż działała. Uczennica zabrała małżeństwo Solo kilka piętér w dół i odprowadziła aż do sali konferencyjnej, ale nie weszła z nimi.

W pokoju stały ciemne, wygodne fotele i stoliki, na których ustawiono półmiski z poczęstunkiem. Gdy weszli, z fotela podniosła się Jaina. Leia przytuliła córkę.

Han poczekał na swoją kolej.

- Miło, że Hamner każe na siebie czekać.

Gdy tylko Leia wypuściła Jainę ze swoich objęć, Han przyciągnął ją do siebie.

- Jak się miewa Amelia?

Jaina przewróciła oczami.

- Opowiada niestworzone historie z Dathomiry. O uratowaniu Artoo-Detoo i o walce z jednookim gigantem. Cilghal i pracownicy medyczni są nią oczarowani. Proszę, siadźcie, częstujcie się.

Han wypuścił Jainę z objęć i zastosował się do jej prośby.

- Nasza córka uważa mnie za wytresowanego neka. Siad, jedz, turlaj się. A co u Anji?

- Cilghal sądzi, że nic jej nie będzie - wyjaśniła Jaina. - To było tylko wstrząśnienie mózgu.

- A Jag? - zapytała Leia. - Widujesz go?

Jaina poczekała, aż Leia również usiądzie, i wróciła na swój fotel.

- Ostatnio nie za często. Był zamach na jego życie...

Leia pokiwała głową.

- Mówili o tym w wiadomościach, gdy wracaliśmy do domu.

- ...a ponieważ nie jest to jedyny powód, dla którego trzeba zapewnić mu ochronę, ma też pod dostatkiem zajęć. Ale zgłosił się do pomocy w prowadzonych przez was negocjacjach.

Leia się uśmiechnęła.

- Więc możemy go wezwać.

- Zgadza się.

- Tak, już to widzę. - Han rozsiadł się w charakterystyczny dla siebie, niedbały sposób. - My go ściągniemy, a on zabierze ci twój cały cenny czas. Wiesz, my też lubimy od czasu do czasu widywać naszą córkę.

Drzwi otworzyły się z sykiem i do komnaty wszedł Mistrz Kent Hamner. Han przyzwyczał się do widoku innych Mistrzów otaczających tymczasowego przywódcę, i dziwnie się poczuł, widząc go samego.

Hamner nakazał im gestem, by nie wstawali, ignorując fakt, że tylko Jaina zamierzała się podnieść.

- Wybaczcie spóźnienie. Wiele spraw wymaga naszej uwagi. Jedi Solo... - miał na myśli Jainę, choć równie dobrze mógł się w ten sposób zwrócić do Lei. - Możesz zostać, jeśli chcesz.

Zajął miejsce naprzeciw małżonków.

- Dziękuję, sir - odparła Jaina.



Hamner wyciągnął datapad i otworzył go na stole przed sobą.

- Co proponujecie?

Han z Leią wymienili spojrzenia i wreszcie Han odpowiedział:

- Mam być obiektywny, więc grzecznie powiem, że niewiele.

- Ale mamy coś na początek - poprawiła go Leia. - Daala chce wydania Sothaisa Saara.

Hamner otworzył usta ze zdziwienia.

- Odstawiła całą tę szopkę tylko po to, żebyście przynieśli Radzie taką propozycję?

- Obiecuję, że nie zamrozi go w karbonicie - wtrącił Han.

Hamner zmarszczył brwi, ale zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, odezwała się Jaina.

- I gdzie będą go trzymać? - zapytała. - Wiecie, że to pusta obietnica.

- Czyżby? - zapytał Hamner.

- Na pewno - nie ustępowała Jaina. - Saar dysponuje Mocą i został odpowiednio

przygotowany, by uciec z miejsc pokroju MaxSec Osiem. Jak niby zgraja matołów ze Służb Bezpieczeństwa Sojuszu zamierza go tam zatrzymać?

- Tak samo, jak i my - odpowiedział jej Hamner. - Dzięki isalamiriom.

Han był zdumiony.

- O tym nie pomyślałem.

W innej sytuacji nie przyznałby się do tego, ale dał słowo generała Sojuszu Galaktycznego, że zachowa bezstronność.

- Nawet jeśli dacie im isalamiry, Jedi i tak może narobić kłopotów.

- Tak samo, jak bothańscy komandosi - odparł Hamner. - I skrytobójcy Yakowie. A z nimi Służby Bezpieczeństwa świetnie sobie radzą.

- A jeśli okaże się, że jest inaczej? - dopytywała Jaina. - Narazicie życie Sothaisa.

Twarz Hamnera przybrała srogi wyraz.

- Jedi Solo, ryzykuję życie Jedi za każdym razem, gdy wysyłam ich z jakąś misją. Ta sytuacja niczym się nie różni i również służy większemu dobru. Może ci się to podobać albo nie, ale odbudowanie zdrowych stosunków z rządem przysłuży się tak Zakonowi, jak i całemu Sojuszowi.

Nawet Han musiał przyznać, że to prawda.

- Więc się zgodzisz? - Nie mógł uwierzyć, że zadaje to pytanie wolny od uprzedzeń... a może było inaczej, skoro nadal nie uważał tego za dobry pomysł. - Jesteś pewien?

Hamner zamyślił się na chwilę i pokręcił głową.

- Rozważę propozycję - odpowiedział. - Ale chcemy coś w zamian. Inaczej Mistrzowie nie wyrażą zgody i nie mógłbym ich o nią prosić.

Zapadła krótka cisza, aż wreszcie Jaina zapytała:

- A co z Hornami?

- Byłoby miło - odparła Leia - ale jakoś mi się nie wydaje, żeby chciała ich wypuścić.

- Nie musi ich wypuszczać - wtrąciła Jaina. - Ale mogłaby chociaż rozmrozić.

- To prawda. - Han dochodził do wniosku, że ten plan może się powieść. - Byłoby sprawiedliwie. Skoro Daali wydaje się, że Służby Bezpieczeństwa upilnują jednego szurniętego Jedi, to dlaczego nie trzech?

- Musiałaby też zastrzec, że nie są więźniami - dorzuciła Leia. - Mieliby status pacjentów i mogliby korzystać z opieki najlepszych lekarzy Sojuszu.

- Już im to zapewniono - powiedziała Jaina. - Nie ma lepszych od Mistrzyni Cilghal.

- Ale Mistrzyni Cilghal i jej podwładni nie mają tyle swobody, co ośrodki medyczne Coruscant - zripostował Hamner. - Mogłoby się to nawet okazać korzystne dla Jedi... o ile, oczywiście, nie zostaniemy pozbawieni dostępu do pacjentów.

- Tak - rzucił Han, kiwając głową. - Brzmi w porządku.

Gdy zapadła cisza, Han nie potrzebował Mocy, by wyczuć, jak wszyscy są podekscytowani roztaczającymi się przed nimi perspektywami. Jeśli Daala rzeczywiście dążyła do rozwiązania ich problemu - choćby robiła to, ponieważ przyparto ją do muru, jak dał do zrozumienia Dorvan - to być może wykonali właśnie pierwszy krok.

Oczywiście wtedy Jaina musiała rozsiąść się w fotelu ze skrzyżowanymi rękami i przemówić.

- Początek może być obiecujący - powiedziała. - Ale Daala nie dotrzyma warunków umowy. Zamrozi ich wszystkich, odmówi nam dostępu do ich danych i wszystkie atuty zostaną w jej ręku. Nie będziemy mieli czego się chwycić.

Hamner zastanowił się nad tym i wzruszył ramionami.

- Nawet jeśli, to co na tym stracimy? Jednego Jedi. Przynajmniej nie będziemy mieć wątpliwości co do przejawów jej dobrej woli.

Han nie mógł w to uwierzyć.

- Teraz naszły cię wątpliwości?

- Han - mruknęła Leia. - Masz być bezstronny, pamiętasz?

Jaina obserwowała ich wymianę zdań ze zmarszczonymi brwiami.

- O co wam chodzi?

- O nic - odparł Han. - Tylko że właściwie obiecałem Daali, że nie storpeduję tej umowy... chyba że będzie na to zasługiwać.

Jaina przewróciła oczami.

- Tato, jej nie można ufać.

- Tego nie wiemy. Może stara się postąpić słusznie. - Han wzruszył ramionami. - Zresztą, co ja tam wiem. Wpoilem ci brak zaufania do wszystkich polityków poza Leią i teraz odczuwam to na własnej skórze. - Wskazał kciukiem żonę. - Porozmawiaj z matką.

Leia się zamyśliła.

- Nie mieliśmy jeszcze szansy sprawdzić, czy jako prezydent Daala dotrzymuje obietnic. Ale właśnie nadarzyła się idealna okazja. Zyskamy pewność.

Hamner pokiwał głową.

- Chodzi tu przecież o to, żeby podjąć współpracę, gdy sobie wzajemnie nie ufamy. - Przeniósł kamienne spojrzenie na Jainę. - Nawet Miecz Jedi powinien trochę wiedzieć o prowadzeniu negocjacji.

Jaina głośno wypuściła powietrze i opadła na fotel.

- Ja również jestem sceptycznie nastawiony do tego pomysłu, Jedi Solo - powiedział Hamner. - Ale od czegoś musimy zacząć.

Odwrócił się do Hana i Leii.

- Zanieście Daali naszą propozycję i obserwujcie jej reakcję. To wam powie, na ile jest z nami szczerą.

Leia skinęła głową, ale jeszcze nie wstała.

- A moglibyśmy najpierw pobyć trochę z naszą córką?

- Oczywiście. - Hamner wstał i skierował się ku drzwiom. - Nie spieszcie się. Bez waszego udziału ta sytuacja i tak nie ulegnie poprawie.

## ROZDZIAŁ 25

### Obóz Jedi, Dathomira

Ataki się skończyły. Wyczerpani wojownicy Deszczowych Liści i Strzaskanych Kolumn przysiedli tam, gdzie zostali rozmieszczeni, a potem, owinięci w koce, zapadli w sen. Spali w małych grupkach. Niektórzy na siedząco, oparci o siebie plecami. Strażnicy na grani czuwali.

Aż nastał świt. Po zbyt krótkim odpoczynku członkowie klanów obudzili się obolali, niektórzy ranni, jeszcze inni oplakując zmarłych.

Ben pakował właśnie jedzenie i wodę, gdy podszedł do niego Dyon.

- Udało mi się zaktualizować dokument.

Ben związał końce materiału rzemykiem, robiąc z niego prostą torbę.

- A więc zagłuszanie zostało wyłączone?

- Na razie.

Ben wyciągnął komunikator.

- Tato?

- Dobrze cię słyszeć, Ben.

- Chcesz coś do jedzenia?

- Mam, dziękuję.

- Zwołujemy zebranie wodzów, zastępców i ich ulubionych przedstawicieli Jedi. Przekażę ci wszystko, gdy tylko skończymy.

Zebranie nie trwało długo. Najwyraźniej Kaminne i Tasander ustalili wcześniej wszystkie szczegóły. Każde wezwało kapłana swojego klanu i podczas krótkiej, nieskomplikowanej ceremonii Tasander i Kaminne zostali sobie poślubieni. Rolę świadków odegrali ich zastępcy, Ben, Dyon i Vestara.

Na prośbę nowożeńców Ben opuścił powiewający nad wzgórzem sztandar Jedi. Tasander i Kaminne wciągnęli na to miejsce inny, świeżo namalowany przez Dyona. Przedstawiał promieniujące złotym światłem słońce; pod nim wymalowano czarną podstawę pękniętej kolumny i zielony liść paproci.

Donośnym głosem, by usłyszeli go wszyscy na wzgórzu i poniżej, Tasander krzyknął:

- Niniejszą ceremonią rozwiązuję klan Strzaskanych Kolumn, który założyłem dziesięć lat temu. Teraz jestem Tasanderem Destem z klanu Jaśniejącego Słońca. Jeśli ktokolwiek ze Strzaskanych Kolumn nie będzie chciał dołączyć, może do mnie przyjść, reaktywować Strzaskane Kolumny i pójść swoją drogą, zostawiając nas na zawsze.

Kaminne ogłosiła to samo Deszczowym Liściom. Dodała też:

- Zebranie i igrzyska, w których braliśmy razem udział, zakończyły się. My, Jaśniejące Słońce, jesteśmy teraz w stanie wojny z Siostrami Nocy. Ostatniej nocy nauczyliśmy się, jak zmusić je do odwrotu. Teraz nauczymy się, jak je zniszczyć.

- Zwiadowcy i myśliwi, którzy nie odnieśli ran, mają zająć pozycje na południowo-zachodniej krawędzi. To tyle - polecił głośno Tasander.

Ale nie był to jeszcze koniec; po całej ceremonii i ogłoszeniach członkowie klanów zaczęli gratulować nowożeńcom. Fasada surowych, wodzowskich pozorów Kaminne i Tasandera runęła wraz z pojawieniem się uścisków, poklepywania po plecach i przygotowanych na poczekaniu prezentów. Jak zauważył Ben, nikt nie chciał poprowadzić w dalszą drogę klanu Strzaskanych Kolumn ani klanu Deszczowych Liści.

- Dobra robota, Ben.

Ben drgnął, zaskoczony. Gdy się odwrócił, zobaczył stojącego obok ojca.

- Nie powinieneś podkradać się do Jedi.

- Tylko Jedi może podkradać się do Jedi.

- A komentarz w rodzaju „dobra robota” jest nie całkiem na miejscu. Ja tylko wskazałem, które elementy taktyki klanów źle sprawdzały się w walce. Sami wymyślili rozwiązania, które zdały egzamin, a ważną rolę odegrał w tym Tasander. - Ben przyjrzał się uważnie ojcu i wybuchnął śmiechem.

- Co cię tak śmieszy?

- Nareszcie się ubrudziłeś - zamilkł. - Czekał, czekał, czy ty w ogóle powinieneś tutaj być?

Luke wskazał na sztandar Jaśniejącego Słońca.

- To już nie jest obóz Jedi. Nic nie stoi na przeszkodzie.

- Racja. Chyba moja rola gospodarza też już dobiegła końca.

Podeszli do południowo-zachodniej krawędzi i spojrzeli na sklepienie rozciągającego się poniżej lasu deszczowego.

- Jeszcze tutaj nie skończyliśmy. Siostry Nocy, wykorzystując Ciemną Stronę Mocy, mogły kontaktować się z dziewczyną, której szukaliśmy, a to oznacza, że całym tym bałaganem musieli zainteresować się Jedi, powinniśmy jednak myśleć kilka ruchów naprzód. Jak przekonamy Olianne, żeby przekazała w nasze ręce Vestarę, i jak namówimy Vestarę, by nam towarzyszyła? Jak, nie

mogąc podeprzeć się prawem, skłonimy ją, by opowiedziała nam o Sithach, albo jak ją powstrzymamy, żeby nie dała znać swoim o energii Ciemnej Strony w Otchłani?

Ben skinął ze zrozumieniem głową.

- Możemy spróbować czegoś takiego: zabiorę Vestarę na spacer do lasu. Napomknę, że mam przy sobie datakartę z kodami do „Cienia Jade”. Odwrócę się do niej plecami. Kiedy będzie próbowała wbić mi nóż, wyskoczysz z cienia i ją powstrzymasz. Oskarży się ją o usiłowanie zabójstwa.

- Jest chyba za sprytna, żeby dać się złapać na tak oczywisty podstęp rodem z holofilmu.

- Tak, wiem. - Ben kopnął kamyk i obserwował, jak odbija się po stoku, by wreszcie dołączyć do powstałego przez noc osuwiska na dole. - Czyli pozostaje dowiedzieć się, co ona tutaj właściwie robi. Gdy już się upewnimy, że nie wypełni swojego zadania, albo że już je wypełniła, i to być może przy naszej pomocy, choć o tym wolę nawet nie myśleć, to nie będzie miała nic przeciwko temu, by z nami wyruszyć.

- A zatem jaki jest jej cel, Ben? Miałeś już kilka okazji, by z nią porozmawiać.

- Nie dała niczego do zrozumienia, gdy ci pomagała?

- Nie, chyba że sam fakt udzielenia mi pomocy był jakąś wskazówką. Jaki interes może mieć Sith w ratowaniu Mistrza Jedi?

Ben pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się, żeby tego chciała. Zabiła jej panią. Cały nasz Zakon reprezentuje zażartego wroga jej gatunku. A może cię uratowała, by później własnoręcznie zabić i nie oglądać, jak giniesz z rąk dzikusów?

- Może o to właśnie chodzi. Cel numer jeden Vestary: oddać Luke’a Skywalkera w ręce swojego ludu. Ale jaki jest cel numer dwa?

Ben westchnął.

- Wspominała, że ich podziwia. Chyba miała na myśli wszystkich Dathomirian. To by miało sens. Może i są kochającymi zielen domatorami, ale nie ma chyba w galaktyce ludu o wyższym odsetku wyczulonych na Moc. A biorąc jeszcze pod uwagę ich odizolowanie, można się tu spodziewać nowych technik wykorzystania Mocy, nowego spojrzenia. Tato, naprawdę powinniśmy założyć tutaj nowy ośrodek Jedi.

- Masz rację. - Luke zmarszczył brwi. - Za łatwo udało nam się znaleźć statek Vestary.

Amelia jest sprytną dziewczynką... ale czy to ona powinna była odkryć jego położenie?

Ben wzruszył ramionami.

- Wiemy, że nie wysłano w przestrzeń pliku na tyle dużego, by zmieścić zdobyte przez Vestarę koordynaty nawigacyjne Otchłani. Czyli ona wciąż się zastanawia, jak opuścić planetę i dołączyć do swoich. Potrzebuje statku. Pod ręką ma tylko swój skradziony jacht i „Cień Jade”. A nie próbowała wrócić na żaden z nich. - Ben zamrużył, bo do głowy wpadła mu nowa, nieprzyjemna ewentualność. - Chyba że...

- Mów.

- W ogóle jej się nie spieszy. Nic a nic. To trzymanie się klanów sprawia wrażenie gry na czas.

- To znaczy?

- Nie zamierza wrócić do portu kosmicznego po którykolwiek ze statków. A to dlatego, że Sithowie przylecą po nią tutaj.

Luke skinął z aprobatą głową.

- Gdy zbliżała się do Dathomiry, odegrała scenkę lądowania, które tylko wyglądało na awaryjne.

- Wkradła się do portu, a Sith nie powinien mieć z tym większego kłopotu niż Jedi, i ubiła interes z najlepszym dostępnym tam mechanikiem. Proszę bardzo, możesz wziąć mój statek. Za taką a taką cenę...

- Tyle wystarczy, żeby przesłać wiadomość w nadprzestrzeń. Niedużą, łatwą do zakodowania i ukrycia, stosunkowo tanią, żeby wędrując od jednej stacji komunikacyjnej do drugiej, ukryć adresata, i na tyle krótką, że nie mogła zawierać koordynatów Otchłani.

Ben plasnął się dłonią w czoło.

- A skoro tylko ona jedna nimi dysponuje, to Sithowie muszą po nią przylecieć. Jest dla nich wartościowa. Dobrze podejście, gdy ma się do czynienia z Sithami, nawet samemu będąc Sithem. Potem uciekła do lasu deszczowego, by odwrócić naszą uwagę i trzymać nas z daleka od portu i Monarga.

- W tym czasie przyjrzała się Dathomirianom, a to, co zobaczyła, spodobało się jej. Może także, tak jak się domyślałeś, natknęła się wcześniej na Siostry Nocy. I napuściła jednych na drugich.

Ben rozejrzał się i dostrzegł Vestarę. Siedziała z Kaminne i Olianne, trzymając na kolanach córkę Halliavy, Arę. Rozmawiały sobie wesoło. Gdyby przebrać je w nowoczesne ubrania i umieścić w kawiarni, przypominałoby to spotkanie każdej rodziny.

- Tato, jeśli nasze domysły się sprawdzą, to pozostało nam bardzo mało czasu.

- Wiem. Ktoś musi mieć Vestarę na oku, gdy wyruszą myśliwi i zwiadowcy. Najlepiej, żebyśmy pilnowali jej na zmianę... gdy wyczuje jednego, możemy ją zmylić, zmieniając się.

Ben kopnął kolejny kamień i obserwował, jak spada.

- A niech to. Prawie zdążyłem ją polubić.

Oczywiście Halliava, trenerka zwiadowców niegdysiejszych Deszczowych Liści, musiała znaleźć się pośród tych, którym przypadło zadanie wytropienia Sióstr Nocy. Ale Vestara już nie. Po odbyciu krótkiej narady z udziałem zaufanych osób Luke i Ben zdecydowali się podążyć do lasu za Halliawą, podczas gdy Dyon miał pozostać na wzgórzu, dyskretnie obserwując Vestarę.

- Tylko pamiętaj - pouczył Luke Dyona - że na tym nagim szczycie nie możesz czuć się bezpieczniej niż my w lesie. Pamiętaj o Shy Bez Plemienia. Wszędzie może czaić się niebezpieczeństwo.

Ledwie minutę po tym, jak Halliava i towarzyszący jej dathomiriańscy zwiadowcy oraz myśliwi przekroczyli granicę lasu, podążyli za nimi również Skywalkerowie. Początkowo obrali trasę, która oddalała ich od Halliavy, ale gdy tylko skryli się między drzewami, odbili w jej kierunku.

Problem, z którym musiała zmierzyć się Vestara, okazał się łatwy do rozwiązania. Oczekała, aż Skywalkerowie znikną z obozu, a Dyon będzie zajęty czym innym. Nie musiała długo czekać; ciekawscy członkowie klanów mieli wiele pytań do przybysza, a ponieważ Dyon był samotnym kawalerem, zdarzało mu się zawiesić oko na kobietach. Znalazła sobie zajęcie niedaleko wschodniej krawędzi i gdy Dyon wraz z pozostałymi słuchali Firen, wciąż pełniące funkcje starszej zastępczyni wodza, zeskoczyła z grani.

Nie był to oczywiście skok w objęcia śmierci. Po kilkumetrowym locie wylądowała miękko na pierwszej półce skalnej. Wystarczył szybki ruch dłonią i wykorzystanie Mocy, by strażnik zaczął się rozglądać w poszukiwaniu źródła tajemniczego dźwięku i nie dostrzegł, jak schodzi w dół. Chwilę później dotarła na skraj lasu i zniknęła z widoku.

Musiała być równie ostrożna, jak pośród członków Jaśniejącego Słońca. W lesie roiło się od myśliwych, zwiadowców, Sióstr Nocy i Jedi, chcących wyrządzić sobie nawzajem krzywdę. Teoretycznie Vestara była sprzymierzona ze wszystkimi po kolei, ale trzeba było liczyć się z faktem, że wpakowanie się w pułapkę lub zaskoczenie kogoś mogło okazać się śmiertelnie niebezpieczne.

Podążała do miejsca, o którym wspomniała jej Halliava: tam, gdzie strumyk przepływał obok kamienia uformowanego w naturalny sposób w kształt krzyża. Halliava, zanim tutaj dotrze, będzie musiała pozbyć się swoich prześladowców.

Nie kazała na siebie długo czekać. Pół godziny później, bezgłośnie, niczym wyszkolony Sith, wyłoniła się zza zasłony z liści paproci. Podeszła bliżej i uścisnęła Vestarę. Pierwszy raz okazywała targające nią emocje; była zmartwiona i zawstydzona.

- Następnym razem Siostry będą uważniej cię słuchać. Ja cię posłucham na pewno. Nasza sytuacja mocno się skomplikowała.

Vestara uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć: Bardzo przepraszam, że miałam rację.

- Nie mogłaś wiedzieć, do czego są zdolni Jedi - rzekła. - Nawet ja nie byłam tego do końca świadoma. Ale nie przegrałyście. Wręcz przeciwnie. Dathomirianie wciąż czują lęk przed Siostrami Nocy. Po prostu podniósł ich na duchu fakt, że przetrwali nocny atak. Dzisiaj zliczą zabitych, na nowo zaczną dzielić się opowieściami o Siostrach Nocy i znowu ogarnie ich strach.

- Masz rację. - Halliava przysiadła na głazie w kształcie krzyża. - Ale ci Jedi... Są świetnie wyszkoleni, potężni. Przynajmniej jak na mężczyzn. Z trudem udało mi się ich zgubić, ale mogą mnie znaleźć, więc musimy się spieszyć.

- Przyniosłaś moje rzeczy?

- Oczywiście. - Halliava wyciągnęła z torebki przy pasie dwa przedmioty. Były owinięte w szmatki, by nie stukały o siebie w trakcie marszu. Odwinęła je i podała Vestarze. Pierwszym był jej miecz świetlny; drugim przypominający datapad tablet z komunikatorem.

Vestara wzięła do ręki tablet i wprowadziła kod bezpieczeństwa. Nie spodziewała się zbyt wiele; czekała na jakąś wiadomość od czasu, gdy przyłapała Halliawę podczas potajemnej narady z Siostrami Nocy. Zmyśliła wtedy fakty dotyczące jej misji na Dathomirze i złożyła Wiedźmom przygotowaną naprędce ofertę, przedstawiając też jej uzasadnienie. Ale żadna wiadomość nie nadeszła.

Za to dzisiaj na wyświetlaczu migotała ikona informująca o odebraniu zakodowanej informacji.

Vestara nie dała po sobie poznać podniecenia, nie pozwoliła, by popchnęło ją ono do gorączkowych działań. Odkodowała wiadomość, wstukując właściwą kombinację klawiszy, i utkwiała wzrok w ekranie.

Pojawił się na nim obraz: nieznajoma kobieta w szatach Sithów, o ostrych, kanciastych rysach, czarnych włosach i dzikim wyrazie twarzy. Mało brakowało, a Vestara wybuchnęłaby śmiechem. Wybrano ją, ponieważ wyglądem najbardziej przypominała Wiedźmy z Dathomiry, tak jak przedstawia się je w mediach; powinna jeszcze potargać sobie włosy i założyć zwierzęcą skórę. I postarać się o sztuczną opaleniznę; była straszliwie blada.

- Pozdrawiam cię, Vestaro. Z zainteresowaniem przyjęliśmy twoją wiadomość, a także kolejne raporty. Z wielką przyjemnością wspomozemy twoje nowe siostry. Przygotowałyśmy broń, o którą prosiłaś, i wyznaczyłyśmy godnego Sitha, żeby dołączył do Sióstr, podczas gdy my przyjmujemy do nas jedną z nich, tak by obie strony skorzystały na wymianie doświadczeń. Jesteśmy w systemie Dathomiry, czekamy na dalsze instrukcje.

Obraz na ekranie zniknął.

Halliava słuchała wiadomości z szeroko otwartymi oczami.

- Są tutaj - westchnęła.

Vestara się uśmiechnęła.

- Są, a dzięki broni, którą dla was mają, Jedi i klan Jaśniejącego Słońca spłoną niczym suche liście rzucone w ognisko.

- Co teraz zrobimy?

- Musimy znaleźć lądowisko dla promów Sithów. Dużą łąkę, płaską plażę, coś takiego.

Musi znajdować się nie mniej niż kilka kilometrów od wzgórza Jaśniejącego Słońca. Nasi wrogowie nie mogą być świadomi ich przybycia. Gdy będę na miejscu, prześlę koordynaty, żeby wiedziały dokładnie, gdzie się kierować. A wieczorem, o wskazanej godzinie, odbierzemy nagrody.

Uśmiech, który przemknął po twarzy Halliavy, wyrażał ulgę i triumf.

- Znam dobre miejsce. Ruszajmy.

Dyonowi nie udało się znaleźć Vestary w obozie, ale dostrzegł ją wreszcie wspinającą się południowo-zachodnim zboczem. Niosła bukłaki z wodą na przerzuconym przez ramiona drągu. Podszedł do niej, gdy pokonała grań.

- Uzupełniasz zapasy wody?

- Nie, poluję na jaszczurki.

Zatrzymała na chwilę wzrok na jednym z bukłaków i gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Ojej, to naprawdę woda!

- Czy sarkazm cechuje wszystkie nastolatki?
- Tylko te warte zachodu. Nie słyszałeś rozkazu?
- Słyszałem. Ale ty nie. Już cię wtedy nie było. Po prostu wiedziałaś, że nadejdziesz.
- Też mógłbyś pomóc.

Odwróciła się w stronę lasu. Jeden z bukłaków pofrunął w stronę Dyona. Schylił się, unikając uderzenia, a Vestara uśmiechnęła się przeprasząco.

- Wybacz. Widzisz ten rząd ludzi wchodzących do lasu? Idąc za nimi, dojdiesz do strumienia.

- Dzięki.

Dyon odczekał, aż Vestara dotrze na środek wzgórza, do pojemników z wodą, po czym skierował się w dół zbocza i wyciągnął komunikator. Powinien jak najszybciej powiadomić Luke'a i Bena, że nie udało mu się upilnować dziewczyny Sith. Im dłużej będzie z tym zwlekał, tym bardziej niebezpieczne mogą być tego konsekwencje.

## ROZDZIAŁ 26

Zwiadowcom i myśliwym Jaśniejącego Słońca udało się zdobyć pewne informacje. Przed południem zebrali się wraz z wodzami i przybyszami spoza planety u podnóża wzgórza, by opowiedzieć, czego się dowiedzieli i do jakich doszli wniosków. Halliava i Vestara przybyły osobno, i choć Ben obserwował je uważnie, nie zauważył, by zachowywały się względem siebie inaczej niż pozostali członkowie klanu albo żeby próbowały coś sobie potajemnie przekazać.

Siostry Nocy zabrały ciała swoich towarzyszek. Po ofiarach bombardowania w wykonaniu Luke'a pozostały tylko plamy krwi. W swojej wizji Luke nie widział zwłok dostatecznie wyraźnie, by móc je opisać i pomóc w identyfikacji. Ich tożsamość pozostała tajemnicą.

Siostry Nocy wycofały się, nie pozostawiając po sobie pułapek, które dałoby się wykryć. Część członków Jaśniejącego Słońca uznała, że uciekły na dobre. Kaminne, Tasander i inni co mądrzejsi, w tym Skywalkerowie, wyperswadowali im ten optymizm.

- Wiedziały, że będziemy dziś szukać pułapek - tłumaczył im Tasander. - Zmieniają taktykę, żebyśmy nie byli w stanie przewidzieć, co zrobią.

- My też powinniśmy ją zmienić - odezwała się Halliava, która w poszukiwaniu Sióstr Nocy musiała przemierzyć wiele kilometrów. - Spodziewają się, że pozostaniemy na wzgórzu i tutaj przetrzymamy kolejny atak. Myślę, że po zmroku myśliwi powinni pozostać w lesie i przynieść im śmierć, atakując od tyłu.

Podniósł się szmer aprobaty, a po chwili zastanowienia Tasander i Kaminne zaakceptowali pomysł.

- Ochotnicy do mnie! - zawołała Kaminne. - Przydzielę was do jednostek, żebyście mogli zająć stanowiska na długo przed zapadnięciem zmroku.

Luke pochylił się do ucha Bena.

- To również nasze zadanie - wyszeptał tak cicho, by nie usłyszał go nikt inny.

Ben przytaknął skinieniem głowy.

- Tutaj i tak nie da się spać. Za głośno i na dodatek niewygodnie.

### **Biuro prezydent Daali, budynek Senatu, Coruscant**

Spotkanie praktycznie niczym się nie różniło od tego z poprzedniego dnia - Daala, Dorvan, Han i Leia usiedli w tych samych fotelach. Wyglądali też identycznie - Leia w swoich szatach Jedi, Daala w admirałskim mundurze, a Han w kolejnym komplecie, w skład którego wchodziły charakterystyczne spodnie, koszula i kamizelka. Tylko wygląd Dorvana uległ zmianie - koszula pod marynarką miała dziś barwę koralu, pasującą do chusteczki w kieszeni naprzeciw tej, w której trzymał swojego śpiącego zwierzaka. Dorvan trzymał datapad i spoglądał na niego częściej niż na

pozostałych uczestników spotkania. Ta jego maniera denerwowała Hana. Z drugiej strony, irytowała go większość polityków i decyzji politycznych.

Daala stuknęła nerwowo paznokciami o blat biurka.

- Jedi nie martwią się o plan awaryjny?

Leia spojrzała na nią z zaciekawieniem.

- Nie rozumiem.

- Chętnie ci przeliteruję. Przekażą nam szalonego Cheva Jedi, byśmy mogli prowadzić nad nim badania. Nie zamrozimy go. Odmrozimy Hornów. Ich też będziemy badać. Wymienimy się z Jedi informacjami. Może nawet zgodzimy się, żeby jeden z ich naukowców był obecny w trakcie testów i narad naukowych.

- Zgadza się. - Leia skinęła głową.

- Wiem jednak, że w ich oczach jestem pragmatycznym, bezdusznym wrogiem, który w dowolnej chwili może powiedzieć: Koniec współpracy. Zamrozić mi tę zgraję. Wygląda na to, że Jedi nie przygotowali planu awaryjnego, na wypadek gdyby mi się odwidziało.

- To raptem pierwszy z wielu przykładów współpracy, które mają pomóc w zbudowaniu zaufania pomiędzy tobą a Zakonem. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, pojawią się kolejne ustępstwa, kompromisy i porozumienia. My... - Nagle Leia coś sobie uzmysłowiła.

Zmrużyła oczy. - Grasz na czas. Dlaczego?

Siedzący obok niej Han obejrzał się na drzwi. Leia wiedziała, że jej mąż nie ma przy sobie żadnej broni; fakt, że Solo mogli przebywać w tym pomieszczeniu bez ochroniarzy, należało odczytać jako wyraźną oznakę zaufania ze strony Daali. Ale Han na pewno zastanawiał się, co zrobi, jeśli drzwi sali się otworzą, a do środka wpadną mający ich zaarrestować agenci bezpieczeństwa. Którego z nich by uderzył, jak zabrałby mu blaster, do kogo strzelił w pierwszej kolejności?

Teraz to Daala sprawiała wrażenie zdziwionej.

- Kiedy ja będę miała taką moc?

- Jaką moc?

- Czytania w myślach prezydenta. Zdobyłaś ją po rezygnacji ze stanowiska, czy to umiejętność Jedi?

- Zakładałam się o Krwisty Pas mojego męża, że mam rację.

Han spojrział na nią krzywo.

- Ej, chwileczkę!

- Masz rację. Gram na czas. - Spojrzenie Daali wyrażało skrucę. - Dlatego że nie chcę wpaść w pułapkę. Podczas gdy my rozmawialiśmy, Wynn opublikował sondaż. Wynn?

Dorvan oderwał wzrok od datpadu.

- „Czy prezydent Natasi Daala powinna wypuścić szalonego Jedi z jego karbonitowego więzienia?” W pozostałych sondażach sformułowano to w inny sposób. Na przykład „rozszałałego Jedi, który próbował zamordować braci i siostry z Zakonu oraz obywateli Sojuszu Galaktycznego”. W kolejnym sondażu ograniczono się do „Jedi, który nie został skazany”. Zbieramy opinie obywateli i określamy rozstrzał w odpowiedziach w zależności od takich czynników, jak lojalność względem byłego Sojuszu lub Konfederacji, planeta pochodzenia, gatunek, wiek, płeć, wspomniany przeze mnie sposób, w jaki opisano Jedi, ostatni posiłek, przynależność do partii politycznych, zawód i kanał informacyjny, jaki najczęściej oglądają.

- A więc zanim przyjmiesz lub odrzucisz tę propozycję, chcesz najpierw poznać wyniki sondażu? - Han sprawiał wrażenie oburzonego. - A może by tak zrobić raczej to, co słuszne?

Uśmiech, który zaprezentowała Daala, nie należał do przyjaznych.

- Wtedy Jedi zostaliby wyjęci spod prawa, a ja założyłabym zakon lojalny wobec rządu.

Mam tak zrobić?

- Miałem na myśli to, co słuszne, a nie to, co bezbrzeżnie głupie.

Uśmiech Daali znikł.

- Jest pan bezczelny, generale. I niezdyscyplinowany.

- Prawda też może się taka wydawać.



- Han, proszę cię...

Leia posłała mu spojrzenie, które dla Daali i Dorvana musiało wyglądać jak ostrzeżenie. Tylko ona i jej mąż wiedzieli, że odgrywają właśnie dobrego i złego glinę. Odwróciła się do Daali.

- Teraz już wiesz, dlaczego Han nie chciał robić kariery w rządzie. Znacznie lepiej wychodzi mu strzelanie do ludzi. Cóż, chyba ma dużo racji. Nie boisz się, że ogon zacznie machać całym nekiem?

- Nie. - Daala sprawiała wrażenie spokojnej. - Dane z sondaży to tylko jedna ze zmiennych, które wezmę pod uwagę przy podejmowaniu decyzji, i to nawet niespecjalnie ważna. Za to możliwa do zbadania już w tej chwili. Większość nawet by nie zauważyła, że ociągam się z decyzją, żeby poznać wyniki.

Han odwrócił się do Dorvana.

- Skoro nie ma to aż tak wielkiego znaczenia... to co ci tam wychodzi?

Dorvan rzucił Daali szybkie spojrzenie, a gdy skinęła głową, powrócił wzrokiem do datapadu.

- Większość chciałaby rozmrożenia Jedi. W zależności od czynników, o których wspominałem, pojawiają się pewne wahania. - Zamrugał kilka razy. - Wahania uzależnione od doboru języka przy opisie Jedi nie są tak znaczące, jak bym się spodziewał. Mieszczą się w granicach błędu statystycznego.

- To ciekawe - skomentowała Daala, nie sprawiając jednak wrażenia w najmniejszym stopniu zainteresowanej. - W porządku. Zrobimy to, co słuszne. Oto moja kontrproponycja. Jedi przekażą Sothaisa Saara w ręce rządu, nie zostanie zamrożony. Będzie mógł skorzystać z adwokata, a zapewniony przez Zakon lekarz i doradca Jedi będą mogli kontaktować się z nim w dowolnej chwili. Jeśli w ciągu trzydziestu dni nie będzie próbował ucieczki i nie zacznie wzniecać zamętu, na tych samych warunkach rozmrozimy jednego z Hornów. Po upływie kolejnego miesiąca, o ile sytuacja nie ulegnie zmianie, rozmrozimy drugiego.

Han i Leia wymienili spojrzenia. Han pojednawczo wzruszył ramionami.

Leia odwróciła się do Daali.

- Przekażę twoją kontrofertę Mistrzowi Hamnerowi.

- Myślisz, że ją przyjmie? - Daala nie pytała Leii; to od Hana spodziewała się uzyskać odpowiedź.

Han wzruszył ramionami.

- Nie mogę mówić w imieniu Rady. Nie myślę w ten sam sposób, co Mistrzowie Jedi. Ale stawałbym, że Hamner się zgodzi.

- To dobrze. - Daala podniosła się, dając do zrozumienia, że to koniec spotkania. - Dajcie znać, gdy będziecie mieć zgodę Mistrzów, to przejdziemy do kolejnego etapu.

- Kolejnego etapu? - zapytał Han, wstając.

- Oczywiście, generale Solo - odpowiedziała Daala. Podała mu dłoń. - Chyba nie wydaje ci się, że będziemy wprowadzać w życie to, czego nie skończyliśmy jeszcze planować?

Han uścisnął jej dłoń.

- Te negocjacje mogą potrwać, jeśli będziesz chciała w jednym podejściu rozwiązać wszystkie problemy.

Daala cicho prychnęła.

- A co pan może o tym wiedzieć, generale? Proszę samemu spróbować połatać Sojusz i Imperium. - Odwróciła się do Leii. - Skoro już o tym mowa, to słyszałam, że wybieracie się dziś na kolację z prezydentem Felem.

Leia uścisnęła dłoń Daali.

- Nie czuję się najlepiej ze świadomością, że wiesz o tym spotkaniu.

Daala uśmiechnęła się szerzej.

- Prowadzę stąd największą operację wywiadowczą na całym Coruscant. Dobrze, że przynosi efekty.

Gdy Solo dotarli na drugi koniec placu, gdzie zostawili swój śmigacz, Leia uznała, że są już dość daleko, by mikrofony kierunkowe nie wyłapały ich rozmowy.

- Kłamała - oznajmiła.

Han wskoczył na fotel pilota.

- Pewnie, że tak. Jest prezydentem.

Gdy zdał sobie sprawę z tego, co powiedział, dodał:

- W przeciwieństwie do, na przykład, byłego prezydenta.

- Ale nie wszystko było kłamstwem.

- Więc w czym kłamała?

Leia pokręciła głową.

- Nie jestem pewna - odpowiedziała. - Może wyniki sondaży są dla niej ważniejsze, niż chciałaby przyznać. Albo to nie z ich powodu grała na czas.

Han zmarszczył brwi.

- Myślisz, że może jej chodzić o coś innego?

- To możliwe - odparła Leia. - Albo te sondaże to tylko wymówka. Może chce przeciwną negocjacje, zyskując na czasie, póki opinia publiczna nie zmieni zdania... albo żeby zyskać większą kontrolę nad wojskiem. Nie ufa im, inaczej do ataku na Świątynię wykorzystaliby nie Mandalorian, a kompanię marines.

- Nie zrobiliby tego - skomentował Han. - Teraz podlegają Gavinowi Darklighterowi.

- Właśnie, Han - odpowiedziała Leia. - Dokładnie do tego zmierzam.

### **Hangar śmigaczy nieopodal restauracji Pangalactus, Coruscant**

Po zapadnięciu zmroku strumienie pędzących trasą śmigaczy przeobraziły się z lawiny metalu i plastilu we wszystkich kolorach tęczy w powódź jeszcze bardziej kolorowych świateł. Turyści spoza planety potrafili całymi godzinami podziwiać ten hipnotyzujący powietrzny pokaz - płynącą pod nimi, na przemian przybierającą i zanikającą rzekę barw.

Trzydzieści metrów pod jednym z pasaży, na środkowym poziomie szkieletu parkingu, stał specjalistyczny śmigacz. Był ogromny; zajmował osiem normalnych miejsc parkingowych przy końcu rzędu. Czarny i pudełkowaty, całkowicie osłonięty, miał przyciemniane okna i, poza drzwiami po obu stronach kokpitu, również okrągłe włazy w górnej części tylnego przedziału. Każdy, kto widział kondukt pogrzebowy admirał Niathal, rozpoznałby śmigacz jako należący do ambasady Kalamaru na Coruscant.

Ale chociaż wskazywałyby na to także oznaczenia, była to inna maszyna. Tę namiastkę pojazdu dyplomatycznego stworzono, łącząc na stałe szkielet z durastali z nieznacznie mniejszym, obudowanym śmigaczem transportowym, również czarnym. W głównym przedziale znajdowały się całe rzędy sprzętu elektronicznego, stołki dla czterech oficerów komunikacyjnych, a po obu stronach - wygodne fotele. Dwa z nich zajmowali moff Lecersen i senator Treen.

- Bardzo przykuwa uwagę. - Treen nie sprawiała jednak wrażenia zmartwionej.

Lecersen przytaknął i podał jej spodek z filiżanką kafu.

- To prawda. Rzuca się w oczy. Gdyby jednak ktoś doszedł do wniosku, że nie powinno go tu być, to na wszelkie pytania będzie musiał odpowiadać ambasador Kalamaru.

Treen przysunęła filiżankę do nosa i lekko zaciągnęła się aromatem.

- A co, jeśli jakiś agent bezpieczeństwa będzie chciał przesłuchać kierowcę albo sprawdzić, co jest w środku?

Wzrok Lecersena powędrował w stronę stanowiska pilota.

- Nasza pilotka jest Quarrenką, a dokumenty identyfikują ją jako pracownika ambasady Kalamaru. Gdyby nie udało jej się oszukać agenta bezpieczeństwa, zapniemy pasy, a ona spróbuje mu uciec. Wystarczy, że zniknie pościgowi z oczu na kilka sekund, a uwierz mi, że potrafi, latała na A-wingu, i wciśnie przycisk odpalający bolce przytrzymujące szkielet. Ni z tego, ni z owego staniemy się niewinnie wyglądającym śmigaczem, zmierzającym w przeciwnym kierunku niż

ścigany pojazd, a agent ochrony popędzi za wrakiem.

Treen posmutniała.

- Rozlejemy kafu.

Lecersen już miał odpowiedzieć, gdy odezwał się siedzący obok oficer komunikacyjny.

- Sir, nasz agent zaraz zajmie pozycję.

- Podpięliście się pod system holokamer restauracji?

- Tak jest.

- Dajcie to na ekran.

Włączył się monitor umiejscowiony przy końcu panelu komunikacyjnego, naprzeciw Lecersena i Treen. Przekazywany mniej więcej z wysokości trzech metrów obraz przedstawiał obszerne pomieszczenie, zatłoczone kilkudziesięcioma wysokiej rangi oficerami Imperium w mundurach sprzed czterdziestu pięciu lat. Zgromadzili się wokół komputerów i iluminatorów wysokości dorosłego człowieka. Na środku pomieszczenia, na niewysokim podium, stał czarny fotel z wysokim oparciem, przed nim zaś niewielki, prostokątny stolik. W fotelu siedział wysoki, blady mężczyzna w czarnych szatach i w okularach z filtrem polaryzacyjnym.

Zdezorientowana Treen zamrugła.

- Mieliliśmy chyba obserwować restaurację.

- I to właśnie robimy.

- Ale to jest sterówka pierwszej Gwiazdy Śmierci... chyba że mam omamy? - Spojrzała podejrzliwie na filiżankę kafu.

- Przyjrzyj się uważnie. On siedzi w pomieszczeniu wielkości cztery na sześć metrów, tyle że zamiast ścian są tam sięgające sufitu ekrany. Wszystkie jadalnie restauracji Pangalactus są w nie wyposażone. Jedne są większe, inne mniejsze, ale zawsze zapewniają w pełni przekonujące doznania, a w Pangalactus mają niezwykle obszerny zbiór obrazów, które można włączyć; są tam także zdjęcia, choć większość jest aktywna.

- Zabrzmiało to jak reklama.

- Mam tam swoje udziały, wykupione przez różnorodnych pośredników.

Uspokojona Treen pociągnęła kolejny łyk z filiżanki.

- Więc?

- Mężczyzna siedzący w fotelu jest prawdziwy. Nazywa się Kester Tolann.

- Krewny Wistera Tolanna z Floty Imperialnej?

- To jego wnuk.

Treen pokiwała w zamyśleniu głową.

- Znałam starszego Tolanna. Miałam o nim lepsze zdanie, niż powinnam.

- Wielki Admirał Thrawn myślał podobnie. To przez jego raporty Tolann nie zaszedł zbyt wysoko. Przez ostatnie lata swojej kariery dziadek tego chłopca ustalał trasy konwojów z odpadami na zlecenie Sate Pestage i Ysanny Isard, gdy ci salwowali się ucieczką z Imperium.

- Ach, tak? - W oczach kobiety pojawił się wreszcie błysk zainteresowania. - Więc młody Tolann ma swój powód, by nienawidzić Chissów.

- Chissów, ich współpracowników i, prawdę powiedziawszy, wszystkich gatunków obcych, które ośmielają się konkurować z ludźmi. Nieważne, w jakiej kwestii.

- Wychowanego pośród Chissów Jaggeda Fela oczywiście także...

- Chodzi o coś więcej. Pani senator, czy wie pani, czym jest duusha?

Spojrzała na niego z namysłem.

- To gatunek sera, prawda?

- Produkowany na Tatooine i innych zacofanych światach. Wytwarza się go z niebieskiego mleka, od którego przyjmuje barwę. Dojrzewa w okrągłych kawałkach. Jego zewnętrzną powierzchnię porastają różne grzyby, izolując ser i chroniąc go przed zanieczyszczeniem; niektóre są białe, inne brązowe, czerwone, zielone...

- Rozumiem. Chociaż właściwie to nie bardzo. - I nagle do niej dotarło. Lecersen mógł wręcz dostrzec żaróweczkę zapalającą się w głowie pani senator.

- A jednak. Ser duusha jest niebieski w środku, ale na zewnątrz ma inny kolor... tak jak Fel.

- Zgadza się. Krytykujące go grupy w obrębie Imperium nadały mu przydomek Duusha, ponieważ jest prymitywny, niewiele kosztuje i ma niebieską skórę. Dlatego właśnie dzisiejszej akcji nadano kryptonim operacja „Duusha”.

- Powinieneś być nauczycielem. O każdym temacie mówiłbyś z pasją, wzbudzając zainteresowanie studentów.

Lecersen odchrząknął i wskazał Treen monitor.

- W każdym razie prezydent Fel zmierza właśnie do Pangalactus w towarzystwie swoich gości. Gdy przybędą, usłyszą, że ich sala jest już gotowa. Lekko zniechęci ich fakt, że Służba Bezpieczeństwa Sojuszu Galaktycznego sprawdziła ich potrawy, wskutek czego będą nalegać na zmianę sali. A dostępne będzie jedynie pomieszczenie przylegające do sali Kestera Tolanna.

Treen się uśmiechnęła.

- A młody Tolann, chcąc pomścić okrytego hańbą dziadka i ocalić Imperium przed kradnącymi pracę nieludźmi, zabije Jaggeda Fela.

- Wątpię. W końcu to idiota. Statystycznie szanse, że mu się nie powiedzie, wynoszą jeden do dziewięćdziesięciu.

- Ach, tak? - Wyraz twarzy Treen zmienił się; teraz wyglądała, jakby chciała udzielić Lecerseni nagany. - Więc jestem tutaj, by stać się świadkiem porażki.

- Nie, nie... Po to, by zobaczyć, jak Jag Fel wykonuje kolejny wielki krok ku podarowaniu mi roli głowy państwa - odparł. - I przekonać się, jak uniemożliwimy Daali odbudowanie jej publicznego wizerunku.

Między starannie wyskubanymi brwiami Treen pojawiły się trzy głębokie zmarszczki.

- Nie prosiłam o twoją pomoc w tym zadaniu.

- To prawda, ale okazja sama się nadarzyła, a ona robi ostatnio wielki szum wokół współpracy z Jedi - wyjaśnił Lecersen. - Chyba zdajesz sobie sprawę, jak trudno byłoby ją usunąć ze stanowiska, gdyby doszła z nimi do porozumienia i zdobyła ich poparcie.

Treen zacisnęła wargi.

- To prawda - odpowiedziała. - Ale raczej nie przekonasz Solo, że to Daala chce zabić ich przyszłego zięcia. Wina spadnie na ciebie i pozostałych moffów, zwłaszcza że zabójca jest wnukiem byłego oficera Imperium.

Uśmiech Lecersena jeszcze się poszerzył.

- Zgodziłbym się z tobą, gdyby nie fakt, że nie jest to jedyna niespodzianka, jaką dla ciebie dzisiaj przygotowałem.

W oczach Treen pojawił się błysk.

- Uwielbiam niespodzianki - powiedziała. - Ale tylko wtedy, gdy mam jakąś wskazówkę.

- Proszę bardzo - powiedział Lecersen. - Prawdziwy atak na Fela będzie sprawiał wrażenie dywersji.

Zdumiona Treen szeroko otworzyła oczy.

- Będzie jeszcze jeden zamach?

Lecersen przytaknął.

- Tym razem na Solo - wyjaśnił. - Uwierzą, że to oni byli celem.

- Och. - Treen oblizła wargi. - Jak miło.

## ROZDZIAŁ 27

Jagged Fel, ubrany w kosztowny, ale nierzucający się w oczy garnitur, odwrócił się plecami do dwóch agentów ochrony stojących przed salą, którą zarezerwował w Pangalactus, i łagodnym głosem powiedział do swojego rodiańskiego gospodarza:

- Przepraszam, ale nasza rezerwacja miała być utrzymana w ścisłej tajemnicy. Byłbym wdzięczny za przygotowanie innego pokoju. Może być jakikolwiek.

W śpiewnym głosie Rodianina, stojącego przed trudnym zadaniem formułowania słów w basicu, z użyciem do tego rodiańskich strun głosowych, nie dało się wyczuć niezadowolenia.

- Oczywiście. Być może będą państwo zmuszeni poczekać...

- Proszę wybaczyć, sir - wtrącił się droid protokolarny, męski model pociągnięty zmatowiałą już, brązową farbą. Wyświetlił na dłoni mały datapad. - Mamy jeden wolny pokój. Klienci, którzy go zarezerwowali, to wspaniałe istoty, być może będą skłonni zamienić się na ten wieczór. Sala mogłaby być gotowa w ciągu kilku minut.

- Bylibyśmy niewymownie wdzięczni - powiedział Jag. - Proszę podziękować im w moim imieniu i doliczyć ich rachunek do mojego.

- Oczywiście, sir.

Gospodarz odczekał, aż droid załatwi wszystkie formalności, i zaprowadził Jaga oraz jego gości do nowej sali restauracyjnej.

Jaina zrównała się w marszu z Jagiem.

- Ładnie załatwione. Jako młody pilot podczas wojny z Yuuzhan Vongami nie byłeś tak wyrobiony towarzysko.

Wziął ją pod rękę.

- Masz prawo być zdziwiona. W wysoko postawionych, wojskowych chissyjskich rodach nie naucza się jedynie rzemiosła wojny.

Do nowej komnaty weszli gęsiego - najpierw dwóch agentów bezpieczeństwa Imperium, po nich Jag z Jainą, następnie Han i Leia, Allana, Threepio z R2-D2 i wreszcie dwóch kolejnych agentów. Reszta ochrony obstawiała wejścia do Pangalactus. Na środku pomieszczenia postawiono stół w złocistym kolorze, sprawiający wrażenie, jakby nasiąkł światłem słonecznym - prawdę powiedziawszy, rzeczywiście lekko lśnił - i dopasowane do niego kolorystycznie, wyściełane fotele. Na ścianach wyświetlała się panorama zielonych łąk i otaczających je z trzech stron fioletowobłękitnych gór, na czwartej ścianie zaś majaczyło w oddali współczesne miasto. W równych rzędkach latały nad nim nieco archaiczne z wyglądu śmigacze.

Leia przystanęła, rozpoznając tę scenerię, i na jej twarzy powoli wykwitł uśmiech.

- To Alderaan. Jag, naprawdę nie musiałeś.

- Ależ oczywiście, że musiałem. - Jag odsunął krzesło dla Jainy i poczekał, aż usiądzie. - Nikt inny nie dorastał w równie pięknym miejscu. Przynajmniej nie cały czas.

Ostatni do sali wszedł brązowy droid protokolarny. Agenci bezpieczeństwa rozpoczęli przeszukiwanie sali, droidy zaś zajęły miejsca przy jednej ze ścian wyświetlających obraz gór. Droid protokolarny przyjął zamówienia na drinki, obiecał, że za chwilę zjawi się kelner, i kaczym chodem opuścił pomieszczenie.

Allana przyglądała się nożowi, jakby miała w ręku miecz świetlny.

- Co jest w menu? Mam nadzieję, że nie te koreliańskie dania, które gotuje Han. Są za ostre. Han sprawiał wrażenie urażonego.

- Jeszcze kilka lat i je polubisz.

Jag wyszczerzył zęby w uśmiechu i przejechał dłonią po blacie.

- Serwują tutaj różne dania, Amelio. Koreliańskie, tradycyjne kawałki mięsa z warzywami, dania z owoców morza w stylu kalamariańskim, wytworne wersje pakietów żywności dla starych wiarusów mojego pokroju, hapańskie...

- Hapańskie? - Allana poweselała.

- I to najlepsze poza Konsorcjum.

- Kamery restauracji odłączone - poinformował ich cichym, dyskretnym głosem jeden z agentów bezpieczeństwa, Chissanin. - Nie znaleźliśmy sprzętu szpiegowskiego.

- Nie wykryto patogenów. - Ciemnoskóra kobieta z elektronicznym urządzeniem w ręku nie sprawiała jednak wrażenia całkowicie przekonanej. - W powietrzu unosi się tyle przypraw, że musiałam poszerzyć zakres dopuszczalnego poziomu toksyczności.

Jag westchnął ciężko.

Leia uśmiechnęła się do niego.

- Przyzwyczajaj się.

Lecersen i Treen obserwowali na monitorze wchodzącą do komnaty grupę Fela i podążającego za nimi brązowego droida, który po kilku minutach opuścił pomieszczenie.

- Nie mamy obrazu ze środka - wyjaśnił Lecersen. - Gdyby zamontować tam holokamerę, sami prosilibyśmy się o jej wykrycie. Za kilka minut odzyskamy obraz i dźwięk.

- To dobrze.

- Proszę o obraz głównego agenta.

Monitor przełączył się na obraz z sali Kestera Tolanna. Oglądana przez niego symulacja Gwiazdy Śmierci zmieniła się i Kester pochylał się teraz w fotelu, wpatrując się jak urzeczony w wydarzenia na ekranach.

W środkowej części głównej ściany stały trzy postacie. Dwie z nich były odwrócone do Tolanna plecami. Najmocniej wyeksponowano charakterystyczną sylwetkę Dartha Vadera. Przed nim, ledwo widoczna, dostrzegalna jedynie, gdy poruszała ręką lub głową, stała osiemnastoletnia księżniczka Leia Organa, senator Alderaanu, ubrana w gubernatorską biel, z włosami zwiniętymi w kukielki po obu stronach głowy. Teraz rzadko już widywało się takie fryzury. Za Leią, naprzeciw niej i Tolanna, można było dostrzec fragment twarzy starszego, drobnego mężczyzny w szarym mundurze - Wielkiego Moffa Tarkina, architekta Gwiazdy Śmierci. Ogromny monitor za jego plecami wyświetlał obraz pięknej, błękitnej planety na tle przestrzeni kosmicznej i gwiazd.

Senator Treen otworzyła ze zdziwienia usta. Mało brakowało, a wypuściłaby z ręki filiżankę z kafem.

Tarkin mówił do Leii:

- W pewien sposób to ty sama zdecydowałaś o obiekcie tej demonstracji. Wobec twojej niechęci do wskazania nam lokalizacji bazy rebeliantów wyznaczyłem jako cel alternatywny twoją rodzinną planetę: Alderaan.

Senator Leia rzuciła się przed siebie. Język jej ciała, w stopniu, w jakim można to było ocenić, komunikował błagalną prośbę. Gdy przemówiła, jej głos nie do końca przypominał ten, do którego zdążył przez lata przyzwyczać się Lecersen. Był odrobinę wyższy, z coruskańskim akcentem, niemal identycznym jak ten w głosie Tarkina. W czasach Imperium udawało go wielu senatorów i innych polityków, nawet jeśli nie pochodzili z Coruscant.

- Nie! Nie możesz! Alderaan to pokojowa planeta! Tam nie ma armii! Nie...

Ton głosu Tarkina stał się ostry, rozkazujący.

- Wolałabyś inny cel? Może wojskowy? Proszę, podaj nazwę systemu.

Treen roześmiała się, a wręcz, ku zdziwieniu Lecersena, zachichotała jak mała dziewczynka. Obrzuciła moffa spojrzeniem, w którym mieszały się rozbawienie i oburzenie.

- Przedstawienie w wyjątkowo złym guście.

- Nieprawdaż? - przytaknął. - To rekonstrukcja, oparta na pamiętnikach Leii i raportach Vadera oraz Wielkiego Moffa Tarkina. Wielbiciele czasów Palpatine'a ją uwielbiają, ale nie można jej znaleźć w oficjalnym menu. Trzeba wiedzieć, że jest dostępne i sprecyzować, o co chodzi. W każdym razie eksplozja Alderaanu będzie jednocześnie sygnałem dla Tolanna.

I rzeczywiście, Tolann wyciągnął z wewnętrznej kieszeni dwa przedmioty. Pierwszym był mały, srebrny cylinder z zespołem obwodów elektrycznych i maleńkimi, naniesionymi szablonem literkami. Drugie urządzenie było okrągłe, wielkości i kształtu dużej monety, z przyciskiem na środku.

Treen rozpoznała urządzenia bez pomocy Lecersena. Miała poważne trudności z powstrzymaniem się od śmiechu.

- Cylinder to detonator mikrotermiczny, taki sam, z którego korzystają droidy typu YVH. Posłuży mu do zburzenia ściany. Spust, który trzyma w lewej dłoni, podłączono do identycznego detonatora, który jest owinięty wokół jego ciała. Zamierza podbiec do Fela, objąć rękami szefa rządu i nacisnąć przycisk.

- Ach, tak?

Na monitorze wypuszczona z dolnego rogu iluminatora jasna lanca zielonej energii uderzyła w Alderaan. Kester Tolann rzucił detonatorem w podstawę ściany.

Alderaan eksplodował, a chwilę później to samo stało się z całą ścianą, pokazując obraz

sprzed ponad czterdziestu lat.

Jaina otwierała już usta, chcąc odpowiedzieć na żart, gdy ściana za nią wybuchła.

Epicentrum wybuchu znalazło się dokładnie za agentką bezpieczeństwa, która poinformowała ich wcześniej, że otoczenie jest w wystarczającym stopniu wolne od toksyn. Jęzor ognia uniósł ją do góry i rzucił przez salę. Rozpaczliwie wymachując rękami, przeleciała obok Allany, siedzącej na lewo od Jainy, i wylądowała na środku stołu. Allana wrzasnęła, ale huk eksplozji pochłonął jej krzyk.

Jag, siedzący u szczytu stołu, na lewo od Jainy, obrócił się w stronę eksplozji. W dłoni trzymał blaster.

Jaina rzuciła się w bok, podniosła Allanę i z dziewczynką na ręku skoczyła w stronę wyjścia. Kątem oka dostrzegła, że rodzice przewracają stół. Błat przekrzywił się, gdy ciężki mebel upadł w stronę źródła eksplozji.

Z dymu i ognia, przez dziurę prowadzącą do następnego pomieszczenia, wyłaniała się jakaś postać. Była wysoka i szczupła, cała w czerni, i miała szeroko otwarte ramiona, jakby biegła ku kochankowi.

Gdy Jaina upadła na ziemię i przetoczyła się, dostrzegła, że w intruza kieruje się siedem strażaków z blastera - po jednym wystrzelonym przez każdego ocalałego ochroniarza, po dwa przez Jaga i jej ojca. Każdemu trafieniu towarzyszyło pojawienie się smużki pary, gdy pocisk blastera niszczył skórę i ciało pod nią. Intruzem targnął nagły wstrząs, potem drugi. Nie przewrócił się na plecy; tempo biegu zrównoważyło energię strażaków i napastnik stanął. Wyglądał na rozluźnionego. Jaina wiedziała, że pożyje najwyżej kilka uderzeń serca, wystarczająco długo, by niesiony systemem nerwowym szok dotarł do mózgu i poinformował go, że czas już wszystko wyłączyć.

Coś wyrąbało dziury w ścianach po obu stronach intruza. Nagle przy jego boku ustawiły się ciemne kształty w pancerzach przypominających szkielety, ze świecącymi czerwono, mechanicznymi oczami i bronią wyłaniającą się z rąk i klatek piersiowych.

Byli to Zabójcy Yuuzhan Vongów, najbardziej niebezpieczne z produkowanych seryjnie droidów od czasów Starej Republiki.

Ludzki intruz obrzucił spojrzeniem robota stojącego na lewo od niego. Na jego twarzy odmalowało się nagle zdumienie. Ugięły się pod nim kolana i upadł na twarz.

Droidy wycelowały broń w rodziców Jainy i ruszyły do ataku.

Komputer taktyczny w umyśle Jainy przeskakiwał między dostępnymi opcjami. Zabrać Allanę w bezpieczne miejsce? Chronić dziewczynkę tutaj? Zaatakować? W ułamku sekundy dotarła do trzeciej opcji. Zdecydowała, że będzie najbardziej odpowiednia, przycisnęła Allanę do podłogi i włączyła miecz świetlny. Rzuciła się do przodu, wymachując nim z szybkością i zaciekłością jednej z najlepiej wyszkolonych Jedi we współczesnej historii.

Kątem oka widziała, jak porzucone stoły rozpadają się na kawałki w nawałnicy ognia z broni zamontowanej na prawych rękach droidów. Ojciec i Jag, jeden obok drugiego i ledwo widoczni nad krawędzią zniszczonego stołu, posyłali pociski w głowy napastników. Jej matka stała z włączonym mieczem świetlnym, odbijając część pocisków, może jedną trzecią.

ZYV stojący na lewo, dwa metry od Jainy, zareagował na jej atak. Na jego lewym ramieniu pojawił się błysk zwiastujący przybierające na sile wylądowanie elektryczne. Ale zanim droid miał szansę oddać strzał, Jaina dzięki Mocy znalazła się przy nim i zamachnęła się mieczem.

Instynkt Jedi nakazywał jej wyeliminować silnie opancerzonego przeciwnika przez odcięcie głowy. Zignorowała go. Głowy droidów ZYV były solidnie połączone z resztą ciała za pomocą rozporok ze stopu laminanium, wyglądem przywodzących na myśl mięśnie na karku atlety. Żeby odciąć głowę droida mieczem świetlnym, trzeba by było przebić się przez kilka takich wzmocnień po kolei. Jaina uderzyła jednak nisko, pod żebrami, w miejscu, gdzie pojedyncze, silnie opancerzone przęsło przypominające ludzki kręgosłup łączyło tułów z miednicą. Chociaż było grubsze od dwóch przęseł szyjnych, w przeciwieństwie do karku znajdowało się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni względem podłogi, dzięki czemu nie ześlizgnęłoby się po nim ostrze

miecza świetlnego. Jaina włożyła w atak całą swoją szybkość i siłę.

W miejscu uderzenia pojawił się jasny błysk, a dźwięk, który mu towarzyszył, wzniósł się nawet ponad ryk blasterów. Droid rozpadł się na dwie połówki.

Nie został jednak wyeliminowany, po prostu miał teraz utrudnione zadanie. Jego główne systemy bojowe nadal funkcjonowały. Gdy upadł, Jaina obróciła miecz świetlny w dłoni i pchnęła. Czubek jaśniejącego ostrza wbił się w przęśło kręgosłupa w miejscu, gdzie zostało ono odcięte. Miecz wyprostował kręgosłup droida i przebił się przez kark do czaszki, wślizgując się przez punkt, którego nie zabezpieczono pancerzem. Przewierciła najważniejsze obwody przetwarzania kognitywnego, zanim droid zdążył upaść na ziemię.

W rezultacie miecz Jaina utkwił w laminaniumowym korpusie, podczas gdy dwa metry od niej stał równie niebezpieczny partner zniszczonego droida.

Nawet na nią nie spojrzął. Wciąż prowadził coraz bardziej zabójczy ostrzał, koncentrując się na jej ojcu i na Jagu. Obrócił tylko w jej stronę korpus i otworzył klapę. Jaina dostrzegła pod nią dwa równoległe rzędy minirakiet. Wyłączyła miecz świetlny, licząc na to, że gdy uniknie pierwszej rakiety, będzie miała dość czasu, by ponownie go włączyć.

Nagle droid odskoczył do tyłu, zwiększając dystans. Kątem oka Jaina dostrzegła swoją matkę wykonującą gest, w którym zawierała się technika Mocy. telekinetyczne pchnięcie. Jej ojciec, Jag i ochroniarze skupili ogień blasterów na otwartej klapie lecącego ku dziurze w ścianie droida.

Maszyna wpadła do pomieszczenia, z którego rozpoczęła atak, i eksplodowała, rozerwana na strzępy przez jednoczesną detonację całego ładunku minirakiet. Leia i Jaina zasłoniły oczy ramionami i odwróciły się plecami do eksplozji. Han i Jag schowali się pod krawędzią tego, co pozostało ze stołu.

I zapadła cisza.

Względna cisza. Gdy Jaina zaczęła odzyskiwać słuch, stopniowo docierały do niej dźwięki alarmów, dobiegające z korytarza krzyki przerażenia i wymyślne przekleństwa rzucone w kilku językach przez ojca.

Leia wyłączyła miecz świetlny i podbiegła do Allany, leżącej z szeroko otwartymi oczami, ale zdrowej i całej, tam gdzie zostawiła ją Jaina. Jag podniósł się z blasterem wycelowanym w dziury w ścianie, przez które do pomieszczenia dostał się intruz i droidy. W jednej chwili z trzech stron obstawili go agenci bezpieczeństwa, ci, którym udało się przeżyć. Kolejni wpadli właśnie przez drzwi; niewiele brakowało, a doszłoby do wymiany ognia między nimi a Hanem. Threepio dreptał tam i z powrotem z podniesionymi rękami. R2-D2, ze śladem po trafieniu z blastera na cylindrycznym korpusie, został na swoim miejscu, obracając tylko kopułę i analizując dane.

Jaina zauważyła, że ojciec podchodzi do matki, nachyla się i szeptem jej coś do ucha. Uznawszy, że może to być coś ważnego, wykorzystwała Moc, by wzmocnić swój słuch.

- Teraz już wiemy, dlaczego Daala grała na czas - mówił Han. Wziął w ramiona Allanę. - Naprawdę chciała nas spalić.

Treen i Lecersen obserwowali rozwój wydarzeń na trzech monitorach. Na jednym pokazywany był przekaz z holokamery zamontowanej w goglach Tolanna; nawet po jego śmierci nadal nagrywały próbę zabójstwa w formie zakłóconego, szerokoekranowego obrazu. Dwa pozostałe ekrany przedstawiały nagrania z przyrządów optycznych robotów ZYV - aż do momentu, gdy jeden po drugim zostały zniszczone.

Gdy zniknął obraz przesyłany przez drugiego droida, a na ekranie pojawiły się zakłócenia, główny oficer łączności oznajmił:

- Pięć sekund.

Lecersen odwrócił się do Treen.

- Sama widzisz, jak trudno jest wyeliminować Fela, gdy towarzyszy mu jego dziewczyna i inni Jedi.

Kiwnęła głową.



- Tak. Więc dla ciebie to porażka, tak?

- Nie, sukces, jakiego się spodziewałem. - Wcisnął przycisk na poręczu fotela. - Ruszajmy. Z głośnika nad nimi odezwał się monotony głos:

- Tak jest, sir.

Gdy zakamuflowany śmigacz ruszył, pasażerowie nieznacznie zmienili pozycje, w jakich siedzieli.

Lecersen gestem wskazał obraz z kamery Tolanna. Przekazywał agenta bezpieczeństwa Imperium, pochylającego się właśnie nad ciałem Tolanna i z ciekawością sięgającego po gogle. Nagranie było zniekształcone, z przesadnie uwydatnionymi szczegółami.

- Ten obrazek trafi w ręce reporterów. Zaatakowany przywódca uratowany przez Jedi. Prezydent je kolację z negocjatorami SG - Jedi. Prezydent je kolację z wieloletnimi wrogami Imperium Galaktycznego. Prezydent klnie. Prezydent naraża małą dziewczynkę.

Lecersen wzruszył ramionami.

- Materiał zostanie zmontowany na tuzin sposobów dla tuzina różnych widowni, ale po obejrzeniu go wszyscy będą mieć gorsze zdanie o Jaggedzie Felu. Podobnie jak w przypadku kampanii skierowanej przeciwko Daali, ta również będzie rozłożona w czasie.

- To oczywiste.

- W każdym razie śledztwo powiąże naszego niedoszłego zabójcę z grupą podobnie jak on myślących, reakcyjnych tradycjonalistów - kontynuował Lecersen. - Ale nie oszukamy w ten sposób Jedi. Przejrzą sfabrykowane dokumenty i nagrania i dojdą do wniosku, że za zamach należy winić szefową Daalę.

- Oby. Wiedziałaś, że będzie z nimi ta mała dziewczynka?

Lecersen odchrząknął zakłopotany.

- Nie. Nie było jej na liście rezerwacji. Zapewne była za młoda, by ją wpisać. Dobrze, że przeżyła.

Treen się zamyśliła.

- Niekoniecznie. Gdyby zabito córkę Solo... - odwróciła się do Lecersena z nadąsaną miną. - Wydaje mi się, że gdyby ją zabito, Han Solo sam usunąłby dla nas Daalę.

## ROZDZIAŁ 28

Jag zachowywał kamienny spokój przez całą podróż, którą Han, Leia, Allana i droidy odbywali w jego dyplomatycznym śmigaczu do małego, nijakiego mieszkania używanego przez Solo jako kryjówka. Wreszcie wszyscy wysiedli, a Jaina zwinęła się w kłębek na fotelu obok. Wtedy Jag odezwał się po raz pierwszy od momentu, gdy przeproszał Solo:

- Gdy Han powiedział, że Daala wiedziała o dzisiejszej kolacji, od razu powinienem był ją odwołać. Albo przenieść w jakieś bezpieczne miejsce.

Próbując go uspokoić, Jaina oparła mu głowę na ramieniu. Wiedziała, że pewnie na nic się to nie zda. Podobnie jak jej ojciec, Jag miał tendencję do rozpamiętywania przeszłości. Spędzał na tym całe dni.

- Nie mogłeś tego przewidzieć. Ochrona wszystko sprawdziła. Napastnik znał szczegóły naszego spotkania, dysponował fałszywą tożsamością, źródłami wywiadowczymi...

Jag przytaknął.

- Musiał to zorganizować ktoś wysoko postawiony. W rządzie Daali albo w środowisku moffów.

- Albo w obu - podpowiedziała Jaina.

Jag spojrzął na nią.

- Myślisz, że ze sobą współpracują?

- Myślę, że by mogli - odpowiedziała. - Może Daala ustaliła lepsze warunki z Lecersenem albo jeszcze kimś innym.

Jag wyjrzał przez boczne okno, obserwując światła przepływających obok nich wieżowców.

Rozważał taki scenariusz.

- Być może - powiedział. - Ale to ja dążę do włączenia Imperium do Sojuszu, nie moffowie.  
- Skąd jednak wiemy, że tego samego chce Daala? - zapytała Jaina. - A może to nie ty byłeś celem? Zauważyłeś, jak zdziwiony był napastnik, gdy przez ścianę przebiły się droidy ZYY?

Pokręcił głową.

- Gdy wpadły, patrzyłem tylko na nie, nie na niego. Już nie żył, tylko o tym nie wiedział.

Mówisz, że był zdziwiony?

- Tak. Osobliwa sprawa.

- Nie krytykuję, to tylko pytanie, ale czy zanim się to zaczęło, zdolności Jedi jakoś cię ostrzegały, czułaś zbliżające się niebezpieczeństwo?

Teraz to ona pokręciła głową.

- Kiedy chodzi o jednego żywego napastnika, który wyzbył się wszelkich wątpliwości i osiągnął spokój bliski stanowi medytacji... kogoś takiego można nie wyczuć, szczególnie w tak ruchliwym miejscu, gdzie dają o sobie znać emocje. Ale wyczułam jego zdziwienie. Wiele można z niego wyczytać.

- Ale co dokładnie? Chyba nie wiemy. - Na moment utkwiał wzrok w scenerii za oknem, nagle westchnął i spojrzał znowu na Jainę. - Wiesz, co musimy teraz zrobić, prawda?

Jaina zmarszczyła brwi, zastanawiając się, na czym powinni się teraz skupić, jaką zagadkę spróbować rozwiązać.

Wreszcie zrezygnowała.

- Nie wiem. Co?

- Musimy coś zjeść - odpowiedział Jag. - Nadal jestem głodny.

### **Wzgórze Jaśniejszego Słońca, Dathomira**

Ben, Luke i Dyon siedzieli w ciemności, otoczeni przez rośliny lasu deszczowego. Słuchali głosów nocnych drapieżników i ich zdobyczy.

Oni też byli drapieżnikami. I polowali na Siostry Nocy, a w szczególności na Vestarę.

Przez chwilę światło z datapadu padało na twarz Dyona.

- Wciąż tam jest. - Ben ledwo mógł dosłyszeć jego szept.

Spojrzał na ojca. Luke był zatopiony w stanie połowicznej medytacji, ale skinął głową, potwierdzając jego słowa. Wciąż wyczuwał obecność Halliavy, śledząc ją; Dyon robił to samo za pośrednictwem elektroniki - a przynajmniej będzie mógł robić jeszcze przez jakiś czas.

Nie było to łatwe. Luke, Ben i Dyon, kontyngent Jedi, uzgodnili plan. Vestara była chyba zbyt przebiegła i obyta w sprawach cywilizowanych światów o wysokim stopniu rozwoju technologicznego, by plan mógł zdać egzamin w jej przypadku, ale z Halliawą rzecz już się miała inaczej. Dyon nastawił komunikator na wysyłanie swojej lokalizacji, a potem, gdy Luke zagadał Halliawę, a Ben upewnił się, że w pobliżu nie ma Vestary, ukrył go w jej rzeczach, wsuwając między fałdy torby z bukłakiem, którą Halliava zabierała na zwiady.

Ale komunikatory były częściowo rozładowane. Źródło zasilania w aparacie Dyona mogło zapewnić pracę jeszcze przez godzinę, góra trzy. Ale nie przez całą noc.

Ben dostrzegł, że ojciec przechyla głowę, a potem mówi z przymkniętymi oczami:

- Coś się zmienia.

- Przemieszcza się?

- Nie. Jeszcze nie.

Halliava uśmiechnęła się na widok wyłaniającej się zza ciernistego krzaka Vestary. Dziewczyna Sith poruszała się bezgłośnie niczym unoszony wodą liść, a dostrzec można ją było tylko gdy oświetliły ją maleńkie promyki światła księżyca, przebijające się ukosem przez listowie nad ich głowami. Była wspaniałą uczennicą. I stałaby się wspaniałą Siostrą Nocy, naturalną

przywódczynią następnego pokolenia.

Halliava objęła dziewczynę.

- Nie spieszyłaś się.

Księżyc nie oświetlał już twarzy Vestary, ale w jej głosie dało się wyczuć irytację.

- Ollianne miała dla mnie kilka zadań. Trochę trwało, zanim je skończyłam i zesłałam ze wzgórze.

- Nie szkodzi. Chciałam być obecna, gdy wylądują twoje siostry Sith.

- Daj mi moje rzeczy. Zobaczą, co da się zrobić.

Halliava podała jej miecz świetlny i tablet. Vestara włączyła go, kliknęła migoczącą ikonę i odczytała wiadomość, która pojawiła się na ekranie.

- Co piszą?

- To prośba o natychmiastowy kontakt i spotkanie. Chcą wiedzieć, ile sprzętu mają zabrać ze sobą dla Sióstr.

Vestara wstukała kilka poleceń i ustawiła tablet tak, że znalazł się przy uchu i ustach.

Halliava usłyszała dobiegający z urządzenia kobiecy głos. Vestara odpowiedziała:

- Vestara Khai, potwierdzam... Koordynaty nie uległy zmianie. Dwadzieścia dwie Siostry Nocy plus ja, plus osiemnaście rankorów... Zrozumiałam. Koniec połączenia.

Wsunęła tablet do torebki przy pasie i zawiesiła przy nim miecz świetlny.

- Mam ponieść twoje rzeczy?

Vestara pokręciła głową.

- Zamierzasz zniszczyć klan Jaśniejącego Słońca dzisiaj, prawda? Zanim będzie im dane zobaczyć kolejny wschód słońca. Nie musimy już ukrywać mojej prawdziwej tożsamości.

Halliava weszła w las, idąc wzdłuż ścieżki wydeptanej przez zwierzęta. W ciemnościach droga była niewidoczna, ale zapamiętała jej zarys za dnia. Na razie prowadziła mniej więcej w kierunku łąki, na której Siostry Nocy miały spotkać się z Sithami. Ale po kilku krokach wyczuła coś jak gdyby sugestię odległej świadomości. Zatrzymała się.

- Co to?

- Jeden z nich mnie wyczuwa. Jeden z przybyszów.

- Zatem zaprowadźmy ich ku śmierci.

Halliava przytaknęła i ruszyła dalej.

Jednak tym razem było inaczej. Obcy już wcześniej ją śledzili, potrafiąc dopasować się do jej tempa marszu. Ale teraz za każdym razem, gdy ścieżka skręcała albo zatrzymywały się, tropiciele momentalnie zauważali zmianę. Zupełnie jakby je widzieli, choć Halliava wiedziała, że to niemożliwe.

Opowiedziała o tym Vestarze.

Dziewczyna szybko znalazła rozwiązanie.

- Mamy gdzieś pluskwę. To znaczy, drugą pluskwę. Nosłam jedną, żeby zwieść Jedi.

- Co to takiego?

- To działa tak, jakbyśmy ze wszystkich sił krzyczały, ale słyszeli nas tylko nasi prześladowcy. Schowali coś w naszych rzeczach. Niech tak na razie zostanie. Gdy zbliżymy się do łąki, podczepimy nadajnik do ptaka albo innego zwierzęcia. Pouganiają się za nim trochę. Zanim zorientują się, że zostali oszukani i zaczną nas szukać, broń Sithów znajdzie się w naszych rękach i będziemy mogły ich zniszczyć.

- To mi się podoba.

Ruszyły dalej.

- Halliavo, dlaczego to takie ważne, żeby nic się nie zmieniło?

Halliava wzruszyła ramionami, choć wiedziała, że Vestara nie może tego zobaczyć.

- Tak po prostu jest.

- Ale to głupota. Nie da się uniknąć zmian.

- Zgadza się z tobą. I w przeciwieństwie do niektórych, do wielu z nas, nie mam nic przeciwko mężczyznom. Nawet nie muszą być niewolnikami. Ale grupą może rządzić tylko kilka osób. Jeśli władza przypadnie mnie i siostrze, które wybrałam, to nie będzie jej mógł sprawować

już nikt więcej. A nowe zwyczaje oznaczają, że więcej ludzi zdobędzie umiejętności konieczne do sprawowania władzy, i wtedy jej zapagną.

- Brzmi rozsądnie. Ale po co w takim razie zostawać na Dathomirze? Z taką mocą mogłabyś wyruszyć, gdzie tylko zechcesz, i przewodzić większej grupie niż tutaj.

Halliava dopiero po chwili znalazła odpowiednie słowa.

- Gdzie indziej musiałabym zaczynać od początku. Uczyć się, jak to robi dziecko. Ale ja nie jestem już dzieckiem. Nie zrezygnuję z najmniejszej nawet części władzy i znaczenia, które mam tutaj.

- Nawet żeby w rezultacie zdobyć więcej?

- Nawet wtedy. Poddać się oznacza przegrać. A ja nie chcę ponieść porażki.

W stłumionym chichocie, który wyrwał się Vestarze, nie było należytego szacunku.

Halliava postanowiła puścić ten wybryk mimo uszu. Dziewczyna była przybyszem, nie nauczono jej manier. Ale to się jeszcze zmieni.

- A jeśli zamiast klanu Jaśniejącego Słońca nadal byłyby dwa klany, bo nie doszłoby do połączenia ze Strzaskanymi Kolumnami, to czy żeby zdobyć władzę, zdecydowałabyś się zabić Olianne, Kaminne i Firen? Swoje przyjaciółki?

Halliava prychnęła z pogardą.

- Kaminne przestała być moją przyjaciółką, gdy zaakceptowała tego hapańskiego mężczyznę jako równego sobie partnera. Nie dość, że to mężczyzna, to jeszcze nie włada Sztuką! Zabiję ją bez wyrzutów sumienia. Wtedy Olianne stanie się moim wrogiem, więc i ją będę musiała zabić. Firen, cóż, w głębi serca Firen jest mi wierna. Poszłaby za mną. Dlaczego pytasz?

- Zastanawiałam się, czym jest dla ciebie zdrada.

- To normalny świat, Vestaro. Uczucie i miłość mogą być prawdziwe, ale sojusze buduje się na wzajemnych potrzebach. Kto pierwszy zauważy, że ten stan rzeczy uległ zmianie, ten więcej skorzysta, zrywając sojusz. Kto zyskuje, ten jest silniejszy, jego ród jest silniejszy i lepiej przygotowany, by zmiążdżyć wrogów.

- Zgadzam się z tobą. Jesteś dobrą nauczycielką, Halliavo.

Przez jakiś czas szły w ciszy, aż znalazły się niecały kilometr od łąki. Tym razem to Halliava się zatrzymała.

- Chodzi o naszych prześladowców? - zapytała.

- Wciąż nam towarzyszą. Czas znaleźć pluskwę.

Zaczęły przeszukiwać swoje rzeczy. Po chwili Halliava wyczuła pod ręką dziwne wyrzuszenie w swoim bukłaku. Wyciągnęła znajdujący się tam przedmiot i podniosła go ku światłu księżyca. Okazało się, że to komunikator - taki sam, jakie nosili przybysze i na które wymieniały się członkinie Deszczowych Liści.

W ciemności widać było obnażone w uśmiechu białe zęby Vestary.

- O to chodziło. - Wzięła aparacik od Halliavy.

- Znajdę jakieś zwierzę.

Zajęło jej to raptem kilka minut. Wytropiła i schwytała jasnoskórą, polującą nocą jaszczurkę, zanim ta nawet zdążyła ją zauważyć. Była młoda, nie dłuższa od jej ramienia, i rzuciła się bezradnie w dłoń Halliavy.

Vestara porządnie przywiązała komunikator do karku zwierzęcia. Następnie z torebki przy pasie wyjęła zatkaną fioletową z transpastali z niewielką ilością brązowego pyłu w środku. Ją także przymocowała do rzemyka.

Halliava zmarszczyła brwi.

- Co to?

- Krew. Krew Luke'a Skywalker'a. Po moim przybyciu na Dathomirę dopiero po jakimś czasie się zorientowałam, w jaki sposób mnie śledzi. Gdy odkryłam, że to dzięki jego własnej krwi, czekałam tylko na okazję, by wykorzystać ją przeciwko niemu.

- Rozumiem.

Halliava uwolniła jaszczurkę. Obserwowały, jak znika w nocy.

- A teraz - powiedziała Halliava - musimy sprawić, by przestali nas wyczuwać.

- Zniknąć w Mocy?

- Tak.

Stopniowo zmniejszały swoją obecność w Mocy. Vestara była w tym tak dobra, że Halliava przestała ją wyczuwać, zanim sama uwiła do końca zakłęcie.

Czekały. Halliava wyczuwała w oddali prześladowców - przez krótką chwilę towarzyszyło im uczucie konsternacji, aż wreszcie trójka przybyszów zmieniła kierunek i zaczęła się oddalać.

Odczekały jeszcze kilka minut.

- Załatwione. - Halliava się uśmiechnęła. - Wyprowadziłyśmy ich na manowce. Trochę im zejdzie, zanim nas znowu znajdą.

- To dobrze. - Vestara podniosła miecz świetlny, tak że padł na niego blask księżyca. Nie był zapalony, ale na rękojeści pojawił się poblask. - Chciałabyś wiedzieć, do czego jeszcze nadają się miecze świetlne oprócz wyprowadzania cięć?

- Do czego?

- Do uderzeń. - Vestara wbiła rękojeść w splot słoneczny Halliavy.

Uderzenie, poparte siłą fizyczną, ale nie emocjami, całkowicie zaskoczyło Halliavę. Wypuściła z płuc całe powietrze. Zgięła się wpół, całkowicie bezradna.

Poczuła uderzenie rękojeścią w bok głowy. Przed oczami pojawiły się wywołane bólem gwiazdy. Wciąż przytomna, przewróciła się na wilgotną, pokrytą liśćmi ziemię. Spróbowała się poruszyć, podnieść, ale nie mogła. Vestara ją przytrzymała.

Zdała sobie sprawę, że leży twarzą do dołu, z rękami wygiętymi do tyłu. Nadgarstki miała mocno związane rzemieniem. Chwilę później Vestara zabrała się do jej kostek u nóg i również je związała.

Przetoczyła ją na plecy. Oszołomionej Halliavie udało się nabrać powietrza.

- Co...

Gdy usta Halliavy otworzyły się do pytania, Vestara wepchnęła w nie zwiniętą w kulkę szmatkę. Owinęła ostatni kawałek rzemienia wokół ust Halliavy, mocując na miejscu zaimprovizowany knebel.

Wreszcie Vestara odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się do Halliavy.

- Zapewne chciałaś spytać, co też wyrabiam. Wyświadczam ci przysługę. Ogromną przysługę. Powiedziałam ci, że cię podziwiam, i wyjaśniłam dlaczego. Nie kłamałam. Ale zrozum, Halliavo. Jesteś dzikuską. Nieobytą, niewykształconą i stroniącą od kąpiel. Niedługo jednak rozpoczniesz życie pośród gwiazd. Będziesz nauczać innych i sama zdobywać wiedzę. Składając broń, zdobędziesz jeszcze większą władzę, niż masz teraz. Myślałaś, że wyświadczasz mi przysługę, czyniąc mnie Siostrą Nocy. A ja spłacam dług, i to po wielokroć, któregoś dnia staniesz się Sithem. Będziesz musiała pogodzić się z faktem, że połowa Sithów to mężczyźni, ale cóż, to twoi nauczyciele będą musieli przez kilka kolejnych lat leczyć cię z twoich głupich uprzedzeń.

Vestara przerwała, zabierając Halliavie wszystkie jej rzeczy - broń, zapasy, a nawet buty. Następnie podniosła ją i zarzuciła sobie na ramiona.

- Uff. Nie ty jedna popełniłaś głupi błąd. Powinam była to zrobić dużo bliżej łąki. No cóż... Na przyszłość będę wiedziała.

Ruszyła powoli przed siebie, z każdym krokiem wbijając chude ramiona w brzuch Halliavy.

Ona krzyczała, zirytowana i rozgniewana, ale stłumiony przez knebel dźwięk było słychać tylko w promieniu kilku metrów.

## ROZDZIAŁ 29

### Strefa lądowania Sithów, Dathomira

Wedle dathomirskich standardów była to zastraszająca siła bojowa. Na krawędzi lasu pojawiło się blisko dwa tuziny Sióstr Nocy. Towarzyszyło im niemal tyle samo podzielonych na

trzy grupy rankorów - wyszkolonych, posłusznych, potwornie silnych.

Przed nimi, na środku łąki, właśnie lądował pierwszy prom, zatrzymując się łagodnie. Był pudełkowaty i srebrzysty, a jego skrzydła, początkowo sięgające daleko od kadłuba, złożyły się, gdy tylko pojazd stanął bez ruchu. Dwa kolejne promy zbliżały się do lądowiska niczym srebrzyste igielki.

Kobieta stojąca pośrodku Sióstr Nocy musiała być ich przywódczynią. Wysoka, o szerokich barkach i siwych włosach, miała na ciele wybroczyny, z którymi obnosiła się dumnie jak każdy użytkownik Mrocznej Sztuki, nieobawiający się ich ujawnić. Nosiła szaty ze skóry jaszczurek, ufarbowane na czarno i nabijane drogocennymi kamieniami - nagrodami zdobytymi w dziesiątkach napadów i pojedynków. Miała na imię Dresdema, a klan, do którego niegdyś należała, od dawna już nie istniał, zniszczony przez wrogów Sióstr Nocy.

Ale Siostry Nocy przetrwały, a dzisiaj miały stać się niezwyciężone.

Odwróciła się do siostry po prawej.

- Gdzie jest Halliava?

- Powinna tu dotrzeć lada moment. Jakiś czas temu wyczułam, że się zbliża.

Dresdema skinęła głową. Nie zamierzała niczego opóźniać tylko dlatego, że jedna z dziewcząt głupio się spóźni. Halliava to cenny nabytek; była przebiegła i pomysłowa, ale brakowało jej poczucia czasu. Dzisiejszej nocy klan Jaśniejącego Słońca zostanie zniszczony, a Halliava być może dołączy do grupy Dresdemy, gdzie nauczy się dyscypliny.

Gdy Siostry Nocy znalazły się w połowie drogi do promów, dwa pozostałe pojazdy zdążyły już wylądować. Czekwały z zamkniętymi włącznikami. Jedyne, co można było dostrzec, to mroczne kształty przemieszczające się z kokpitu do głównych pomieszczeń promów, poza zasięg wzroku.

Dresdema odetchnęła głęboko.

- Czujecie to, siostry? Mroczna Sztuka unosi się w powietrzu niczym zapach kwiatów.

Widziała, jak sylwetki naprawo i lewo od niej kiwają głowami. Wyczuwały Moc.

Oczywiście gdy te kobiety Sith okażą jakąkolwiek oznakę słabości lub będą chciały zdradzić Siostry Nocy, wtedy zaatakują je, zabiją, a potem zabiorą broń i wahadłowce. Taka była kolej rzeczy. Sithowie z pewnością to rozumieli.

Siostry Nocy wraz ze swoimi rankorami otoczyły półokręgiem środkowy wahadłowiec.

Dresdema wysunęła się przed pozostałe siostry. Głośno, tak by wszędzie ją słyszano, powiedziała:

- Siostry Nocy zebrały się. Witamy was, siostry Sith.

Włącz środkowego promu otworzył się, przyjmując postać schodów. Zeszły po nich dwie ubrane w długie szaty, całkowicie zasłonięte postacie. Opuszczały się także włączniki w pozostałych wahadłowcach, a w blasku bijącym ze środka każdego z nich można było dostrzec dwie sylwetki.

Pierwsza kobieta Sith, która stanęła na ziemi, odrzuciła kaptur. Miała czarne włosy i miecz świetlny powieszony do paska na modłę Jedi. Ona również głośnym, niczym herold głosem obwieściła:

- Witam was, Siostry Nocy. Pozwólcie, że przedstawię wam dowodzącego misją Lorda Gaalana.

Druga postać sięgnęła do kaptura. Miała egzotyczną urodę - była smukła, wyższa od Dresdemy, o szerszych ramionach i pięknej twarzy, a jej skóra w świetle wylewającym się z włącznika wahadłowca wydawała się lawendowa.

I bez wątpienia była mężczyzną.

Dresdema zamarła. Albo miała do czynienia z niesmacznym żartem... albo ze zdradą.

Siostry Nocy dobrze wyczuwały zdradę. Dresdema obrzuciła szybkim spojrzeniem szereg sióstr i rankorów i otworzyła usta, gotowa wyrzucić rozkaz. Wtedy jednak zauważyła, że kilka kroków za nimi pojawiły się jakieś postacie. Spojrzała w ich kierunku.

Stało tam sześcioro mężczyzn i kobiet z wyłączonymi mieczami świetlnymi w dłoniach, ubranych tak samo jak ci, którzy wyszli z wahadłowców.

Tak umiejętnie zajęli pozycje za linią Sióstr Nocy, że nikt nawet nie zauważył ich przybycia.

Dresdema wydała rozkaz:

- Do ataku! Wrogowie z przodu i z tyłu!

Dobrze wyszkolone i doświadczone w walce Siostry Nocy wyciągnęły broń i zaczęły wić zaklęcia ofensywne. Blisko połowa z nich odwróciła się, by stawić czoło wrogom z tyłu. Chwilę później odwróciły się także kontrolowane przez nie rankory.

Dresdema zwróciła się w stronę wahadłowców, upuściła włócznie i zaczęła dłońmi prążyć zaklęcie ognia wycelowane w mężczyznę, który ośmielił się ją oszukać.

Kobieta obok przywódcy o skórze koloru lawendy pstryknęła jakby od niechcenia palcami. Z jej dłoni wystrzelił lśniący, pokrecony i trzaskający wyładowaniami łuk fioletowoniebieskiej energii, uderzając Dresdemę w klatkę piersiową.

Czuła, jak wstrząsa jej ciałem, jak włosy stają jej dęba. Ta błyskawica była znacznie bardziej skoncentrowana od tych, które rzucały Siostry Nocy.

Dresdema zadrżała, gdy jej ciałem wstrząsnęły paroksyzmy i przeszywał ją ból. Nie pozabawił jej przytomności, ale nie mogła wić zaklęć ani podnieść swojej włóczni. Potknęła się i upadła na jedno kolano.

Mężczyzna o skórze koloru lawendy wzniósł się w powietrze, jak gdyby został ciśnięty przez olbrzyma. Jego celem był rankor na prawo od Dresdemy. Miecz w jego ręku rozbłysnął czerwonym światłem. Rankor sięgnął łapą, ale nie trafił, a Sith minął jego głowę, odbił się od ramion rankora i z nadnaturalnym wdziękiem wylądował przed nim.

Głowa rankora przechyliła się w stronę Dresdemy... a po chwili całkowicie odpadła od karku. Ciało zwierzęcia runęło do tyłu, a przypalony kikut znalazł się ledwie metr za mężczyzną, który go zabił. Głowa odbiła się od darni, potoczyła i zatrzymała tuż przy Dresdemie. Do jej nozdrzy dotarł zapach spalonego ciała.

- Nie... - wydusiła z siebie Siostra Nocy. Trzęsącymi się rękami sięgnęła po włócznie i spojrzała w górę, tylko po to, by zobaczyć wojowniczkę, która zaatakowała ją błyskawicą. Sith kopnięciem podbiła włócznie, złapała ją i obróciła, po czym roztrzaskała jej tylną część o bok głowy Dresdemy. Kobieta przewróciła się, a świat wokół niej zawirował.

Ale nawet wtedy nie straciła przytomności. Zamglonym wzrokiem obserwowała likwidację swojego plemienia.

Za każdym razem, gdy któraś z Wiedźm zaczynała prążyć zaklęcie, czarno ubrani obcy przerywali je błyskawicą lub atakiem wręcz. Miecze świetlne zamieniały broń Sióstr Nocy w bezużyteczny złom. W ciągu kilku chwil wszystkie zostały powalone na ziemię ciosami dłoni, stóp, kolan i łokci.

Potraktowano je i tak łagodnie. Rankorom nie okazano żadnej litości. Sithowie przeskakiwali je z jaśniejącymi ostrzami w dłoniach, przecinając goleń, łapę lub kark. Kilka zdążyło nawet wydać z siebie ryk. Większość po prostu z hukiem uderzyła wielkimi, niezdarnymi cielskami o ziemię, by już nigdy się z niej nie podnieść.

Jeszcze tylko chwila i było po wszystkim. Z niezmaconym spokojem Sithowie krążyli między górującymi nad nimi liczebnie przeciwniczkami, posyłając ku Siostrom Nocy małe błyskawice, przeszywając ciała bólem, nie pozwalając się poruszyć, sprawiając, że były całkowicie bezradne. Następnie zaczęli im zakładać na ręce i nogi metalowe kajdany.

Przywódca o lawendowej skórze stał nad Dresdemą. Przyglądał się jej uważnie, aż wreszcie uśmiechnął się w sposób, który nie dodawał otuchy.

- Witaj w szkole.

Ranna i skołowana zdołała wykrztusić:

- Przeklinam was i wasze...

Z dłoni kobiety, która towarzyszyła Lordowi Gaalanowi, wystrzeliła błyskawica. Z trzaskiem uderzyła w skroń Dresdemy i Siostra Nocy straciła przytomność.

Gdy Vestara Khai dotarła na skraj łąki, pozostał na niej już tylko jeden wahadłowiec, dwójka Sithów i osiemnaście martwych rankorów.

Ułożyła Halliawę na skraju lasu i, wolna od ciężaru, pobiegła. Nawet z tej odległości i w

niedającym pewności światła księżyca rozpoznała, znanego jej głównie z widzenia, Lorda Gaalana. Choć zauważył jej przybycie, nie skinął głową ani w żaden inny sposób jej nie powitał.

Oczywiście, że nie. Był przecież Lordem Sith.

Gdy znalazła się bliżej, uderzyła ją jego uroda, idealne kształty i piękna twarz, tak powszechne wśród wysokich rangą Sithów - perfekcja, której sama nigdy nie doświadczy. Oddaliła od siebie tę myśl. Tej nocy to nie perfekcja była jej celem; najważniejsze było przetrwanie i zysk. Pozdrowiła Lorda Sith i czekała, gotowa wysłuchać jego życzeń.

- Vestaro Khai, nie powiedziałaś nam prawdy.

Te słowa zmroziły jej krew w żyłach. Niepowodzenie, czegokolwiek by dotyczyło, mogło sprowadzić na nią karę, a nawet śmierć z rąk Lorda. Gdyby przyłapano ją na kłamstwie, znalazłaby się w wielkim niebezpieczeństwie. Dołożyła starań, by z jej głosu nie przebijał niepokój.

- Mój panie?

- Brakuje jednej dzikuski.

- Ach, tak. Leży na skraju lasu.

- To dobrze. Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że twój zapach jest odrażający.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że Gaalan, Lord Sith o kamiennej twarzy, surowy, jak to zwykle bywają Lordowie Sith względem uczniów, właśnie sobie zażartował.

Zawahała się, po czym uśmiechem wyraziła uznanie dla jego poczucia humoru.

- Tak, mój panie. To barwy ochronne, jakie stosują tubylcy. Nie mogę się doczekać porządnej kąpieli.

- Czy mam posłać kogoś po schwytaną?

Kolejny test. Jeśli odpowie, że tak, okaże słabość - i może zrobić sobie wroga z Sitha, który zostanie wysłany po Halliawę.

- Nie, mój panie. Sama ją przyniosę.

- Najpierw dane. - Wyciągnął dłoń.

Położyła na niej tablet.

- Są tutaj wszystkie dane nawigacyjne ze zdezelowanego statku, którym się tutaj dostałam.

Wskazą drogę od punktu wejścia do Otchłani aż do stacji z Mroczną Mocą.

- Ale nie mnie, niestety. Powierzono mi zadanie dostarczenia tego ładunku dzikusiek.

Upewnię się jednak, że dane trafiły we właściwe ręce. Idź po swojego więźnia.

Choć Vestara bardzo chciała usłyszeć, do kogo należą te właściwe ręce - kto jeszcze brał udział w ekspedycji i czy są tu jacyś jej przyjaciele - jednak wiedziała, że lepiej nie pytać. Nie należy okazywać słabości ani wrażliwości, nigdy, chyba że ma to służyć uspieniu czujności przeciwnika. I tak się dowie. Wystarczyło jej, że znalazła się wśród swego ludu. Ponownie zasalutowała i ruszyła po Halliawę.

- Uczennico?

Zamarła i po chwili odwróciła się do Lorda Gaalana.

- Tak, sir?

- Dobra robota.

- Dziękuję, panie. - Skinęła głową i wróciła do swojego zadania.

Nie pozwoliła, by radość, którą czuła, odbiła się na jej twarzy. Pochwała ze strony Lorda! Coś takiego rzadko się zdarzało i miało wielkie znaczenie.

Gdy dotarła na skraj lasu, odkryła, że Halliawa przeczołgała się jak robak kilka metrów dalej między drzewa.

- Nie, nie wolno ci tego zrobić. Na pewno skończyłabyś w żołądkach stada jaszczurów.

Vestara podniosła Halliawę, ustawiła ją do pionu i ponownie zarzuciła sobie na barki.

- Cała teraz jesteś w piachu i liściach.

Żwawym krokiem ruszyła ku łące.

Gdy dotarła do skraju lasu, ze zdziwieniem zaobserwowała, że dwójka Mieczny rasy ludzkiej, mężczyzna i kobieta, którzy wcześniej znajdowali się w ostatnim wahadłowcu, wyszli teraz przez właz z wyłączonymi mieczami świetlnymi w dłoniach. Lord Gaalan i jego pomocnica stali ramię w ramię, z bronią w ręku, spoglądając na południowy zachód, na lewo od miejsca, gdzie



znajdowała się teraz Vestara.

Z jednego z zagłębień pofałdowanej łąki wyskoczyli Luke, Ben i Dyon.

Vestara zamarła. Niedobrze.

Czy powinna wrócić do promów i pomóc w walce? Sithowie mogą jej nie potrzebować - nawet na pewno nie będą jej potrzebować. A gdyby któremu z tych przybyszów udało się uciec, wyszłaby na jaw rola, jaką odegrała w schwytaniu Sióstr Nocy, a także oszukańcza gra z Deszczowymi Liśćmi i Strzaskanymi Kolumnami. Ale to miało się już ku końcowi; zakończyła zadanie, które wyznaczyła sobie na tej planecie. Niełatwo było jednak odrzucić sieć półprawd i związków, którą tak skrupulatnie tkła.

Tyle że wszystkie te rozmyślania na nic się zdadzą, jeśli Skywalkerowie widzieli ją w towarzystwie Lorda Gaalana.

Z roztargnieniem poruszyła ramionami, zrzucając Halliavę. Kobieta stęknęła i upadła ciężko na ziemię.

Podczas gdy ona zastanawiała się, jak postąpić, Jedi i Sithowie przeszli do działania.

Przywódca Sithów odezwał się kulturalnym, zaskakująco przyjemnym dla ucha głosem.

- Wielki Mistrz Luke Skywalker.

Luke przytaknął.

- A to mój syn, Ben. I nasz przyjaciel, Dyon Stadd.

- Nazywam się Viun Gaalan i jestem ostatnim człowiekiem, którego dane ci było spotkać.

Zabijając Luke'a Skywalkera, wzbudzę ogromny podziw. Szczególnie wśród rodziny Lady Rhei, za śmierć której odpowiadasz.

Luke pokręcił głową.

- Nie jesteś ostatnim człowiekiem, którego spotkałem, i nie wzbudzisz niczyjego podziwu.

Lord Gaalan włączył swój miecz; jego blask oświetlił na czerwono porastającą łąkę roślinność, przypominającą z wyglądu koniczynę. Ułamek sekundy po nim miecze włączyła trójka Sithów i Jedi. Dyon wyciągnął swoje dwa blaster.

Luke i Gaalan rzucili się na siebie jednocześnie, a zielone ostrze zderzyło się z czerwonym. Siła ich ataku była tak wielka, że ustępujący im potęgą użytkownicy Mocy zostaliby odrzuceni kilka metrów do tyłu, na nich jednak nie wywarła żadnego wrażenia. Stojąca przy Gaalanie kobieta Sith zaatakowała Luke'a, ale on zmienił tylko ułożenie swojego miecza, przyjmując na niego atak, i kopnięciem zmusił kobietę do cofnięcia się; upadła, przetoczyła do tyłu i zaraz poderwała się na równe nogi.

Ben rzucił się w stronę wojownika Sithów. Luke kątem oka zauważył, jak jego syn nagle zatrzymuje się i zaczyna biec w przeciwnym kierunku. Sith, który akurat skakał w jego stronę, stracił równowagę i miecz świetlny wypadł mu z dłoni.

Dyon strzelił ze swoich blasterów do rozbrojonego Sitha. Mieczowi udało się chwycić pierwszy pocisk otwartą dłonią, ale ponieważ wciąż nie odzyskał równowagi, z drugim nie miał już tyle szczęścia. Trafił go w kolano. Trzeci - w ramię; czwarty w gardło.

Druga wojowniczką Sith rzuciła się na Dyona. Cofnął się, wykonując profesjonalny unik, dzięki któremu cios jej miecza świetlnego minął jego lewe ramię i zamiast niego przeciął trzymany w dłoni blaster.

Pomocnica Gaalana pędziła teraz w stronę Bena.

Gaalan atakował Luke'a na przemian wysoko i nisko, w serii subtelnych i wyrafinowanych ciosów, które oszołomiłyby szermierza mniejszego kalibru. Był dobry; Luke musiał mu to przyznać. Mógłby stanąć w szranki z tak doświadczonymi szermierzami jak Kyp czy Kyle Katarn i pokonać pozbawioną wiary w siebie Cilghal, a nawet i Luke'a, w czasach, gdy na Stacji Ujście osłabły jego umysł i ciało.

Ale pomimo ostatnich trudów, Luke miał dość czasu, by odzyskać siły. Zastaniał się przed każdym ciosem Gaalana, a jego własne riposty - gdy miecz muskał broń przeciwnika i przeskakiwał ku twarzy, ramionom, kolanu lub piersi Lorda Sith - coraz mocniej zbliżały się do ciała.

Luke uśmiechnął się do przeciwnika.

## ROZDZIAŁ 30

Vestara sięgnęła po miecz świetlny i ruszyła ku walczącym, przyspieszając bieg dzięki Mocy.

Jeden z Mieczy Sith był już martwy, ale mimo to szala zwycięstwa powinna przechylać się na stronę Sithów. Gaalan dorównywał Luke'owi, pierwsza wojowniczką Sith - Benowi, drugiej zaś przypadłoby pokonać Dyona i praktycznie od razu zabić tego nieudanego Jedi.

Ale Dyona wcale nie było tak łatwo zabić. Podskakiwał i wił się, unikał ciosów Miecza, wykonując salta i przewroty, a w trakcie swoich popisów akrobatycznych ostrzeliwał swoją przeciwniczkę. Pociski pudłowały lub były przyjmowane na miecz świetlny, ale i tak trzeba było na nie uważać.

Dyon skoczył po miecz świetlny zabitego Sitha, sięgając dłonią, w której trzymał wcześniej przecięty blaster. Upadł, przetoczył się - ale dłoń pozostała pusta, nie udało mu się chwycić rękojeści.

Na jego twarzy pojawił się wyraz rozczarowania. Atakująca go wojowniczka się uśmiechnęła.

Dyon wykonał przewrót do tyłu i zamachnął się pustą dłonią...

...ale jego zaciśnięta dłoń wcale nie była pusta. Koniczyna i piasek trafiły przeciwniczkę Bena w twarz. Całkowicie zaskoczona cofnęła się niepewnie.

Ben przeciął ją na pół na wysokości pasa. Gdy Dyon wylądował, nie sprawiał już wrażenia rozczarowanego.

Vestara się skrzywiła. Taką samą sztuczkę zastosowała Firen w swoim ostatnim pojedynku z Lukiem, ona jednak odniosła tylko połowiczny sukces. Teraz wszystko poszło zgodnie z planem, a szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Jedi.

Ben zaatakował przeciwnika Dyona, on sam zaś wrócił po upuszczony miecz świetlny i podniósł go, cały czas ostrzeliwując z blastera nowego rywala Bena. Sith odbijała jego pociski w stronę Bena, ale dzięki błyskawicznemu refleksowi chłopak ponownie zwracał je przeciwko niej. Jeden z pocisków trafił ją w dłoń, w której trzymała miecz. Cofnęła się chwiejnym krokiem z grymasem bólu na twarzy. Dyon i Ben zaatakowali odruchowo, zanim mogli ocenić jej stan lub wezwać ją do złożenia broni. Pocisk z blastera trafił ją w brzuch, a miecz świetlny ciał przez kark. Gdy pchnięte strzałem ciało wpadło na burtę promu, odcięta głowa poleciała w powietrze.

Vestara zwolniła do normalnego biegu.

Pozostali wyczuli jej obecność. Luke przesunął się w prawo, wciąż skupiony na Gaalanie, ale kątem oka obserwując zbliżającą się Vestarę. Gdy Ben odwrócił się w jej kierunku, Dyon zrobił to samo.

Wykorzystując okazję, Gaalan postanowił przejść do działania. Wykonał salto do tyłu, lądując dokładnie na rampie wahadłowca. Właz zaczął się zamykać. Luke rzucił się do przodu, blokując rampę ostrzem miecza świetlnego i uniemożliwiając zamknięcie się luku, po czym zaczął wypalać wąską bruzdę na jego skraju.

Zapaliły się silniki odrzutowe. Lord Gaalan sterował pojazdem z kokpitu, przystojny i niewzruszony jak zawsze. Wahadłowiec ślizgiem ruszył do przodu, ryjąc w ziemi szerokie na metr bruzdy. Po przebyciu niecałych trzydziestu metrów dziób wycelował w niebo i pojazd wzniósł się w powietrze.

Luke sięgnął za nim, wykorzystując telekinezę, ale opuścił dłoń. Wyglądał żałośnie.

- Blokuję moją Moc.

Ben wycelował ostrze miecza w Vestarę.

- Pewnie przyszłaś pomóc swojemu szefowi.

Vestara nie włączyła swojego miecza.

- To nie jest mój „szef”. Moją Mistrzynią była Lady Rhea. Zabił ją twój ojciec. I pozwolę

sobie dodać, że zrobił to w bardzo umiętny sposób. - Zawiesiła broń przy pasie. - Liczyłam na to, że odlece wahadłowcem Lorda Gaalana.

Luke gestem dłoni przyciągnął wiszący u pasa Vestary miecz.

- Na razie ja go wezmę.

Wzruszyła ramionami.

- Oczywiście. Nie mam się czego obawiać, gdy ty mnie ochraniasz.

Dyon wyłączył zdobyczny miecz świetlny.

Luke uśmiechnął się do niego.

- Powinieneś go zatrzymać. Dobrze z nim wyglądasz.

- Nie przepadam za czerwonym. - Dyon podwiesił miecz do jednego z niezliczonych zaczepów swojej kamizelki. - Ale masz rację. Chyba go zachowam.

Ben spojrział za plecy Vestary.

- Mamy towarzystwo.

Vestara się odwróciła.

Z lasu wyłaniali się oświetleni poświata księżycy myśliwi i zwiadowcy klanu Jaśniejącego Słońca. Kilkoro zostało z tyłu... w miejscu, gdzie Vestara zostawiła Halliawę.

Vestare opuściła nadzieję - ale tylko na chwilę. Nie, nie miała się czego obawiać. Halliava nie przyzna się do współpracy z Vestarą, do tego, że jest Siostrą Nocy. Ich wersja wydarzeń się obroni.

Łzy gniewu i smutku strużkami spływały po brudnej twarzy Halliavy. Wskazała Vestarę.

- Oskarżam Vestarę Khai.

Stali na skraju łąki - Tasander, Kaminne, wielu spośród zastępców wodzów, Skywalkerowie, Dyon, liczni wojownicy i Wiedźmy. Pozostali krążyli po otwartym terenie, w zdumieniu podziwiając ciała rankorów i trójkę zabitych Sithów.

Tasander spojrział zaciekawiony na Vestarę i znowu skupił się na Halliavie.

- Oskarżasz o co?

- O udział w spisku przeciwko Jaśniejącemu Słońcu, w którym i ja brałam udział. Oraz o współpracę z Siostrami Nocy.

Z głosu Kaminne przebijał smutek.

- W ten sposób wydajesz na siebie wyrok.

- Już wszystko utraciłam. Z jej winy. - Halliava szerokim gestem wskazała łąkę. - Sithowie zabrali ze sobą moje siostry. Odebrano mi moją rodzinę. Mój klan przestał istnieć. Wszystko przez nią. Nie ma dla mnie znaczenia, co się ze mną stanie. Chcę tylko, by Vestarę spotkała śmierć.

Vestara poczuła na sobie spojrzenia zebranych.

Wzruszyła obojętnie ramionami.

- To prawda, ale zastanówcie się, dlaczego to zrobiłam. Wyeliminowałam spiskujące tu Siostry Nocy. Dzięki mnie nie zagraża wam już ich małostkowość i zło.

Głos Halliavy przypominał syk.

- Wspólnie przekazywałyśmy Siostram Nocy informacje, które doprowadziły do śmierci wielu Deszczowych Liści i Strzaskanych Kolumn.

- To prawda, i żałuję, że tak się stało. - Na twarzy "Niestary pojawił się cień smutku. - Nie znalazłam innego sposobu, by wywabić i zniszczyć Siostry Nocy. Ale jak zachowała się każda z nas w obliczu niebezpieczeństwa? Ty zabiłaś Shę Bez Plemienia. Ja pomogłam Luke'owi Skywalkerowi. Nasze czyny bardziej niż cokolwiek innego wskazują na kierujące nami motywy.

Wśród pomruków, które podniosły się pośród zgromadzonych członków klanu, dały się słyszeć i takie, które przyznawały Vestarze rację.

Kaminne i Tasander naradzali się szeptem. W końcu odwrócili się do Halliavy i Vestary.

- Sha Bez Plemienia nie była jedną z nas. - W głosie Tasandera wyczuwało się żal. - Nie możemy więc wymierzyć sprawiedliwości za jej śmierć. Nikt nie może; żaden klan nie przemówi w jej imieniu. Ty zaś, Halliavo, nie przyznałaś się do żadnych poważnych zbrodni, grożących karą

śmierci. Dlatego naszym postanowieniem zostajesz skazana na wygnanie. Na całej Dathomirze będziesz znana jako Siostra Nocy. Będą cię nienawidzić i polować na ciebie. Zdziwię się, jeśli uda ci się dożyć wieku, gdy twoje włosy przyprószy siwizna. Umrzesz w samotności, niekochana. Ktoś zaadoptuje twoją córkę, Arę.

- I tak jest córką Shy - powiedział szeptem Ben.

Kaminne spojrzała na Vestarę.

- Co się zaś tyczy ciebie, to nie jesteśmy w stanie zaprzeczyć twoim motywom... ani też ci uwierzyć. Straciłaś nasze zaufanie. Nie jesteś już członkinią klanu Jaśniejącego Słońca i nie możesz szukać u nas ochrony. Podlegasz teraz prawom i sprawiedliwości, jaką wymierzą ci Jedi i mieszkańcy innych światów.

Vestara pochyliła głowę.

W następnej kolejności przemawiała Olianne. Mówiła cichym, smutnym głosem.

- Straciłam córkę. Wychowam Arę jak własne dziecko.

- Ona dała coś Lordowi Sith. - Halliava ponownie wskazała palcem Vestarę. - Swoje urządzenie komunikacyjne.

Luke i Ben wymienili spojrzenia. Ben wyglądał żałośnie.

- Na pewno z danymi nawigacyjnymi Otchłani. Tato...

- Wiem. - Luke spojrzał na Kaminne i Tasandera. - Musimy wrócić do portu kosmicznego. I to tak szybko, jak to tylko możliwe.

Kaminne skinęła głową.

- Tylko ty i Ben?

- I Vestara, jako nasz więzień. I może jeszcze... - Odwrócił się twarzą do Dyona.

- Zrobi się. - Dyon spojrzał zirytowany na Bena. - Dużo, wysiłku kosztuje mnie zarobienie tych pięciu kredytów.

- Na pokładzie „Cienia Jade” mam jeszcze piątkę. Jest twoja.

- Dzięki.

Tasander spojrzał po zebranych wokół Jaśniejących Słońcach.

- Dostaniecie kilka grawicykli. Zostawcie je w porcie, wybierzemy się po nie, gdy tylko nadarzy się okazja.

Luke podszedł do Tasandera i Kaminne, kładąc obojgu dłonie na ramionach.

- Dziękuję. A jeśli tego wcześniej nie mówiłem... gratulacje.

Kaminne się uśmiechnęła.

- To ja tobie dziękuję. Zawsze będzie tu dla ciebie miejsce, nieważne, czy przybędziesz jako wygnany Jedi, czy jako gość. Ty, Ben i Dyon jesteście Jaśniejącymi Słońcami, jeśli tylko wyrażicie na to zgodę.

Luke też się uśmiechnął.

- Ściągniemy wszystkich znajomych.

Podczas gdy Kaminne i Tasander byli zajęci przygotowaniami, przybysze spoza planety wybrali się do obozu po swoje rzeczy.

Halliava zniknęła. Ben sądził, że już na dobre, ale kilka minut później wróciła z tobołkiem i z bronią. Niepewnie podeszła do Luke'a.

- Zabierz mnie ze sobą.

Spojrzał na nią z autentycznym zdziwieniem.

- Zabierz mnie ku gwiazdom, bym mogła odnaleźć Sithów i ich zabić. I uwolnić moje siostry.

- Nie taką mamy misję, Halliavo. - Luke westchnął. - Ale nie stanę na drodze nikomu, kto źle życzy Sithom. Jeśli uda ci się dotrzeć do portu, znajdziesz sposób na opuszczenie planety. A gdy już to zrobisz, być może dowiesz się o Sithach wystarczająco wiele, by ich odnaleźć.

Twarz Halliavy nie wyrażała żadnych uczuć. Odwróciła się i raz jeszcze zniknęła w lesie.

Kilka minut później wrócili Tasander i Kaminne. Tasander wręczył Luke'owi dwie datakarty.

- To kody do grawicykli Droli i jego brata, Tulu. Dotrzecie na nich do portu.

- Dziękuję.
- A to... - Kaminne podniosła rulon zwierzęcej skóry związanej rzemykiem. - ...dla ciebie, Ben, skoro twój ojciec nie może tego wziąć.
- Co to?
- To jest... jak wy to nazywacie? - Kaminne odwróciła się do męża.
- Akt własności. - Tasander wskazał kciukiem za siebie. - Tego wzgórze. Dla Zakonu Jedi. Powinniście zbudować tu szkołę. Jeśli byście się zdecydowali, to macie już kawałek ziemi na terytorium Jaśniejszego Słońca.
- Dziękuję. - Ben schował akt własności w pasie. - Tato, znowu robię za gospodarza.

### **Ambasada Imperium Galaktycznego, Coruscant**

Moff Lecersen został wprowadzony pod eskortą szturmowców w białych zbrojach do tymczasowego gabinetu prezydenta Fela. Udając obojętność, rozejrzał się po pomieszczeniu, zauważając, że usunięto zniszczenia powstałe w wyniku zamachu, który przygotowała senator Treen.

Jagged Fel siedział za biurkiem. Ciemne drewno i syntetyczny blat pasowały do jego ciemnych włosów i złowrogiego za chowania.

Fel wskazał mu fotel.

- Proszę usiąść.

- Dziękuję. - Twarz Lecersena wyrażała szczerą i brak podejrzeń, ale wewnątrz aż się skręcał. Czyżby Fel odkrył jego współudział w zamachu w restauracji? Czy jego agenci byli aż tak niezdarni?

- Chciałbym porozmawiać o zamachu na moje życie.

Lecersena opuściła nadzieję, ale zachował pokerową twarz. Blefuj, zawsze blefuj, pomyślał.

- Wyjątkowo niefortunna sytuacja. To cud, że nic się panu nie stało. Oglądałem materiał Javisa Tyrra.

- Tak... Jestem przekonany, że dzięki zaostrzonym rygorom bezpieczeństwa nic mi już nie grozi, ale dwa ostatnie zamachy przypominały mi, że jestem istotą śmiertelną. Jak również o tym, że gdybym zginął, nie miałby kto zająć mojego miejsca. Rozpętałyby się walka o władzę, a na to nie możemy sobie teraz pozwolić, prowadząc rozmowy dotyczące zjednoczenia Imperium z Sojuszem Galaktycznym.

Lecersen przytaknął. Nie brzmiało to jak oskarżenie. Może jednak się wywinie.

- Dlatego muszę zapytać, kogo poparłby pan jako kandydata na prezydenta w przypadku mojej śmierci.

Lecersen poczuł, że uchodzi z niego powietrze. Siebie, oczywiście, że siebie i nikogo innego.

Ale czy jeśli udzieli takiej odpowiedzi, Fel nie będzie go podejrzewał o zorganizowanie zamachów? Z drugiej jednak strony, jeśli Lecersen poda inne nazwisko, to czy Fel nie poprze tego kogoś, osłabiając jednocześnie pozycję samego Lecersena?

Zamrugnął.

- To niełatwe pytanie.

- Ależ śmiało. Moffowie, podobnie jak prezydenci, często muszą mierzyć się z pytaniami podobnej wagi.

- Tak, oczywiście. - Lecersen się zamyślił. - Prawdę powiedziawszy, to nie zastanawiałem się, kto mógłby pana zastąpić. Ale proszę mi dać chwilę, a z przyjemnością przygotuję krótką listę. Jestem zaszczycony, że zapytał mnie pan o zdanie.

- Proszę ją przygotować. Będę niecierpliwie czekał na pańską opinię.

- Czy wiadomo coś o człowieku, który pana zaatakował?

- Tylko to, co słyszał pan już w mediach. Dokładnie przyglądamy się jego współpracownikom. Oczywiście spisek, do którego należał, nie ma szans na przetrwanie. A ja nie

będę musiał nawet uczestniczyć w dziele zniszczenia go.

Lecersen zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem?

Fel wcisnął wirtualny przycisk na blacie. Na dużych rozmiarów monitorze zawieszonym na ścianie za jego plecami pojawiło się zdjęcie z holokamery.

Wykonano je w noc ataku na Pangalactus. Widać na nim było idących w stronę kamery Hana i Leię Solo, prowadzących między sobą ich adoptowaną córkę Amelię. Dziewczynka miała poważny wyraz twarzy i szeroko otwarte oczy. Na twarzach Solo malował się nieprzejednany gniew. Furia Leii była widoczna jak na dłoni i mroziła krew w żyłach, podczas gdy Han - nie pierwszy już raz Lecersen zauważył, że Han Solo, ze swoją zaciśniętą szczęką i wściekłością w oczach, potrafi wyglądać na bardziej rozwścieczonego od jakiegokolwiek żywej istoty, włączając w to koreliańską panterę piaskową.

Fel spojrział na obraz.

- Spiskowcy narazili życie ich córki, czyniąc sobie z nich śmiertelnych wrogów. Nie chciałbym, żeby to mnie szukali.

Lecersen poczuł, że z nerwów żołądek zawiązuje mu się na supeł.

- Ja również.

- Dziękuję, że się pan zjawił.

- To była przyjemność.

Lecersen wstał.

Po wyjściu Moffa Fel siedział jeszcze przez chwilę bez ruchu, stukając palcami po blacie.

Drzwi za nim otworzyły się i weszła Jaina. Usiadła na krawędzi biurka.

- I co sądzisz?

- Nie chciał już teraz przedstawiać swojej kandydatury. Ciekawe, bo to by oznaczało, że nie jest jeszcze przygotowany do zastąpienia mnie. To z kolei mówi nam, że ma inne plany. Ale jeśli zakładamy, że zamierza objąć urząd prezydenta, to musimy równocześnie założyć, że nie jest gotów zrealizować swoich planów, które by mu to umożliwiły.

- Innymi słowy, w razie twojej śmierci lub abdykacji nie będzie w stanie zapewnić sobie tej pozycji. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Jag przytaknął.

- Nie skreślamy go z listy potencjalnych spiskowców. Ściągnę resztę naszych głównych kandydatów i powiem to samo, co jemu. Zobaczymy, którzy będą się zachowywać w taki sam sposób. Może ktoś dojdzie do wniosku, że narażanie życia, Amelii Solo to wyjątkowo kiepski pomysł.

Jaina się uśmiechnęła.

- Były takie czasy, gdy rola córki Hana i Leii Solo była niemożliwie wręcz męcząca.

- A kiedy indziej?

- Stawała się powodem do wielkiej dumy. Jeśli się nad tym zastanowić, podobnie jest z rolą kochanki Jaggeda Fela.

Odwzajemnił uśmiech.

- Ach, co za dwuznaczny komplement. Każdy w rodzinie Solo dopracował je do perfekcji.

## ROZDZIAŁ 31

### Port kosmiczny na Dathomirze

To był dobry dzień dla zakładu mechanicznego Monarga. Na zewnątrz przyświecało słońce, ale dzięki chłodnym wiatrom znad południowego wybrzeża temperatura była znośna. Monarg

otworzył drzwi na obu końcach sklepu, pozwalając, by powietrze krążyło.

Nie szkodzi, że mała dziewczynka Solo uciekła z cennym droidem; za to prawie zakończył naprawę jeszcze cenniejszego od niego jachtu SoroSuub. Odmalowany, z nowym wyposażeniem i zapasami, na pewno sprzeda się poza planetą za ładną sumkę. Przez dłuższy czas będzie mógł prowadzić dostatnie życie.

Siedząc przy biurku, nie widział wiele poza tylną ścianą, ale piśnięcie jednego z droidów poinformowało go, że ma gościa. Obrócił się na fotelu.

Zamiast jednego gościa było kilku - Luke i Ben Skywalkerowie, Dyon Stadd, Tarth Vames i Vestara. Nie wchodzili do sklepu, po prostu przed nim stali. Wszyscy poza Vestarą Khai mieli ręce założone na piersi w geście dezaprobaty.

Odchrząknął. Nie mógł wstać; gdyby się na to zdecydował, zderzyłby się z klatką piersiową Luke'a Skywalkera i usiadł z rozpedu.

- Mogę w czymś pomóc?

- Możesz pomóc sobie. - Głos był miłszy, niż sugerowałyby to mina Luke'a. - Zabieramy SoroSuub.

- Zabieracie? - Monarg zamrugnął. - Cóż, rzeczywiście jest na sprzedaż. Ile jesteście gotowi zaoferować?

Dyon pokręcił głową.

- Nie, nie jest na sprzedaż.

Monarg obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

- O tym ja decyduję.

Tarth Vames spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Raczej właściciel.

- Ja jestem właścicielem!

- Jesteś? - Vames wyjął i otworzył datapad. - No to zobaczmy. Skywalkerowie zgłosili, że taki właśnie jacht SoroSuub przyleciał w ciągu kilku ostatnich dni z Otchłani na Dathomirę. Zgłoszono go jako rozbity, najwyraźniej błędnie. Nie widzę, by ktokolwiek się po niego zgłosił, czy to z Otchłani, czy tutaj.

Monarg poczuł się niepewnie.

- Zaraz...

- Oczywiście ktoś mógł go tutaj podrzucić, by dokonano napraw i jacht można było odsprzedać. Ale oznaczałoby to, że zamierzałeś to zrobić, nie wypełniając wcześniej stosownych dokumentów, zapewne żeby uniknąć uiszczenia w porcie, to jest w porcie kosmicznym na Dathomirze, wszystkich należnych opłat za przeniesienie tytułu własności. To przestępstwo, za które, w przypadku takiego pojazdu, grozi od jednego do trzech lat pozbawienia wolności. Mam szczerą nadzieję, że niczego takiego się nie dopuściłeś.

- Ja... nie zrobiłbym czegoś takiego. - Monarg powiedział to przez zaciśnięte zęby.

Vames przewinął ekran datapadu.

- Dyon Stadd zgłosił roszczenie dotyczące tego statku, poparte przez obecnych tu Skywalkerów, i opłacił wszelkie należności. Tytuł własności statku należy do niego. Dyon, nie widzę tu jego nazwy.

- „Jaśniejące Słońce”.

- Ładna nazwa. Chwytna. Monarg, Dyon będzie potrzebował kodów dostępu.

- Ale... naprawy... - Monarg utopił mnóstwo kredytów w naprawie i odnowieniu jachtu, i miał je odzyskać z nawiązką po sprzedaniu pojazdu... jeśli go sprzedał.

Twarz Vamesa była pozbawiona wyrazu.

- Dyon, czy zaakceptowałeś wprowadzenie jakichkolwiek modyfikacji?

- Nie.

Vames pokręcił głową.

- Niestety, Monarg. To już sobie później sami wyjaśnicie. Zamierzasz przekazać kody dostępu czy wolisz sprawę sądową?

Monarg włożył w naprawę jachtu wszystkie swoje fundusze, włączając w to nagrody od

rzędu Sojuszu Galaktycznego za zgłoszenie miejsca pobytu Solo. Chciało mu się płakać. I chyba to właśnie zrobi, gdy nie będą mogli go zobaczyć jego nienaturalnie radośni goście.

Próbował rzucić Vestarze gniewne spojrzenie, ale wiedział, że wygląda raczej na zranionego.

- Dałem ci pieniądze...

- Którymi ja zapłaciłam ci za wysłanie wiadomości w nadprzestrzeń. Nędzne grosze, znacznie mniej, niż jacht był w rzeczywistości wart. - Wzruszyła ramionami. - Wybacz. Ja tutaj nie mam nic do gadania. Skywalkerowie i ich przyjaciele nie pytają mnie o zdanie.

Powoli i z wyraźnym bólem Monarg zaczął przekopywać się przez dataczipy w szufladzie biurka. Znalazł ten, którego szukał, i wręczył go Dyonowi.

- Dziękuję.

- Wynoście się już.

Dyon podszedł z czipem do głównego włazu jachtu i podłączył go, przesyłając kod bezpieczeństwa. Właz otworzył się i zostały włączone wewnętrzne systemy. Dyon pomachał do Jedi.

Luke Skywalker mu odmachał.

- Do zobaczenia na orbicie.

Gdy znaleźli się poza warsztatem Monarga, Luke poklepał Vamesa po plecach.

- Dobra robota. Dziękuję.

Vames sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Wiele lat czekałem, żeby zetrzeć mu z twarzy ten jego uśmiezek. I chociaż nie dysponuję takimi mocami jak Jedi...

- Masz moc, której większość z nas nie posiada. Tarth, wpadniemy do ciebie przy następnej okazji, gdy odwiedzimy Dathomirę.

- A na razie prześlę akt własności do waszej Świątyni i przechowam grawicykle waszych przyjaciół.

- Jestem wdzięczny.

Luke poprowadził pozostałych do „Cienia Jade”. W trójkę - Vestara, Ben i on sam - weszli na pokład. Skywalkerowie usadowili Vestarę na tylnym siedzeniu kabiny i zabrali się do listy kontrolnej.

Po kilku minutach Ben powiedział:

- Wszystko w porządku, a i Dyon zgłasza, że jest gotów do drogi.

- Startuj, Ben. - Luke posłał Vestarze twarde spojrzenie. - Twoi przyjaciele Sithowie mają kilka godzin przewagi, ale ja nieraz już odwiedzałem Otchłani. Znam wiele dróg, którymi można się tam dostać. Przetniemy im drogę.

Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

- Czyli zabierzesz mnie do nich. Jak to miło z twojej strony.

- Jesteś przebiegłą młodą kobietą, Vestaro. Dopiero po jakimś czasie zdaliśmy sobie sprawę, że nie zapłaciłaś Monargowi za naprawienie jachtu, a sprzedałaś go za sumę, która umożliwiła wysłanie wiadomości do swoich. Żeby odciągnąć naszą uwagę, przegoniłaś nas po lesie.

- To była ciekawa wycieczka. Potem oczywiście spotkałam Siostry Nocy i poświęciłam się ich zniszczeniu.

- Ależ oczywiście. Ben, mógłbyś przewrócić oczami? Ja trochę wyszedłem z wprawy.

Ben zrobił, o co poprosił go ojciec, i podniósł „Cień Jade” nad ziemię na repulsorach, ostrożnie przeprowadził nad lasem deszczowym i skierował na orbitę.

Kilka minut później barwa nieba zaczęła przechodzić od błękitu do czerni, a linia horyzontu wygięła się, ukazując kontury, jakie można zobaczyć z niskiej orbity planetarnej.

Ben obrał kurs na najbliższy punkt, z którego mógł dokonać skoku w kierunku Otchłani. Na ekranie czujników widać było lecący tym samym kursem jacht Dyona.

Jak również inne statki, zbliżające się ku nim.



- Tato...

Luke pochylił się ku niemu.

- Mamy tutaj duże statki nadlatujące w naszą stronę. Z pozycji na orbicie Dathomiry i innych punktów w pobliżu planety.

- Odbieram to samo. Czujniki identyfikują je jako chasemastery, wybudowane przez Zarząd Sektora Wspólnego. Siedem. Nie, osiem.

Luke zagryził wargę. Fregaty typu ChaseMaster były przestarzałe, nie mogły się równać ze swoimi współczesnymi odpowiednikami. Ale jeden czy dwa mogły zniszczyć „Cień Jade”. A z niemożliwością graniczyło, żeby wymknąć się ośmiu, nawet gdy za sterami „Cienia Jade” zasiadał Skywalker.

Spojrzał na Vestarę. Siedziała odwrócona od głównego monitora i iluminatorów, na pozór nie zwracając uwagi na rozwój wydarzeń. Uśmiechała się.

- Poprawka, tato. Jest ich dziewięć. Dziesięć. Jedenaście. No to mamy kłopot.

- Uwaga, „Cień Jade”. - Głęboki, męski głos miał ledwo wyczuwalny obcy akcent, taki sam jak Vestara. - Tu fregata „Czarna Fala”. Wejdźcie na orbitę parkującą i zaprzestańcie prób opuszczenia systemu Dathomiry, w przeciwnym razie będziemy zmuszeni otworzyć ogień.

Luke i Ben wymienili spojrzenie.

Wreszcie odezwała się Vestara.

- Wysłuchiwanie rozkazów, życie w nieustannym zagrożeniu, wymyślanie planów, które pozwolą przetrwać... tak wyglądał cały mój pobyt na Dathomirze. Jak się z tym czujecie?

Ben westchnął.

- Całe moje życie jest takie.

## PODZIĘKOWANIA

*Dwudziestego siódmego marca 2009 roku, w trakcie tournée promującego Wygnańca (pierwsza książka z serii), uległem atakowi serca. Sześć dni później przeszedłem operacją wszczepienia poczwórnego bypassu. Chciałbym serdecznie podziękować lekarzom i pielęgniarce centrum medycznego Baylor w Grapevine, w Teksasie, bez których nie mógłbym przeżyć, aby napisać Odwet.*

*Na podziękowania zasłużyli także Troy Denning, Christie Golden, Shelly Shapiro z Del Rey oraz Sue Rostoni z Lucas Licensing, nie tylko za to, że jak zwykle wykonali wspaniałą pracę, lecz również za nieskończoną cierpliwość, jaką mi ofiarowali we wzlotach i upadkach mojego powrotu do zdrowia.*

*Dla mojego agenta, Russella Galena oraz wszystkich fanów, którzy poznali tę serię i zaofiarowali swoją pomoc.*

## Spis Treści

### BOHATEROWIE POWIEŚCI

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11  
ROZDZIAŁ 12  
ROZDZIAŁ 13  
ROZDZIAŁ 14  
ROZDZIAŁ 15  
ROZDZIAŁ 16  
ROZDZIAŁ 17  
ROZDZIAŁ 18  
ROZDZIAŁ 19  
ROZDZIAŁ 20  
ROZDZIAŁ 21  
ROZDZIAŁ 22  
ROZDZIAŁ 23  
ROZDZIAŁ 24  
ROZDZIAŁ 25  
ROZDZIAŁ 26  
ROZDZIAŁ 27  
ROZDZIAŁ 28  
ROZDZIAŁ 29  
ROZDZIAŁ 30  
ROZDZIAŁ 31  
PODZIĘKOWANIA

